

Kim Holden

O WIELE
WIĘCEJ

*Nadal wierzę.
W marzenia.
W ludzi.
W miłość.*

FILIA

Kim Holden

O WIELE WIĘCEJ

Przełożyła
Katarzyna Agnieszka Dyrek

FILIA

B., za nas.

Za piękną sytuację, w jakiej się znaleźliśmy.

Zawsze byłeś moim „o wiele więcej”.

Kocham Cię.

Mamo, za odwagę.

Odwaga to Ty.

Przez trzydzieści sześć lat jak twardzielka

walczyłaś ze stwardnieniem rozsianym.

Kocham Cię.

PROLOG

Miłość wyjaśnia... lub zaprzecza.

Poproś sto osób, by wyjaśniło, czym jest miłość.

A uzyskasz sto różnych odpowiedzi.

Ponieważ miłość jest sztuką. Subiektywną.

Nieuchwytną.

Nieustannie zmienną.

Wciąż dojrzewającą.

NIE INACZEJ...

MIRANDA

Miłość nie jest prawdziwa.

Sprawia, że wierzymy w nią tak, jak wierzy się w Świętego Mikołaja czy w wygraną w Vegas. Wszystko błyszczy. Dopiero po bliższym wejrzeniu zaczynamy rozumieć, że pod płaszczykiem efektownie zaspokajanych pragnień skrywa się fikcja.

Tylko głupcy wierzą w miłość.

A ja nie jestem głupia.

SEAMUS

Miłość zadziwia. Pojawia się znikąd. Nie ma w niej logiki. Nie jest celowa. Nie da się jej zmierzyć. Wypływa ze szczerych emocji oraz z pasji – połączenia, które łatwo staje się niebezpieczne, wyzwalając również... nienawiść.

Mimowolnie poznałem oba te uczucia, doświadczyły mnie dogłębnie. Stałem się w nich ekspertem.

W Mirandzie zakochałem się ślepo i bezgranicznie. Oboje byliśmy młodzi. Była bystra, piękna, dowcipna, energiczna, lecz plotki otaczały ją niczym legendy powtarzane szeptem od pokoleń. Wszystko opierało się na pogłoskach i spekulacjach. Mawiano, że była okrutna, a ja widziałem w niej silną wolę. Mawiano, że była wycofana, a ja widziałem w niej niezależność. Mawiano, że była przebiegła, ja jednak widziałem jej zdecydowanie. Na wszelkie ostrzeżenia, które do mnie dochodziły, patrzyłem przez różowe okulary. Miałem własne wytyczne, zupełnie inną perspektywę.

To chyba moja największa wada, a zarazem najwspanialsze błogosławieństwo – staram się dostrzegać w ludziach jedynie dobro. Miałem wizję świetności. Nie chciałem zmieniać Mirandy, nie uważałem, że jest to konieczne. W moich myślach, w snach wyniosłem ją na mityczny piedestał.

Jednak marzenia są niczym dym. Mamią nasze myśli dotąd, dopóki nie zacznie nam się wydawać, że to, co stało się ich przedmiotem, wynikało z naszych pragnień i potrzeb. Taka właśnie była Miranda. Ulotna niczym dym. Myślałem, że jej pragnę. Sądziłem, że jej potrzebuję. Jednak w moje życie stopniowo zaczęła wkradać się szara rzeczywistość. Odarła mnie ze złudzeń niczym okrutny drapieżnik pozostawiający po sobie tylko nadgnitą padlinę.

Rzeczywistość bywa podła.

Tak jak Miranda.

A ja bywam czasem strasznym głupcem, który... mimo wszystko nadal wierzy.

W marzenia.

W ludzi.

I w miłość.

FAITH

Przez dwadzieścia dwa lata mojego istnienia wiele przeżyłam. Nie można tęsknić za tym, czego się nie doznało, prawda? Słowa te odnoszą się niemal do wszystkiego w moim życiu. Za wyjątkiem jednego – miłości.

Brak mi jej, choć jeszcze jej nie doświadczyłam.

Nie idealizuję tego uczucia, postrzegając je jako nieosiągalnie perfekcyjne. Ludzie są pokręcani i jestem pewna, że miłość jest dokładnie taka sama.

Myślę, że kieruje nią instynkt, że serce włada rozumem. Miłości nie można zdefiniować. Poznam ją, gdy poczuję jej wstrząsające piękno.

Marzę o tym, by pewnego dnia móc znaleźć się w tak niewiarygodnie pięknej sytuacji.

PRZEPUSTKA Z PIEKŁA

MIRANDA

Przeszłość

– Jesteś podłą suką, Mirando – mówi z pogardą współlokatorka. To obelga.

Jesteśmy w trakcie naszej cotygodniowej drobnej sprzeczki. Te kłótnie nigdy nie mają znaczenia, są po prostu wytworem naszej wzajemnej niechęci. Przewracam oczami, żałując, że stoję zwrócona plecami do koleżanki i ta nie może zobaczyć, jak wielkie jest moje obrzydzenie.

– Słyszę to już nie pierwszy raz – odpowiadam zjadliwym tonem adekwatnym do wyrazu twarzy, którego nie widziała, i odwracam się do niej.

Dziewczyna szarpie szelkę plecaka z prawdziwą złością i przekonaniem o własnej racji, następnie, idąc do drzwi, tupie głośno swoimi malutkimi stópeczkami, które bardziej pasowałyby do wróżki niż do człowieka. Jej drobna, eteryczna sylwetka zalicza się do tego wszystkiego, co irytuje mnie w niej najbardziej. Niemal tak samo drażni mnie to, że w głębi duszy jest miła. Po prostu się odpychamy. Jak przeciwne bieguny magnesu.

– Nie wiem, co Seamus w tobie widzi – mamrocze i zatrząskuje za sobą drzwi, nie dając mi szansy na odpowiedź.

– Ja też nie – szepczę w przestrzeń pustego pokoju. Nie chcę, by ktokolwiek słyszał tę prawdę.

Nigdy nie byłam dziewczyną, której potrzebny był facet. Romans to bzdura, mężczyźni mnie nie dopełniają. Wprowadzają jedynie chaos do mojego zorganizowanego i poukładanego świata. Od czasu do czasu lubię z nimi zabawę w kotka i myszkę. Gdy już pobawię się myszką tak, że staje się cieniem samej siebie, pożeram ją w całości z jej ostrymi zębami. Mężczyźni to mało skomplikowane stworzenia. Preferuję przystojniaków, fajnie jest ścierać w proch ich ego.

Jednak Seamus jest inny. Na początku o tym nie wiedziałam. Gdy wykonał swój ruch, grałam nieśmiałą i pozwoliłam mu się zbliżyć, choć dla mnie wciąż była to część zabawy. Jednak umówiliśmy się kilkakrotnie i wtedy to się stało.

Zostałam chwilowo odurzona.

Oczarowana.

Seamus to jedna z nielicznych osób, które nie mają pojęcia, jak bardzo są atrakcyjne, inteligentne, miłe i dobre. Tak po prostu. Co dziwne, niebywale mnie to pociąga. Właśnie to mnie kręci. Seamus jest bezinteresownym idealistą, który naprawdę wierzy w ludzi. Nie sądziłam, że – poza tymi z cholernego kanału Hallmark – istnieją jeszcze tacy ludzie. Gdy z nim przebywam, chcę być taka jak on – dobra. Wśród znanych mi osób jest jedynym, któremu udało się sprawić, że tęsknię za odrobiną światła w mojej czarnej duszy.

Głupie, wiem.

To marzenie było krótkotrwałe.

Dzięki Bogu.

Odzyskałam zdrowy rozsądek i uświadomiłam sobie, że idealizm i dobroć to luksus, na który stać tylko nielicznych. Życzliwość przeszkadza w realizacji moich celów życiowych – każdego jednego. Z dobrymi intencjami i nadzieją na lepsze nie można dostać się na szczyt. Tylko rozmyślnym działaniem i ciężką pracą osiąga się sukces. Stanowi on produkt fabryczny, jest częścią większego porządku. Ludzie to pionki. Moralność jedynie przeszkadza. Władza nie jest dla

mięczaków.

Jednak, mając przy sobie Seamusa, nauczyłam się kilku rzeczy.

Potrzebuję go.

Muszę go zatrzymać.

Jest moją przepustką do wyjścia z piekła.

Moją dobrą karmą.

Moją cholerną skruchą na dwóch nogach.

Związek z nim jest jak życie w konfesjonale. Grzeszę, a on odpuszcza winy. Wszystko się wyrównuje. Dzięki tej więzi staję się niewinna. A poza tym, cholera, miło na niego patrzeć.

Wychowywała mnie babcia. Nie miała zbyt wiele pieniędzy. Była prawnikiem pracującym pro bono – żarliwie reprezentowała kobiety, które zostały w różny sposób skrzywdzone. Opowiadała mi o ich sprawach, więc wcześniej nauczyłam się, na czym polega życie na tym brutalnym świecie, gdzie szansę, by przetrwać, mają tylko silni i dobrze ustawieni. Była bezwzględna. Zajadle broniła praw kobiet i nienawidziła mężczyzn. Odkąd pamiętam wbijała mi do głowy, że jestem w stanie robić to samo, co oni, tylko... lepiej. Zuchwała, szczerą, nieugięta, z siłą prawdziwego przywódcy była całkowitym przeciwieństwem mojej służalczej matki. Osoby słabej, zniszczonej przez nałogi i błędne decyzje, które spowodowały, że zakończyła swój marny żywot, gdy miałam dziesięć lat. Ulegała wpływom innych i to ją zgubiło. Nie chcę być jak moja matka. Będę jak babka. Aby nikt i nic nie mogło mnie złamać.

Babcia była osobą, której inni nie tylko się obawiali, lecz także taką, której – dobrowolnie czy też nie – ustępowali. Nigdy nie przestało mnie to zadziwiać. Władowała innymi bez wysiłku i wyrzutów sumienia, co w moim wyobrażeniu uczyniło z niej boginię. Przeżuwała ludzi i ich wypluwała. Dorastając, starałam się ją naśladować, była moim autorytetem. Miała wpływ na moją edukację – akceptując tylko to, co doskonałe, zaszczepiła we mnie chęć do wysiłku. Ciężka praca stała się dla mnie biletem do wszystkiego, czego pragnęłam. Podobnie jak subtelna manipulacja, kolejna przydatna sztuczka, której nauczyłam się od babci i którą stosowałam, gdy wymagała tego sytuacja. Ta kobieta była jedyną osobą, której akceptacji pragnęłam, ponieważ spośród

wszystkich osób wokół mnie tylko ją podziwiałam. Zmarła dwa dni przed tym, gdy dostałam list informujący o przyjęciu mnie na Uniwersytet Kalifornijski w Los Angeles. Nie doczekała, by zobaczyć, jak spełnia się nasze marzenie – o moich studiach na prestiżowej uczelni i zdobyciu upragnionego tytułu.

Był to dla mnie wielki, wyprostowany środkowy palec od świata.

Od tamtego czasu przy każdej nadarzającej się okazji odpowiadam w ten sam sposób.

Jednak Seamus jest inny niż wszyscy.

Cały czas mam wrażenie, że nasza więź skończy się kolejnym „pieprz się”, które pokaże mi świat. Okrutnym zrzędzeniem losu, które przypadnie mi w udziale, by przetestować, jak jestem twarda. Sprawia to, że jednocześnie uwielbiam i nienawidzę tego faceta.

Chciałabym przyłgnąć do jego miękkiego serca, lecz nie chcę, by moje własne zaraziło się jego ciepłem. Zawiedzie mnie to donikąd. A mam plany, wielkie plany.

WSZYSCY LUBIĄ OWCE

MIRANDA

Przeszłość

– Założę się, że byłeś dzieckiem, któremu nauczyciele przekręcali imię już od pierwszego dnia w szkole – mówię.

Kiwa zdecydowanie głową.

– Ludzie wciąż je przekręcają. Przydałby się wtedy filmik pod tytułem: *Poprawna wymowa imienia Seamus*. Teraz można go znaleźć na YouTube.

Zerkam na niego podejrzliwie.

– Kłamiesz. Jest taki filmik?

Śmieje się z mojego oskarżenia.

– Przysięgam na Boga, szukałem. Jest.

Zapamiętuję, by po powrocie do domu przeszukać Internet.

– McIntyre to irlandzkie nazwisko? – wpytyuję o jego historię.

Uśmiecha się tym swoim uśmiechem – niewymuszonym i zawsze dobrodusznym.

– Tak. – Po jego tonie zgaduję, że przerabiał już wcześniej rodowodowe przesłuchanie. Nic dziwnego, tak wiele w tym człowieku sprzeczności.

– A nie powinieneś mieć zamiast tego rudych włosów, zielonych oczu i bladej cery? – Macham energicznie ręką, chcąc pokazać, o co mi chodzi. – Twoje nazwisko do ciebie nie pasuje. – Jego wygląd całkowicie przeczy wyobrażeniu typowego Irlandczyka.

Śmieje się i mówi:

– Rodzina ojca pochodzi z Irlandii. Jednak to kilka wcześniejszych pokoleń. Sądzę, że pozostawienie tego nazwiska było próbą powrotu do korzeni. Mama urodziła się i wychowała na Hawajach. Najwyraźniej jestem bardziej podobny do niej.

Niechęć, którą słyhać w jego głosie, gdy mówi o ojcu, zupełnie znika na wspomnienie matki. Otwierając się przede mną nieco bardziej, opowiada o przeszłości. Jego ojciec był dupkiem, który przestał się starać, kiedy Seamus skończył osiemnaście lat. Z kolei matka mogłaby być kolejną Matką Teresą. Zmarła, gdy Seamus kończył szkołę średnią.

– Najwyraźniej – zgadzam się.

Przytakuje.

– Przynajmniej moje drugie ma hawajskie pochodzenie. *Aouli*. Oznacza błękitne niebo.

Bije od niego sentyment, coś, czego wcześniej w nim nie dostrzegłam. To fascynujące, że wciąż na nowo odkrywam tego mężczyznę. Podobne pytania i odpowiedzi wypełniają tabelę po stronie pozytywów. Tak, prowadzę w duchu statystykę wad i zalet. Planuję niezwykle życie. Seamus jest wyjątkowy niemal we wszystkich dziedzinach. Bezcennie piękny. Doskonale wpisuje się w niezwykłą rzeczywistość, którą sobie stwarzam. Jest świetnym przykładem obrazującym zdanie: „Zobacz, mam coś, czego ty nie masz”.

Jesteśmy razem od kilku miesięcy. To, jak dotąd, jedyny facet, który potrafił przykuć na dłużej moją uwagę. I *vice versa* – on również jest mną zainteresowany. Zazwyczaj związki mnie nudzą i płęć przeciwna najczęściej się do mnie zniechęca. Bla, bla, bla... Jednak w stronę tego mężczyzny pcha mnie jakaś magnetyczna siła, której nie jestem w stanie się oprzeć. Czuję, jakby świat wymierzał mi siarczysty policzek, ostrzegając, bym przejrzała na oczy, i krzyząc: „Nie trafi ci się nic lepszego. Ten jedyny to facet, który przed tobą stoi! Nie bądź kretynką!”. Lata temu zaaranżowałam sobie w głowie całe życie.

Dokładny jego przebieg wraz z datami sukcesów, które miałam odnosić we wszystkich dziedzinach: w karierze, która jest w nim dla mnie najważniejsza, oraz w pozostałych jego aspektach stanowiących pewnego rodzaju fasadę.

Postanowiłam, że Seamus musi pozostać stałym elementem mojej egzystencji. Potrzebuję go, by odpędzać złą energię, którą bez wątpienia sama wytwarzam. Nie martwię się przy tym o własne sumienie. Nie posiadam go, podobnie jak moja babcia. Zależy mi tylko na wizerunku mojego przyszłego życia. Mąż, którego można pozazdrościć, jakieś ładne potomstwo, bym to ja mogła dobrze się prezentować – wilczyca otoczona uroczymi, sympatycznymi, mięciutkimi, małymi owieczkami. Wszyscy lubią owce.

Właśnie dlatego przestałam brać pigułki antykoncepcyjne.

Seamus o tym nie wie.

Rozmawialiśmy o małżeństwie. O dzieciach. Miałam ciarki na plecach, gdy zobaczyłam, jak bardzo był zadowolony z tego pomysłu. Mogłabym przysiąc, iż został stworzony tylko w celu prokreacji, a jego lędźwie zawierają jedynie anielskie nasienie.

Dygotałam, nie mogąc się doczekać.

Jeśli zajdę w ciążę, ożeni się ze mną. Nawet jeśli nie zdołam dłużej udawać Mirandy, której by pragnął, nawet jeśli w końcu odkryje moje prawdziwe oblicze, nigdy nas nie zostawi. Dziecko da mi tę gwarancję.

ŚWIAT, KTÓRY TWORZĘ DLA SIEBIE

MIRANDA

Przeszłość

– Kocham cię. – Jego słowa zawisają w ciemności. Wypowiada je, a jego usta powtarzają kontakt z moim obojczykiem i szyją, pozostawiając na nich oddanie i obietnice. Jestem chciwa i uwielbiam tego słuchać. To potwierdzenie, że jest mój. Cały mój. Zgodny ze mną, jeśli chodzi o serce. Emocjonalna niewola i oddanie są jak mocny, pobudzający narkotyk. Nie podoba mi się idea wzajemnej miłości, ale uwielbiam być kochana. Zakochanego łatwo do czegoś zmusić.

Seamus leży obok. Jesteśmy nadzy, w trakcie intymnego aktu. On w nim dominuje. Toleruję to. Robię, co muszę, by zachować pozory i zapewnić mu emocjonalny spokój.

Całuje, dotyka, penetruje... umiejętnie tłumaczy gestami to, co odczuwa.

Ja umiejętnie to udaję.

– Właśnie tak, Seamus. Właśnie tak – wzdycham, gdy we mnie wchodzi. Westchnienie to dla niego znak. Powinno mnie cieszyć, gdy się we mnie porusza. Jest postawnym, silnym mężczyzną, który zawsze traktuje mnie z troską i uczuciem. Obejmuje mnie, jedną ręką po

mistrzowsku stymulując z przodu, podczas gdy druga wędruje w inną stronę mojego tułowia. Ustami pieści każdy kawałek mojej skóry, do którego ma dostęp.

To jeszcze chwilę potrwa. Wymienimy kilka słów. Prawdopodobnie zmienimy pozycję. Oboje osiągniemy orgazm.

Jednak istnieje mały problem.

Nie lubię seksu.

Nigdy nie lubiałam.

Sprawia, że czuję się uległa.

Fizyczny akt wydaje się niepotrzebny – dokładnie ten sam efekt mogę osiągnąć w kilka chwil za pomocą wibratora. Jestem zbyt samolubna, by zapewniać innym przyjemność. Biorąc pod uwagę mężczyznę, z którym jestem, w pojęciu większości kobiet byłoby to pewnie świętokradztwem. Seamus jest nadzwyczaj dobrze wyposażony, a do tego namiętny, uprzejmy, romantyczny i przystojny. Jestem w pełni świadoma, że przez własny brak uznania marnuję jego potencjał. Widziałam, jak patrzą na niego inne kobiety. Fantazje o odgrywaniu ról z *Kamasutry* miały wypisane na podnieconych, spragnionych twarzach.

Ja pożądam władzy. A z tym wiąże się seks. Pieprzenie jest jedynym środkiem prowadzącym do wyznaczonego przeze mnie celu. Dzięki temu mogę zrealizować przemyślaną strategię. Zawsze będę patrzeć na to w ten sposób: wagina jest bronią w moim arsenale, pokona każdego sztywnego fiuta. Osłabi. Podbije. To narzędzie przeznaczone do zdobywania nagrody.

À propos zdobywania – wygrywam! Chociaż moja macica gwałtownie sprzeciwia się temu stwierdzeniu.

Jestem w ciąży!

A na lewej ręce mam pierścionek!

Mimo iż chciałabym się tym napawać i świętować zwycięstwo w tradycyjny, spektakularny sposób, czekam na swój czas, spokojnie pozwalając Seamusowi rozgościć się w świecie, który dla siebie tworzę.

Tak, dla siebie.

Nie ma *nas*.

On może mieć dzieciaka.

Ja potrzebuję jedynie fasady.

UROK TRZECIEGO RAZU

SEAMUS

Teraźniejszość

Rozwód.

Przecięcie świętych więzów.

Koniec snu.

Śmierć rodziny.

Słowo, które mnie definiuje.

Po raz pierwszy poprosiła mnie o rozwód pod koniec naszej pierwszej randki. Żartowała, a później miał miejsce nasz pierwszy pocałunek.

Kolejny raz poprosiła o rozwód, gdy rodziła nasze drugie dziecko – ze względu na szybki przebieg akcji porodowej nie otrzymała leków przeciwbólowych. Powiedziała mi również, że mnie nienawidzi, przeklinała istnienie mojego penisa i stwierdziła, że moje nasienie jest dziełem szatana. Myślę, że przemawiał przez nią ból.

Gdy trzeci raz poprosiła o rozwód, mówiła poważnie.

Urok trzeciego razu.

Mogę myśleć wyłącznie o rozwodzie. Dusi mnie to. Włada moimi myślami, zwłaszcza w taki dzień jak dziś. To właśnie dzisiaj

wprowadzam się z dziećmi do nowego mieszkania. Oczywiście bez Mirandy.

Przez rozwód.

Jakim cudem słowo to staje się coraz bardziej paskudne za każdym razem, gdy o nim pomyślę? To po prostu wyraz. Sześć liter. Liter, które powinny być nieszkodliwe. Jednak właśnie te sześć zmówiło się przeciwko mnie i za każdym razem, gdy o nich wspominam, odczuwam je jako atak. Atak na moje serce. Atak na dzieci. Atak na moją dumę. Atak, który mąci moją duszę.

Dziękuję Bogu za dzieci. Są całym moim światem. Moim celem. Moim życiem. Są dla mnie wszystkim.

– Tato, szybko. Muszę siku. – Ten bolesny pisk małej dziewczynki, która ma pilną potrzebę skorzystania z łazienki, zdaje się mówić: „Nie kłamię”. Moja pięcioletnia córeczka Kira stoi na szczycie schodów ze skrzyżowanymi nogami, trzymając brata za rękę. Jest bardzo podobna do matki: ma kręcone włosy w kolorze karmelu, migdałowe oczy w kolorze nieba w pochmurny dzień i usta tworzące kształt serca, gdy wargi spoczywają jedna na drugiej.

– Idę, kochanie. – Wchodzę powoli schodami. Moje nogi nie pracują tak, jak powinny, zwłaszcza kiedy niosę ciężkie pudło.

– Rzuć mi klucze, tato. Zaprowadzę ją do środka. – Przychodzi mi na ratunek Kai. Znowu. Zawsze był niebywale odpowiedzialny, lecz odejście matki sprawiło, że jeszcze bardziej dojrzał. Jedenastolatek nie powinien wypełniać rodzicielskiej pustki. A on to właśnie robi. I nigdy nie narzeka z tego powodu. Może dostrzegł, że nasze małżeństwo się rozpada, nim ja sam to odkryłem. Najwyraźniej wiedział przede mną.

Nigdy nie było idealnie między mną a żoną, ale nie podejrzewałem romansu.

Gdy przyszły papiery, byłem w szoku.

Podczas postępowania sądowego wszystkiemu zaprzeczałem.

I nadal podświadomie oczekuję, że po powrocie do domu zastanę w nim Mirandę. Wiele tygodni po jej wyprowadzce do Seattle, bo chciała być z nim.

Z nim.

Moim rywalem. Mężczyzną, który nie tylko ukradł mi żonę, lecz

także przede wszystkim odebrał matkę moim dzieciom.

Brzmi gorzko?

Tak?

To dobrze, ponieważ tak właśnie się czuję. Jestem nieprzeciętnie zgorzkniała.

Stawiam pudło na czwartym czy piątym stopniu, szukam w kieszeni kluczy, a następnie rzucam je synowi. Apartament numer trzy, nasz nowy dom. Rzut jest zbyt silny, więc klucze uderzają z hukiem o drzwi za chłopcem i opadają do jego stóp. Gdy je podnosi, słyszę, jak szepcze do siostry:

– Chodź, Kiro, ścigamy się, kto pierwszy w środku.

Mała chichocze i zaczyna tupać na schodach, jakby rozgrzewała się do biegu. Mimowolnie się uśmiecham, patrząc na tę dwójkę.

Podnosząc ponownie pudło, spoglądam w okna mieszkań znajdujących się bezpośrednio pod naszym – apartamentów numer jeden i dwa. W obu są zaciągnięte zasłony. Przez chwilę zastanawiam się, kto tam mieszka. Rodziny? Może przebywają tam dzieci, z którymi moje będą mogły się bawić, gdy się wprowadzimy? Myśl pierzcha, gdy czubkiem buta zahaczam o front stopnia trzeciego od góry. To nie jest gwałtowny, bolesny upadek, ponieważ pudło, które niosę, niemal całkowicie go amortyzuje. Jestem zażenowany jak nigdy. Bardzo zawstydzają mnie to, że moje nogi często odmawiają współpracy.

Zerkam za siebie, na schody, na chodnik i parking poniżej. Nie ma świadków. Ta świadomość przynosi ulgę, choć nie wiem, czy jest mi ona potrzebna. Moje serce zaczyna zwalniać, wypuszczam wstrzymywane w płucach powietrze – to ostry wydech tonącego, który chwyta się brzytwy, bliżej znanej jako godność. Może powinienem poszukać mieszkania na parterze, ale mój upór nie pozwolił mi nawet się nad tym zastanowić.

Gdy wstaję i obiema rękami zbieram bałagan, wychodzi Kai.

– Potrzebujesz pomocy z tym pudłem, tato? A może mam wziąć to drugie z samochodu?

– Poradzę sobie z tym. Może weźmiesz to drugie, kolego? I sprawdź, czy uda ci się namówić Rory'ego do wyjścia z auta – proszę syna, otrząsając się z dotychczasowego rozdrażnienia.

Rory ma dziewięć lat. Nie jest zadowolony z tej przeprowadzki. Nie podoba mu się również postępowanie matki i nie wstydzi się jej tego okazywać. W pogardzie zwraca się do niej po imieniu.

Kai przemierza schody, biorąc po dwa stopnie naraz. Jest wysoki jak na swój wiek, ma metr sześćdziesiąt pięć i budowę ciała atlety. Wygląda mniej więcej jak ja, gdy byłem w jego wieku – ciemne włosy i oczy, złotobrązowa skóra, szerokie ramiona i długie, patykowate kończyny.

Wchodzę do mieszkania i widzę, jak Kira zwisa z oparcia kanapy. W jednej ręce trzyma pluszowego kota, Ogórka, w drugiej pilota od telewizora. Z imponującą szybkością przeskakuje po kanałach.

– Mogę ci w czymś pomóc, Kiro?

Odpowiada, nie odrywając wzroku od migającego ekranu.

– Nie, tato. Mam wszystko pod kontrolą.

Uśmiecham się i kręcę głową, uświadamiając sobie, że słyszała to ode mnie zbyt wiele razy, gdy uczyła się mówić. Moje słowa są mentalną motywacją, jej jednak oznaczają pewność siebie. Uwielbiam ją za to.

– Puk, puk – melodyjny głos dobiega zza otwartych drzwi.

Kładę pudło na kanapie obok Kiry i odwracam się do naszej gospodni, pani Lipokowski, która stoi na wysłużonej wytartej wycieraczce. Środkowe litery zupełnie się starły, po napisie *Mile Witamy* pozostały jedynie *M* i *Y*. Wycieraczka, jak wszystko inne w tym umeblowanym mieszkaniu, jest stara i zużyta. Nie mam zamiaru narzekać. Z miejsca, które przez najbliższy rok będziemy nazywać naszym domem, emanuje jakiś nieodparty urok zaklęty niczym w kapsule czasu.

Pani Lipokowski wraz z mężem są właścicielami tego niewielkiego ceglanego budynku, odkąd postawiono go w tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym drugim roku. Mieści się tu bar kanapkowy, który prowadzą, dwa małe mieszkania na parterze i dwa większe na pierwszym piętrze. Jedno z nich zajmuje pani Lipokowski. Budynek stoi trzy przecznice od plaży i dwie od szkoły średniej imienia Johna Kennedy'ego, gdzie jestem pedagogiem. Lokalizacja jest idealna.

– Witam, pani L. Dobrze panią widzieć. Proszę wejść.

Kobieta wchodzi i natychmiast obejmuje rękami moją dłoń. To matczyne, przyjazny gest. Robi tak za każdym razem, gdy ją widzę. Zdarza się to niemal codziennie, podczas tygodnia żyję wyłącznie dzięki jej kanapkom spożywanym podczas lunchu.

– Widzę, że się wprowadzasz, Seamus. Potrzebujesz czegoś?

Rozglądam się z roztargnieniem, nie bardzo wiedząc czego szukam.

– Nie, chyba wszystko jest. Dziękuję.

Właścicielka domu poklepuje po grzbiecie moją dłoń, uwagę przyciąga tęczowa koszulka kobiety. Widnieje tam zdjęcie Janis Joplin. Gospodyni codziennie ma na sobie jakiś tęczowy ciuch: koszulkę, spodnie, spódnicę, spodenki, szalik. Nieważne, jaka to rzecz, ważne, że jest ona w kolorach tęczy. Kobieta zachowuje się jak zatwardziała hipiska. Nie sądzę, by od lat sześćdziesiątych wymieniła garderobę lub zmieniła styl. Niektórzy określiliby ją mianem przestarzałej, ja nazywam ją autentyczną. Jest tym, kim jest. Nie wstydzi się tego. To właśnie w niej cenię. Autentyczność jest rzadko spotykana. Ludzie albo nie wiedzą, kim są, albo boją się pokazać światu swoje prawdziwe oblicze – mnie można zaliczyć do obydwu tych kategorii: nie wiem i się boję. Nie jestem z tego zadowolony. Wcześniej tak nie było. Jednak życie w końcu mnie pokonało. Walczyłem przez długi czas, ale po rozwodzie obudziłem się pewnego dnia, nie pamiętając już człowieka, którym niegdyś byłem i nosząc w sercu jedynie czas i okoliczności, które mnie zmieniły. Muszę ponownie odnaleźć samego siebie.

– Wpadnij do mnie dzisiaj, a przygotuję ci kubek ziołowej herbaty. Pomoże ukoić nerwy. – Kobieta puszcza do mnie oko i uśmiecha się ciepło. Zastanawiam się przez chwilę, z jakich ziół będzie ta herbata.

– Dobrze – odpowiadam.

– Gdybyś miał jakieś pytania odnośnie przeprowadzki czy mieszkania, zajrzyj do baru. – Spogląda na moją córkę i mówi: – A ty, Kiro, przyjdź później, dam ci kiszzonego ogórka.

Rozpoznając w jednym zdaniu swoje imię i kiszzone ogórki, Kira natychmiast zaczyna się przysłuchiwać. Uwielbia je prawie tak bardzo, jak telewizję i koty.

– Pięć plasterków? – pyta podekscytowana.

Pani L. przytakuje.

– Pięć plasterków ogórka dla pięciolatki.

Kira staje na kanapie i z radości podnosi ręce, nie przestając jednak ścisnąć w palcach pilota i pluszowego kota.

– Jej!

– Witajcie, chłopcy. – Powitanie pani L. powoduje, że moje spojrzenie ponownie wędruje w stronę drzwi, przez które przechodzi Kai niosący pudełko, za nim zaś snuje się Rory.

– Dzień dobry, pani Lipokowski – mówi grzecznie Kai.

– Witam, pani Lipokowski – mówi Rory z nieskazitelnym brytyjskim akcentem. Kilka miesięcy temu odkrył *Harry'ego Pottera* i *Doktora Who*. Natychmiast dostał obsesji na punkcie wszystkiego, co brytyjskie. Podchwycił też akcent, z którym wymawia wszystkie zdania już od wielu tygodni. W imponująco krótkim czasie nauczył się mówić niejasną mieszanką quasi-australijskiego i brytyjskiego, niczym sobowtór Sherlocka Holmesa. Słuchając go, czasami zapominam, że mój synek nie jest tak naprawdę Benedictem Cumberbatchem.

Pani L. uśmiecha się do mnie z aprobatą.

– Dobrze ich wychowujesz, Seamus. Każde ma silną osobowość. – Pani Lipokowski nie ma dzieci, lecz zauważając, jak na nie patrzy, zgaduję, że to raczej sprawa kapryśnego losu niż świadoma decyzja jej i męża.

– Dziękuję. – Uśmiecham się w duchu na ten komplement. Ostatnio nieczęsto się to zdarza. Jednak dzieci są moją dumą i radością, kocham ich indywidualizm i pragnę pomóc im go rozwijać. Ich matka i ja mamy na ten temat odmienne zdanie. Ona woli schematy. Ja nie.

– Pa wszystkim. Do zobaczenia w porze lunchu. Dzisiaj ja stawiam kanapki, Seamus.

W normalnej sytuacji spierałbym się z nią, ponieważ moja duma nie potrafi zaakceptować takiej jałmużny, nawet jeśli wynika ona z uprzejmości. Jednak nie mam w mieszkaniu żadnego jedzenia z wyjątkiem połowy kubka kwaśnej śmietany, chipsów cebulowych i butelki ciepłego soku. Muszę też zaoszczędzić pieniądze z lunchu na naszą popołudniową wyprawę do sklepu. Nie mam już tak wiele gotówki, jak kiedyś. Muszę więc zdławić ambicję, która niczym

olbrzymia piłka do golfa blokuje mi gardło, i powiedzieć:

– Dziękuję. Do zobaczenia koło południa.

Kiedy kobieta staje na wytartej macie z napisem *M.....Y*, wracam myślami do zaciągniętych zasłonami okien dolnych apartamentów, i odzywam się, nim w mojej głowie ułoży się pełne pytanie. Zazwyczaj najpierw myślę, a później mówię. Dobieram słowa z wielką ostrożnością. Lata spędzone w poradnictwie dla nastolatków nauczyły mnie, że nie zawsze dobrze jest mówić wszystko, co ślina na język przyniesie.

– Kto mieszka na dole? Rodziny? Z dziećmi? Małżeństwa? Ktoś samotny? – Gdy pada ostatnie słowo, moje policzki oblewa rumieniec i natychmiast jest mi wstyd, bo zabrzmiałem zapewne jak zrozpaczony desperat. Nie jestem desperatem i nie jestem też zrozpaczony. Szczerze mówiąc, nie wiem, czy kiedykolwiek jeszcze się z kimś umówię. Rozwód mnie zniszczył. Moje serce już nigdy nie zaufa, nie obdarzy wiarą konieczną, aby miłość ponownie zagościła w moim życiu. Pamiętasz, co wcześniej mówiłem o goryczy? To niemal moje drugie imię. Właściwie możesz mnie nazywać Gorzki zamiast Seamus McIntyre. Określaj mnie tym jednowyrazowym przydomkiem, jak Prince’a czy Beyonce. Zatem od dziś jestem Gorzki.

Jej uśmiech jest niemal zarozumiały. Myśli, że słowo *samotny* świadczy o skrywanym przeze mnie pragnieniu życia w związku. Nie rozumie, że moja wypowiedź to tylko niewinne pytanie zadane w trosce o nowych przyjaciół dla moich dzieci, nie dla mnie.

– Dwie samotne kobiety. Faith mieszkająca pod dwójką jest wolnym duchem. To młoda, energiczna i towarzyska osoba. Jednak Hope spod jedyńki jest... jest... – stara się odpowiednio dobrać słowa – trochę wycofana. Starsza od ciebie. Nie wychodzi zbyt często. To prawdziwa szara myszka, której obecności prawie nie zauważysz.

Zatrzymałem się na ich imionach. Faith i Hope – wiara i nadzieja. Dla mnie nie są już imionami. To pojęcia, które przez ostatnie miesiące były mi zupełnie obce. Wartości, które podkuliły ogon i uciekły, gdy nastąpiła gorycz, niczym huragan niszcząca wszystko, co napotkała na swej drodze.

Milczę, więc pani L. kiwa tylko głową i schodzi po schodach.

– Cześć, Seamus – woła.

– Cześć – odpowiadam bezmyślnie, łapiąc się na niezamierzonym braku grzeczności.

Cisza panuje dokładnie przez dwie sekundy, następnie Kai trzaska drzwiami i ogłasza:

– Idziemy się rozpakować.

Przytakuję stojącemu przede mną minidorosłemu.

– Idziemy się rozpakować.

Tego samego wieczoru po kolacji przekazuję starszemu synowi dowodzenie na parę minut i idę do mieszkania obok, do pani L. na obiecaną herbatkę. Kobieta uchyla drzwi i zerka przez szparę, po czym, widząc mnie, otwiera je na całą szerokość. Nie można z niczym pomylić zapachu dolatującego z jej mieszkania.

– Witam, pani L. Zastanawiałem się, co z tą wspomnianą wcześniej herbatą? Może zaparzyłaby mi ją pani do kubka, który mógłbym zabrać do siebie. Nie chcę zostawiać dzieci. – Stoję na jej wycieraczce, mogę więc obserwować nasze drzwi i okno.

– Oczywiście – mówi. – Potrzymaj, a ja przygotuję ci kubek.

Zanim mam szansę zorientować się, co się dzieje, podaje mi jointa i wraca do kuchni.

– Cholera – mamroczę, kombinując, gdzie ukryć tę kontrabandę. Wchodzę do jej mieszkania, by nie zobaczył mnie jakiś przechodzień. Pan Lipkowski siedzi wyciągnięty na kanapie, oglądając lokalne wiadomości. Wygląda na bardzo odprężonego, chyba na tym właśnie polega ich odpoczynek. *Co kto lubi*, myślę.

Kobieta wraca za krótką chwilę, wymieniam więc jointa na kubek herbaty.

– Dzięki, pani L.

– Nie ma sprawy, Seamus. Smacznego. – Nim zamknie za mną drzwi, pokazuje mi znak pokoju.

POWITALNE MANGO

SEAMUS

Teraźniejszość

– Kto, u licha, zjadł wszystkie Lucky Charms?

– Wyrażaj się poprawnie, Rory – upominam. W duchu powtarzam natomiast: *Tylko się nie śmieję. No nie śmieję się.*

Syn potrząsa pustym opakowaniem nad miską, do której sypią się jedynie resztki płatków i cukrowy pył. Robi to świadomie, by zilustrować swoje wzburzenie. Jednocześnie wpatruje się we mnie z całkowitym niedowierzaniem.

– Przykro mi, kolego. Zgaduję, że to twoja siostra je dokończyła, gdy rano oglądała telewizję. – Płatki są na krótkiej liście tego, co Kira w ogóle jada, podobnie jak makaron z serem, kiszzone ogórki, banany, hot dogi i kanapki z mielonką.

Rory mamrocze coś pod nosem, a ja cieszę się, że tego nie słyszę. Następnie podchodzi do śmietnika i przesadnym teatralnym gestem wyrzuca karton po płatkach. Następnie odwraca się do mnie i mówi:

– To niedorzeczne.

Nie wiem, czy jego stwierdzenie odnosi się do konieczności wyrzucenia pudełka po płatkach, czy też do ogólnie zaistniałej sytuacji,

ale, by go zadowolić, kiwam głową.

Odpowiada tym samym, najwyraźniej usatysfakcjonowany moim aktem solidarności, po czym, mając już w głowie nowy pomysł, podchodzi do chlebaka, wyjmując dwie kromki chleba i zaczyna przygotowywać na śniadanie tosty.

Rozlega się pukanie do drzwi. Nie jest jednostajne. Różni się długością przerw i intensywnością stuknięć. Brzmi tak obco, że waham się, czy otworzyć. Zastanawiam się, czy to prośba, by natychmiast tego kogoś wpuścić, czy może wiadomość nadawana alfabetem Morse'a. Gdy odzyskuję zdrowy rozsądek, otrząsając się z porannego otumanienia, podchodzę do drzwi i je otwieram.

Stojąca na moim progu nieznajoma ma na sobie biały top bez ramiączek z wielkim czerwonym sercem z przodu oraz postrzępione jeansowe spodnie. Jej włosy sfilcowane są w długie dredy, wśród których niebieskie, zielone i fioletowe pasma tworzą tak żywą feerię barw, że jedynym określeniem, które mogłoby w pełni zobrazować tę fryzurę, jest słowo *tęcza*. W pierwszym momencie reaguję jak stuprocentowy mężczyzna – natychmiast zauważam, że kobieta jest ładna. Miła dla oka. Nie jestem zboczeńcem, ale nikt nie mógłby zaprzeczyć, że nieznajoma posiada twarz anioła i powalająco proporcjonalną sylwetkę. Wyciąga rękę przez próg, co, jak zakładam, jest powitalnym gestem. Wydaje mi się, że chciała, bym tę dłoń uścisnął, ale zauważam, że trzyma w niej mango.

– Dzień dobry, sąsiedzie.

Przenoszę wzrok z mango na jej błyszczące niebieskie oczy i otrząsam się z chwilowego szoku wywołanego powitaniem bogini technicoloru.

– Dzień dobry.

Uśmiecha się, dzięki czemu wygląda młodziej. Niewinnie. Przyjaźnie. Przestaje się nią zachwycać i staje się uprzejmym sąsiadem.

– To dla ciebie. – Potrząsa owocem jak grzechotką. Porusza ustami w rytmie znanym tylko sobie samej. – Mały prezent na powitanie.

Niezbyt chętnie go przyjmuję.

– Mango? – pytam, mając nadzieję, że moje zdziwienie nie brzmi nieuprzejmie.

Wzrusza ramionami, a mój wzrok pada na tatuaż poniżej jej obojczyka: *Życie rozkwita drugimi szansami.*

– Przepraszam, wiem, że prezent jest troszkę oryginalny, ale tylko to miałam.

Na jej słowa odruchowo próbuję oddać mango.

– Jeśli ten owoc to wszystko, co masz, nie powinnaś go oddawać. – Brzmi to głupio. Nie powiedziała przecież tego dosłownie. *Myśl zanim coś powiesz, Seamus.*

Słyszając moją odpowiedź, uśmiecha się i kładzie obie ręce na owocu, który trzymam w prawej dłoni. Następnie powoli popycha go w moją stronę, aż dotyka on mojej piersi.

– To prezent dla ciebie. Zatrzymaj go. Na naszej ulicy, kilka przecznic stąd jest sklep. – Unosi brwi, jakby wyznawała mi jakąś wielką tajemnicę. – Nazywa się supermarket. Mają tam tyle mango, że aż je sprzedają. – Jej ton łagodnieje pod wpływem miłego uśmiechu. Uświadamiam sobie, że chichoczę wraz z nią.

– Dobrze. W takim razie dziękuję za... powitalne mango... – milknę i unoszę głowę i brwi, niemo prosząc o jej imię.

– Faith – odpowiada, po czym się odwraca i schodzi po schodach. Odbija się od stopni. Przypomina mi Kirę w trakcie zabawy. Jest beztroška. Zerka przez ramię i macha. – Miło cię poznać...

Urywa w oczekiwaniu na moje imię, więc wypełniam tę pustkę:

– Seamus.

– Miło cię poznać, Seamus. – Gdy wypowiada te słowa, brzmi szczerze. Jakby naprawdę było jej miło mnie poznać. To przyjemne. Taka niewymuszona uprzejmość rzadko się zdarza.

– Mnie również miło cię poznać, Faith. – Spoglądam na mango i następne słowo powtarzam cicho pod nosem: – Miło. – Brzmi dziwnie w połączeniu z całą moją goryczą, która nie pozwala tego gestu nawet przemyśleć i od razu odsyła go w zapomnienie.

Zamykam drzwi i zanoszę mango do kuchni, gdzie Rory pyta:

– Co to jest?

Wkładam owoc do lodówki, wyjaśniając mu:

– Prezent powitalny od sąsiadki.

– Wygląda jak owoc – odpowiada oschle.

– Bo nim jest.

Chrapiąc tosta, przygląda mi się, jakby oczekiwał kolejnego wyjaśnienia.

– To mango – podpowiadam.

– Niebawale – mówi Rory z właściwym sobie akcentem.

– Tak, trochę dziwne – przytakuję i dodaję szybko: – Ale sympatyczne. – Nie chcę, by moje dzieci już drugiego dnia uznały sąsiadkę za dziwadło.

MAM NADZIEJĘ, ŻE SPĘDZACIE DZIEŃ TAK CUDOWNY, JAK WY SAMI JESTEŚCIE

SEAMUS

Teraźniejszość

– Kira, kochanie, musisz założyć dzisiaj prawdziwe ubranie. To twój pierwszy dzień w przedszkolu.

Przechyla głowę w prawo. Zawsze tak robi, gdy zastanawia się nad odpowiedzią. Wszystko negocjuje.

– Chcę nosić to.

– To koszula nocna, nie do przyjęcia jako strój do przedszkola – spieram się, robiąc im trzy kanapki na drugie śniadanie.

– Ale to jest sukienka – mówi słodko, trzepocząc przy tym rzęsami.

– Niezła próba. To koszula nocna z kotkiem noszącym diadem z napisem: *Jestem Księżniczką*. Nie pójdziesz w tym do przedszkola. – Nie sądzę, by władze tej instytucji stosowały jakieś rygorystyczne zasady, jeśli chodzi o ubiór, ale jestem pewien, że zadzwonią do mnie, gdy tylko mała stanie w jej progu ubrana w koszulę nocną.

Kira ześlizguje się z kuchennego krzesła. Lepiej idzie jej zjeżdżanie z niego niż wstawanie. Bierze Ogórka – swojego kota – ze stołu i zdeterminowana odchodzi w kierunku swojego pokoju. Jestem

pewien, że ta determinacja sprawi, iż koszula nocna zostanie zastąpiona czymś równie niewłaściwym. Kira jest grzeczna, ale ma buntowniczą naturę. Szybko rozwiązuje problemy, lecz zawsze nie tak, jak trzeba. Zawsze jednak ze słodkim uśmiechem, któremu nie potrafię się oprzeć.

– Chcesz, bym ci pomógł coś wybrać? – wołam za nią. Codziennie marudzi przy ubieraniu, które trwa wieki.

– Nie. Poradzę sobie, tato.

Do kanapki Kiry dokładam kiszzonego ogórka, następnie pakuję wszystko do woreczków, które umieszczam w pudełkach wraz z bananami i kartonikami soku. Biorę ulotkę z pizzerii leżącą na stosie poczty na blacie i drę na trzy części. Na każdym skrawku dodaję mnóstwo serduszek, ponieważ wiem, że to z całą pewnością zawstydzi chłopców, gdy wyciągną jedzenie z pudełek, i piszę:

Mam nadzieję, że spędzacie dzień tak cudowny, jak Wy sami jesteście.

Kocham Was

Tata

Kiedy wchodzę do salonu, Rory siedzi na kanapie, a na kolanach trzyma plecak. Bawi się jego szelkami, bezwiednie je poprawiając. Zawsze był niespokojny.

– Byłoby fajnie, gdyby w nowej szkole mieli drużynę quidditcha.

– Tak, byłoby. Ale niestety Akademia Montgomery’ego nie jest dla czarodziejów. Przykro mi, kolego – odpowiadam podobnym tonem, bo wiem, że denerwuje się na myśl o pierwszym dniu w nowej szkole. Lubi, gdy nazywam go *kolegą*, mówi mi o tym niewielki, pełen dumy uśmiezek malujący się na jego twarzy za każdym razem, gdy to mówię.

– Ale myślisz, że istnieje choćby niewielka szansa, że mógłbym być czarodziejem? Może nie odkryłem jeszcze swojej mocy? – pyta stanowczo z nadzieją w głosie.

– Chyba nie. Jesteś Mugolem. Nie masz mocy. Poza poczuciem humoru. – Puszczam do niego oko i wychodzę sprawdzić, co z Kirą

i Kaim.

– Wolałbym zmienić kogoś w ropuchę, niż go rozśmieszyć! – krzyczy, gdy przemierzam korytarz.

– Kum, kum! – odkrzykuję.

Śmieje się. Uwielbiam ten dźwięk. Ciężko na niego zasłużyć, więc czuję się jak zwycięzca, gdy uda mi się go z niego wydobyć.

Kira stoi w pokoju ubrana w różową spódniczkę w żółte kropki, niebieską koszulę w kratę oraz jaskrawo zielone klapki. Na głowie ma błyszczący diadem. Prawdopodobnie rozczarowałbym się, gdyby jej strój był dopasowany.

– Wyglądasz pięknie, księżniczko. Karoca już czeka. Weź plecak, jesteśmy spóźnieni. – Uśmiecham się, wyciągając do niej dłoń.

Chichocze, chwyta plecak leżący na podłodze obok szafy i przybija mi piątkę, wychodząc na korytarz.

Pukam do zamkniętych drzwi łazienkowych.

– Gotowy, Kai?

Otwiera drzwi, myjąc zęby, i pokazuje uniesiony kciuk.

O wpół do ósmej siedzimy w samochodzie w drodze do szkół – dwóch szkół. Ich i mojej. Ich szkoła, Akademia Montgomery’ego, to zarówno tutejsza ośmioklasowa szkoła podstawowa, jak i przedszkole.

Przed rozwodem mieszkaliśmy trzydzieści kilometrów stąd, dlatego po przeprowadzce dzieci musiały zmienić szkołę. Czuję się winny z tego powodu, ale teraz mam bliżej do pracy. Poza tym mieszkanie jest niedrogie. Na podobne w naszej poprzedniej okolicy nie byłoby mnie stać. Wciąż jednak mam wyrzuty sumienia. Jak kotwica trzymają mnie w jednym miejscu i nie pozwalają rozwinąć żagli.

NIEPOKOJĄCO LUDZKA

SEAMUS

Teraźniejszość

– Czy to nie nasza sąsiadka? – pyta Kira.

– Wygląda na steranę – zauważa Rory.

Przez chwilę rozglądam się po ludziach zebranych na plaży i tłumaczę słowo: *sterany*. Kiedy jednak dostrzegam Faith stojącą na skrzynce po mleku ustawionej na deptaku kilka metrów od miejsca, gdzie zaczyna się piasek, rozumiem sens wypowiedzi syna.

– Tak, to Faith. I rzeczywiście wygląda na zmęczoną. – Dzieci ją lubią. Poznały ją w przelocie i stwierdziły, że jest miła i zabawna.

Trzyma tabliczkę z napisem: *Darmowe uściski*. Po jej zgarbionej postawie, przymkniętych do połowy powiekach i opuchniętej twarzy widać, że jest wykończona. Jednak jej lśniący, szczery uśmiech przebija przez to zmęczenie. To magnes przyciągający ludzi. Przyglądam się wraz z dziećmi, jak podchodzą do niej kolejne osoby. Za każdym razem schodzi ze skrzynki po mleku, odkłada tabliczkę na ziemię, po czym każdego przytula. Czasami „klient” jest pełen entuzjazmu. Niektórzy są nieśmiali i ostrożni. Niektóre uściski są pospieszne, inne trwają dłużej niż pięć sekund. Niby to niedługo, ale kiedy nawiązujesz fizyczny

kontakt z kimś kompletnie obcym, takie pięć sekund ciągnie się w nieskończoność. Po kilku minutach dalszej obserwacji moje emocje wahają się od zupełnego zachwytu – przez ostrożną obawę – aż po troskę o bezpieczeństwo dziewczyny. Najbardziej jednak zdumiewa mnie, że bez względu na to, co Faith otrzymuje od obejmowanych ludzi, przy każdym uścisku wydaje z siebie dźwięk zadowolenia i mocno, z czułością każdego przytula. Świadomie przekazuje dotykiem życzliwość. To najbardziej niepokojąco ludzki odruch, jaki od dłuższego czasu widziałem.

Chciałbym przyznać, że to najpiękniejsze zachowanie, którego można doświadczyć, ale odruchowo reaguję na ten widok strachem. To, na co patrzę, płynie po prostu z czystego żywiołu... miłości.

A dla mnie miłość równa się lęk.

I rozwód.

Cholera.

Mówiłem, że jestem zgorzkniały.

Kira strasznie się niecierpliwi, by pobiec do Faith i ją uściskać. Sama lubi się tulić i, mimo że ma pięć lat, zdaje już sobie z tego sprawę.

– Tato, mogę uściskać Faith?

Usta mówią:

– Nie.

Jednak głowa przytakuje.

Nie zdaję sobie sprawy, że przekazałem jej sprzeczny komunikat, dopóki zdezorientowana nie zmarszczy czoła i nie spyta ponownie:

– Mogę uściskać Faith?

Tym razem nie pozwalam, by odpowiedziały usta, kiwam jedynie głową.

Mała biegnie po piasku, razem z synami czekam kilka metrów dalej. Kira ustawia się w kolejce za starszą kobietą i dwudziestokilkuletnim chłopakiem. Kiedy nadchodzi jej kolej, Faith natychmiast ją rozpoznaje, klęka przed nią i porywa w objęcia. Kira promienieje w jej ramionach. Kładzie policzek na ramieniu kobiety i drży z każdą sekundą. Drzenie oznacza ekscytację, której dziecko nie potrafi pohamować, uwolniona – ujawnia się. Dziesięć sekund później Kira uspokaja się i zadowolona zamiera w czułym uścisku. Tak właśnie

tuli mnie co noc. Jakby tym samym mówiła: „Ufam ci, czuję się przy tobie bezpiecznie i cię kocham”. Roztapia mi tym serce, jednak przyglądanie się, jak to samo ofiarowuje obcej osobie, jest zadziwiające. Dzieci świetnie potrafią ocenić charakter. Mają silny instynkt, dopóki z czasem cynizm nie zawiedzie ich do momentu, w którym staną się puste i oziębiałe jak większość dorosłych. A może im starsi się stajemy, tym lepiej potrafimy ignorować.

Po powrocie Kira promienieje tak bardzo, jakby jej serce płonęło, rozświetlając ją od środka. W duchu dziękuję więc Faith za to, że dała mojej córeczce tę chwilę. To doświadczenie, które da jej odczuć, jak magiczna może być dobroć, kiedy wypełnia istotę człowieka.

Kira chce, byśmy i my spróbowali. Mówi, że powinniśmy uściskać Faith. Wszyscy trzej odmawiamy, solidarnie tłumacząc się męskością. Jednak przez ułamek sekundy chciałbym, by chłopcy dali się namówić i poczuli to, czym obdarowana została ich siostra. Ich matki nie ma już od miesiąca, a nigdy ich nie przytulała. Jednak w chwilę potem życzenie znika – przyglądam się, jak chłopaki ruszają, zmierzając chodnikiem w stronę apartamentu numer trzy.

Moja gorycz przechodzi w smutek.

CHOLERNIE CIERPIAŁAM I NAZWALIŚMY GO KAI

MIRANDA

Przeszłość

Nie zdawałam sobie sprawy, jak bardzo łaknę uwagi Seamusa, póki jej nie straciłam. Nigdy nie zajmowałam go przesadnie, jednak troska stale była obecna. Zawsze mnie podziwia, traktując poważnie nasze małżeństwo i rolę męża. Jego przemyślane uwagi, motywowanie, pochwały, komplementy, otwarta rozmowa, wsparcie, dotyk, seks, dobroć i troska – wszystko to sprawia, że czuję się kochana. Nie nadgorliwie wielbiona, lecz prawdziwie kochana. Taka, jaka jestem. Nie musi się trudzić, przychodzi mu to naturalnie.

Łapczywie biorę wszystko, co mi daje. Zaspokaja moje nienasycone ego, choć ja nie potrafię tego w pełni odwzajemnić. Umiem jedynie stwarzać pozory.

Jednak po urodzeniu dziecka poczułam zmianę, a całe zainteresowanie skupiło się na nim. Nie chcę dzielić się uwagą mojego męża. Jest moja.

W chwili, gdy lekarz wyciągnął galaretowatą i obślizgłą, piszczącą istotę z mojego ciała i powiedział: „Chłopiec”, na twarzy Seamusa rozpałała się miłość, jakiej jeszcze nigdy nie widziałam. Jego wzruszenie

było tak wielkie, że nie uwierzyłabym, gdybym nie zobaczyła tego na własne oczy.

Czułam, jakby płuca ścisnęły mi się z każdym oddechem, podczas gdy Seamusa z każdym oddechem rosły. Położyli mi dziecko na piersi, ale mogłam jedynie obserwować, jak Seamus się w nim zakochuje. Nie we mnie, a w tym małym człowieku, którego nosiłam w sobie przez dziewięć miesięcy i którego właśnie urodziłam. Powinien patrzeć na mnie z uwielbieniem za poświęcenie, za to, czego właśnie dokonałam. Jednak nie mógł. Zawsze już będzie widział tylko to dziecko.

Seamus rusza ręką, wyczuwam, że głaszcze synka po głowie z miłością i troską. Zdaje mi się, że w całej historii ludzkości nikt nigdy nimi nikogo nie obdarzył. Powinno mnie to rozczulać.

Jednak cholernie cierpię.

– Myślę, że powinniśmy nazwać go Kai. Po moim dziadku. Oznacza to *ocean* lub *morze* – mówi cicho, z szacunkiem, ze łzami błyszczącymi w oczach.

Moje płuca są puste, całe powietrze uszło z nich wraz z poczuciem bycia zdradzoną, przez które nie mogę mówić, więc jedynie kiwam głową.

Nazwaliśmy go Kai.

ROZSTĘPY ZOSTAJĄ NA CAŁE ŻYCIE

MIRANDA

Przeszłość

– Jutro wracam do pracy. – Wiem, że to słowa, których nie chce słyszeć. Seamus pragnie, bym wzięła sześciotygodniowy urlop macierzyński, który Marshall Industries zapewnia pracownikom.

– Minęły zaledwie trzy tygodnie, Mirando. Daj sobie więcej czasu.
– Trzyma na rękach śpiącego syna. Zadowolone dziecko, zadowolony tata, obraz idealnej rodzinki.

– Nie potrzebuję czasu. Muszę wrócić do swojej codzienności. Myślę, że tylko to może mi pomóc. – Udaję depresję poporodową, buduję ją subtelnie od dnia narodzin syna, twierdząc, że szybki powrót do pracy pomoże mi się z nią uporać. Od wymarzonego stanowiska dzieli mnie zaledwie rok, więc nie mogę pozwolić sobie na przerwę. Upływający czas daje przewagę moim współpracownikom i prędzej trafi mnie szlag, niż na to pozwolę. Urlop macierzyński nie wpisuje się w moje plany, za to są w nich dwunasto- czy czternastogodzinne dni pracy. To właśnie dzięki nim dostanę awans, podwyżkę i być może tytuł.

Seamus wzdycha w duchu, jednak widzę, że stara się również wspierać mnie w tym kruchym emocjonalnym stanie, który jest moim

wymysłem, lecz on o tym przecież nie wie.

– Jesteś pewna, że właśnie tego ci trzeba? Że to pomoże?

Przytakuję. Cholernie pomoże. Nic nie jest ważniejsze od mojej fasady, to mój priorytet. Seamus skończył studia zaledwie dwa tygodnie przed narodzinami dziecka – pierwszego czerwca. Pracę jako pedagog w szkole średniej rozpoczyna dopiero w drugiej połowie sierpnia. Będzie z synem przez cały czas. Ani razu nie dotknęłam butelki, nie zmieniłam pieluchy, nie wykąpałam dziecka i nie wstałam w nocy. Oczywiście był to mój wybór. Seamus jest tak szczęśliwy, będąc ojcem, że z przyjemnością wykonuje wszystkie te czynności. Dzięki temu mam spokój. Wiedziałam, że tak będzie. Jest święty, pieprzony patron rodzicielstwa.

Zatem wracam do pracy, zostawiając rodzicielstwo Seamusowi. Mogę się skupić na karierze.

Jak widać posiadanie dziecka to bułka z masłem.

Jednak paskudne rozstępy zostają na całe życie.

ZAPOMNIANE I ODRZUCONE, WKURZA MNIE TO

SEAMUS

Teraźniejszość

Obserwuję starszego syna trzymającego moją komórkę tuż przy uchu. Kai zaciska na niej palce z niepokojem oraz nadzieją, że tym razem odbierze.

Stoi na podeście przed naszymi drzwiami, na wycieracze z napisem *M.....Y*. Siedząc na kanapie, widzę go przez okno, a ponieważ jest ono otwarte, słyszę też sygnał nieodebranego połączenia.

Kiedy poczta głosowa prosi o pozostawienie wiadomości, pokonany opuszcza ramiona, a mnie ściska się serce. W końcu mówi drżącym głosem:

– Cześć. Tu Kai. Chciałem tylko pogadać. Znowu. Wygląda na to, że jesteś zapracowana... czy coś. Znowu. Pa.

Choć słyszę w jego głosie smutek, który próbuje zdławić, wątpię, by i ona go usłyszała.

Minęły dwa tygodnie od czasu, gdy rozmawiała z dziećmi. Pojechała z nim w podróż poślubną do Francji. Napisała SMS-a dokładnie czternaście dni temu, by poinformować mnie, że wyjechała i jest w drodze do Europy, gdzie spędzi trzy tygodnie.

Twierdziła, że co kilka dni będzie sprawdzać, co słyhać u dzieci. Błagałem, by nie składała obietnic, których potem nie dotrzyma.

Nie zadzwoniła ani razu.

Za to dzwonił Kai.

Zostawiał wiadomości, na które nie odpowiadała.

Gryzę się w język. Chciałbym do niej zadzwonić i powiedzieć: „Jesteś egoistyczną suką i okropną matką”. Jednak przeważnie piszę: „DZIECI ZA TOBĄ TĘSKNIĄ I CHCIAŁYBY Z TOBĄ POROZMAWIAĆ”. A gdy mam ochotę krzyknąć do słuchawki: „Zrzuńowaś mi całe pieprzone życie!”, biorę głęboki wdech i piszę: „PROSZĘ, ZADZWOŃ WIECZOREM DO DZIECI. POTRZEBUJĄ CIĘ USŁYSZEĆ”.

Moje dzieci zaczynają się czuć zapomniane. Odrzucone.

To mnie wkurza.

Kai wraca do środka i podaje mi telefon.

– Dzięki, tato. Idę na podwórko porzucac.

Do bocznej ściany budynku przykręcona jest obręcz, można grać w kosza. Kiwam głową, ale tak naprawdę mam ochotę krzyczeć. Za nas wszystkich.

Niech ją szlag trafi!

– Dotrzymać ci towarzystwa? – pytam. Wiem, że tego nie chce. Jest dzieciakiem potrzebującym samotności, by zastanowić się nad uczuciami. Po południu o tym porozmawiamy.

Kręci głową, a ja próbuję nie okazywać smutku.

– Nie. Popracuję nad techniką.

SZKOCKA JEST DLA STARUSZKÓW

SEAMUS

Teraźniejszość

Miranda wraca z podróży poślubnej, najwyraźniej gotowa osobiście spełnić rodzicielski obowiązek.

Siedzę w samochodzie, przyglądając się, jak odjeżdża z moimi dziećmi.

Nie myślę już o nich jako o naszych.

Uważam je za swoje.

Karmię je.

Daję im schronienie.

Rozmawiam z nimi.

I, co najważniejsze, kocham je. W każdej minucie, każdego dnia.

A ona odeszła.

Nie troszczyła się, by cokolwiek dla nich zrobić. By przynajmniej okazać im miłość.

Każda próba rozmowy telefonicznej była żalсна.

Staram się nad tym nie rozwodzić, bo musiałbym tę kobietę demonizować.

Bardziej niż do tej pory.

To mnie męczy i odbiera dobroć, która, jak niegdyś sądziłem, otulała moje serce. Jednak pod pozorami przyzwoitości kryje się mrok nienawiści. Zastanawiam się, ile minie czasu, nim ta nienawiść całkowicie mną zawładnie.

Bronię się jeszcze dla dzieci.

Jednak to podstępne uczucie nie walczy fair, gra raczej nieczysto, wbijając nadziei nóż w plecy.

Kręcę głową, by oczyścić myśli, i biorę kilka głębszych oddechów. Miranda przez dwadzieścia cztery godziny będzie przebywała z moimi dziećmi. Jest sobota, ósma rano. Dopiero jutro o ósmej odbiorę je z tego parkingu przy kawiarni, aby mogła zdążyć na lot o dziesiątej.

Nie wiem, co mam ze sobą zrobić. Nie spędziłem nawet jednej doby bez dzieci przez dobre jedenaście lat. Zastanawiam się przez chwilę, czy nie zostać tu w samochodzie do czasu, aż jutro nie wrócą.

Jednak odpalam silnik i jadę z powrotem do mieszkania.

Gdy wspinam się po schodach, daje o sobie znać panika. Przypomina odczucie, które dopada człowieka, gdy ten uświadamia sobie, że zgubił coś ważnego. To paralizujący chwilowy lęk wynikający z poczucia straty, braku, który czyni niepełnym. Uczucie to wzrasta i staje się dla mnie przerażająco oczywiste, jak bardzo moja tożsamość zależna jest od dzieci. Jestem ich ojcem. Jestem opiekunem. Wszystko inne, co mnie definiowało, odeszło. Jestem tatą. Nie potrafię robić nic więcej. Nie wiem, jak mógłbym być kimś innym. Boli mnie w piersi. Ten ból jest niepokojący. Pali. Mam atak serca?

– Seamus, dobrze się czujesz?

Unoszę głowę i muszę zrobić zezą, bo patrzą na mnie jasne jak słońce, choć zmartwione szafirowe oczy. To Faith. Przytakuje. Nie wiem, czy naprawdę tak jest, ale kiwając głową, instynktownie próbuję ją uspokoić. Na jej twarzy widać troskę i obawę. Wtedy właśnie zaczynam czuć, że pod palcami mam szorstki beton. Nie wiem, czy to moje wzburzenie spowodowało, że upadłem, czy też sprawiły to moje beużyteczne nogi, jednakże znalazłem się na ziemi.

– Tak, dobrze – zapewniam ją.

Kładzie rękę na moich plecach i szepcze, jakby chciała złagodzić informację, którą mi przekazuje:

– Upadłeś. Krwawisz. Pozwól, że pomogę ci dotrzeć do mieszkania.

– Nie potrzebuję pomocy! – mówię głośno, broniąc się nieufnie. Po chwili dodaję znacznie ciszej: – Nie potrzebuję żadnej pomocy. – To wyznanie zaczyna mnie denerwować... urywam więc, zażenowany. Gdy spoglądam w jej przestraszone oczy, spodziewam się znaleźć w nich niesmak i ból, lecz widzę jedynie empatię i akceptację.

Klepie mnie po plecach, po czym chwyta za rękę i skłania, bym, opierając się na niej, spróbował wstać.

– Wszyscy potrzebujemy pomocy. Trudno być człowiekiem, gdy jest się samemu – szepcze, gdy moje ucho znajduje się na wysokości jej ust.

Będąc już w mieszkaniu, czuję, że chciałbym ją przeprosić, ale zamiast tego idę do łazienki, by umyć krwawiące kolano. Czuję się jak dupek.

Gdy wracam, zauważam, że stoi w tym samym miejscu, blisko drzwi. Myślałem, że dawno poszła. Wciąż tu jest, więc spodziewam się motywującej rozmowy, zachęty do zwierzeń, ale ona zaskakuje mnie, mówiąc:

– Napijmy się czegoś z procentami.

Zerkam na zegarek znajdujący się na wyświetlaczu DVD – jest za piętnaście dziewiąta rano.

– Trochę wcześniej na procenty, nie uważasz?

Wzrusza ramionami.

– Nie. Pracuję nocami. Za kilka godzin pójdę spać, myśląc, że jest noc. – Nie wiem, jak zarabia na życie, ale nie wygląda, jakby właśnie wróciła z pracy. Dredy ściągnęła do tyłu w gruby, wiszący nisko kucyk. Ma na sobie spodnie od dresu i koszulkę, nie wspominając o tym, że gdy pomagała mi na schodach, pachniała mydłem, czysto i świeżo, jakby właśnie brała prysznic.

Bardzo tęsknię za dziećmi i z pasją nienawidzę byłej żony, nie potrafię się wznieść ponad te uczucia, więc mimo że umysł karci mnie i rozkazuje natychmiast odrzucić zaproszenie, mówię:

– Pieprzyć to wszystko, napijmy się.

Uśmiech, który rodzi się na jej twarzy, jest najbardziej nikczemnym uśmieszkiem aprobaty, jaki w życiu widziałem. Mam towarzyszkę.

– Do diabła, Seamus! Wiedziałaś, że drzemie w tobie odrobina buntownika.

Biegnie do swojego mieszkania i dwie minuty później wraca z butelką taniej wódki i jeszcze tańszej szkockiej.

Siadamy obok siebie na kanapie, podaję jej plastikowy kubek z Pokemonem. Przygląda mu się uważnie.

– Zawsze lubiłam Pikachu.

– W takim razie masz szczęście. Przepraszam, ale nie mam bogatej zastawy stołowej dla dorosłych.

– Bez obaw. Wszystko się nada. – Wskazuje na butelki stojące na ławie. – Wybierz truciznę.

– Wódka. Szkocka jest dla staruszków.

Parska śmiechem, co rozluźnia moje napięcie oraz złość.

– Tak się składa, że lubię szkocką.

– Jak to możliwe? Nie jesteś sześćdziesięcioletnim mężczyzną.

– Racja, ale nie trzeba mieć wielu lat, by cieszyć się szklaneczką szkockiej – mówi z powagą, co jest jeszcze bardziej zabawne.

– Chyba chciałaś powiedzieć dziecięcym kubkiem szkockiej?

Puszczą do mnie oko.

– To właśnie miałam na myśli.

Nalewam jej szkockiej, a sobie wódki. Wznosimy toast:

– Na zdrowie.

Jej jest szczyry, mój raczej płytki.

Wychylamy naczynia do dna, po czym powtarzamy czynność jeszcze dwa razy.

I jeszcze raz.

Siedzimy na kanapie, a alkohol rozrzedza nam krew i myśli.

– Czym się zajmujesz? – pytam. Mówię wolno, właściwie zaczynam lekko bełkotać. Nieczęsto piję, a kiedy już tak się dzieje, zazwyczaj jest to jedno piwo. Jestem więc na skraju upojenia. Wszystko

wciąż do mnie dociera, ale jest zamglone.

Faith uśmiecha się, przymyka oczy senne od szkockiej.

– Hmm? – pyta.

– Czym się zajmujesz? Mówiłaś, że pracujesz nocami.

– Pracuję w barze ze striptizem. – Kiedy to mówi, unosi brwi, ale nie jest to uwodzicielski gest, raczej podkreślenie wyjaśnienia. Dzieli się informacją i czeka, bym ją osądził.

W normalnej sytuacji tak właśnie bym zrobił. Oceniałbym ją. Cholernie szybko. Jednak teraz pytam:

– Jesteś striptizerką? – Upojenie sprawia, że jestem zaintrygowany.

Przytakuje.

– Dlaczego?

Wzrusza ramionami.

– A dlaczego nie?

– No tak. Ale jesteś piękną, bystrą, młodą kobietą. Mogłabyś robić wszystko. Wszędzie. Dlaczego więc wybrałaś akurat to?

Odstawia kubek na ławę, rozsiada się ponownie na kanapie i odpowiada:

– To część moich poszukiwań.

Czuję, że mrużę oczy, dokonując w duchu oceny.

– Jakiego rodzaju poszukiwania wymagają zdejmowania ubrań?

– Życie – odpowiada wprost.

Kiedy to mówi, z jakiegoś powodu jej słowa mają sens. Musi na mnie działać wódka, ponieważ trzeźwy nawet nie śmiałybym się z tym zgodzić. Jestem pedagogiem w szkole średniej, powinienem więc starać się powstrzymać kobietę przed tańcem na rurze.

Bawi się dreadami, przesuwał je po nich dłońmi. Nie wiem, czy to nerwowy nawyk, ale nie wydaje się nie być tego świadoma.

– Nie potrafię czegoś zrozumieć, póki tego nie doświadczę, i z natury szybko osądzam. Jednak to bardzo pouczające móc zobaczyć świat z innej perspektywy. Otwiera nam to drzwi do samopoznania. Punkt widzenia może wszystko zmienić. Jeśli mam wybór, wolę empatię niż współczucie. Właśnie stąd wypływa moje poszukiwanie. Spędziłam wiele lat, próbując zrozumieć ludzi i różne sytuacje. Starając się pojąć sens życia. Czeka mnie jeszcze wiele pracy. Moja przeszłość wymaga

poznania samej siebie i wybaczenia. A to z kolei wymaga czasu. Poszukiwania... Kiedy czuję, że czegoś się o sobie nauczyłam i rozwinęłam wewnątrz, ruszam w następną podróż, mając nadzieję na odkrycie nowej perspektywy.

Nie mam pojęcia, czy te słowa są godne podziwu, czy szalone, ale wódka nieco rozluźnia mój umysł, więc odzywam się:

– Potrzeba odwagi, by badać samego siebie tak dogłębnie. Najczęściej ludzie za wszelką cenę unikają zerkania przez to okno. Zaciągają nawet zasłony i ukrywają się za nimi.

Powoli i z powagą kręci głową. Czekam, aż zaprotestuje, lecz ona tylko na mnie patrzy. W jej oczach przez moment pojawiają się łzy, co paraliżuje mnie tak, że sam też mogę tylko patrzeć. Mam przeczucie, że jej poszukiwania mają na celu poskromienie demonów. To bardziej skomplikowane, niż gotowa jest wyjaśnić. Nie naciskam, pozwalam ludziom podzielić się tym, co chcą wyjawić, gdy są na to gotowi. Ona nie jest gotowa. To nie jest jeszcze właściwy czas.

Po dłuższej chwili Faith patrzy na butelki, bez słów pytając, czy jeszcze się z nią napiję.

Przytakuje, więc nalewa alkohol.

Stukamy się kubkami, ale pomijamy toast.

Pijemy.

Kiedy opieram się ponownie o kanapę, Faith wstaje, podpira się przez chwilę, by ustabilizować pozycję, po czym wychodzi z pomieszczenia, kierując się do łazienki.

Po powrocie siada obok mnie – blisko, nie pozostawiając między nami wolnego miejsca. Stykają się nasze uda i łydki. Po chwili dziewczyna kładzie głowę na moim ramieniu i pyta:

– Jesteś żonaty, Seamus?

– Nie, dlaczego pytasz?

Bierze moją lewą rękę i podsuwa mi ją przed twarz.

– Och – mówię na widok obrączki. – Jest zdzirą. I wyszła za kogoś innego.

Opuszcza moją dłoń, splatając nasze palce, gdy kładę rękę na kolanie.

– To by wyjaśniało, dlaczego nigdy jej tu nie widziałam.

Myślałam, że jesteś wdowcem, ponieważ zawsze wydajesz się taki smutny.

Kręcę głową, mimo że tego nie widzi, ponieważ jej twarz wciąż przytulona jest do mojego ramienia.

– Myślę, że mylisz gorycz ze smutkiem. Jestem okropnie zgorzkniała, do szpiku kości.

Unosi głowę i mi się przygląda. Ponownie. Jednak nie jest to powierzchowne spojrzenie, Faith niczego nie robi pobieżnie. Patrzy w głąb. Poraża mnie wzrokiem. Czuję się całkowicie obnażony. Spuszczam głowę, ale gdy to robię, wkrada się panika, zupełnie jak to miało miejsce na schodach, gdy poczułem, jakbym coś stracił. Dlatego znowu na nią spoglądam. Wszystko mija.

– Jak długo jesteś bez niej?

– Bez Mirandy? – Poprawiam się szybko, uświadamiając sobie, że Faith nie zna jej imienia: – Bez byłej żony?

Kiwa głową.

– Fizycznie? Siedem miesięcy. Emocjonalnie? Kilka lat. Może nawet od zawsze... Do diabła, nie wiem.

Podciąga nogi, siada na piętach obok mnie, wciąż trzymając mnie za rękę. Jestem zmuszony usiąść do niej bokiem, by móc na nią patrzeć. Nie potrafię wyjaśnić przyciągania, które nakazuje mi skupiać na niej uwagę. Jest jedną z tych osób, których nie możesz ignorować, nawet jeśli bardzo chcesz.

– Wciąż ją kochasz? – pyta poważnie.

– Jest jędzą – odpowiadam szczerze. Równie mocno myślę tak o niej i równie mocno... nie myślę.

– Jędze też potrzebują miłości.

Nie wiem, kiedy lekko podpici przekroczyliśmy stan upojenia, ale teraz jestem kompletnie pijany. Śmieję się, ale to oschły śmiech, ponieważ coś się zmienia, czuję to.

– Nie kocham jej.

– Kłamiesz. Może jej nie lubisz, ale wciąż ją kochasz. – Kołysze się na piętach.

Prycham, a wtedy objawia się prawda, która boli, kłuje, ponieważ nie chcę się do niej przyznać.

– Tak. – Kręcę głową. – Jak to w ogóle możliwe?

– Czas, zobowiązania, dzieci, jestem pewna, że jest wiele powodów.

Puszczam jej rękę, wstaję i podchodzę do okna, by wyrzeć na ulicę. Muszę się przytrzymać parapetu, by nie upaść.

– Mam więcej powodów, by jej nienawidzić.

– Opowiedz o sobie, Seamus. Opowiedz o Seamusie i Mirandzie oraz ich trójce uroczych dzieci. Chcę o nich usłyszeć.

Obracam głowę i spoglądam przez ramię. Wciąż siedzi zwrócona do mnie bokiem, opierając pośladki na piętach. Wygląda na cierpliwą i otwartą. Zaczynam więc:

– Poznałem Mirandę na studiach. Była na czwartym roku, ja na trzecim. Przez wiele miesięcy biegałem za nią, nim się poddała i zgodziła ze mną umówić. Była ładna i bystra. Inteligentna. Zrobiła dyplom z finansów i natychmiast po ukończeniu studiów dostała kilka propozycji pracy. – Zatracony we wspomnieniach gapię się przez okno. – Spotkałaś kiedyś kogoś, kto dostaje wszystko, czego chce?

– Tak. – To pierwszy raz, gdy słyszę w głosie Faith niechęć.

– Miranda jest jedną z tych osób. Początkowo myślałem, że wynika to z ciężkiej pracy i szczęścia. Ogromnego szczęścia. Jednak im dłużej ją znałem, tym bardziej dostrzegałem manipulację. Wspaniale odgrywa swoją rolę. Od zawsze tak było. Mówi ludziom dokładnie to, co chcą usłyszeć. I zdaje się wiedzieć, co to jest jeszcze przed nimi.

– To potężny dar umieć wpływać na innych.

Śmieję się, ale ona nie żartuje.

– Tak, ma wielką moc. Potrafi niesłychanie zrujnować.

– Była dobrą matką? Jest nią?

Ta część opowieści zawsze wywołuje we mnie wyrzuty sumienia i żal, ponieważ nie da się już tego naprawić.

– Nie, nie bardzo. Cały czas pracowała. Praca była jej wymówką. Wspiniała się po drabinie korporacyjnej kariery. Przed trzydziestką chciała zostać wiceprezesem, co oznaczało, że właściwie cały czas byłem przy dzieciach sam. Sam je wychowywałem. Ona przypominała ciotkę, która przyjeżdża w weekend na kilka godzin. Wychodziła do pracy przed świtem, więc to ja codziennie budziłem dzieci. Karmiłem je.

Odprowadzałem do przedszkola i szedłem do pracy. Potem odbierałem je ze szkoły. Karmiłem. Kąpałem. Bawiłem się z nimi i im czytałem. Kładłem do łóżek przed jej powrotem...

Faith mi przerywa:

– Wygląda na to, że ci się poszczęściło. Powinno to być dla ciebie błogosławieństwem, nie ciężarem.

Myślę o jej słowach i natychmiast się zgadzam:

– Dzieci są dla mnie błogosławieństwem. Nie mam co do tego wątpliwości. Chciałbym jednak, by wiedziały, jak to jest mieć prawdziwą matkę.

– Mają matkę. Po prostu nie jest idealna. Jak większość rodziców.

Jej słowa mnie wkurzają, brzmią, jakby jej broniła.

– Ale powinna być! – krzyczę. – To jej ciało i krew! A ona traktuje je jak zło konieczne! – Wszystko, co czułem od lat, a co udawało mi się ukryć, wypływa teraz ze mnie.

Nie jest zdziwiona moim wybuchem.

– Ciebie też tak traktuje? Jak zło konieczne?

Nie odpowiadam, ponieważ nie potrafię odnieść się do tego bez emocji, a nie chcę ponownie krzyczeć.

– Traktuję to jako potwierdzenie. Zakładam, że to ona od ciebie odeszła. To ona wniosła pozew o rozwód?

Przytakuję.

– Dlaczego?

Szeptzę, ponieważ zostaję pokonany przez alkohol, gniew i ból.

– Bo jestem ułomny.

Jej dłoń na moim ramieniu sprawia, że się wzdrygam. Nie słyszałem, kiedy wstała z kanapy.

– Wcale nie.

Kręcę głową, ponieważ Faith nie rozumie.

– Tak, jestem. Mam stwardnienie rozsiane.

Wzrusza ramionami.

– To nie czyni cię mniej wartościowym. Obowiązują cię jedynie inne reguły gry. Twoja rozgrywka, życie, nieco się różni. Nie chcę, by zabrzmiało to bezdusznie. Zdaję sobie sprawę, że choroba może powodować pewne przeszkody, niektóre, jak podejrzewam,

nieprzyjemne, ale można się przyzwyczaić. Nikt z nas nie jest doskonały. Pamiętaj o tym. – Potrząsa mną, trzymając za ramiona i się uśmiecha. – Żyjesz, Seamus. Żyjesz! – wykrzykuje z entuzjazmem.

Przyglądam się jej, gdy stoi przede mną taka radosna i pewna siebie. To zaraźliwe. Alkohol i Faith to lek na gorycz. Osłabiają ją. Wiem, że to chwilowe, ale niech trwa.

– Masz ochotę na piknik? Mój lunch, a twoja kolacja? – Nie uczestniczyłem w żadnym pikniku za wyjątkiem tych z czasów, kiedy byłem mały.

Jej uśmiech jeszcze bardziej się powiększa. Można z niego wyczytać dumę, jakby Faith znalazła się w centrum tego, co pomagała stworzyć.

– Super. Może zrobisz kanapki, a ja wezmę dla nas wodę i co tam jeszcze znajdę?

– Spotkajmy się na dole za dziesięć minut.

Siedzimy na kocu pod drzewem obok naszego budynku. Przyniosłem kanapki z masłem orzechowym, Faith zielone oliwki i krakersy w kształcie zwierzątek. Zaczynamy nieco pijani, ale kończymy, trzeźwiejąc.

Najcudowniejsze, że gdy jest po pikniku, Faith idzie do siebie spać, a ja wracam do swojego mieszkania, czując się mniej zgorzkniały i czekając na jutrzejszy dzień.

Czuję, że mam przyjaciela.

Przyjaciółkę, która jest striptizerką.

Miłą, mądrą striptizerką.

Miłą, mądrą striptizerką, która wytknęła mi, że nadal noszę obrączkę.

Zdejmuję ją więc.

Już czas.

ZWYCIĘSTWO, PIEPRZONE ZWYCIĘSTWO

MIRANDA

Przeszłość

Z czasem przyzwyczaiłam się, że uwaga Seamusa skupiona była na dziecku, ponieważ zaczęłam odnosić znaczące sukcesy w pracy. Przed pierwszymi urodzinami syna udało mi się dostać do kadry zarządzającej. Wszystko szło jak po maśle. Wraz z awansem dostałam podwyżkę. Mój roczny dochód powiększył się czterokrotnie. Korporacyjny świat należał do mnie. Jeździłam nowym mercedesem wziętym w leasing. Przeprowadziliśmy się do naszego pierwszego domu, który został zapisany tylko na mnie. Posiadłość była wielka. To było coś.

Wygrywałam.

Jednak wkrótce przestałam wygrywać.

Wszechświat znów pokazał mi środkowy palec.

Nie wiem, co się zmieniło, ale stawałam się coraz bardziej niecierpliwa i zdenerwowana. Nagle sprawy przestały dziać się wystarczająco szybko. Potrzebowałam tempa, postępu, a świat wokół mnie nie nadążał.

Wtedy właśnie ponownie zwróciłam się w kierunku Seamusa. Znowu musiałam go zdobyć, fizycznie i emocjonalnie. Najprościej było to zrobić przez seks, który rozbudzał uwielbienie, którym Seamus mnie darzył. W trakcie seksu skupiał się tylko na mnie, dla niego zawsze był to akt miłosny. Po raz pierwszy tego chciałam. Chciałam tego i całej nadziei, która się z tym wiązała. Chciałam, by ponownie podziwiał moje ciało swoimi ciemnymi, pożądliwymi oczami. Chciałam poczuć tęsknotę w jego napiętych mięśniach i we wzrastającym podnieceniu. Chciałam odczuć, jak jego masywne ciało odnajduje rytm, który zapewni mi drżenie i dwudziestosekundowy odlot. Chciałam usłyszeć, jak jęczy moje imię, szczytując. Tylko ja mogłam mu to zapewnić.

Więc się pieprzyliśmy.

Często.

I obróciło się to przeciwko mnie.

Polubiłam to.

Pokochołam.

Pragnęłam tego.

Przebudziłam się seksualnie.

Zacząłam snuć dywagacje: czy byłam zdolna dać mu tylko tyle i tylko tyle od niego otrzymać? Zawsze byłam wobec niego powściągliwa, ponad jego przyjemność przedkładałam własną, nasze relacje seksualne wynikały więc z moich ograniczeń. Teraz jednak mój umysł pracował na najwyższych obrotach, cały czas pobudzany mrocznymi fantazjami, o spełnienie których nie śmiałabym prosić Seamusa. Sięgnęłam zatem po pozamałżeński suplement, młodego mężczyznę, pracownika jednego z naszych działów, którego byłam przełożoną. Był powalająco przystojny, dobrze zbudowany i pewny siebie w tych kwestiach, dzięki którym udało mi się go skusić. Początkowo karmiłam jego ego, a on nieświadomie łapał się na okazywane z mojej strony zainteresowanie. W końcu stał się ofiarą własnej naiwności, czego rezultatem było nieokielznane, zwierzęce, szalone pieprzenie kiedykolwiek i gdziekolwiek tylko chciałam.

Niewierność stała się moim narkotykiem.

A Seamus nadal mnie czcił.

Zwycięstwo, pieprzone zwycięstwo.

Może życie seksualne było idealne.

Dopóki nie zakończyło się drugą ciążą.

Nie byłam ostrożna, biorąc tabletki antykoncepcyjne. Seamus nie używał prezerwatyw. Dzięki Bogu mój chłopak do seks-zabawy zawsze to robił, inaczej utonąłabym w gównie po uszy. Natychmiast zwolniłam biedaka na podstawie spreparowanej konieczności redukcji personelu. Nie był mi już potrzebny.

Seamus był szczęśliwy, kiedy powiedziałam mu o ciąży. Znowu było tak, jak przy narodzinach pierwszego dziecka. Ponownie odczułam porażkę. Znowu miałam zostać zastąpiona. Jestem pewna, że po narodzinach tego małego człowieka w sercu Seamusa nie będzie już dla mnie miejsca.

Z każdym mijającym dniem fasada, którą dla siebie stwarzam i którą mogę kontrolować niczym lalkarz, coraz bardziej staje się mirażem, który czasem pojawia się, a czasem znika. Ostatnio mnie to nie przeraża.

ZDRAJCA

MIRANDA

Przeszłość

Będąc w drugiej ciąży, rzuciłam się w wir pracy. Pracowałam jeszcze dłużej i byłam zdeterminowana. Pragnęłam przeskoczyć kolejne szczeble korporacyjnej drabiny, zanim będę musiała wziąć wolne.

Dziecko przyszło na świat dokładnie o miesiąc wcześniej. Poród był prawdziwym piekłem. Oślepiający ból pojawił się praktycznie natychmiast, a odmówiono mi znieczulenia zewnątrzoponowego, na które należałam. Lekarze powiedzieli, że akcja przebiega zbyt szybko i na tamten moment nie było to już bezpieczne. Myślałam, że pielęgniarki czerpały chora satysfakcję z mojej agonii. Suki. Głośno i dobitnie przeklełam każdą osobę znajdującą się na porodówce, wliczając w to Seamusa. Nikt nie zdołał ujść mojej wściekłości.

Sam poród był wstrząsającą powtórką pierwszego.

– Chłopiec – oznajmił lekarz tym samym gratulacyjnym tonem. Znów położono na mnie miniaturowego, lepszego człowieka. Przyglądałam się, jak oczy Seamusa zaszyły mgłą, a na całej jego twarzy odmalowały się miłość i duma. Miejsce w mojej klatce piersiowej, gdzie znajdują się organy służące do oddychania i pompowania krwi,

opustoszało, podczas gdy Seamus starał się nadażyć z pobieraniem powietrza przez swoje pobudzone płuca i pędzące z radości serce.

Ponownie zostałam pokonana. Przez własne potomstwo. Pieprzony, mały zdrajca. Leżałam, wpatrując się w Seamusa, błagając go w duchu: *Proszę, spójrz na mnie. Proszę, powiedz, że mnie kochasz*. Tak bardzo tego pragnęłam. Ale nic to nie dało. Widział jedynie tego zdrajcę ułożonego na mojej piersi.

– Podoba ci się imię Rory? – Uśmiechał się tak słodko, że mogłabym przysiąc, iż we dwoje przeprowadzili telepatyczną rozmowę i związali się na całe życie.

Nie odpowiedziałam. Nie myślałam o imionach. Przed porodem żyłam w wewnętrznej sprzeczności, a teraz czułam się po prostu pusta.

– Przepraszam, że przerywam, ale muszę go zabrać na badania. Jest wcześniakiem, wymaga nieco więcej uwagi.

Weźcie go. Proszę. A kiedy go nie będzie, i mnie przydałaby się jakaś pieprzona uwaga, chciałam powiedzieć, ale tego nie zrobiłam. Wciąż wpatrywałam się w piękną twarz Seamusa, która skrzywiła się, gdy ten zrozumiał, że jego mały synek może mieć kłopoty z powodu przedwczesnego przyjścia na świat.

Powinnam się martwić z tego samego powodu, ale tak nie było. Zamartwiałam się o siebie.

Rory spędził w klinice dziecięcej aż miesiąc, zanim wypisano go do domu. Wróciłam do pracy już po trzecim tygodniu urlopu. Na szczęście Seamus miał wakacje i w pełni poświęcił się rodzicielstwu, troszcząc się o obydwu synów.

Tym razem depresja poporodowa była prawdziwa. Za wszelką cenę unikałam emocji, ponieważ mnie dusiły. Brałam leki. Pomagały na nastrój, ale miłość do synów nigdy nie rozkwitła.

Widziałam, jak Seamus na mnie patrzy, pytając często w naszych sporadycznych rozmowach: „Czego ci trzeba?”, „Co mogę dla ciebie zrobić?”. Wiedziałam, że naprawdę chce pomóc, ale zdawałam sobie też sprawę, że przez wsparcie rozumiał pomaganie nie tylko mnie, lecz także synom. Rodzinie. Seamus był na wskroś rodzinnym człowiekiem.

Zacząło mnie irytować, że jestem w milczeniu oceniana, nawet jeśli ze strony Seamusa wynikało to z dobrych intencji. Czułam się słaba i bezbronna. Wszyscy graliśmy role w mojej cholernej fasadzie, którą depresja poporodowa mogła po prostu zniszczyć.

Kai ma trzy lata, Rory rok, a ja jestem w stanie zaakceptować, że urodziłam te dzieci. To wystarczy. Ojciec kocha je za nas oboje. Ja znów wykręcam się od obowiązków, wykorzystując Seamusa. On zawsze wybawia mnie od zła, nieświadomie pokutując za moje grzechy. Dzięki Bogu, że mnie nie zostawił. Jest zbyt zaślepiiony miłością do chłopców, by dostrzec, kim naprawdę jestem.

Fasada trwa niezmacona.

POTRZEBNY NAM BOHATER

SEAMUS

Teraźniejszość

– Seamus! – To stłumiony krzyk kogoś w potrzebie. Kogoś, komu potrzebna jest pomoc.

Mrugam zaspany, odrzucam kołdrę i niezdarnie wyskakuję z łóżka. Stoję na korytarzu przed pokojem dzieci, starając się przypomnieć sobie, czyj to był krzyk.

Ledwo rozbudzony, ponownie słyszę kobiecy głos.

– Seamus! – Rozlega się również pukanie do drzwi.

Serce bije mi jak młotem, ale odczuwam też pewną ulgę, uświadamiając sobie, że to nie któreś z dzieci. One są bezpieczne i zdrowe. Sunę w stronę drzwi, ponieważ mam zdrętwiałe nogi, niezbyt skore do współpracy.

Kiedy otwieram, na mojej wycieraczce z napisem *M.....Y* widzę stojącą w piżamie Faith. Dyszy, choć nie wiem, czy to dlatego, że wbiegła po schodach, czy może ze strachu.

– Dzięki Bogu. Seamus, potrzebuję twojej pomocy. W mieszkaniu Hope pękła rura, a państwa Lipokowskich nie ma w domu. Woda jest już wszędzie, a my nie potrafimy znaleźć głównego zaworu, by go zakręcić.

Spoglądam na własne bokserki ze świadomością, że czas na ubranie minął, gdy Faith stanęła przede mną z prośbą o pomoc. Podejrzewam, że nie przejęłaby się, gdybym w tej chwili zszedł na dół całkowicie nagi, pod warunkiem, że zakręciłbym ten zawór. Ale nie poznałem jeszcze Hope. I nie powinienem jej się przedstawiać ubrany jedynie w bieliznę, nawet w kryzysowej sytuacji.

Zakładam więc spodenki i instruuje:

– Zostań proszę z dziećmi.

Krótko kiwa głową.

Jest po północy, gdy schodzę po schodach, starając się utrzymać równowagę. Przed drzwiami jednego z mieszkań stoi krzesło, mały stolik i komoda. Kiedy pukam, nieodmknięte skrzydło uchyla się nieznacznie.

– Halo?! – wołam, nie chcąc bez uprzedzenia wchodzić komuś do domu.

Wysoka, niebywale szczupła kobieta wychodzi, jak zakładam, z łazienki. Na pierwszy rzut oka wydaje się zrozpaczona. Jak osoba, która tak długo dostawała od życia w kość, że nieszczęście stało się jej nieodzownym towarzyszem.

– Pękła rura. Nie wiem, jak zatrzymać wodę.

Wchodzę do jej mieszkania, nie przedstawiając się.

– Gdzie szafa rozdzielcza?

Wskazuje na drzwiczki obok kuchni.

Podchodzę we wskazane miejsce, z każdym krokiem jest coraz bardziej mokro. Dywan jest przemoczony. Główny zawór w jej mieszkaniu znajduje się obok pieca i bojlera, podobnie jak u nas. Dzięki Bogu, projektant był konsekwentny.

Kiedy woda przestaje płynąć, kobieta wzdycha, wyrzucając z siebie stres.

– Bogu niech będą dzięki – szepcze ze spuszczoną głową.

Podaję jej rękę.

– Jestem Seamus. Mieszkam u góry z trójką dzieci. Jestem pewien, że nas pani słyszała. – Czuję się w obowiązku przeprosić za hałasy. – Próbujemy być cicho, ale przepraszam, jeśli słyszy pani telewizor czy tupot dzieciaków, kiedy się ganiają.

Samymi palcami, niechętnie ściska moją dłoń. Jej uścisk jest słaby.

– Mów mi Hope. – Tylko tyle jest w stanie wydusić, patrząc na swoje mokre stopy.

– Widzę, że wystawiłaś meble przed drzwi. Wezmę wentylator i jakieś ręczniki, pomogę posprzątać.

Póki Faith zostanie u mnie z dziećmi, będę mógł pomóc Hope.

– Wiatrak mam w szafie – mówi. Uświadamiam sobie, że podsuwa rozwiązanie, ale wyraża to w dziwny sposób, jakby mówiła o przypadkowej rzeczy, niezwiązanej z rozmową.

– Dobrze – mówię, dodając szybko: – Ustaw go na płytkach w kuchni, tam, gdzie jest sucho, i włącz. Zaraz wrócę. – Boję się, że ustawi go na mokrym dywanie, podłączy i porazi ją prąd.

Przytakuje.

Brnę przez mokry dywan w kierunku drzwi. Wychodzę i kilkakrotnie poruszam ramionami, zamykając uprzednio oczy i wdychając wilgotne nocne powietrze. Znika napięcie wywołane całym tym nagłym zamieszaniem. Wtedy uświadamiam sobie, że chciałbym, by każdy stres tak łatwo ze mnie uchodził. Schody drwią ze mnie, gdy wspinam się po nich powoli, ponieważ wraca moje zmęczenie.

Drzwi do mieszkania są otwarte, Faith siedzi na środku salonu po turecku, z dłońmi złożonymi na kolanach. Ma zamknięte oczy, widzę, jak jej pierś unosi się w głębokich, powolnych oddechach. Jej usta poruszają się odrobinę, jakby mówiła do siebie, ale nie wydaje żadnego dźwięku.

To niezręczna sytuacja, nie wiem, czy powinienem jej przeszkodzić, czy też sama zorientuje się, że wróciłem. Chrząkam, by przerwać ten impas.

Porusza ustami jeszcze przez kilka sekund, po czym unosi powieki i wstaje.

– I co? Woda zakręcona?

Przytakuję, ale w duchu wciąż widzę, jak siedzi na podłodze.

– Co robisz? Medytujesz? Modlisz się?

– Chyba i to, i to, chociaż nie lubię szufladkowania – mówi, odchodząc. – Podoba mi się wielozadaniowość. – Puszczą do mnie oko.

Uśmiecham się w duchu, choć nie wiem, czy, mimo starań, widać

to również na mojej twarzy.

– Muszę wziąć wentylator i ręczniki, a potem zejść i pomóc Hope posprzątać.

– Może dasz mi to wszystko i ja pójde jej pomóc? Nie mam nic przeciwko temu. Poczuję się potrzebna – mówi Faith.

– Ale już powiedziałem Hope, że jej pomogę – spieram się, ponieważ nie znoszę zawodzić ludzi, zwłaszcza gdy wcześniej dałem słowo.

Faith uśmiecha się i już wiem, że nie pozwoli mi wygrać.

– Rano musisz odstawić dzieci do szkoły i iść do pracy, ja nie. Odpocznij, Seamus.

– Na pewno? – Źle się czuję, wycofując się, ale dziewczyna ma rację. Za kilka godzin muszę wstawać.

Kiwa głową.

Upieram się, by zanieść przedmioty samodzielnie, następnie wyjaśniam Hope sytuację, mówiąc, że Faith jej pomoże. Dodaję również, by przyszła do mnie, gdyby czegoś potrzebowała.

Hope kiwa głową ze zrozumieniem, ale nic nie mówi.

Mijamy się z Faith w drzwiach.

– Dziękuję, że pomogłeś Hope, i przepraszam, że cię obudziłam. Potrzebny był nam bohater.

Miło jest być potrzebnym.

– Proszę bardzo. Dobranoc, Faith.

Zamyka za sobą drzwi, ale gdy są jeszcze uchylone szepcze:

– Pchły na noc, Seamus.

MASZ ŁADNE KOLANA, SZKODA JE RANIĆ

SEAMUS

Teraźniejszość

Jest sobota, siódma rano. Oznacza to kilka rzeczy.

Po pierwsze – Kira nie śpi i od godziny siedzi na kanapie, oglądając kreskówki.

Po drugie – zaspany siedzę obok niej, oglądając kreskówki... przez zamknięte powieki.

Od jedenastu lat nie spałem dłużej niż do szóstej rano.

Nie narzekam. Dzieci tylko raz są małe. Chłopcy w tej chwili śpią, jestem pewien, że małej również niedługo się odmieni.

– Tato? Pójdziemy dzisiaj na plażę?

Odpowiadam z zamkniętymi wciąż oczami:

– Pada? – Pogodynka na lokalnym kanale mówiła wieczorem, że zanoszą się dzisiaj na deszcz.

Córka podchodzi do drzwi wejściowych i je otwiera. Najwyraźniej, by dokładnie oszacować pogodę, nie wystarczy zerknąć przez okno, trzeba zagłębić się w temat.

– Co to? – pyta zaciekawiona, spoglądając pod nogi. W jej przypadku ciekawość nie zawsze jest dobra, bo mała niczego się nie boi.

Jest śmiała, a to wymaga ufności. Jej ufność jest bezgraniczna. Kira myśli, że świat jest dobry i nigdy nic złego się nie wydarzy. A jeśli nawet tak się dzieje – na przykład użądli ją pszczoła, bo mając trzy lata dziewczynka sądzi, że stworzenie jest miękkie i miłe, trzymając je w małych paluszkach, lub gdy jej mama zostawia rodzinę i przeprowadza się do innego stanu – nie wpływa to na zaufanie córki. Wciąż wierzy.

Podchodzę do drzwi, by sprawdzić, o czym mówi Kira.

Na wycieraczkę z napisem *M.....Y* leży laska. Drewniana i zgrabna, choć wygląda na używaną, jakby już kiedyś dobrze służyła swojemu właścicielowi. Lakier na rączce jest odrapany i poplamiony, dolna część laski ujawnia kilka bitewnych blizn. Pod nią znajduje się koperta z moim imieniem.

Kiedy ją zauważam, kiełkuje we mnie kilka emocji.

Po pierwsze – wstyd, ponieważ ktoś uważa, że tego potrzebuję. Kurczy mi się żołądek.

Po drugie – gniew, ponieważ ktoś uważa, że tego potrzebuję. W żołądku zaczyna mi wrzeć.

Po trzecie – ulga, ponieważ ktoś uważa, że tego potrzebuję. Doświadczam nieznanego, zdradzieckiego uczucia miażdżącego istniejącą gorycz. Żołądek wreszcie się rozluźnia.

Trwa to jednak tylko nanosekundę, ponieważ jestem upartym trzydziestoczteroletnim facetem, który nie chce używać laski.

Laska świadczy o bezradności, słabości i niedowładzie.

To nie dla mnie.

Mogę od pasa w dół nie czuć nic prócz sporadycznego kłującego bólu, ale nie będę korzystał z pomocy jak starzec. Niedołężny starzec.

– Kira, kochanie, możesz wyświadczyć mi przysługę i zanieść to do mojej sypialni? – Na znak buntu i protestu mam ochotę oblać przedmiot benzyną i spalić całą wycieraczkę z napisem *M.....Y*. Jednocześnie nieświadomie odczytuję ironię – laska leży na macie, na której brak już komunikatu *Mile Witamy*. Laska wcale nie jest mile witana. Wycieraczka, która miała zachęcać do odwiedzin, po prostu przestała pełnić swą funkcję i stała się nieprzyjazna.

Kira bierze laskę do jednej ręki, a kopertę do drugiej.

– A co z listem? Jest na nim twoje imię. – Czyta odręczny napis.
– Połóż na łóżku razem z... – Nie potrafię nawet wypowiedzieć
tego słowa. – ...z tym. – Wskazuję na laskę.

Popołudnie spędzamy, grając w gry planszowe i oglądając
telewizję, ponieważ na zewnątrz niemiłosiernie leje.

Dzieci są już w łóżkach. Kiedy całowałem je i przytulałem na
dobranoc, widziałem uśmiechające się do mnie trzy szczęśliwe
twarzyczki. Od dłuższego czasu nie widziałem, by tak się uśmiechali. Od
zbyt długiego czasu. Nawet Kai szczyrzył zęby. A Kai wszystko robi
z przekonaniem. Cechuje go głęboka szczerłość, jego zachowanie jest
w każdym calu prawdziwe. Gdy coś czuje, pokazuje to. A dzisiaj był
szczęśliwy.

Dzięki temu i ja byłem szczęśliwy.

Odsunąłem od siebie gorycz.

Całkowicie, bez reszty.

W końcu wróciłem do sypialni i zobaczyłem leżącą na łóżku laskę.

Próbuję się pozbierać, bo jestem wkurzony. Ktoś wydał na mnie
wyrok. Moje myśli wędrują zbyt daleko. Zastanawiam się, czy to nie
Miranda. To szaleństwo, ponieważ moja była żona mieszka w innym
stanie. Chociaż niewykluczone, że byłaby zdolna utrzyć mi nosa lub
wytknąć niedoskonałość. Zawsze była dobra w poniżaniu. Jezu Chryste,
co ja w niej kiedyś widziałem?

Otwieram kopertę, a kiedy czytam liścik, powraca wcześniejsze
uczucie niewielkiej ulgi.

I wstyd.

Ale nie gniew.

Seamus,

*Zobaczyłam ją dzisiaj w komisie. Pomyślałam, że może oszczędzi
Ci kolejnego otarcia. Wiem, że jesteś twardzielem, ale masz ładne
kolana, szkoda je ranić. Smutno mi, gdy cierpisz.*

Faith

Faith. Oczywiście, że to prezent od Faith. Ofiarowany w dobrej wierze. Nie po to, by ośmieszyć.

Jednak nawet jeśli tak jest, nie zamierzam z niego korzystać. Jestem uparty. Równie dobrze mógłbym nosić na szyi plakietkę informującą, że jestem niedołączony.

Wrzucam laskę i list na dno szafy, przykrywam je starymi czasopismami i butami. Gdy znikają mi z oczu, ulga wyparowuje niczym kamfora, pozostawiając jedynie wstyd. On mnie dręczy. Drwi ze mnie. I kompletnie nie wiem, skąd się bierze, ponieważ to ten rodzaj wstydu, którego wcześniej nie czułem. Gałąź wzrastająca na drzewie zażenowania, jednak nie taka, na którą kiedykolwiek mógłbym się wspiąć. Wydaje się cienka i chybota, zbyt giętka, by utrzymać mój ciężar. To skrępowanie związane z poczuciem męskości – atrakcyjności i sprawności seksualnej. Świadomość, że mężczyźni z problemami zdrowotnymi, którzy do funkcjonowania potrzebują przedmiotów takich jak laska, a zwłaszcza będący w moim wieku, nie są atrakcyjni czy pożądani. Czuję się więc, jakbym przez swoją chorobę utracił coś jeszcze. Zdolność zainteresowania partnera, gdybym jeszcze kiedyś był na to ponownie gotowy.

Zdaję sobie sprawę, że nikt nie zmusił Faith do użycia słowa *ładne*, jednak jest atrakcyjną kobietą i użycie przez nią tego słowa w liście uruchomiło całą lawinę skojarzeń uświadamiających mi, że mogę pozostać samotnym kawalerem w celibacie. Wiem, że nie zrobiła tego złośliwie. Czasami jednak pojedyncze słowo jest w stanie zainicjować pewien ciąg myślowy, który może okazać się zarówno pozytywny, jak i negatywny.

Ostatnio moje myśli nieustannie skręcają w tę drugą ścieżkę.

Wiem, że to irracjonalne, ale czasem nawet nielogiczne myśli wydają się szczególnie prawdziwe, gdy tkwi się po uszy w gównie.

A ja tkwię w nim nawet głębiej.

Cholera.

CHCĘ BYĆ PROSTYM I NORMALNYM FACETEM

SEAMUS

Teraźniejszość

Po obiedzie zabieram dzieci na plażę. Faith znowu stoi na skrzynce po mleku, rozdając darmowe uściski. Na jej widok wciąż dominuje we mnie uczucie obawy. Tuż za nim czai się żal.

Kira biegnie ją przytulić.

Reszta z nas nie jest zainteresowana.

Nie rozmawiałem z Faith od ubiegłotygodniowego zdarzenia z laską. Trudno mi patrzeć na tę kobietę, ponieważ wiem, jak mnie widzi. Jestem facetem, który rani się, upadając na schodach.

Nie chcę być postrzegany przez pryzmat stwardnienia rozsianego.

Nie chcę być postrzegany przez pryzmat objawów choroby.

Nie chcę być postrzegany przez pryzmat ograniczeń.

Nie chcę być postrzegany przez pryzmat bólu.

Nie chcę być postrzegany przez pryzmat upokorzenia.

Chcę być facetem, który bez problemów wchodzi po schodach i nikt się nad niczym nie zastanawia, bo to zwyczajne i normalne.

Tak właśnie chcę być postrzegany.

PIEPRZYĆ FASADĘ

MIRANDA

Przeszłość

Zawsze pragnęłam przed trzydziestką zostać wiceprezesem. Tytuły są ważne, oznaczają wspinaczkę po zawodowej drabinie. Wraz z awansem przychodzi władza.

Jestem tak blisko, że mogę tego posmakować. Ponownie odezwał się mój instynkt zabójcy. Po urodzeniu Rory'ego przez rok walczyłam, by się pozbierać, ale udało mi się wrócić z zemstą i determinacją, tak by nikomu nie pozwolić zniszczyć czy osłabić mojego marzenia.

Zastępca prezesa w Marshall Industries za trzy miesiące odchodzi na emeryturę, rozpoczęto więc rozmowy z kandydatami na to stanowisko. Jest podstarzałym facetem, który czasy świetności ma już za sobą. Przez kilka ostatnich lat robiłam, co mogłam, by dobrze się prezentował, pracując zarazem na własny awans. To nie lada wyczyn być jednocześnie dyrygentem i orkiestrą, dbając przy tym, by odpowiednia publika była uprzejma zauważyć i jedno, i drugie. Moja zauważyła.

Prezes Loren Buckingham jest wpływowym człowiekiem. Nadzoruje Marshall Industries ze swojego biura znajdującego się setki

kilometrów stąd, w Seattle. Nikt nie ma z nim kontaktu, chyba że kogoś zawezwie.

Zostałam przez niego wezwana w zeszłym miesiącu.

Jest starszy ode mnie o dwadzieścia lat. Przystojny, dystyngowany, co na pewno mu sprzyja i zapewnia bogactwo. Błysk w jego oczach mówi, że mógłby kupić i sprzedać każdego, a to dla mnie piekielnie seksowne. Uścisk jego dłoni nakręcił mnie bardziej niż wszystko, co do tej pory przeżyłam. W jego dotyku iskrzyły podniecająco autorytet i władza.

Rozmowa poszła dość dobrze.

Kolacja po niej jeszcze lepiej.

Wróciłam do domu przekonana, że zakwalifikowałam się do następnej rundy.

Kolejna runda.

Kiedy po południu wyjeżdżałam na lotnisko, Seamus życzył mi powodzenia.

Nie będzie mi potrzebne. Mam swój cel. Zamykam transakcję.

Szofer pana Buckinghama odbiera mnie z lotniska SUV-em z przyciemnianymi szybami. Gdy mijamy zjazd prowadzący do jego biura w centrum, pytam, dlaczego nie skręcamy.

– Pan Buckingham prosił, bym przywiózł panią do jego rezydencji – odpowiada kierowca.

Nie mogę zapanować nad emocjami i z uśmiechem zadowolenia unoszę prawy kącik ust. Pudruję twarz, poprawiam szminkę i rozpinam górne guziki jedwabnej bluzki. Kilka miesięcy temu powiększyłam sobie biust, który z powodu wieku i ciąży nie był już tak ładny. Teraz moje piersi wyglądają fenomenalnie, wykorzystam więc ten atut, odsłaniając dekolt. Podczas poprzedniego spotkania między mną a panem Buckinghamem narodziła się jakaś chemia. Poczulałam ją i z pewnością wykorzystam to jeszcze dziś wieczorem. Polowanie czas zacząć.

Rezydencja to ogromna posiadłość mieszcząca się za ogrodzeniem z kutego żelaza i automatyczną bramą. W chwili, w której mój wzrok pada na ten bogaty dom, następuje zmiana moich planów. Moje myśli

owładnięte są pragnieniem zamieszkania tutaj wraz z jego właścicielem i królowania w tym imperium u boku tego mężczyzny. Zarówno moje ciało, jak i mój umysł drżą z podniecenia. Podniecenia podsycanego przez głód władzy i pieniędzy. Potrzeby, dla której zrobię wszystko.

Pieprzyć wizję mojego życia, zamiast niej chcę tego. To moje przeznaczenie.

Szofer przystaje na okrągłym podjeździe i prowadzi mnie do drzwi, po czym wraca za kierownicę i znika za domem z moimi bagażami.

W progu wita mnie stanowcza, starsza, elegancka kobieta. Mierzy mnie wzrokiem i żałuję, że rozpięłam tak wiele guzików bluzki.

Jednak gdy pan Buckingham dołącza do nas w szerokim foyer, zauważam, jak przesuwając spojrzeniem od moich dziesięciocentymetrowych szpilek, przez opalone nogi i krawędź niewątpliwie krótkiej, choć gustownej spódnicy od projektanta, by następnie powędrować wyżej i skupić się na dekolcie, przy którym na sekundę unosi brwi i uśmiecha się pociągająco. Po chwili jego brwi wracają na swoje miejsce, lecz uśmiech pozostaje. Mężczyzna patrzy mi w oczy i mówi:

– Pani McIntyre, miło znów panią widzieć.

Starsza kobieta prychnie z dezaprobatą i bez słowa odchodzi.

Pan Buckingham przysuwa się zbyt blisko, by było to społecznie akceptowalne i szepcze:

– To moja matka, proszę jej wybaczyć. Czasami zapomina.

Uśmiecham się zalotnie na jego słowa i pytam:

– Zapomina?

– O tym, że choć zawsze będę jej synem, jestem dorosłym mężczyzną.

Przytakuję. I wciąż się uśmiecham.

– Któż nie podziwiałby pięknej kobiety, gdy ma ją przed sobą? – kontynuuje i puszcza do mnie oko. W jego spojrzeniu jest głębia, która mnie zniewala. Nie jestem w stanie się ruszyć. To test. Czuję to. Pan Buckingham czeka na moją reakcję.

Oczekuje, bym padła mu do stóp, co, jak zakładam, robi większość kobiet. Zapewne przyjmują komplement z nadmierną radością, przez którą wychodzą na idiotki. *Jednak ja chcę grać w jego grę*, myślę,

wyzywająco unosząc brew.

Jego uśmiech jest niemożliwie zalotny, gdy odpowiada:

– Od samego początku wiedziałem, że cię polubię, Mirando. Będzie nam się dobrze współpracowało.

Moje serce wykonuje salto. Sprawy przybierają wręcz wyśmienity obrót, a jestem u tego faceta zaledwie od pięciu minut.

Resztę popołudnia pochłania dyskusja o interesach. Ślęczenie nad raportami. Prośby o moją opinię na temat kilku hipotetycznych, fatalnych scenariuszy i przedstawianie tego, jakbym sobie z nimi poradziła, gdybym musiała podjąć decyzję. Buckingham pyta, jak postąpiłabym, gdy miałabym pełną władzę. Jest też ciekaw, gdzie widzę siebie za pięć, dziesięć, dwadzieścia lat. Na każde z tych pytań odpowiadam pewnie. Jestem dobra w swojej pracy i mam wizję jednoznacznego kierunku, który musi obrać firma, by w ciągu następnej dekady się rozwijać. Jednak nie chcę jej ekspansji na rynku, pragnę, by w swojej dziedzinie była najlepsza. Chcę zniszczyć konkurencję.

Gdy mówię, mężczyzna uśmiecha się z aprobatą. Nie jest to jednak uspokajający uśmiech, który ma mnie zachęcić do dalszego mówienia, lecz wyraz zadowolenia. Prezesowi firmy podobają się moje koncepcje. Czuje w moich słowach pasję, która jest podobna do jego własnej.

Prosi, bym została, zapraszając na kolację.

Zgadzam się.

Po kolacji prosi, bym została na lampkę wina.

Ta zamienia się w dwie.

I trzy.

To z kolei prowadzi do nie tak znowu niewinnej zabawy na sofie w salonie: żarcików, flirtowania i znaczących spojrzeń.

Gdy w rozmowę zostają wplecione bardziej nachalne sugestie, Buckingham proponuje mi czwarty kieliszek. Odmawiam i śmiało pytam:

– Chcesz, bym wyzbyła się wszelkich zahamowań?

Potrafię rozpoznać u mężczyzny pożądanie. Mam wprawę w kuszeniu. Dostrzegam głód w oczach, głęboki oddech, napięcie

mięśni, nie wspominając o imponującym członku wypychającym eleganckie spodnie. Pragnie mnie tak bardzo, że gotów jest wziąć mnie na kanapie w salonie.

Zwilża językiem wargi.

– Może.

Rozpinam dodatkowy guzik w bluzce i szepczę:

– Nie mam ich wiele, ale zostawiłam je dziś za drzwiami.

Nie prosi, bym została i dołączyła do niego w sypialni.

Mimo to właśnie tam trafiam.

Mówi, że jestem jego nowym wiceprezesem, kiedy ofiarowuję mu pierwszy orgazm.

W czystej ekstazie wykrzykuje moje imię za każdym kolejnym razem.

Następnego ranka wychodzę z jego domu z podpisaną umową o pracę w trzech egzemplarzach. Owinęłam sobie Lorena wokół małego paluszka.

Misja zakończona pełnym sukcesem.

ZAZWYCZAJ NIE WZDYCHA

SEAMUS

Teraźniejszość

– Chcę wyłącznej opieki nad dziećmi.

Słowa płyną przez telefon, a ja odczuwam je jak fizyczny cios, który powala mnie na kolana. Brak mi tchu, obraz rozmywa mi się przed oczami. Myśli zatrzymują się, a pierwszy wstrząs natychmiast zostaje zastąpiony gniewem i pragnieniem ochrony za wszelką cenę tego, co moje.

– Po moim trupie.

Wzdycha. Głośno. Zazwyczaj tego nie robi. Podkreśla w ten sposób skrajną irytację. Dziwi mnie, że wykorzystuje ten chwyt tak szybko. Przypuszczam, że myślała, że pójdzie jej łatwiej. Że nie będę z nią walczył.

Niedoczekanie.

– Seamus, bądź realistą. Nie zdołasz zapewnić im życia, którego potrzebują.

Wciąż gotuję się z wściekłości, przez co nie nadążam za jej słowami. W mojej głowie nieustannie przewija się tylko jedna myśl: *Pierdol się!* Jednak nie mogę tego powiedzieć, bo wiem, że tego właśnie

by chciała. Pytam więc w odpowiedzi:

– Co?

Próbuję zebrać myśli, by móc się z nią kłócić.

Ponownie wzdycha, jednak tym razem nieco inaczej. Jest w tym jakiś diabelski uśmieszek, jakby z niepokojem czekała na moją nienawiść.

– Śpią w jednym pokoju. W ubiegły weekend Kira była ubrana jak jakiś klaun z wędrownego cyrku. Rory mówi, jakby był chory psychicznie. Kai jest wycofany i zły. Zapisali ich do publicznej szkoły...

Przerywam jej, bo nie jestem w stanie dłużej tego słuchać. Najwyraźniej martwi się jedynie o swój wizerunek, a nie o dobre samopoczucie dzieci. Nadal nie wiem, jak zareagować, bo przeklinanie wciąż nie wchodzi w grę, powtarzam więc:

– Co?

Kontynuuje, jakbym nic nie powiedział:

– Poza tym fizycznie nie jesteś gotowy nadal być rodzicem. Oboje wiemy, że twój stan będzie się tylko pogarszał.

I wtedy tracę nad sobą panowanie.

– Pierdol się! Jestem w pełni zdolny do wychowywania swoich dzieci.

– Naszych dzieci – poprawia. – Nie, nie jesteś.

– Moich dzieci – syczę przez zaciśnięte zęby.

– Grozisz mi? – W jej tonie słychać klasyczny uśmieszek niezmiennie pozostający na swoim miejscu. Zatem nie jest obrażona, po prostu dobrze się bawi.

– Nie, stwierdzam fakt.

– Mój adwokat się z tobą skontaktuje. – To ostateczna decyzja. Odkłada słuchawkę.

To oczywiste, że musiała mieć ostatnie słowo. I oczywiste, że musiała to być wzmianka o adwokacie. Rozmowa nie byłaby zakończona, gdyby tego nie powiedziała. Niektórzy mówią: „Do widzenia”, Miranda zaś wspomina o adwokacie.

Ludzie zmieniają się z biegiem czasu, ulegają wpływom wielu czynników. Etyka i ideały umacniają się lub bledną. Miranda uważa, że

wysokie stanowisko w firmie i dominacja nad pracownikami sprawiają, że jest się nietykalnym. To norma, że traktuje ludzi w podły, niegodziwy sposób. To właśnie ją zniszczyło. I mam przeczucie, że nim będzie do reszty skończona, zrujnuje jeszcze nas wszystkich.

MOŻE POTRZEBUJESZ WŁASNEJ TABLICZKI

SEAMUS

Terazniejszość

Miranda ponownie jest w mieście.

Będzie miała dzieci do niedzielnego poranka, dokładnie przez dwadzieścia cztery godziny, licząc od tej chwili. Nie chciałem pozwolić, by je zabrała. Jakieś złe przeczucie płynie w moich żyłach i rozprzestrzenia się po całym ciele, spalając mnie od wewnątrz. Podejrzewam, że grając w jakąś chorą grę, Miranda może zabrać dzieci ze sobą do Seattle. Jednak próbuję zbyć te obawy i jadę za nią do Hiltona znajdującego się kilka kilometrów dalej. Rozważam możliwość zaparkowania po drugiej stronie ulicy, tak by móc obserwować jej poczynania, ale dochodzę do wniosku, że byłoby to przesadą i postanawiam odjechać.

Kieruję się więc w stronę plaży, na której siedzę aż do zachodu słońca. Woda zawsze mnie uspokajała. Nie wiem, czy sprawia to szum fal, czy może sam ich widok, ale właśnie dlatego zawsze mieszkałem blisko wody. Dzięki temu czuję się mocniej związany z matką.

Wracając do domu, jestem trochę spokojniejszy. Po raz pierwszy od dawna czuję się odprężony.

Stając na wycieraczkę z napisem *M.....Y*, słyszę warczenie skutera Faith. Głupia nieprzyjazna mata. Grzebię po kieszeniach w poszukiwaniu kluczy. Nie wiem, dlaczego moje serce przyspiesza. Pędzi jak szalone. Albo próbuje uciec.

– Unikasz mnie, Seamus?! – krzyczy Faith, wyłączając silnik. Wiem, że krzyczy, ponieważ słyszę jej donośny, wyraźny głos, choć kobieta stoi przy chodniku.

Rytm mojego serca uspokaja się nieco na te słowa, jednak nie odpowiadam jej. Gdzie są te przeklęte klucze?

– No to jak? – Jest bliżej, idzie tu.

Słyszę kroki na schodach.

Przestaję grzebać w kieszeniach, a moje serce jeszcze bardziej zwalnia, jakby ktoś mocno pociągnął je za cugle. Stoję, czekając, ale się nie odwracam.

Na moich plecach ląduje dłoń. Dotyk jest ostrożny i potulny, podobnie jak jej szept:

– Przepraszam, jeśli mój prezent cię uraził.

W normalnej sytuacji szybko bym jej wybaczył. Jestem osobą, która akceptuje przeprosiny bez względu na to, czy są szczerze i czy mam na to ochotę. Powiedziałbym, że jest w porządku, i zapomniałbym o wszystkim, nawet gdybym tego nie czuł. Nadal towarzyszy mi spokój plaży, mimo że moje serce bije odrobinę niespokojnie. Dzięki temu jestem w stanie powiedzieć coś szczerze. Nie w okrutny sposób, ale prosto z mostu, bez owijania w bawełnę i koloryzowania.

– Nie chcę jej używać.

Dłoń nie opuszcza moich pleców. Dotyk wciąż jest niepewny i łagodny.

– Ale jej potrzebujesz. Od miesiący obserwuję, jak walczysz – szepcze.

– Nie chcę jej – powtarzam. Nie mówię tego ze złością, po prostu wyznaję prawdę. Nadal stoję zwrócony do Faith plecami, co sprawia, że łatwiej mi mówić.

– Dlaczego? – To najbardziej delikatne słowo, jakie w życiu słyszałem. Nie wypływa to ze sposobu wypowiedzi, lecz z ukojenia, które ze sobą niesie.

Sklania mnie to do wyjawienia jednej z moich największych obaw:

– Istnieją etapy postępu tej choroby. Gdybym się poddał i zaczął korzystać z laski, czułbym, że poruszanie się na wózku inwalidzkim jest nieuchronne i czeka mnie już niebawem. – Ledwie pozwalam, by ta myśl przeszła mi przez głowę, więc nie mogę uwierzyć, że zwerbalizowałem ją w obecności innej osoby.

– Nie pozwól, by rządził tobą strach. – To już nie jest szept, ale Faith nie podnosi głosu. Jej ton wciąż jest delikatny. Wciąż kojący. Jak materac, na wypadek gdybym upadł.

– Nie pozwalam – mówię, choć brzmi to jak pytanie.

Pytanie, na które odpowiada:

– Pozwalasz. Ja też to robię.

Parskam śmiechem. Czułbym się już bardziej przekonany, gdyby nie była to poważna rozmowa.

– Ty się niczego nie obawiasz. Może nie znam cię zbyt dobrze, ale wystarczająco, by móc coś o tym powiedzieć. Na miłość boską, zajmujesz się odkrywaniem. Jesteś w to zaangażowana. Ofiarowujesz nowym sąsiadom powitalne mango, pomagasz, gdy pęka rura, a na plaży ściskasz nieznanym. Ty się nie boisz.

Ręka powoli przesuwa się w górę i w dół po moich plecach. Jak łagodne ciepło.

– To nie znaczy, że się nie boję. – Jej głos staje się ochrypliwy. Ujawnienie tak intymnej informacji o sobie to dla niej poważna sprawa.

– Dlaczego tulisz ludzi na plaży? – pytam. Mam przeczucie, że jej głos się nie zmieni.

– Na początku było to częścią moich poszukiwań. – Bierze głęboki wdech. – Każdy zasługuje na miłość. Uścisk jest fizycznym okazaniem tej miłości. Jeśli jednak na niego pozwolisz i się w niego wczujesz, przybiera również charakter emocjonalny. To najczystsza i najbardziej niewinna forma kontaktu między ludźmi. Potrzeba do niej zaledwie dwóch chętnych osób. To takie proste, a mimo to istnieją tacy, którzy nigdy tego nie zaznali. Ludzie, którzy nigdy tego nie doświadczyli – powtarza cicho, jak wyznanie.

Łamie mi to serce i wywołuje następne pytanie:

– Mówiłaś, że zaczęło się od poszukiwań. Przypuszczam, że

poszukiwania się zakończyły lub przerodziły w coś innego. Dlaczego więc nadal to robisz?

– Ponieważ przypomina mi to, że nie jestem sama. – W jej głosie słyszeć smutek i strach, coś czego nie mogę i nie chcę zignorować.

Odwracam się i bez wahania biorę ją w ramiona.

– Nie jesteś sama – szepczę.

Faith również się nie waha, obejmuje mnie. Przypominam sobie, jak tuliła Kirę na plaży. Wiem, jak się to robi, ponieważ niejednokrotnie widywałem przytulających się ludzi. Teraz czuję się równie dobrze, jak wtedy, gdy mogłem jedynie patrzeć. Z zewnątrz czuć siłę, wszechogarniającą i pełną akceptacji. Wewnątrz – czułość i słodycz. Czuję, jak jej mięśnie się rozluźniają, traktuje to poważnie. Czuję, jak każdy wdech przynosi między nami spokój. Fizycznie jestem od niej większy, lecz to ona otacza mnie całą swoją istotą. Energią. Kilka razy dziennie tulę dzieci, ale minęły lata, odkąd obejmowałem kogoś dorosłego. Miranda nigdy tego nie lubiła.

Po dłuższej chwili odsuwamy się od siebie, a Faith uśmiecha się do mnie ze łzami w oczach.

– Dziękuję. Może potrzebujesz własnej tabliczki. – Pociąga nosem, nadal się uśmiechając. Wskazuje na mnie. – Ludziom z pewnością tego brakuje. Jesteś w tym dobry.

Sam również się uśmiecham.

– Tak?

– Przytulałam wielu ludzi, Seamus, ale bijesz ich wszystkich na głowę. – Jej spojrzenie mówi mi, że to zarówno prawda, jak i komplement.

Kiwam głową, chcąc jej powiedzieć, że jej uścisk był najlepszym, jakiego kiedykolwiek doświadczyłem. Z wyjątkiem objęć dzieci, gdyż te są mi najdroższe na świecie.

Najwspanialszy.

Nie wiedziałem, że ktoś może własną duszą utulić duszę kogoś innego.

A Faith to potrafi.

NIE JEST JUŻ IDEALNY

MIRANDA

Przeszłość

– Pani McIntyre, pilny telefon ze szkoły Seamusa. Wydaje mi się, że powinna pani odebrać – mówi Justine, moja asystentka, stojąc w drzwiach mojego gabinetu. W jej tonie słycać niepokój.

Nie mam teraz na to czasu.

– Zapisz wiadomość – nakazuję.

– Chodzi o Seamusa. Zabrali go do szpitala. – Unoszę głowę i widzę, że patrzy na mnie przenikliwie. Zawsze jest bezpośrednia.

Wzdycham. Od razu przychodzi mi do głowy myśl, że będę musiała zwolnić się z pracy i odebrać chłopców z przedszkola. Nie pamiętam nawet, gdzie ono się znajduje. Szlag by to trafił, nie mam czasu, nie mogę.

– Połącz – syczę.

– Pani McIntyre? Tu Janet – mówi, jakbym wiedziała, kim, u diabła, jest.

– Nie mam czasu na pogaduszki. Co się stało? – mówię, jednocześnie na ekranie laptopa przeglądając e-maile.

Słyszę jej zdziwienie i zdenerwowanie, potem jednak odpowiedź:

– Chodzi o Seamusa. Został zabrany do szpitala. Mówił, że nie czuje nic od pasa w dół. Powiedział, że zaczęło się to już rano. Wystraszył się i prosił, żebym do pani zadzwoniła, ponieważ zostawił kilka wiadomości na pani komórce, a pani nie oddzwoniła.

Biorę telefon leżący na biurku i sprawdzam nieodebrane połączenia i wiadomości nagrane na pocztę. Dwanaście. Wszystkie od Seamusa. Rzucam komórkę na blat.

– Byłam zajęta. Miałam spotkania. Próbuję prowadzić firmę – stwierdzam. Jak ona w ogóle śmie zwracać mi uwagę?

– Jest w Mercy General – dodaje.

Rozłączam się, nie słuchając nawet tej informacji, i zerkam na zegarek na laptopie. Jest czwarta. Domyślam się, że przedszkole otwarte jest do siódmej. Wciskam guzik w telefonie stacjonarnym, łącząc się z Justine.

– Tak? – odpowiada. Wciąż ma zmartwiony głos.

– Dowiedz się, gdzie są chłopcy, i o której zamykają – rzucam polecenie i się rozłączam.

Dziesięć minut później Justine oddzwania. Podnoszę słuchawkę, więc natychmiast zaczyna mówić, ponieważ wie, że nie lubię trwonić czasu na bezsensowne uprzejmości.

– Są w przedszkolu Wielkie Serca. Mam dla pani adres i numer telefonu. Zamykają o piątej trzydzieści.

– Piątej trzydzieści? – pytam z niedowierzaniem. – To nie może być prawda. Zadzwoń do nich, to musi być pomyłka.

– Właśnie to sprawdziłam, zamykają o wpół do szóstej – rzuca. Justine jest zadziorna i wygadana, co doceniam i wykorzystuję przeciwko innym na swoją korzyść. Nie podoba mi się jednak, kiedy zwraca się do mnie w ten sposób.

– Potwierdź raz jeszcze. – Rozłączam się.

Justine robi to, po czym ponownie mnie informuje. Piąta trzydzieści. Kurwa. Nie mam czasu. Muszę odpowiedzieć na wiadomości, uzupełnić raporty i przed północą dotrzeć do Lorena.

Wychodzę z firmy o wpół do szóstej i jadę po chłopców.

Gdy wchodzę do przedszkola, jest szósta. Wita mnie kobieta, która na kolanach trzyma śpiącego Rory'ego.

– W czym mogę pomóc? – Wygląda na wyczerpaną, jednak zwraca się do mnie z cierpliwością, którą jest w stanie okazać tylko czułe serce. *Co za kretynka*, myślę.

Wskazuję na Rory’ego i mówię:

– Trzyma pani mojego syna.

Kiedy się odzywam, zza drzwi, jak zakładam toalety, oznakowanych napisem *Chłopcy*, wychodzi Kai, patrząc na mnie z lekkim zdziwieniem.

– Gdzie tata?

– W szpitalu. Zbieraj swoje rzeczy. I się pospiesz. Musimy jechać.

– Wiem, że może powinnam mówić łagodniej, by go nie straszyć, ale jestem w tej chwili zbyt zirytowana, by nad sobą panować.

– W szpitalu? – pyta cicho. Kai zawsze miał miękkie serce. Jest podobny do ojca, po mnie zupełnie nic nie odziedziczył.

– Tak. Streszczaj się – poganiam go.

Kobieta trzymająca Rory’ego patrzy na mnie, jakby była świadkiem przerażającego wypadku samochodowego. Jej usta są rozchylone, a oczy rozszerzyły się w niepokoj.

– O Boże, czy Seamusowi nic się nie stało? – pyta z drżeniem w głosie. – Próbowałam dzwonić na jego komórkę, ale nie odbierał, a to do niego niepodobne. Dzwoniłam też na numer alarmowy, to chyba pani numer, pani McIntyre. Również nikt nie odebrał.

Rzeczywiście, kiedy tu jechałam, komórka dzwoniła w torebce. Zignorowałam to, więc teraz kłamię:

– Nie dzwonił mi telefon, musiała pani pomylić numery.

– Co z nim? – pyta ponownie.

– Nie wiem. Jestem pewna, że w porządku. Nic, co mogłoby zagrażać jego życiu, jeśli o to pani chodzi. – Zdrętwiałe nogi to jeszcze nie powód do śmierci.

Kobieta dziwnie mi się przygląda, jestem pewna, że ocenia mnie za brak troski.

– Muszę zobaczyć jakiś dokument, by oddać pani chłopców.

Spoglądam w sufit i kręcę głową z powodu wzrastającej frustracji.

– Cholera, jestem ich matką. Po co pani moje dokumenty?

– Procedura bezpieczeństwa – mówi i wstaje z Rorym na rękach.

Wyciągam portfel z torebki i instruuję:

– Proszę go obudzić i postawić na podłodze.

– Nie chce go pani zanieść do samochodu?

Wytrzeszczam mocno oczy, by pokazać, że zakończyłam tę rozmowę.

– Nie. Nie chcę. Ma trzy lata. Potrafi chodzić.

Kobieta zaczyna mówić czule do dziecka, jednocześnie spoglądając na moje dokumenty. Mały otwiera oczy i przez chwilę na jego zaspanej twarzy widać dezorientację.

– Kochanie, mamusia przyjechała, by zabrać cię do domku. Obudzisz się już, skarbie?

Rory mruga kilkakrotnie, po czym patrzy na mnie.

– Mama? – pyta, jakby nie wierzył, że tu stoję. Zawsze był prostolinijny i bardziej szczerzy niż jego brat. Bez wątplenia ma to po mnie.

– Tak, Rory. Chodźmy. – Ostatnie pięć minut macierzyństwa naprawdę mnie wyczerpało. Nie mam pojęcia, jak Seamus potrafi całymi dniami radzić sobie z takim gównem.

– Gdzie tatuś? – pyta.

Kai odpowiada:

– W szpitalu. Musimy tam jechać i sprawdzić, co z nim. – Gdy to mówi, łzy płyną po jego policzkach.

Rory zaczyna wykręcać się z rąk kobiety, która natychmiast stawia go na podłodze. Mały biegnie do brata i, przywierając do jego boku, tuli się do niego. Z pewnością Seamus ich tego nauczył. Dobrze, że to on ich wychowuje, inaczej tych dwoje wbijałoby sobie noże w plecy zamiast się przytulać.

Wychodzimy do samochodu. Otwieram drzwi mercedesa bez dachu i przechylam oparcie siedzenia kierowcy, by chłopcy mogli wejść do tyłu.

– A co z fotelikami, mamo? – pyta Kai.

– Cholera – mamrocę pod nosem. Nie pomyślałam. Nigdy nie wożę ze sobą dzieci. – Dziś ich nie używamy. Zapnij brata pasem – dyktuję.

Gdy wchodzimy na izbę przyjęć jest niemal siódma. Śmierdzi tu środkami do sterylizacji, płynami ustrojowymi... oraz cierpieniem. Nienawidzę szpitali. Przypominają mi o babci. Zmarła po czterech dniach podtrzymywania przy życiu po wypadku samochodowym. To ja prowadziłam. Wystrzeliła przednia opona i auto zniosło do rowu. Uderzyliśmy w drzewo od strony pasażera. Wielkie, solidne, wiekowe drzewo, które wygrało walkę ze stalową klatką i dużą prędkością.

Ja wyszłam bez szwanku.

Ona ucierpiała.

Los bywa złośliwym sukinsynem.

Przez cztery dni siedziałam na intensywnej terapii, błagając, by ze mną została, by walczyła.

Przez cztery dni smród pochodzący z jej zniekształconego ciała i sali, w której tkwiłam uwięziona, atakował mój nos, podobnie jak atakowało mnie przeczucie zbliżającej się śmierci... nieuniknionej i sumiennie upominającej się o babcię.

Przez cztery dni patrzyłam na jej cierpienie, gdy życie wślaczały w nią plastikowe rury, igły oraz różne urządzenia, których próby ratunku raz po raz odrzucało jej ciało.

Cztery dni słuchania jej jęków – jęków mojej silnej i nieugiętej babci skomlącej i pokonanej, żegnającej się w ten sposób.

Nienawidzę szpitali.

Zrównałabym ten pieprzony budynek z ziemią, by móc uciec od tych wspomnień. Prześladują mnie. Każdego dnia. Jednak, gdy jestem tutaj, w łędźwiach tej bestii, robi się to nie do zniesienia.

Kai stoi obok mnie, trzymając za rękę Rory'ego.

W trakcie rozmowy z recepcjonistką dowiaduję się, że Seamus wciąż poddawany jest badaniom neurologicznym. Siadamy i czekamy, by porozmawiać z lekarzem.

Siedzimy zaledwie od pięciu minut, kiedy nagle Rory mówi, że musi iść do łazienki i że jest głodny.

Proszę starszego syna, by go zaprowadził, podczas gdy ja kupuję każdemu po Pepsy, paczce chipsów i batoniku ze stojącego na korytarzu automatu. Nie jestem matką roku.

Czekamy ponad godzinę. W końcu pielęgniarka informuje nas, byśmy za nią poszli. Im głębiej szpitala jesteśmy, tym bardziej wzmagają się smród. Jest mi niedobrze, choć nie wiem, czy to reakcja fizyczna, czy może psychiczna. Wspomnienie kakofonicznych jęków babci tak głośno dźwięczy w moich uszach, że zaczyna mnie boleć głowa.

Seamus siedzi w szpitalnym łóżku, opierając się na poduszkach. Ma na sobie jednorazową koszulę, jego prawa ręka jest odsłonięta, bo po wewnętrznej stronie ma wkłuty wenflon, który nie jest jednak podłączony do kroplówki. Wstydzę się przyznać, że rozglądam się wokół, gdyż boję się spojrzeć mu w twarz. Obawiam się, że może teraz wyglądać inaczej niż idealny mężczyzna, z którym jestem od lat. Wciąż zatrważa przerażającymi wspomnieniami o babci, mam wrażenie, że naprawdę coś jest nie w porządku. Seamus nie jest już idealny. I nigdy już nie będzie.

– Hej – mówi cicho. Chłopcy podbiegają do niego.

Czekam, aż nasi synowie wskoczą na jego łóżko, a on zacznie z nimi rozmawiać, i dopiero wtedy mu się przyglądam. Zastanawiam się, kiedy robiłam to po raz ostatni... Kiedy tak naprawdę na niego patrzyłam. Minęły lata. Przez większość czasu tylko na niego zerkam, mijając go w domu. Rozmawiamy krótko, więc mój wzrok ledwie się na nim zatrzymuje. Czasem dostrzegam logo koszulki, którą założył, zarost na policzkach, jeśli się nie ogoli, lub dłuższe włosy wymagające strzyżenia. Jednak nie przyglądam mu się uważnie. Nie w taki sposób jak teraz.

Jest blady, zmęczony i zmartwiony. Jego oczy wyglądają tak, jakby otwarte przez wiele dni były świadkiem jedynie rozczarowania. Jego włosy są w nieładzie. Wygląda starzej i mizerniej, ale iskra w jego oczach, którą może rozpalić jedynie widok chłopców, wciąż jest obecna. Dzisiaj jest pustą skorupą, nie ma w nim życia. To znowu każe mi wrócić do wspomnień o babci. Do mojego koszmaru. Nie potrafię wytrzymać. Nie mogę tego znieść. Cokolwiek mu jest, nie dam rady.

Odwracam się i chcę wyjść z pokoju, ale woła za mną. Kiedy wypowiada moje imię, brzmi to tak, jakby prosił o pomoc i mówił, że mnie potrzebuje. Zazwyczaj uciekam od takich słów.

Jednak słyszę babcię w ostatnich dniach jej życia, więc odwracam

się i wracam do niego. Kiedy bierze mnie za rękę, pytam:

– Co się stało?

Łzy same chcą płynąć. Nie płakałam od pogrzebu babci.

Seamus wzrusza ramionami.

– Nie są jeszcze pewni. Pobrali mi krew, zrobili rezonans magnetyczny i punkcję rdzenia kręgowego, by móc dalej diagnozować. – Patrzy na synów, jakby nie był pewny, czy może przy nich mówić. Jednak przetyka z trudem ślinę i kręci głową. – Nie czuję nóg, Mirando. Są zdrętwiałe. Przez cały dzień siedziałem przy biurku, starając się usprawiedliwić to, co się dzieje, i próbując nie panikować, ale nie minęło. – Z oka spływa mu łza, którą natychmiast ociera. – Nie wiedziałem, co robić. Próbowałem z tobą porozmawiać. – Ponownie przetyka ślinę. – Poprosiłem jednego z nauczycieli, by mnie tutaj przywiózł. Nie mogłem chodzić. Nie czułem się na siłach bezpiecznie prowadzić. – Zamyka oczy i odwraca ode mnie głowę, gdy łzy wydostają się spod jego powiek.

W tej samej chwili do sali wchodzi lekarz. Przedstawia się i prosi Seamusa, by ten pozostał na noc na obserwacji, dopóki nie zostaną opracowane, zinterpretowane i potwierdzone wyniki badań.

Spędzamy noc w sali Seamusa, ponieważ nie potrafię nakłonić chłopców, by go opuścili i wrócili ze mną do domu. Pracuję w nocy na laptopie, siedząc w rogu pokoju, podczas gdy malcy śpią z ojcem w podwójnym łóżku.

Ranek przynosi diagnozę – stwardnienie rozsiane.

Choroba neurologiczna.

Nieuleczalna.

Miałam rację, Seamus nie jest już idealny.

MOJE CIAŁO ZAJĘTE BYŁO AUTODESTRUKCJĄ

SEAMUS

Terazniejszość

Na ślepo wyłączam budzik ustawiony w komórce, nie mając ochoty otwierać oczu i zaczynać o świcie kolejnego dnia.

Jednak kiedy to robię, jest ciemniej niż zazwyczaj.

Jakieś dziwne przeczucie mówi mi, że nie powinno być tak ciemno.

Myśli kotłują się w mojej głowie.

Nie powinno być tak ciemno.

Kiedy wpatruję się w sufit, by po chwili przenieść wzrok z jednej strony pomieszczenia na drugą, narasta we mnie strach.

Zamykam ponownie oczy, starając się go zdusić. Jednak utkwiał w moim gardle tuż pod grdyką i grozi odcięciem dopływu powietrza, jakby mój brak konfrontacji ze światem i utwierdzenie się w tym były karą. Moje ciało zajęte było w nocy autodestrukcją i pragnie, by jego wysiłek został zauważony.

Kiedy orientuję się, że strach nie chce minąć, otwieram prawe oko. Wszystko wygląda normalnie. Powinno mnie to uspokoić, ale tak się nie dzieje, ponieważ gdy je zamykam i otwieram lewe, już wiem...

Nic.

Nic nie widzę.

Jest tylko wszechogarniająca ciemność.

Gdyby koszmary miały kolor, byłby to mrok tak czarny, że pochłonąłby wszystko. Nie byłoby już nic.

Zaczynam szeptać sam do siebie:

– Dlaczego ja? Dlaczego ja? Dlaczego ja? – powtarzam nieustannie, aż zaczynam płakać, niezdolny nic powiedzieć. Słowa zastępuje cichy szloch w poduszkę. Potrafię płakać cicho, zatrzymując wszystko dla siebie. A kiedy nie udaje mi się wypowiadać już słów, mój mózg zaczyna pędzić. Dlaczego moje ciało mnie nienawidzi? Co takiego zrobiłem, by na to zasłużyć? Kiedy uda mi się od tego odpocząć? Chcę tylko pieprzonej przerwy! Nie mogę tak dalej!

Kiedy łyzy ustają, w moim umyśle włącza się tryb *Tata*. Nawet w trakcie kryzysu związanego ze zdrowiem muszę poradzić sobie z rozwiązaniem problemu. Muszę wziąć prysznic, obudzić dzieci i wymyślić, jak odwieźć je do szkoły, bym mógł zająć się sobą.

Myję się i ubieram, budzę dzieci, ustawiam na stole miski, łyżki i płatki oraz mleko. Kiedy wracam do ich pokoju, Rory jest pod prysznicem, Kai jest ubrany, a Kira siedzi na skraju łóżka z Ogórkiem pod pachą i zamkniętymi wciąż oczami. Wygląda, jakby umiała spać na siedząco.

– Kai, muszę iść do sąsiadki, pani Lipokowski. Zaraz wrócę, ale proszę, przypilnuj, by każdy zaczął jeść śniadanie. Wszystko w kuchni jest przygotowane.

Kai przytakuje. Rano nie jest gadułą.

Stając na wycieraczkę z napisem *M.....Y*, czuję się, jakbym zawiódł. Jakbym nie poradził sobie z życiem. Przeraza mnie bycie na zewnątrz, w świecie. To miejsce, w którym ludzie oceniają innych, przyklejają im etykiety i zauważają odmienność.

Przejsie do sąsiadki nie jest łatwe. Nie wiem, czy zmęczyło mnie aż tak odczucie, że moje nogi są dziś znacznie mniej skore do współpracy, czy może spoglądanie na świat jednym okiem. Czuję się, jakbym był pijany. O, jakże bym chciał, by tak właśnie było. Lepiej byłoby zalać się w trupa, niż przeżyć choć jeden taki dzień.

Pukam do drzwi pani Lipokowski, ale nie otwiera. Jestem pewny, że wraz z mężem są na dole w barze kanapkowym, przygotowując się do jego otwarcia.

Cholera.

Co mam zrobić?

Faith. Spróbuję z Faith.

Zejscia po schodach nie można nazwać zejściem. Nie mogę utrzymać równowagi, moje lewe oko nie działa, więc, nie ufając samemu sobie, siadam co kilka stopni, zsuwając się z nich niczym raczkujący berbeć. Gdy pukam do drzwi Faith, czuję się do granic upokorzony. Gdyby nie dzieci, zamknąłbym się w mieszkaniu i nigdy z niego nie wyszedł.

Pukam po raz drugi, ale nie otwiera, więc się odwracam. Kiedy mam już odejść, w końcu staje na progu.

– Dzień dobry, sąsiedzie – mamrocze zaspana.

Nie witam się z nią. Od razu się płaszczę.

– Przepraszam – mówię, odwracając się do niej.

Gdy stoję przed nią, intensywnie się we mnie wpatruje, badawczo obserwuje moją twarz, spostrzegając na niej każdy ślad rozpaczy. Przechylając na bok głowę, milczy, choć jej spojrzenie jest bardzo wymowne. Widać w nim smutek, przerażenie i potrzebę pomocy.

– Co mogę zrobić, Seamus? Powiedz, czego ci trzeba. – Jej głos znów jest miękki, to mój materac, asekuracja, na wypadek gdybym upadł.

Faith ma na sobie piżamę, a właściwie za duży na nią podkoszulek ledwie zakrywający majtki. Jest stary, napis na przodzie głosi: *Nasze żeberka przywrą do Twoich. Grill Ricka*. To kiepskie hasło natychmiast mnie rozprasza, przez co mam ochotę ją uściskać. To pierwsza chwila dzisiejszego poranka, w której każda komórka mojego ciała nie jest skupiona na problemie ze zdrowiem.

Chcę ją przytulić również dlatego, że jest najlepszą przytulanką na świecie.

Zatem robię to.

Obejmuję ją.

A ona obejmuje mnie.

Próbuję się nie rozplakać.

Jednak ponoszę porażkę i moczę jej koszulkę z okropnym napisem.

– Mogłabyś zawieźć moje dzieci do szkoły, a później mnie do szpitala?

Odsuwa się ode mnie.

– Oczywiście. – Kiwa głową. – Oczywiście.

Pospiesznie ocieram mokre oczy.

– Kiedy musimy jechać?

Patrzę na zegarek.

– Za kwadrans.

Faith wciąż kiwa głową, nie sędzę, by choć na chwilę przestała. Jest pogrążona w myślach.

– Dobrze. Spotkajmy się przy samochodzie za piętnaście minut.

– Dziękuję. – Tysiące razy wymawiałem w życiu to słowo.

W większości przypadków mówiłem szczerze. Czasami, wymawiając je, czułem ogromną wdzięczność, ale nie wydaje mi się, bym wtedy rozumiał prawdziwe znaczenie tego pojęcia. Aż do tej chwili. Teraz myślę, że potrzebuję nowego określenia, ponieważ *dziękuję* w tej sytuacji nie wystarcza.

Faith wciąż przytakuje. Wciąż się zastanawia.

Docieram do schodów i patrzę na jej drzwi, w których nadal stoi i mi się przygląda. Nie chcę, by widziała, jak gramolę się na górę, by była świadkiem mojej walki. Nie będzie to przyjemny widok. Przystaję więc.

– Seamus? – mówi nieco lżejszym głosem. – Pamiętasz ten prezent ode mnie, który cię tak wkurzył?

Kiwam głową, ponieważ teraz to ja się zastanawiam.

– Nie mówię, że masz to zrobić, ale jeśli nie przerobiłeś jej na wykałaczki, może dziś jest dobry dzień, by przetestować tę laskę?

Nadal kiwam głową, ponieważ czuję ulgę.

Kilka następnych godzin się rozmywa.

Wyjaśniam dzieciom, co się dzieje, starając się ich nie straszyć, mimo że sam tak naprawdę nie wiem, co mi jest. Zawsze opowiadam

dzieciom o mojej chorobie, starając się używać neutralnych określeń. Ogólnie mówię, że mam problem z okiem i że Faith zawiezie mnie do szpitala, aby zbadał mnie lekarz i coś na to zarządził. Nie wiem, czy to prawda – czy ten zdoła mi pomóc. Jednak tak właśnie im mówię.

Używam laski.

Dzwonię do pracy i proszę o wolne.

Faith prowadzi, podzucamy dzieci do szkoły.

Następnie jedziemy do szpitala.

Czekamy przez kilka godzin na izbie przyjęć.

Rozmawiam z neurologiem.

Potwierdza, że winowajcą połowicznej ślepoty jest stwardnienie rozsiane.

Informuje, że istnieje duże prawdopodobieństwo, że to przejściowe.

Nie wyklucza jednak, że może być trwałe.

Po konsultacji z innym lekarzem wypisuje mi receptę.

Faith zawozi mnie do apteki.

Farmaceutka podaje mi sterydy, za które płacę prawie pustą kartą kredytową.

Faith odwozi mnie do domu, po drodze odbieramy dzieci ze szkoły.

Na końcu wracamy do domu.

Kiedy kobieta gasi silnik, a dzieciaki wysiadają i biegną schodami do naszego mieszkania, nie jestem pewien, co zrobić. Spędziłem z nią cały dzień i nie zamieniliśmy ze sobą nawet słowa. Zrobiła wszystko, czego potrzebowałem bez instruowania czy wskazywania kierunku, ponieważ byłem zbyt zajęty własną niemocą. Ostatnim słowem, które do niej wypowiedziałem, było moje poranne niewystarczające *dziękuję*. Mam ochotę je powtórzyć, ale wiem, że to zbyt mało. Zatem patrzę na nią i mówię z głębi serca:

– O wiele więcej niż dziękuję.

Na jej obliczu widać zakłopotanie, o którym świadczą ściągnięte brwi i zmarszczka pośrodku. Faith ma bardzo ekspresyjną twarz. Cały dzień pilnie jej się przyglądałem i widziałem przeróżne emocje.

– O wiele więcej niż dziękuję? – pyta zaciekawiona.

– Samo „dziękuję” nie jest wystarczające, by wyrazić moją wdzięczność – odpowiadam szczerze.

W jej oczach pojawia się zrozumienie, a zagubienie znika z jej twarzy zastąpione powolnym uśmiechem.

– O wiele więcej niż proszę.

Mimowolnie również się uśmiecham i wzdygam głęboko z ulgą.

– Mam mrożoną pizzę. Może wpadnę do ciebie i urządzimy sobie piątkową pizzową imprezkę?

– Mogę gotować, Faith. Zrobiłaś już wystarczająco dużo. – Mam wyrzuty sumienia, że zająłem jej cały dzień.

– Wiem, że możesz. Teraz ja cię o coś proszę. Może po prostu nie chcę być sama. – Wciąż się uśmiecha, ale w jej oczach dostrzegam cień smutku.

Role się odwracają. Teraz ja mogę pomóc jej. Zatem to robię. Odpinam pas i kiwam głową na zgodę.

– No to zacznijmy piątkową pizzową imprezkę. Czas start.

Resztę wieczoru spędzamy w apartamencie numer trzy – cała nasza piątka je pizzę. Nawet Kira postanawia spróbować, by nie urazić Faith, co oznacza prawdziwy przełom, biorąc pod uwagę, że pizza nie jest tolerowaną przez nią potrawą. Śpiewamy karaoke – przesadnie dramatyczne *Hello Adele* w wykonaniu Kiry sprawia, że wszyscy się śmiejemy. Oglądamy też filmy Disneya, które widzieliśmy już tysiące razy, ale i tak je uwielbiamy.

To najlepsze zakończenie jednego z najgorszych dni, które przeżyłem.

JEST ZDZIRĄ, TAK JAKBY

SEAMUS

Teraźniejszość

Refren *Evil Woman Electric Light Orchestra* niezbyt miło wrywa mnie z głębokiego, dość przyjemnego snu. To dzwonek przypisany Mirandzie. Wiem, że to szczeniackie, ale ten żart pozwala mi odebrać telefon z beznamiętnym *Halo* na ustach, zamiast z agresywnym *Pierdol się*.

– Gdzie ty, u diabła, jesteś? – skrzeczy.

Otwieram oczy, próbując przywyknąć do częściowej ślepoty i werbalnej agresji dopadających mnie w tym samym momencie. Muszę przyznać, że obie mi się nie podobają, zamykam więc oczy i odpowiadam:

– Co?

– Gdzie, u diabła, jesteś?! – powtarza, tym razem nieco głośniejsze. – Czekam od dziesięciu minut.

Cholera.

Cholera!

Po wydarzeniach wczorajszego dnia zapomniałem, że Miranda ma zabrać dzieci na weekend. *Myśl, Seamus, myśl*. Nie mogę dopuścić, by

dowiedziała się, że zapomniałem, ponieważ wykorzysta to przeciwko mnie. Nie czuję się na tyle dobrze, by móc bezpiecznie prowadzić, muszę przyzwyczać się do zmiany związanej ze wzrokiem.

– Właśnie miałem dzwonić. Akumulator mi padł. Auto nie chce zapalić. Będziesz musiała przyjechać do mnie po dzieci.

Prycha. Irytacja wywołana brakiem komfortu staje się tak namacalna, że niemal czuję, jakby zimne powietrze wyleciało ze słuchawki i owiało mój policzek.

Podaję jej adres i rozłączam się bez słowa.

Natychmiast budzę dzieci i pakuję im do plecaków czyste ubrania. Wczorajsza pizzowa imprezka zakończyła się dość późno, więc dzieciaki niechętnie wstają z łóżek. Jednak im dłużej przyglądam się ich zachowaniu, tym bardziej wydaje mi się, że ich spowolnione ruchy nie są wywołane sennością. Znam moje dzieci na wylot. Te flegmatyczne ruchy to akt buntu, mniej lub bardziej umyślny. One po prostu nie chcą jechać. Nie ma śladu po ich wczorajszych uśmiechach, zastępują je poważne miny wynikające z konieczności spełnienia obowiązku.

– Co się stało, kolego? – pytam młodszego syna. Rory jest moim najbardziej szczerym dzieckiem, więc wiem, że nie będzie kręcił.

– Nie chcę jechać z Mirandą.

Ktoś mógłby pomyśleć, że ta uwaga odnośnie do mojej byłej żony mnie ucieszy. Uszczęśliwi. Ale tak nie jest. Łamie mi serce.

– Dlaczego? – pytam cicho.

– Bo ona nas cholernie ignoruje, tato. Zabiera nas do hotelu. Pływamy. Ona pracuje, znaczy wydziera się do telefonu i cały czas stuka na laptopie. To bez sensu. Po co zawracać sobie głowę?

Dla potwierdzenia spoglądam na starszego syna. Kai kiwa głową.

– Przykro mi. – Naprawdę. Bardzo mi przykro. Chciałbym powiedzieć coś więcej, uspokoić ich, ale ktoś puka do drzwi. Ściskam ramię Rory'ego, by wiedział, że go słyszałem i że rozumiem, zanim będę musiał oddać ich Mirandzie.

– Przyjechała. Lepiej weźcie plecaki.

Kiedy gotowy na spotkanie diablidy otwieram drzwi, mam przed sobą piękny widok. To Faith.

– Dzień dobry, sąsiedzie. – Stoi na wycieracze z napisem *M....Y*

i się uśmiecha.

– Dzień dobry, sąsiadko – odpowiadamy chórem. Pogodne powitanie zostaje wypowiedziane niezbyt wesołym tonem w ten ponury poranek.

Faith marszczy brwi.

– Może powinnam odpuścić słowo *dobry*?

Razem z dziećmi odsuwamy się spod drzwi, by wpuścić ją do środka.

Kira siada na oparciu kanapy z Ogórkiem pod pachą.

– Mama po nas przyjedzie. – Nawet mała, ufna, szczęśliwa dziewczynka jest nie w sosie.

Faith siada obok niej i kładzie rękę na jej plecach. Wiem, co robi, gesty są mocniejsze niż słowa. Nawet jeśli użyte przypadkowo, są wymowniejsze i łatwiej je zrozumieć. To bezpośrednia forma komunikacji, przekazanie energii z jednego ciała na drugie.

– To cudnie, Kiro. Jestem pewna, że mama się za wami stęskniła. Mieszka tak daleko, że nie może was często widywać.

Kira wzrusza ramionami, ale nie jest to gest pięciolatki. To gest pełen dojrzałości, obaw, których tylko doświadczenie i czas mogą dostarczyć. Gest, który obezwładnia.

Jak na zawołanie – na schodach rozlegają się kroki. Precyzyjne staccato wysokich obcasów stukających o beton. Wstrzymuję oddech i przygotowuję się na widok mojej byłej żony i niechciane spotkanie.

Oto i ona. Stoi na wycieraczce z napisem *M.....Y*.

Wycieraczka znów wygląda nieprzyjaźnie.

Gdy nikt się nie rusza i nikt nie wita, Miranda chrząka znacząco, by zwrócić na siebie uwagę, mimo że wszyscy przebywający w pomieszczeniu i tak na nią patrzą. Chce pokazać swoją dominację. Kiedy na mnie patrzy, jej obecność wywołuje we mnie niepokój, przypominając mi o niespełnionych groźbach walki o dzieci sprzed kilku tygodni. Tamte słowa są niczym śpiący niedźwiedź, do którego nie śmiem odwrócić się plecami i którego nie chcę drażnić.

Obracam się do stojącego obok mnie starszego syna i porywam go w ramiona.

– Bądź grzeczny, kolego. Zobaczymy się jutro rano.

– Do jutra, tato. Kocham cię.

– Też cię kocham.

Rory i Kira stoją już w kolejce, więc kiedy puszczam jedno z dzieci, jeszcze dwa razy powtarzam rytuał.

Cała trójka maszeruje do drzwi, ale Kira zawraca, podbiega do Faith i mocno ją tuli. Gest ten wywołuje reakcję łańcuchową. Najwyraźniej Miranda aż do tej chwili nie zauważyła siedzącej na oparciu kanapy dziewczyny. Na jej twarzy początkowo maluje się zdziwienie, widoczne w jej wytrzeszczonych oczach, które natychmiast mruży. Po chwili z zazdrością prostuje plecy i kończy z miną, którą jestem w stanie określić jedynie jako ogniście piekielną. Miranda dosłownie gotuje się w środku.

– Kim jesteś? – żąda ostro odpowiedzi. Próbuje zastraszyć.

Jednak Faith nie tak łatwo przerazić. Kiedy kończy ścisnąć moją córkę – zawsze trwa to dość długo, a i tym razem żadna z nich nie spieszy się z powodu oczekującej Mirandy – dziewczyna wstaje, z przyjaznym uśmiechem podchodzi do drzwi i wyciąga rękę.

– Mam na imię Faith.

– Faith jest naszą przyjaciółką i sąsiadką – wyjaśniam. – Mieszka piętro niżej. – Czuję, że muszę jej bronić, nie chcę, by sama musiała sobie radzić z Mirandą, która pożre ją żywcem, jeśli tylko nadarzy się ku temu okazja.

Na przyjazne powitanie Faith Miranda odpowiada jedynie mrugnięciem i nie podaje ręki. Przewraca za to oczami i patrzy na dzieci.

– Chodźmy – nakazuje.

Dzieci schodzą za nią po schodach.

Kiedy odjeżdżają, Faith patrzy na mnie i mówi:

– Seamus?

– Tak? – Atmosfera panująca w mieszkaniu została zepsuta przez obecność Mirandy.

Faith ściąga usta na jedną stronę, jakby zastanawiała się, co powiedzieć.

– Jest zdziwiona. Tak jakby – mówi w końcu przeproszającym tonem.

Uśmiecham się krzywo i przytakuję.

– Nawet nie *tak jakby*.

Komórka w mojej kieszeni daje znać o nadejściu wiadomości. To kilka tonów z motywu przewodniego z *Gwiezdných Wojen*.

Faith pytająco unosi brew.

– Miranda – odpowiadam.

Uśmiecha się i kiwa głową, pochwalając mój mroczny, pokręcony wybór dzwonka.

Wiadomość brzmi: „POSUWASZ JA?”.

Śmieję się. Głośno. Dłużej i mocniej niż miałem okazję od dłuższego czasu.

Faith uśmiecha się do mnie.

– Co? – pytam.

– Masz boski śmiech, Seamus. Powinieneś częściej go ujawniać.

Kończę się śmiać, lecz wciąż się uśmiecham.

– Ma urojenia. – Pokazuję Faith ekran telefonu, by mogła przeczytać tekst i wiedziała, że stała się przedmiotem zazdrości Mirandy.

Nie powinienem tego robić.

Nie powinienem był się tym dzielić.

To oczywiste, wnioskując po bólu i upokorzeniu na twarzy Faith.

Dziewczyna opuszcza wzrok z telefonu na podłogę i po kilku sekundach patrzy mi w oczy. Potem przechodzi przez otwarte drzwi, staje na wycieraczkę z napisem *M.....Y* i mówi:

– Zabawne. – Jej ton mija się ze znaczeniem wypowiedzanego słowa. – Muszę iść. Do zobaczenia później, Seamus.

Nim mam szansę zapytać, co się stało, jest już na dole.

– Faith! – krzyczę.

Odpowiada mi jedynie trzask zamykanych drzwi.

Siadam na szczycie schodów, rozważając następny ruch.

Miranda jest zazdrosna, bo uważa, że sypiam z Faith.

Uznałem tę zazdrość za zabawną. Nie ze względu na jej podmiot. Ze względu na samą tę zazdrość. Miranda nie ma do niej żadnego prawa.

Faith pewnie myśli, że pomysł seksu z nią uznałem za śmieszny i zwariowany.

Jezu Chryste. Gapię się ponownie na wiadomość, czując się przez całe to nieporozumienie jak dupek. Skupiam się też na słowie *posuwasz*, zastanawiając się, co ono dokładnie oznacza. Nigdy nie zawędrowałem

na tę ścieżkę... fantazjowania na temat Faith. Jest moją przyjaciółką. Nie wiem, ile ma lat, wiem jednak, że jest dla mnie za młoda. Jest też piękna. Zdrowa i energiczna. Zasluguje na więcej, niż mógłbym jej dać.

Jednak teraz, siedząc na schodach, zamykam oczy i pozwalam sobie w tamtym kierunku powędrować. Naga Faith. W moim łóżku. I ja, również nagi, tuż obok. Boże, jest cudowna, gdy leży pode mną. Jej piersi są pełne, napięte z podniecenia, gdy je ściskam. Jej skóra jest miękka w dotyku. Nasze pocałunki pełne namiętności i pasji wypełniają utrzymywany przez nas rytm. Znajduję się głęboko w niej. Jest ciasno, jej biodra stykają się z moimi przy każdym ruchu. Płyniemy w rytmie wzajemnego zaspokojenia. To seks, którego nigdy nie zaznam. Między pocałunkami z cichym jękiem umyka z jej ust moje imię. Kurwa. Zaraz... zaraz... zaraz... dojdę.

Cholera.

Zaraz dojdę.

W pieprzonych spodenkach.

Na schodach wiodących do własnego mieszkania.

A nawet się nie dotknąłem.

Cholera.

Upłynęło zbyt wiele czasu, odkąd byłem z kobietą, więc ostra fantazja szybko może doprowadzić do spełnienia.

Miałem zamiar zejść na dół i porozmawiać z Faith, ale może to znak, bym wrócił do siebie i zostawił jej nieco przestrzeni. Dość żenujący znak.

NIEPROSZONY INTRUZ WYZWAŁA NOWE OBSESJE

MIRANDA

Przeszłość

Diagnoza Seamusa sprawia, że jeszcze bardziej pograżam się w pracy. On nie zmienia swojej rutyny, akceptując wszystko, czym przytłoczy go ciało. Walczy, starając się zachowywać, jakby wszystko było w porządku. Troszczy się o chłopców. Pracuje. Pozwalam mu na to.

Szczerze mówiąc, próbuję ignorować jego chorobę. Zaprzeczyć jej istnieniu.

Jednak – nie potrafię.

Znalazła się w naszym domu jak nieproszony intruz. Wypacza jego niczym niezmacony obraz, niszczy moją fasadę.

Zwracam się więc w kierunku Lorena. Wymyślam preteksty, by uciec do Seattle i spędzić z nim trochę czasu.

– Pan Buckingham zaraz panią przyjmie. – Asystentka Lorena posiadająca obfity biust wstaje z fotela i podchodzi, by zaprowadzić mnie do drzwi jego gabinetu.

– Znam drogę – odpowiadam, skutecznie powstrzymując jej próby

i sprowadzając ją do roli podwładnej.

Gdy wchodzę i zamykam za sobą drzwi, Loren rozmawia przez telefon. Uśmiecha się z uznaniem, pożądanie błyszczy w jego oczach, gdy obserwuje, jak się przed nim rozbieram. Nie przerywa rozmowy biznesowej, ale podnosi słuchawkę, by głośnik telefonu nie był akustycznym świadkiem naszych śmiałych poczynań.

Mężczyzna na moment całkowicie wycisza telekonferencję, by się ze mną przywitać i cmoknąć mnie w policzek. Przechodzę do rozpinania mu spodni. Nasze seksualne eskapady są coraz śmielsze. Uwodzenie to moja nowa obsesja, którą opanowałam do mistrzostwa. Ostatnio jestem w stanie namówić go na szybki numerek gdziekolwiek.

– Kontynuuj – mówię, uśmiechając się namiętnie, gdy wraca do rozmowy, zwalniając przycisk wyciszenia.

Sztwywnieje, siedząc w fotelu, gdy obejmuję go wargami, i potrzeba zaledwie kilku minut, by ponownie wyciszył rozmowę i wziął mnie na blacie swojego biurka. Szybko i wulgarnie, dokładnie tak, jak lubi. I bez gumki. Tak, jak lubię ja.

Przestałam brać tabletki. Mam nowy plan. Jestem gotowa mieć z nim dziecko, pragnę, by mnie pokochał. Cięża już raz zapewniła mi męża. Założę się, że drugi raz też się sprawdzi.

Nie chcę już mojej fasady, stała się ułomna i nieatrakcyjna. Chcę Lorena i jego imperium. To moje przeznaczenie.

A zawsze dostaję to, czego chcę.

LEP NA MUCHY

SEAMUS

Teraźniejszość

– Seamus, mógłbyś do mnie przyjść? – To Janet, szkolna sekretarka, słyszę, że jest lekko zdenerwowana. Dzwoni na telefon stacjonarny stojący na moim biurku.

– Jasne. Zaraz będę.

Idę tak szybko, na ile pozwalają mi nogi i laska, a kiedy przestępuję próg gabinetu, wita mnie kojący uśmiech Janet i donośny głos nieznanego, który stoi przy jej biurku.

– Seamus McIntyre?

Jestem zdezorientowany.

Jednak domyślam się, o co chodzi.

Przez głowę przelatuje mi wspomnienie niedawnego doręczenia dokumentów rozwodowych, które miało miejsce właśnie tutaj. Czuję, że się pocę, jestem jak lep na muchy, który przyciąga złe wieści.

– Proszę to podpisać – mówi zbyt głośno. Dlaczego nie może mówić ciszej? Teraz wszyscy obecni w gabinecie się na mnie gapią. Janet wygląda, jakby chciała osłonić nas tarczą, by odwrócić ich uwagę.

Wzdycham i pierwsze, co zauważam, to adres zwrotny na kopercie.

Rozpoznaję dane kancelarii prawnej Mirandy.

Właśnie otrzymałem drugi cios.

I to z siłą wybuchu bomby atomowej.

Zrobiła to.

Domaga się wyłącznej opieki.

Suka.

JESTEM PUENTA

MIRANDA

Przeszłość

Jestem w ciąży!

Alleluja!

To dziecko Lorena.

Raz w miesiącu, spełniając małżeński obowiązek, uprawiam seks z Seamusem. Jednak nigdy nie w czasie owulacji. Tak, muszę stwarzać pozory. Jednak gdy biegnę do Lorena, upewniam się, że wypełni mnie po brzegi macierzyńskim potencjałem.

Delikatnie przekazuję Lorenowi wieści o ciąży.

On nie przyjmuje ich w ten sam sposób. Wrzeszczy na mnie. To furia, która rozpała powietrze wokół i spala nas żywcem.

– Jak, do kurwy nędzy, mogłaś zajść w ciążę?! Bierzesz jebane tabletki! – Rzadko przeklina, więc wiem, że wyprowadziłam go z równowagi.

– Tabletki nie dają stuprocentowej pewności – mówię cicho, dla siebie zatrzymując informację, że mają zerową skuteczność, jeśli nie są

przyjmowane. Czuję się jak dziecko karane za głupotę. Nigdy nie byłam tak mała i słaba. Nie podoba mi się to.

Loren patrzy mi prosto w oczy i bez zająknięcia nakazuje:

– Dokonaj aborcji. Nie chcę mieć dzieci.

Moje serce się zatrzymuje. Czuję, jak ścina się krew w moich żyłach.

– Nie mogę tego zrobić. Chcę tego dziecka. – Nie chcę dziecka. Chcę *jego* dziecka. Muszę mieć z nim coś wspólnego. Zmieni zdanie. Zrozumie. Pewnego dnia uświadomi sobie, że należymy do siebie.

Uśmiecha się z obrzydzeniem i kręci głową.

– Dobra. Zatrzymaj je, ale moje nazwisko nie znajdzie się w akcie urodzenia – grozi. – Powiedz, że to twojego męża. Niech on je wychowuje.

Jego słowa bołą. Jestem jak puenta żartu, którego nikt nie opowiedział. Nie tak to wszystko miało wyglądać.

Jednak się nie poddam. W końcu nie zakończył naszej relacji. Nigdy nie przegram. Sprawię, że pewnego dnia spojrzy na sprawy z mojej perspektywy.

CHOLERNIE ŻAŁOSNA GĄBKA

MIRANDA

Przeszłość

Dziecko numer trzy rodzi się pod wpływem ogromnej dawki leków, więc nie czuję żadnego bólu, tylko ciśnienie. Nie jest to mój pierwszy poród – dwa pchnięcia i moje łono pozbywa się intruza, a w sali rozlega się głośny płacz.

– Dziewczynka – mówi lekarz.

A to nowość.

Wiem, że powinnam spojrzeć na Seamusa. Przy pierwszej dwójce tak właśnie zrobiłam. Obserwowałam jego reakcję, mimo że ta mnie niszczyła. Jednak tym razem, gdy pielęgniarka kładzie mi dziecko na piersi, patrzę tylko na nie. Jest pokryte warstwą mazi, przez którą robi mi się niedobrze, i piszczy, jakby sprzeciwiało się zewnętrznemu światu, chcąc wrócić tam, gdzie było mu ciepło. To oczywiste niezadowolenie sprawia, że lekko się uśmiecham. To, co chciałabym teraz wyrazić, zabrzmiałoby pewnie podobnie. Wpatruję się w rysy małej twarzyczki – mimo że z jej ust dochodzi sprzeciw, a oczy są mocno zaciśnięte – wygląda jak ja. To nieco ogrzewa mnie wewnątrz, w końcu mam podobne do siebie dziecko.

– Hej, córeczko, nie płacz – grucha Seamus.

Mała czka, a jej krzyk słabnie, kiedy jego głos ją uspokaja. Oczywiście, że tak jest, przecież jest święty.

Kładzie wielką dłoń na jej małych pleckach, gotowy ją chronić i mówi:

– Jesteśmy szczęśliwi, że z nami jesteś i że możemy w końcu cię poznać, kochanie.

Dziecko całkowicie uspokaja się na jego słowa i mruga wielkimi oczami.

– Wygląda jak ty, Mirando. Jest piękna. – Głos Seamusa jest pełen emocji.

Uśmiecham się i myślę: „Bingo! Tak właśnie powinnam się czuć po porodzie! Powinnam odczuwać przynajmniej jakąś więź, a on powinien okazywać mi podziw. W końcu!”

– Jak damy jej na imię? – pyta.

Przy poprzedniej dwójce nie byłam w stanie wydusić z siebie słowa, duszona negatywnymi emocjami i zazdrością. Jednak nie tym

razem.

– Kira. Po mojej babci. – Seamus nie wie o mojej babci nic za wyjątkiem tego, że mnie wychowała. Nie dlatego, że nie pytał, lecz dlatego, że zatrzymywałam te wiadomości dla siebie i nie chciałam o niej rozmawiać.

– Idealnie – zgadza się.

Gdy Seamus bierze małą na ręce i kołysze ją, a pielęgniarka zabiera głos, moje tymczasowe szczęście rozbija się w pył.

– Chyba nigdy nie widziałam dumniejszego ojca.

Mała nie jest jego.

To Loren powinien być tu ze mną, byśmy dzielili tę chwilę.

Ta doskonała, dramatyczna scena jest pomyłką. Iluzją.

Dziecko jest moje.

Nie nasze.

Tylko moje.

To mnie przeraża.

A jeśli Seamus się dowie, nim Loren zapragnie naszego wspólnego życia, i zostawi mnie, bym wychowywała je sama?

Niedobrze mi. W mojej głowie wiruje fałsz. Zazwyczaj potrafię radzić sobie z takim gównem, ale dziś jest inaczej. Może to przez hormony.

Cały ten pokręcony bieg wydarzeń jeszcze bardziej się pieprzy, gdy przyglądam się, jak Seamus trzyma moją córkę. Szepcze do niej tak cicho, że go nie słyszę. Widzę tylko, że poruszają się jego usta, lecz wyraz jego twarzy zdradza, że każde jego słowo jest obietnicą. Przyrzeczeniem, którego dotrzyma do śmierci. Czuję promieniującą od niego miłość. To wszystko dla niej. Uwaga. Zaangażowanie. Kolejne dziecko, które skradło jego serce.

A nawet nie jest jego.

Gdybym miała sumienie, powiedziałabym mu o tym.

Jednak zrzucam na niego ciężar straty. Straty nie tego, co nasze, lecz tego, co moje. Mojego marzenia o nowym życiu z innym mężczyzną. Czuję się bardziej samotna niż kiedykolwiek.

Skurwiel. Ulżyło mi, kiedy kazałam podwiązać sobie jajowody, by ta produkcja się zakończyła. Nie dam się już skołować żadnemu

facetowi.

Gdy tylko trafiam na salę poporodową, żądam leków na depresję. Pielęgniarka informuje mnie, że będzie musiała skonsultować to z lekarzem.

– Pieprzyć konsultacje, daj mi leki – warczę, mrużąc oczy.

Wychodzi pospiesznie, zaraz potem wraca Seamus, najpewniej za jej namową.

Wysyłam go po cheeseburgera i frytki z restauracji zlokalizowanej kilka kilometrów dalej. Nigdy nie jadłam tego syfu, ale dzisiaj mam zamiar pozwolić sobie na wszelkie grzeszne przyjemności. A jeśli już o nich mowa – gdy tylko Seamus wychodzi z mojej sali, wyciągam komórkę z torebki i wybieram numer Lorena.

– Mirando. – Jego głos jak zwykle sprawia, że czuję w brzuchu podrywające się do lotu motyle. Teraz również tak jest, mimo traumy, którą przeżyłam przez ostatnie kilka godzin. Wydałam na świat dziecko, wypchnęłam z siebie całą okropną resztę, przeżyłam szok. Moja rozciągnięta skóra w końcu może odpocząć, a udany zabieg na jajowodach sprawi, że wszystko to już nigdy się nie powtórzy.

– Hej. – Wypowiadam to krótkie słowo, które brzmi słabo i żałośnie. Nagle jestem na skraju łez. Takich, które nie wypływają pojedynczo w kojącym, cichym płaczu, lecz sączą się obficie w bolesnym, histerycznym szlochu.

– Justine mówiła, że nie byłaś dziś w pracy. Wszystko w porządku?
– Chciałabym usłyszeć w jego głosie współczucie i troskę, lecz słyszę tylko ponaglenie. Jest zajęty i chce się rozłączyć. Sama zachowuję się tak w stosunku do wszystkich... Do wszystkich – z wyjątkiem jego.

Biorę głęboki wdech, by powstrzymać napływ emocji, i odpowiadam:

– To dziewczynka. Podobna do mnie.

Cisza. Ta wiadomość wychodzi na spotkanie ciszy.

– Obie czujemy się dobrze – dodaję, pragnąc, by zadał to pytanie, by nie wypowiedział jakiejś niechcianej odpowiedzi.

Jednak i te słowa spotykają się z ciszą.

Dwukrotnie z trudem przełykam ślinę.

– Nie będę ci się narzucać. Chciałam tylko, byś wiedział. –

Rozłączam się, nim usłyszy płacz wymykający się z moich ust.

Gdy wraca Seamus, wciąż szlocham. Odkłada torbę z jedzeniem na stolik, układa się przy mnie na łóżku i mnie obejmuje.

Tuli mnie, jakbym była warta pocieszenia.

Jakbym nie była wcielonym diabłem.

Jakby mnie kochał.

Na wszystko prawdopodobnie nie zasługuję, ale chłonę to jak jakaś cholernie żalosna gąbka.

I myślę: *Pierdol się świecie.*

WSZYSTKO, CO ZOSTAŁO, TO MY

SEAMUS

Teraźniejszość

Miranda odebrała dziś dzieci z mojego mieszkania. Gdy kazała je podwieźć, odmówiłem. Szczerze mówiąc, chciałem zabarykadować się z nimi wewnątrz i jej nie wpuścić. Albo zapakować je do samochodu i odjechać jak najdalej. I nigdy nie wrócić.

Sprawa opieki ma się rozpocząć w sądzie za dwa tygodnie. Wiem, że Miranda uważa, iż się poddam i podpiszę dostarczone dokumenty, by uniknąć walki. Zdaje sobie sprawę, że nie stać mnie na adwokata. Sprzedałbym pieprzoną duszę, by móc walczyć o dzieci. Miranda zawsze była egocentryczna, samolubna. Wydaje się, że im więcej ma władzy w firmie i im więcej zarabia, tym bardziej jest nierozsądna. Nie potrafi żyć w rzeczywistości. Wszystko jest dla niej współzawodnictwem... Uważa się za zwyciężcę, nawet jeśli nic na to nie wskazuje. Pieprzyć przeciwnika – przez dłuższy czas i tak nie połapie się, że został wydymany, a powinien walczyć na całego, póki nie będzie za późno.

W moim przypadku nie jest za późno.

Więc walczę.

I wariuję. Uwięziony w tych ścianach. Muszę wyjść na kilka godzin. Postanawiam kupić kanapkę w barze pani L. Od tygodni nic tam nie jadłem. Żyłem o chlebie z masłem orzechowym i dżemem zjadanych na lunch. Tak było najtaniej. Ostatnio stać mnie tylko na to. Jednak dziś mam zamiar się wykosztować i zafunduję sobie półmetrową bagietkę z rostbefem z pikantną musztardą i papryką. Może utopię w niej smutek, który odczuwam.

Pani L. sprzedaje mi długą bułkę w cenie małej. Czuję się jak król. Mój nastrój nieznacznie się poprawia. Słońce pragnie mojego towarzystwa, gdy wychodzę na zewnątrz. Otula mnie ciepło.

Otula...

Siadam przy stoliku przed barem i myślę o Faith. Brakuje mi jej. Jej uśmiechu. Jej pogodnej natury. Jaskrawości – nie tylko tej migoczącej wśród kolorowych kosmyków włosów, lecz także tej odnajdywanej w jej obecności. Wszystko w niej jest kolorowe. Jest jak tęcza na szarym tle.

Mój świat.

Szarość.

Faith jest kontrastem. Świeci bez wysiłku, mimowolnie zwracając moją uwagę. Jest magnesem, którego przyciąganie czuję całym sercem, lecz cały czas nieświadomie je kwestionuję.

Gdy pukam do jej drzwi, Faith nie otwiera, więc, wmawiając sobie, że nie chodzi o randkę, piszę na rachunku sklepowym:

Kolacja? Apartament nr 3. 19:00.

Na skutek osiadania budynku, z prawej strony pod drzwiami dziewczyny powstała niewielka szczelina. Tam też wsuwam liścik.

Wracam schodami do siebie, kładę się na kanapie i natychmiast zasypiam. To sen, którego rozpaczliwie potrzebuję – wynagradza mi czas spędzony na zamartwianiu się w tym tygodniu.

Puk, puk... puk... puk, puk.

To standardowe pukanie Faith. Improwizowany, przypadkowy

rytm. Nigdy nie zdarza się ta sama sekwencja.

Mrugam zaspany, lecz moje serce bije tak chaotycznie, że siadam i sięgam po laskę, nim jeszcze w pełni odzyskam świadomość.

– Idę! – krzyczę, chociaż się widzimy, ponieważ Faith zagląda przez niewielkie okienko przy drzwiach.

Kiedy otwieram, widzę, że stoi na wycieraczce – dokładnie między literami *M* i *Y*. Patrzy na nie.

– *My* – mówi. – Myślisz, że to coś znaczy?

Jestem pewien, że już nie śpię, lecz to pytanie zbija mnie z tropu. Faith unosi głowę i przygląda mi się niebieskimi oczami. Zapomniałem, jak głębokie jest ich spojrzenie.

– Co?

Nadal stoi w miejscu.

– Nie ma reszty liter. Jakby celowo zostały usunięte. Wszystko, co zostało, to *MY*.

Jej słowa dzwonią mi w uszach. *Zostało tylko MY*. Ona. I ja. Wzruszam ramionami.

– Bo tak chyba jest. Zostaliśmy, przynajmniej dzisiaj, tylko my. Ty i ja. – Uśmiecha się, czuję, że akceptuje moje przeprosiny, nim zdążyłem je jeszcze wypowiedzieć. – Przepraszam. To było nieporozumienie. Śmiałem się z jej zazdrości, nie z ciebie. Powinienem być do ciebie przyjąć wcześniej. Życie zaczyna...

Przerywa mi, kładąc palec na ustach, i powtarza:

– *My*. – Schodzi z wycieraczki i wchodzi do mojego mieszkania. – Co na kolację, Seamus?

Kiedy idzie za mną do kuchni, drapię się po karku, myśląc o tym samym.

– Nie wiem. Coś musimy wymyślić. Od tygodnia nie byłem na większych zakupach.

Wzrusza ramionami.

– Łatwo mnie nakarmić. – Zawsze jest bezkonfliktowa. Zastanawiam się, czy to dzięki temu, że wychowali ją tak rodzice, czy po prostu taki ma charakter, czy też może to wypracowała.

Otwieram lodówkę i szafki.

– Mamy makaron pszenny, makaron z serem, płatki kukurydziane,

płatki owsiane albo mielonkę. O, albo tosty. Możemy też zjeść wszystko razem.

Zerkam przez ramię na jej reakcję i widzę, że się uśmiecha.

– To może makaron z serem i z mielonką?

– Jak to makaron z serem i mielonką?

– Normalnie – potwierdza. – Nigdy nie próbowałam, ale możemy podsmażyć tę mielonkę. Nie lubię zimnego, sflaczałego mięsa w ustach. Przyprawia mnie o mdłości.

Parskam śmiechem, bo jej wypowiedź można dwuznacznie zinterpretować i, choć nie chcę wyjść na świntucha, robię to mimowolnie.

– Sflaczałe mięso?

Przytakuje, śmiejąc się ze mną i rumieniąc odrobinę.

– Tak, sflaczałe. Mielonka, hot dogi, kielbasa. Nigdy nie wiesz, co tak naprawdę jest w środku. Więc to tylko sflaczałe mięso.

Jej zaróżowione policzki są urocze.

– Chwytam. Ale proszę, nie mów tego przy Kirze. Żyje na mielonce i hot dogach. Nie mogę pozwolić, by z jej, i tak już ubogiej diety, zniknęło mięso.

Faith podsmaża mielonkę, ja w tym czasie podgrzewam makaron z serem. Robimy też tosty, więc wszystko jest na ciepło.

Kiedy siadamy z talerzami na kanapie, Faith ocenia swój posiłek.

– Seamus, może stworzyliśmy coś genialnego. Wyszło elegancko, a zarazem tanio.

Unosząc brwi, rozglądam się po pokoju.

– Jeśli jeszcze nie zauważyłaś, tak właśnie żyję.

Śmiejąc się, bierze kęs. Po przełknięciu zaś odpowiada:

– O, zauważyłam. Ja też tak żyję – dodaje i puszcza do mnie oko.

Przeżuwając, dochodzę do wniosku, że to dobry moment, by czegoś się o niej dowiedzieć.

– Skąd pochodzisz, Faith?

– Z Kansas City – odpowiada.

Przerywam jedzenie i przyglądam się jej uważnie. Z pewnością żartuje. Nie wygląda na kogoś ze Środkowego Zachodu.

– Serio?

– Serio. Wychowywałam się tam. Przeniosłam się tutaj kilka miesięcy temu.

– A co sprowadziło cię do Kalifornii? Jesteś bardzo daleko od domu.

Uśmiecha się, jakby wiedziała, że mnie rozbawi.

– Poszukiwania.

Odwzajemniam uśmiech.

– A, tak, poszukiwania. Twoi rodzice nadal mieszkają w Kansas City?

Kręci głową, przeżuując kanapkę.

– To gdzie mieszkają?

– Wychowywałam się w rodzinach zastępczych.

Martwią mnie te słowa, mimo że nie miały negatywnego wydźwięku. W mojej pracy często mam do czynienia z dziećmi z rodzin zastępczych. Będąc pedagogiem, poznaję wiele aspektów życia moich podopiecznych. Większość opiekunów zastępczych to tak naprawdę kochający „rodzice”, którzy chcą dla dziecka jak najlepiej. Zawsze jednak znajdzie się jakiś wyjątek. Taki, który zepsuje dobrą opinię. Właśnie te przypadki przychodzą mi w tej chwili na myśl. Dorośli, którzy powinni być odizolowani i którym w żadnym wypadku nie powinno być oddane pod opiekę dziecko.

– Jak było? – Ścisza mi się żołądek, gdy czekam na odpowiedź.

– Powiedzmy, że niektóre rodziny radziły sobie lepiej od innych. – Dostrzega zmartwienie w moich oczach, więc dodaje pośpiesznie: – Są ludzie, którzy naprawdę potrafią cię docenić. Sprawić, że czujesz się coś wart. A niektórzy tylko cię karmią i zapewniają dach nad głową. – Wzrusza ramionami. – Przeżyłam. To sprawiło, że jestem bardziej wdzięczna tym, którym zależało. Wdzięczność nie jest darem dla tego, kto ją odbiera, lecz dla tego, kto daje.

– Ile masz lat, Faith? – Teraz jestem jeszcze bardziej ciekaw.

– Dwadzieścia dwa.

– Jak to możliwe, że jesteś taka mądra w tym wieku? – Pytam poważnie, ponieważ jest myślicielką.

– Mam starą duszę. – Puszczą do mnie oko. – Wychowywanie się w rodzinach zastępczych to takie psie lata. Każdy rok liczy się

podwójnie, więc praktycznie mam już ich czterdzieści cztery.

Uwielbiam jej poczucie humoru.

– Dobrze wiedzieć. Mam mówić do ciebie: „Proszę pani...”? Tak właśnie zwracam się do starszych...

Kręci głową z groźną miną.

– Nigdy. Nawet wtedy, gdy będę miała dziewięćdziesiątkę, nie pozwolę, by ktokolwiek tak do mnie mówił.

Kończę posiłek – nasza improwizacja okazała się zaskakująco smaczna. Czekam, nim Faith przełknie, a następnie zadaję kolejne pytanie:

– Kiedy trafiłaś do rodziny zastępczej?

– Gdy miałam dwa dni.

– Nie pamiętasz więc swoich biologicznych rodziców?

Kręci głową, dając znać, że coś przegapiłem lub źle zrozumiałem.

– Matka oddała mnie do adopcji zaraz po urodzeniu. Moi przybrani rodzice... nie mogli pełnić swoich obowiązków, gdy uświadomili sobie po niedługim czasie, że niemowlaki i maluchy wymagają poświęceń.

Ściska mi się serce. Bolą mnie jej słowa, ponieważ odruchowo myślę o własnych dzieciach.

– Wiesz dlaczego matka adopcyjna oddała cię dalej?

– Opiekunka społeczna pokazała mi moje akta, kiedy skończyłam osiemnaście lat. Czarno na białym dawały one dowody zaniedbania i przemocy. Cieszę się, że dorośli nie zachowują wspomnień z wczesnego dzieciństwa. – Spogląda na mnie. – Najlepszym prezentem, jaki dostałam od życia, jest zapomnienie o najgorszych chwilach. Mimo to posiadam wiele blizn.

Krzywię się na myśl o bólu, który niewątpliwie odczuwała.

– Przykro mi.

Kręci głową i mówi:

– Nie musi ci być przykro, Seamus. Nie pamiętam tego...

– Ale to nie usprawiedliwia krzywdy, jaką ci wyrządzono – przerywam, chcąc ją wesprzeć. Staje mi przed oczami jej obraz. Ściska na plaży nieznanym z czułością, która nigdy nie powinna się w niej zrodzić.

– Nie twierdzą, że moja niepamięć ich rozgrzesza. Oboje trafili do

pułła. Potem już nigdy więcej z nimi nie rozmawiałam. Mówię tylko, że wolność od tych okropnych wspomnień jest wielką łaską, którą obdarzył mnie świat. Łaską, dzięki której oszczędziłam wiele kasy na psychoterapię.

Uśmiecham się, widząc jej optymizm.

– Jesteś niesamowita, wiesz o tym?

Kręci głową.

– Nie. Jestem tylko dziewczyną, która cholernie mocno walczyła o swoje nazwisko.

– Co to znaczy?

– Kiedy miałam osiemnaście lat, oficjalnie zmieniłam imię i nazwisko na Faith Hepburn. Zanim zapytasz, to po Audrey i Katherine, ponieważ obie były niezwykłymi kobietami. To połączenie dość ładnie brzmi.

– No tak – zgadzam się. – Jesteś religijna? Dlatego wybrałaś imię, które oznacza wiarę?

– Nie.

– Dlaczego więc *Faith*? W co wierzysz?

Jej oczy są jasne. Widać w nich doświadczenie, gdy odpowiada:

– W życie.

Kiwam głową. Oczywiście. Cała jej egzystencja opiera się na doświadczeniu.

– A ty, Seamus? W co wierzysz? – Ale zanim mam szansę odpowiedzieć, dodaje: – I nie możesz powiedzieć, że w dzieci. To oczywiste.

Cholera, to właśnie chciałem powiedzieć. Jedyna inna odpowiedź, która przychodzi mi do głowy, jest zbyt ponura, by ją wypowiedzieć.

– No więc? – naciska.

– Nie wiem – kłamię, nie chcąc jej zasmucać. – Nie potrafię niczego wymyślić.

– Znasz odpowiedź – nalega. – Widzę ją wypisaną na twojej twarzy. Widzę to w sposobie, w jaki się garbisz. Widzę to, kiedy przymykasz oczy.

Obracam głowę i spoglądam na nią, potem wzdycham i opieram się o kanapę.

– Wierzę w upadek. Upadek mojego zdrowia, mojej psychiki, szczęścia. Miranda z całej siły postara się, bym sięgnął dna. Odbierze mi wszystko to, co pozostaje. Nienawidzę jej, Faith. Prawdziwie i na wskroś nienawidzę tej kobiety. – Dziewczyna mruży oczy, jakby próbowała odgadnąć, o co chodzi, więc odpowiadam na jej niezadane pytanie: – Za dwa tygodnie rozpoczyna się rozprawa, ponieważ wniosła o pełną opiekę nad dziećmi.

– Co? Nie może ci ich zabrać.

– Wszystko zależy od wyroku sądu. To niesprawiedliwe. Całkiem obca osoba ma zdecydować o przyszłości mojej i dzieci, a wszystko dlatego, że Miranda ma fioła na punkcie zemsty, władzy i bogactwa. Wspominałem już, jak bardzo jej nienawidzę? – Ostatnie zdanie wypowiadam ze złością i sarkazmem, inaczej mógłbym się rozkleić. Albo zacząć krzyczeć, uderzając ręką w ścianę. Jestem na skraju szaleństwa.

– Musisz walczyć. Z całych sił. – Wygląda, jakby rozpałała się w niej determinacja. Determinacja, którą ja powinienem czuć. Determinacja tak ogromna, że nie pozostawia miejsca na wątpliwości.

Jednak mam ich zbyt wiele. To bękarty strachu. Nienawidzę się bać, a moje serce prócz zdecydowania przepełniają wątpliwości. Współistnieją, lecz nie przeważają.

Kiwam głową, zgadzając się z nią.

– Nie mogę ich stracić, Faith. – Mój głos przepełniony jest smutkiem i frustracją, które zatykają mi gardło.

– Nie stracisz – zapewnia. A potem wstaje, podchodzi do drzwi wejściowych i otwiera je. Następnie pochyla się, podnosi wycieraczkę, wraca do środka i zamyka za sobą drzwi. Powoli podchodzi do mnie i kładzie matę na podłodze. Dokładnie przede mną. Staje na niej, uśmiecha się i mówi:

– Muszę cię przytulić. Teraz.

Biorę ją za rękę, którą do mnie wyciąga, by pomóc mi wstać.

Patrzy na wycieraczkę, na której oboje stoimy, a potem wraca spojrzeniem do moich oczu.

– My – mówi. – Nie jesteś sam, Seamus. Jestem przy tobie.

Obejmuję ją, pozwalając, by odpłynęły ze mnie wszelkie złe

emocje, ale ich jej nie zostawiam. Czuję, jak przepływają przez moją głowę, tors, nogi i stopy, jakby ktoś wyciągnął ze mnie korek. Czuję, jak opuszczają mnie strach i napięcie, mimo że wiem, iż to chwilowe.

Wyczuwam, że Faith przeżywa to samo. Uścisk, początkowo silny, bardziej fizyczny niż emocjonalny – jakbyśmy oboje chcieli udowodnić, że jesteśmy tu obecni dla tej drugiej osoby – zmienił się w coś bardziej uczuciowego, wspierającego. Jednak nie czuję, by osłabł.

– O wiele więcej niż dziękuję – szepczę jej do ucha.

– O wiele więcej – odpowiada szeptem. W jej słowach znów odnajduję miękkie miejsce na wypadek upadku. Zauważam jednak subtelną zmianę w nas obojgu. Między nami rodzi się nie tylko wzajemna akceptacja i wdzięczność, lecz także przyciąganie. Pożądanie.

Spieram się z własnym sumieniem. Jestem zbyt świadomy przytulającej się do mnie kobiety. Kobiety, w której chciałbym się zatracić, choć na jedną noc. W duchu zakreślam linie. Granice, których nie powinienem przekraczać. Jednak moje usta żyją własnym życiem.

– Masz chłopaka, Faith? – pytam cicho, jakbym, tuż przy jej obojczyku, wypowiadał życzenie.

– Nie – odpowiada szeptem.

Słyszę to słowo. Rozumiem jego znaczenie. Jednak smutny, pełen wahania i nadziei ton jej głosu rozgrzewa krew w moich żyłach. Nadzieja, która prosi o potwierdzenie... natychmiastowe.

Potwierdzenie, w którym przekraczam granice i dotykam ustami jej skóry. Faith unosi lekko ramię, łaknąc kontaktu i cicho wzdychając.

Westchnienie zachęca mnie do wędrówki wargami... końcówką języka muskam linię jej obojczyka aż do podstawy szyi.

W odpowiedzi dziewczyna zaciska palce z tyłu na mojej koszulce.

Zawsze idealizowałem fizyczną intymność uważając, że powinna być niczym rozmowa. Miłosa wymiana zdań. Nigdy nie miałem partnerki, która byłaby chętnym rozmówcą.

Aż do tej chwili.

Palce muskające lekko rękę, od nadgarstka aż do ramienia... pozostawiające w odpowiedzi gęsią skórę.

Ciepły oddech owiewający szyję, uwalniany cierpliwie przed pocałunkami składanymi tuż za uchem i wywołującymi dreszcz.

Zmiana postawy, wsunięcie nogi pomiędzy dwie inne, obejmując ją z wzajemnością.

Początek pocałunku, miękkiego i czułego, który witany jest rozchyłonymi wargami.

Zdejmowanie koszulki w reakcji na zsunięcie się tej pierwszej.

Dotyk za dotyk.

Pocałunek za pocałunek.

Serce za serce.

Zaufanie za zaufanie.

Wszystko podlega wymianie. Granice, które wcześniej wyznaczyłem, zacierają się, jeśli już nie zostały przekroczone. Nie cofam się, lecz nie posuwam dalej. Faith również na to nie naciska, wydaje się całkowicie usatysfakcjonowana rozmową naszych ciał, w której nie istnieje seks.

Nawet gdy przenosimy się na kanapę, na której siada mi na kolanach okrakiem, cała nasza rozmowa odbywa się od pasa w górę. Jej tempo i intensywność są jak fale oceanu, które tak uwielbiam oglądać. Niektóre niskie, łagodne, płynne, inne – wysokie, gwałtowne, uderzające mocno w namiętym szale. Przyływy i odpływy są tak naturalne, że bez wahania instynktownie się im poddaję. Wahanie oznacza wątpliwość i niepewność. Żadna z nich nie jest możliwa, gdy dotykam Faith.

Tak mija godzina, a kiedy nasze ciała zaczynają się ze sobą łączyć, wyczerpanie otula nas niczym błogi, rozkoszny koc. Powoli, bardzo powoli odsuwamy się od siebie. Jej głowa spoczywa na moim ramieniu, nasze torsy akceptują wzajemny dotyk w końcowym uścisku. Ostatnim, co słyszę, nim oboje odpłyniemy w sen, jest szept:

– O wiele więcej...

Woła moją duszę.

BOTOKS, PŁASZCZ I PRZEZNACZENIE

MIRANDA

Przeszłość

Seamus przeżywa w chorobie wzloty i upadki. W tym złowieszczym, nielogicznym cyklu objawy najpierw łagodnieją, by z czasem powrócić z większą mocą. Nie wspieram go, ale obserwuję jego zmagania, kiedy jestem w domu. Nie zdarza się to więc często. Czucie w jego nogach powróciło, ale okupił to bólem. Choć Seamus się nie skarży, widzę, jaki wpływ ma na niego choroba, gdy mąż porusza się i chodzi. Nie stawia kroków płynnie, lecz z ostrożnością i wahaniem. To nie jest atrakcyjne. Wiem, że brzmi to bezdusznie. Jednak, choć jego twarz wciąż wygląda jak twarz modela, nie mogę nie dostrzegać jego fizycznej ułomności.

Przez rok po urodzeniu Kiry zwróciłam się w kierunku Seamusa, ponieważ Loren całkowicie wycofał się z naszego życia seksualnego. Ignorowałam brak pociągu fizycznego do męża, ponieważ w ciemnej sypialni nigdy mnie nie zawiódł. Mogłam uprawiać seks z Seamusem i myśleć o Lorenie.

Jednak nie trwało to długo. Po miesiącach przygnębienia zabrałam się za siebie: wstrzyknęłam botoks i zatrudniłam trenera personalnego.

Dzięki temu wyglądam teraz lepiej niż kiedykolwiek. Gdy więc stoję na progu domu Lorena ubrana jedynie w płaszcz, natychmiast zdziera go ze mnie i bierze mnie ostro tam, gdzie jesteśmy, przy ścianie foyer.

Zostaję u niego na dwa dni. Myślę, że kręci go myśl, że nie mogę zajść w ciążę. Jest nienasycony, jakby od miesięcy umierał z głodu, ponieważ tylko ja mogę zaspokoić jego apetyt. Jestem na dobrej drodze, wydarzenia przybrały właściwy obrót i moje przeznaczenie może się spełnić.

Po raz kolejny pokazuję światu środkowy palec, odjeżdżając taksówką spod bramy domu Lorena. Kiedyś tu wrócę i zostanę na stałe. Z nowym nazwiskiem. Albo wypalę się, próbując tego dokonać.

SZANTAŻ TO TAKIE BRZYDKIE SŁOWO

MIRANDA

Przeszłość

Mam trzydzieści trzy lata.

Odniosłam niewiarygodny zawodowy sukces. Jestem wiceprezesem firmy technologicznej, która przez ostatnie lata dziesięciokrotnie zwiększyła zyski – wszystko dzięki mojej pracy i dobremu zarządzaniu. Moja reputacja w tej branży jest większa niż ja sama. Pracowałam na nią z precyzją, postępując według mistrzowskiego planu, w którym uwzględniłam zarobki, stanowisko i władzę.

Jestem nieustraszona.

A co najważniejsze – wszyscy się mnie boją.

Babcia byłaby taka dumna.

Pieniądze nie przestają płynąć. Moja pensja jest niebotyczna, mimo to zawsze staram się o kolejną podwyżkę. Gromadzę wszystko na rachunkach bankowych i funduszach inwestycyjnych, o których Seamus nic nie wie i nigdy się nie dowie. Mój dzień nadchodzi, a kiedy się to stanie, mąż pożałuje, że był na tyle głupi, że podpisał intercyzę, na którą uparłam się wiele lat temu. Chciałam mieć gwarancję, że wszystkie moje zyski zostaną ze mną, gdy już się rozwiziemy. On może sobie

zatrzymać swoje marne czterdzieści tysięcy rocznie. Choć i tak grosze te znikają w chwili, gdy spłyną na jego konto. Przeznacza je na rachunki, jedzenie, ubezpieczenie, samochód i wszystko, czego potrzebują dzieci. Nie będzie miał zapewne problemu, gdy zamieszka kiedyś sam. Pieniądze nic dla niego nie znaczą. Myśli wyłącznie o dzieciach i pomaganiu innym. Głupek.

Mimo osiągniętych sukcesów wciąż tkwię w ślepej uliczce.

Nadal jestem z Seamusem. I z dziećmi. Moja fasada trwa niewzruszenie.

Jednak jestem tym już cholernie zmęczona.

Myślałam, że będzie mnie to wzmacniało. Dobry mąż, liczba dzieci zgodna ze statystyką, biały płótek przy domu – wszystko wygląda dobrze. To obrazek, którego oczekuje społeczeństwo, zapewniający reputację. Te punkty, nawet jeśli są tylko moją fantazją, mogą neutralizować moją bezwzględność. Nawet jeśli ludzie uważają mnie za sukę, mówią: „Oj, ale ma wspaniałego męża i urocze dzieci, więc nie może być taka zła”. To zapewnia mi stabilny wizerunek w oczach innych. I sprawdza się, a właściwie sprawdzało, póki na horyzoncie nie pojawiło się coś znacznie lepszego. Moje przeznaczenie. Fasada karmiona sterydami. Wykreśl dobroć, dopisz – zbytek. Zbytek... cóż za wspaniałe słowo.

Muszę wypełnić moje przeznaczenie.

Czekałam na to od dawna.

Kira właśnie skończyła cztery lata.

Loren wciąż jej nie poznał. I jej nie uznał.

Kilka razy w miesiącu latam do Seattle. Pieprzymy się z Lorenem jak króliki, a potem wracam do domu. Pusta. Nawet gdy jestem z nim, czuję się pusta, ponieważ wiem, że zostanę skreślona, kiedy to się skończy. Nie chcę zostać skreślona. Zaslужuję, by tam z nim zostać. Chcę być jego pieprzoną królową.

Niegdyś sądziłam, że go kocham. Myślę, że w pewnym sensie tak było. Jednak bardziej niż tego mężczyznę kocham sam jego wizerunek, wszystko to, co czyni z niego tego, kim jest. Kocham jego posiadłość.

Kocham jego pieniądze. Kocham jego władzę. Kocham nieugiętość w biznesie. Kocham jego chłodną, wyrafinowaną pewność siebie. Kocham jego postawę nastawioną na zwycięstwo. Jest prawie taki sam jak ja, tylko ma penisa. Kto by tego wszystkiego nie kochał? Właśnie to nas do siebie przyciąga, łączą nas nasze zalety. To najwspanialszy z zakazanych snów, pieprzona biznesowa fantazja erotyczna.

Czas ją spełnić, ponieważ wyraźnie widać, że Loren nie zamierza kupić krowy, kiedy dostaje mleko za darmo.

Już późno, jest po jedenastej wieczorem. Wyjazd był organizowany na ostatnią chwilę. Zamiast wrócić z firmy do domu pojechałam na lotnisko i wskoczyłam do samolotu lecącego do Seattle. Jadę taksówką do posiadłości Lorena, by pokazać mu, ile będzie kosztowało go mleko tej krowy.

Torebka od Louisa Vuittona zwisająca z mojego ramienia zawiera bilet do mojej przyszłości, mojego przeznaczenia. Jestem zmęczona czekaniem. Muszę zacząć działać. Znudziła mnie ta stagnacja. Dokumenty zebrane w teczce były starannie gromadzone w ciągu ostatnich lat, na wypadek gdybym potrzebowała mocnego argumentu, który pomoże mu dostrzec sprawę z mojej perspektywy.

Kiedy taksówka skręca w jego ulicę, dzwonię do niego.

Odbiera po trzecim sygnale:

– Miranda?

– Otwórz bramę. Jestem – mówię. Uwielbia, gdy wydaję polecenia. Postępuje tak samo wobec mnie. To iskrząca wojna charakterów, pokrecony rytuał godowy.

– Przyjechałaś? – pyta, chociaż nie brzmi, jakby był zaskoczony. Jest piątkowy wieczór, często się to zdarza.

– Jestem przed domem – mówię, gdy taksówka staje pod bramą.

– Wyjechałem właśnie na późną biznesową kolację. – Oznacza to jedynie seks z wysokiej klasy dziewczyną do towarzystwa. Wynajęłam prywatnego detektywa, by go śledził. Wiem, co lubi: ciemne włosy, duże cycki i pełne kształty. Mam zdjęcia. Wiem również, że pociągają go nieletnie. Choć wyglądały jak dwudziestolatki, wiele z nich nie

skończyło osiemnastki. Był bardzo, bardzo niegrzecznym chłopcem.

– Nie spiesz się z powrotem – mówię, uśmiechając się.

– Zadzwoń do gospodyni, by cię wpuściła. Rozgość się i poczekaj. – Oznacza to, że mam się rozebrać.

– Jak mówiłam, nie spiesz się – powtarzam.

Brama się otwiera. Gdy tylko kończę połączenie, gosposia wita mnie po imieniu przy drzwiach.

Bierze mój płaszcz i mówi:

– Pan Buckingham niedługo przyjedzie. Prosił, by poczekała pani na niego, gdzie tylko sobie pani życzy. – Kiwa grzecznie głową i odchodzi.

– Oczywiście – mówię do jej pleców, obserwując jej kołyszący się ostentacyjnie tyłek w krótkiej spódniczce. Kiedy się wprowadzę, zwolnię ją, zatrudniając kogoś starszego i mniej atrakcyjnego. Kogoś, kto kręcenie tyłkiem ma już dawno za sobą.

Od razu kieruję się do jego gabinetu i zamykam za sobą podwójne drzwi. Wszystko w tym pomieszczeniu mnie podnieca. Jego męskość mnie obezwładnia, sprawia, że czuję mrowienie między nogami. Eleganckie drewno, skóra, ciemne kolory, słaba woń cygar są jak feromony.

Nalewam sobie szklaneczkę najlepszego koniaku, wyjmuję wszystkie dokumenty i zdjęcia z torebki, i rozkładam je jak prezentację na jego biurku. Skrupulatnie planowałam ten skandal, na blacie masywnego biurka brak już miejsca. Rozbieram się do koronkowego biustonosza i dopasowanych stringów, pozostawiając na stopach szpilki. Zajmuję miejsce w jego skórzanym fotelu za biurkiem, sącząc ze spokojem drinka. Zastanawiam się nad masturbacją, bo podniecenie, które odczuwam, sprawia, że jestem na skraju orgazmu, jednak decyduję się poczekać, bo chcę złagodzić ból, zanim zniszczę Lorena. Chcę pieprzyć się z nim, zanim go wydymam.

Kiedy w końcu otwiera drzwi, uśmiecha się, podziwiając mój strój.

– Jesteś moim ulubionym gościem, wiesz o tym? – Rozbiera się, zrzucając ubrania na podłogę, i powoli się do mnie zbliża. Zawsze

podziwiałam jego nagą sylwetkę. Chodzi na siłownię i obsesyjnie biega, więc jego ciało wygląda, jakby było o połowę młodsze, niż jest w rzeczywistości.

Wstaję i zdejmuję bieliznę. Wykonuję ten striptiz powoli, by go rozgrzać.

Przygląda mi się z uwagą, gdy kładę się na biurku. Na swoim misternie przygotowanym dziele.

– Ulubionym – szepcze, skradając się do krawędzi długiego biurka na czworakach.

Gdy chwyta mnie w talii, powstrzymuję go:

– Chwileczkę.

Spełnia polecenie.

– Kazałeś mi czekać – mruczę.

Patrzy na mnie z uśmiechem. Wiem, że dokładnie tak samo uśmiecha się do swoich dziwek, nie jestem już wyjątkiem.

– Ja pierwsza.

Jego uśmiech się poszerza, gdy patrzy w górę i zwilża językiem wargi.

– Pierwsza? – pyta, drocząc się ze mną.

– Teraz – rozkazuję.

Powoli na mnie opada, cały czas patrząc mi w oczy. To zwiększa między nami napięcie. Powolne tempo, kontrola, to go kręci. Nie potrafię zaprzeczyć – mnie też.

Jego usta mnie pożerają. Wargi, zęby, język, współdziałając, ofiarują mi błogość. Dołączają do nich palce. Płonę. Chwytam go mocno za włosy, przytrzymując na miejscu, biodrami zwiększając doznania i tempo. Wydaję mu rozkazy, mówię sprośne rzeczy, uwielbiam to. Jęczy przy mnie, odurzony całym aktem.

– Mirando, muszę się w tobie znaleźć. Natychmiast – błaga.

Błaga! Scenariusz, który przygotowałam, posuwa się naprzód.

– Ja pierwsza – przypominam mu.

I wtedy to się dzieje – odczuwam najbardziej wykwintny orgazm, jakiego kiedykolwiek doświadczyłam. To efekt pułapki, którą przygotowałam, jego uległości i utalentowanych ust, które razem tworzą układ idealny. Nic nigdy go nie zastąpi. Daję się porwać tej długiej,

burzliwej fali rozkoszy.

– Pieprzę cię! – wykrzykuję kilkakrotnie, co zdaje się jeszcze bardziej go podniecać.

W chwili, w której nieruchomieję i otwieram oczy, Loren siedzi na piętach i podziwia ten widok.

Uśmiecham się.

– Podoba ci się? – pytam.

Jego oczy są ciemne. Pierś gwałtownie się unosi. Fiut pręży się dumnie.

– Bardzo – mówi.

Puszczam do niego oko.

– Jeszcze nic nie widziałeś. – Uśmiecha się zachłannie, przyglądając się, jak schodzę z biurka i siadam w fotelu. – Lubię ten mebel – mówię, gładząc jego skórzane podłokietniki. – Sprawia, że czuję pełnię władzy.

Loren wpatruje się we mnie intensywnie, podchodząc do biurka i stając przede mną.

– Na kolana – mówi. Zwykle negocjacje nie miałyby miejsca.

– Nie dzisiaj, panie Buckingham. – Rozsiadam się w fotelu, zakładam nogę na nogę i łączę palce dłoni w piramidkę.

– A może sam ukłękiesz? – rzucam z uśmiechem rodem prosto z piekła i wskazuję na galerię dowodów na biurku.

– Co to jest? – pyta, wskazując na dokumenty.

– A... to? To są twoje jaja, mój drogi – odpowiadam słodko, trzepocząc przy tym rzęsami. – Trzymam cię za nie, a wiesz, że nigdy nie jestem delikatna. Może trochę zabołec.

Czerwienieje ze złości, a potem zaczyna czytać, przerzucając dokumenty. Kręci głową. Niby wyzywająco, ale potrafię rozpoznać jego przerażenie. Kiedy purpura zaczyna znikać z jego twarzy jak piasek przesypany się na dno klepsydry, mimowolnie zauważam kolejną analogię – kończy mu się czas. Nadal kręci głową, gdy na mnie patrzy.

– Co to wszystko ma znaczyć? Czego chcesz?

Przechyliłam głowę na bok.

– Nas. – To prostsze, niż mogłoby się wydawać.

Jego twarz blednie.

– Nie, nie sędzę. – Wskazuje na papiery i się jąka: – To... to nie jest miłość.

Przewracam oczami.

– A kto tu mówił o miłości? – Mojej uwadze nie umyka ironia sytuacji, gdy w oparach wciąż unoszącego się w powietrzu pożądania nadzy prowadzimy tę dyskusję.

Loren mruga kilkakrotnie.

– Czy to nie dlatego właśnie ludzie się pobierają? – Jest oszołomiony. – Szantażujesz mnie?

Stukam palcem wskazującym o wargi, zastanawiając się nad odpowiedzią.

– Szantaż to takie brzydkie słowo. Nazwijmy to negocjacjami dotyczącymi naszego związku.

Zbiera ubranie z podłogi, wkłada spodnie, zaraz później koszulę. Przez chwilę przygląda mi się – z niedowierzaniem i niesmakiem.

– Ubierz się, do cholery.

Spoglądam na swoje piersi.

– Kilka minut temu, gdy twoje usta znajdowały się między moimi nogami, moja nagość w ogóle ci nie przeszkadzała.

Sfrustrowany przeczesuje palcami włosy, po chwili szarpie za nie i krzyczy:

– Kilka minut temu nie byłaś pierdoloną psychopatką!

Krzywię się.

– Nie można tak mówić do narzeczonej.

Patrzy mi prosto w oczy wyraźnie przestraszony.

Zbieram dokumenty, układając je w schludny stosik.

– Gdy tylko wrócę do domu, wniosę sprawę o rozwód. Seamus otrzyma papiery w poniedziałek. Wprowadzę się tutaj w dniu, kiedy rozwód zostanie orzeczony. Mam zamiar zachować pozory przyzwoitości, nie potrzebujemy plotek.

Oszołomiony parska śmiechem.

– Widzę, że wszystko przemyślałaś. Z pewnością nie potrzebujemy plotek. Ale to najmniejszy z naszych problemów, Mirando. Jesteś szalona i na tym właśnie mam zamiar się teraz skupić.

Zbywam go machnięciem dłoni.

– Tak będzie lepiej. Jeszcze tego nie widzisz, ale razem będzie nam dobrze.

Przeciera twarz kilka razy.

– Jak u diabła wpakowałem się w ten burdel?

– Hmm, niech pomyślę... Wykorzystując na giełdzie niejawne informacje, piorąc brudne pieniądze...

Przerywa mi:

– Nie robiłem żadnej z tych rzeczy. Najwyraźniej ty tak, podrabiając mój podpis.

Śmieję się.

– Niczego nie podrabiałam. Kto jak kto, ale ty powinieneś wiedzieć, że nie należy podpisywać czegoś, czego się dokładnie nie przeczytało. Brak tej skrupulatności może wtrącić do więzienia na wiele lat. A tego byśmy nie chcieli, prawda?

Ponownie kręci głową.

– Moje interesy są czyste. Nigdy nie zrobiłem nic nielegalnego.

Cmokam, unosząc brwi.

– Pozwolę się nie zgodzić. A twój fiut zapewne mnie poprze. Gdy sprawdzałam ostatnio, płatny seks w stanie Waszyngton wciąż nie był legalny. Wiem, że to bardzo nowoczesne miejsce, ale... – urywam, po czym dodaję drwiąco: – Seks zwłaszcza z nieletnią na pewno nie jest tam mile widziany.

– Agencja zapewniała, że mają skończone dwadzieścia jeden lat.

Szczerzę zęby w uśmiechu.

– Kiedy stałeś się taki naiwny, Lorenie? Ludzie kłamią.

Uciska nasadę nosa i wypuszcza powietrze, chociaż po jego postawie poznaję, że na nic się to zdało.

– Jak cholera. Czego chcesz? Pieniędzy? Zapłacę. Podaj cenę.

Kręcę głową.

– Mówiłam. Pobierzemy się. Tylko tego chcę.

Wygląda na całkowicie zdezorientowanego, ale widzę, że się zastanawia, rozważa możliwości. Wie, że ma nóż na gardle.

– Dobra. Ale jesteś zwolniona. Dostaniesz pokaźną odprawę. Chcę, abyś trzymała się daleko od moich interesów. Jasne?

Początkowo ściska mi się serce, ale potem uświadamiam sobie, że

po przeprowadzce do Seattle wszędzie mogę dostać pracę.

– Dobra.

– I podpiszesz intercyzę.

Przytakuję. Nie wiem, w jaki sposób moje ultimatum przekształciło się w negocjacje, ale, jeśli mam być szczerą, nieco mnie zaskakuje, iż wszystko idzie jak z płatka. Dlatego ochoczo przystępuję do pertraktacji.

– Dobrze.

– W dokumentach widziałem wyniki testu na ustalenie ojcostwa. Musisz przyrzec, że nikt nigdy nie dowie się, że Kira jest moja. Nie chcę mieć dzieci. Wychowuje ją jej ojciec. Twój mąż może ją sobie zatrzymać. Będzie jej z nim lepiej – prycha. – Wszystkim im będzie z nim lepiej. Mam nadzieję, że o tym wiesz. Nie powinnaś być matką.

Nie jestem matką – myślę – to tylko część mojej fasady.

– Dobrze. – Ależ jestem dziś ugodowa. Postanawiam dać mu trochę czasu, by przywykł do pomysłu małżeństwa, zanim przywiozę dzieci. Nie chcę ich tutaj, ale są mi potrzebne, by zachować pozory. Nadal muszę być otoczona przez swoje owce. Nikt nie kocha kobiety, która porzuciła swoje owce. Chcę również, by między Lorenem i Kirą narodziła się więź. Loren w końcu zmięknie, a potem uzna ją za swoją córkę i podziękuje mi za ten dar. W ten właśnie sposób zrehabilituję się w jego oczach – ofiaruję mu coś, czego pragnie. Nawet nie wie, jak mocno. Dotrę do serca Lorena przez Kirę. Któż mógł przypuszczać, że owce to tak doskonałe pionki?

UROCZY ODCIEŃ ZETRĘ TWOJĄ DUSZĘ W PYŁ

SEAMUS

Terazniejszość

Wiem, że stres mi nie służy. Jest jak lew grasujący w zakamarkach mojego umysłu. Czeka na możliwość ataku i, kiedy tylko nadarzy się okazja, staje się ludojadem. Karmi się moim dobrym samopoczuciem, spokojem i zdrowiem jak żarłoczna dzika bestia.

Czasami stres potrafi przyprzeć do muru, przewartościować psychikę i zmienić perspektywę. Niektóre problemy nie są tak wielkie, jak początkowo zakładałem. Czasami okazuje się, że w ogóle ich nie było.

Jednak w chwili, gdy mierzę się z Mirandą i istnieje możliwość, że ta odbierze mi dzieci i wywiezie je do Seattle, nic nie jest dla mnie bardziej realne.

Czuję stres, odczuwam go fizycznie. Manifestuje się drętwieniem nóg, ślepotą, utratą apetytu, bezsennością, zmęczeniem mięśni i bólem głowy, jakby ktoś walił w bęben między moimi skroniami. Stres przesącza się przeze mnie, zbyt gęsty, by popłynąć żyłami. Wypełnia moje ciało niczym nadęty do granic możliwości balon.

Siedzę w poczekalni kancelarii prawnej wynajętej przez Mirandę.

Wszystko w tym pomieszczeniu zaaranżowano tak, by przypominało o władzy: od męskich sof obitych kasztanową skórą, przez regały i ściany wyłożone panelami z ciemnego drewna, po sztuczny piżmowy zapach unoszący się w powietrzu. Sam testosteron. Jestem pewien, że gdy prawnicy tej kancelarii kogoś bronią, osoba ta ma poczucie bezpieczeństwa właśnie dzięki takiemu wystrojowi pomieszczeń. Działa on jak peleryna Supermana. Jeśli zaś człowiek znajduje się po drugiej stronie, wpatrując się w nieznaną przyszłość spoczywającą w rękach tych ludzi, podobne wnętrza sprawiają, że czuje się maleńki... wobec ich wielkości. Projekt doskonały.

To spotkanie zorganizowano ni stąd ni zowąd kilka dni temu. Mam je traktować jako pokojową mediację w celu rozwiązania problemu. Liczę na to, że Miranda poszła po rozum do głowy i odzyskała zdrowe zmysły. Jednak przecucie oraz ból głowy podpowiadają mi, że to raczej niemożliwe.

– Pan McIntyre? – pyta profesjonalista. Czuję, że głęboko skrywa swoje ostre zęby i szpony.

– Tak – odpowiadam, nie patrząc mu w oczy. To celowy zabieg, by zapanować nad głosem. Gorycz sprawiła, że jestem na skraju szaleństwa, spoglądam w głęboki, ciemny dół przyszłego żalu. Obawiam się, że usta mogą mnie dziś zawieść. Brak snu przyćmił moje poczucie przyzwoitości i taktu, pozostawiając we mnie zaledwie resztki wrażliwości i ostrożności. Muszę trzymać emocje w ryzach. Chwytam laskę i wstaję, idę za nim do sali konferencyjnej.

Miranda siedzi już w środku. Ma na sobie czarną dopasowaną marynarkę, pod nią zaś szkarłatną jedwabną bluzkę. Czerwień symbolizuje władzę. To ulubiony kolor ubrania Mirandy, który niewątpliwie podkreśla cechę rozpoznawczą jej charakteru.

Zajmuję wskazane mi miejsce przy szerokim stole. Siadam dokładnie naprzeciwko niej. Znajduje się ode mnie jakieś półtora metra, ale i tak czuję bijącą od niej gwałtownymi falami agresję. Kieruję na kobietę rozpalone spojrzenie, by dać jej odczuć, że dziś nie dam się nabrać na jej sztuczki.

Jej prawnik, Dean Bergman, chrząka, by przerwać niezręczną ciszę i pojedynek na spojrzenia, który właśnie rozpoczęliśmy, po czym mówi:

– Może zaczniemy?

Jestem pijany z wściekłości. Wyzywająco unoszę brwi.

– Możemy.

Mężczyzna przesuwa w moją stronę leżący na stole stos dokumentów. Są ułożone schludnie, jakby ich krawędziami wielokrotnie uderzono o blat, aby osiągnąć perfekcję i podkreślić doniosłość przy ich prezentacji.

Biorę je z ciężkim sercem, przewracając niechlujnie kartki, niszcząc tę ich sztuczność.

Wniosek o opiekę

Kai McIntyre

Rory McIntyre

Kira McIntyre

Widzę tylko te słowa. Przesuwam po nich nieostrym wzrokiem i nagle czuję tylko ból głowy. Odzywa się z każdym uderzeniem serca, jakby płynąca w żyłach krew zapowiadała nadchodzącą katastrofę. Zaciskam mocno powieki, pragnąc, by świat i wszystko, co na nim istnieje – prócz imion widniejących przede mną – stanęło w płomieniach i obróciło się w proch.

– Panie McIntyre? – Bergman próbuje zwrócić moją uwagę.

Pocieram skronie, nie otwierając oczu, przeklinając w duchu jego istnienie.

– Tak?

– Chce pan, bym omówił wniosek?

Nie, nie chcę.

– Tak. – Uchylam powieki. Miranda przygląda mi się, lecz jej wyraz twarzy jest nieczytelny.

– Panie McIntyre, pani Buckingham jest...

Przerywam mu, ponieważ jego głos i szum w mojej głowie wywołują dysonans, którego nie potrafię znieść.

– Zmieniłem zdanie, chciałbym prosić o kilka minut na osobności, bym mógł się z nim zapoznać. – W moim wnętrzu panuje chaos. Zaczynam się pocić i robi mi się niedobrze. Kiedy tylko o tym myślę, przełykam z trudem ślinę, ponieważ poranna kawa podchodzi mi do gardła. Cofa się drogą, którą się tu dostała zamiast skorzystać z tradycyjnego wyjścia z drugiej strony.

– Oczywiście – mówi uprzejmie Bergman.

Miranda podnosi się niespiesznie, by wyjść. Jestem pewien, że nie wyglądam zbyt dobrze, więc czerpie przyjemność z mojego upadku.

Masywne drzwi trzaskają, oznacza to, że zostałem sam, więc natychmiast odwracam się na krzesło, chwytam stojący za mną pojemnik na śmieci i opróżniam do niego zawartość żołądka. Moje ciało pozbywa się jej gwałtownie, jakby próbowało wyrzucić z siebie zło, w którym się nurzam. Chwilę później wszystko się uspokaja, jakby egzorcyzmy tymczasowo przegnały nienawiść. Jednak w pomieszczeniu śmierdzi. Roznosi się tu niepowtarzalny odór niestrawionego pokarmu wymieszanego z kwasem żołądkowym oraz wstrętą byłą żoną. Zawiązuję worek na śmieci i wracam do dokumentów.

Rozmywa mi się wzrok. Przez wściekłość nie widzę. Potrzebuję dużo czasu, by wszystko przeczytać.

Po powrocie Bergmana i Mirandy wszystko się we mnie gotuje. Samymi tylko myślami mógłbym rozerwać ich na strzępy. Siedzą naprzeciwko mnie. Bergman gotowy jest do gry, jego twarz nabiera współczującego, choć zniechęconego wyrazu. Spowił ją niewielki drapieżny uśmiech. Miranda siedząca po drugiej stronie nawet się nie powstrzymuje. Wygląda, jakby już świętowała zwycięstwo.

Wiem, że czeka, aż wykrzyczę słowa zemsty. Chciałbym to zrobić. Niczego bardziej nie pragnę. Chciałbym ukrzyżować ją na ścianie tuż za nią i smagać jej ciało ostrymi słowami, aż wykrwawiłaby się lub błagała o litość. Jednak nie robię tego, ponieważ bardzo by jej się to podobało. Zamiast tego wypowiadam jedyne słowa, które w moim mniemaniu mogą trafić do jej głodnego władzy umysłu:

– Jak mogłem się w tobie zakochać?

Miranda uwielbiała sposób, w jaki ją kochałem. Moja miłość była bezwarunkowa i bezwzględna. Ona nigdy mnie tak nie kochała, nie była do tego zdolna, ale zachwycała się sobą, wiedząc, że posiada moje serce. Traktowała je jak zwierzę cyrkowe zamknięte w klatce. Nagradzała je i karmiła jedynie po to, by jej służyło mimo bólu, który mu zadawała. Moja miłość karmiła jej nienasycone ego.

Miranda jest mistrzynią w przejmowaniu kontroli, lecz moje słowa odbiera jako potwarz. Widzę, jak wzdyga się, gdy je słyszy. Widzę ból w jej oczach, który próbuje ukryć. Potwierdziłem, że już jej nie Kocham. Powiedziałem coś, czego, według mnie, nigdy się nie spodziewała. Ma o sobie tak wielkie mniemanie, że myślała pewnie, iż będę ją kochał do grobowej deski.

Bergman znów chrząka. Nie jestem pewien, czy próbuje przełamać niezręczną atmosferę, czy też może skłonić kogoś do mówienia.

Nie odzywam się. Nie ma nic, co chciałbym dodać. Wszystko widać tu czarno na białym. Misterna sieć kłamstw i kilka osnutych na niej prawd składające się na portret nieudolnego ojca. Miranda wynajęła prywatnego detektywa, który śledził mnie od jej wyprowadzki do Seattle wiele miesięcy temu. Znajdują się tu dziesiątki zdjęć, na których: trzymam jointa pani L., rozebrany na kanapie ściskam Faith, Kira tuli Faith. Pod fotografiami znajdują się zaświadczenia zbyt przesadnie potwierdzające pogarszający się stan mojego zdrowia, a także zwolnienia z pracy, których stał się przyczyną. Oczywiście wszystko podpisane przez ekspertów, których nazwiska są przede mną chronione. Figuruje tu również szczegółowa lista tego, co dzieci jedzą, w co są ubierane, jak się zachowują. Jest też opinia niezależnego psychologa, którego musiała zatrudnić Miranda i który wyraził: „troskę o dobre samopoczucie dzieci, zarówno psychiczne, jak i fizyczne”. Stwierdził u nich również „oznaki zaniedbania”. Wszystko to bzdury. Ile ona płaci tym ludziom za kłamstwa? Na następne zdjęcie patrzę zszokowany. Przedstawia ono półnągą Faith na scenie. Co jest grane, do cholery? Pod zdjęciem znajdują się oświadczenia wielu mężczyzn oraz szczegółowe opisy ich płatnego seksu z Faith. Oczywiście dane tych osób także są utajnione. Odruchowo mam ochotę zaprzeczyć – Miranda jest dobra w fabrykowaniu dowodów.

Emocje wywołane moim wyznaniem mijają, gdy Miranda przypomina sobie, po co tu jest. Szkarłatny kolor władzy powraca na jej blade policzki, zdobiąc je uroczym odcieniem *zetrę twoją duszę w pył*. Usta ponownie wykrzywia diabelski uśmieszek.

– Widzę, że byłeś zajęty, Seamus. Umawiałeś się z prostytutką...

– Ona nie jest prostytutką. Poza tym nie umawiam się z nią – syczę przez zaciśnięte zęby. Nie wiem nawet, czy mówię prawdę.

Miranda śmieje się wyniośle.

– Och, przepraszam. Płacisz za jej usługi?

Oddycham głęboko, nie mogąc mówić, bo mam ochotę krzyknąć. Czuję, że wszystko, co powiem, i tak pograży mnie jeszcze bardziej i zepchnie w tę wyimaginowaną otchłań zagłady, którą stworzyła Miranda.

– Pozwalasz, by moje dzieci spędzały czas z prostytutką i narkomanką. – Patrzy na mnie pogardliwie. – Nie wspominając o tym, że palisz marihuanę.

Mimowolnie przewracam oczami.

– Gdy podano mi tego skręta, nawet nie przytknąłem go do ust.

Bergman odzywa się władcym tonem, którego zapewne używa na sali sądowej, kiedy występuje w czyjejs obronie, robiąc to znakomicie i otrzymując za to sowitą zapłatę:

– Seamusie, Miranda robi to wyłącznie dla dzieci i w ich najlepszym interesie. Zatrudniła gosposię, która wprowadziła się już do jej domu. Zarejestrowała też dzieci w prywatnej, katolickiej szkole cieszącej się bardzo dobrą opinią. Jest to jedna z najlepszych placówek oświatowych w Seattle.

– Dzieci nie są nawet katolikami. Ona także – rzucam oszołomiony.

– W poniedziałek rozpoczynają naukę – ciągnie Bergman, ignorując moją uwagę.

– W poniedziałek? – pytam. Moje zdziwienie jest tak duże, że nie brzmię jak ja. Przecież dziś jest piątek...

– Wylatuję wieczorem, odbieram dzieci ze szkoły i zabieram je ze sobą – dodaje Miranda, wbijając nóż jeszcze głębiej.

– Co? – To słowo wydostaje się z moich ust z bólem tak

ogromnym, jakbym dostał cios w brzuch.

Miranda patrzy na Bergmana, który kiwa głową. Kobieta powtórnie zwraca się do mnie:

– Nie walcz o to ze mną, Seamus. – To groźba, śmiała i niemoralna.

– Dlaczego nie? – rzucam wyzywająco.

Ta sięga po komórkę leżącą na stole i patrzy zamyślona na wyświetlacz.

– Trudno być rodzicem, gdy ilość przepustek z więzienia jest ograniczona.

– Co? – Dudnienie w głowie staje się nie do wytrzymania, jakby próbowało wymazać rzeczywistość, złagodzić wypowiedziane słowa.

Miranda unosi brwi.

– W dolnej szufladzie twojej komody znajduje się wystarczająco dużo marihuany, by zamknąć cię na dwadzieścia lat, mój drogi. Wystarczy jeden telefon, a policja przeszuka twoje mieszkanie, zanim dowleciesz się tam swoim gruchotem.

Niedowierzając, kręcę głową.

– Wrobiłaś mnie?

Uśmiecha się szeroko, odsłaniając jasne zęby. Ja jednak widzę rzędy ostrych, błyszczących kłów rekina, szczerzących się w moim kierunku. Narasta we mnie czysty i irracjonalnie niebezpieczny gniew. Wyobrażam sobie, że sięgam przez stół i duszę ją gołymi rękami, rozkoszując się widokiem uciekającego z niej życia. Moje ciało drży w niezaprzeczalnej potrzebie zemsty. A kiedy wściekłość jest tak silna, że przyćmiewa zasady, wszystko cichnie. Wszystko staje się czarne.

Odzyskuję świadomość, leżąc na podłodze jak pognieciony śmieć. Bergman i Miranda stoją nade mną niczym królowie nad chłopem.

– Panie McIntyre? – pyta prawnik.

W odpowiedzi zerkam na niego, mając ochotę uderzyć ich oboje w kostki.

– Dobrze się pan czuje, panie McIntyre? Zemdlał pan. Chce pan, bym wezwał karetkę? – Jego donośny ton wskazuje na autentyczną

troskę.

Podnoszę się i siadam na krześle, sprawdzam, czy nie ma obrażeń. Wszystko wydaje się w porządku, choć znów mi niedobrze.

– Zabierz mi ją sprzed oczu – syczę przez zaciśnięte zęby.

Miranda opuszcza pomieszczenie.

Podpisuję dokumenty, jednocześnie walcząc ze łzami. Wreszcie układam kartki w schludny stos. Wyciągam je w stronę Bergmana stojącego po drugiej stronie stołu.

– Właśnie przekazałeś trzy wartościowe istoty wcielonemu diabłu. Mam nadzieję, że wyrzuty sumienia zeżrą cię od środka, draniu. Jeszcze o mnie usłyszysz. Odzyskam je albo umrę, próbując to zrobić. – Wyrzucam dokumenty w powietrze i obserwuję, jak opadają na podłogę. Następnie spoglądam mu prosto w oczy, mówiąc: – Aha, i jeszcze jedno. Niemal zapomniałem. Pierdol się.

Wychodzę z sali, głośno stukając laską.

Jadę prosto do szkoły, parkuję na miejscu dla gości, w pobliżu wejścia. Lekcje nie skończą się przez najbliższe czterdzieści pięć minut, ale zamierzam stać tutaj, by poczekać na dzieci.

Kiedy wychodzą, Miranda stoi pięć metrów za mną ze skrzyżowanymi na piersi rękami, jakby czekała, aż wypełnię jej rozkaz. Odciągam dzieci na bok i tłumaczę, że przez jakiś czas będą musiały zamieszkać z matką. Przekazuję im tę informację tak ostrożnie, jak tylko potrafię, próbując przedstawić pozytywne strony tej sytuacji, lecz moje słowa sprawiają ból. Serce pęka mi na widok reakcji dzieci. Kai ma kamienny wyraz twarzy. Nawet nie mruga. Zamyka się i wpełza do swojej skorupy, gdzie rozważa sprawy, o które dzieci w jego wieku nie powinny się martwić. Dusi je w sobie, aż zaczynają wyniszczać jego duszę. Rory posyła Mirandzie pogardliwe spojrzenie. Wzrokiem obwinia ją o niechcianą przyszłość, po czym krzyczy:

– Nie!

Jednak nie mówi nic więcej. Moja mała córeczka płacze. Jeszcze nigdy nie widziałem, by tak szlochała. Serce rozpada mi się dzisiaj po raz drugi. Zostało rozerwane na wiele kawałków rozrzuconych tak daleko, że wiem, iż już nigdy nie zdołam poskładać ich w całość. Nie można ułożyć układanki, gdy posiada się jedynie połowę puzzli. To

samo dotyczy serc.

Tulę jednocześnie całą trójkę, ponieważ nie potrafię zrobić tego z każdym z nich z osobna. Ściskam je. Całuję. Mówię, że kocham najbardziej na świecie, a do oczu napływają mi łzy. Usilnie staram się nie płakać. Dzieci i tak są już przestraszone i smutne. Nie chcę dokładać im więcej emocji. Nie potrafię jednak nad sobą zapanować. Czuję, jakby Miranda uderzyła mnie siekierą w głowę, dzieląc moją czaszkę na pół. Można by pomyśleć, że jestem w środku martwy, lecz jest zupełnie na odwrót. Wszystkie moje nerwy są teraz na wierzchu i trafia w nie ostry, nieprzerwany, mrowiący ból. To dla mnie emocjonalna tortura.

Słowa Mirandy są jak sól sypana na rany.

– Chodźcie, dzieci. Musimy jechać na lotnisko. Niedługo mamy samolot.

Pociągam nosem i ocieram oczy, następnie obracam głowę, by na nią spojrzeć.

– Jedź za mną do mieszkania, żebym mógł spakować ich rzeczy.

Kręci głową. Zdecydowanie. Przysięgam, w tej kobiecie nie ma za grosz dobroci.

– Nie mamy czasu. Na miejscu kupię im wszystko, czego będą potrzebowały.

Kira blednie. Widywałem już, jak radość na chwilę opuszczała czyjeś oczy, gdy przeminęła szczęśliwa chwila. Jednak nigdy nie widziałem, jak uczucie to znika na zawsze. Mała straciła właśnie całą swoją niewinną radość, która została jej bezmyślnie odebrana.

– Muszę mieć Ogórka. – Głos drży jej coraz bardziej. – Nie mogę lecieć bez Ogórka.

Miranda patrzy na mnie zdeorientowana. Nie dostrzega, że nasza córka straciła niewinność. Jest poirytowana, że rozpada się jej harmonogram. Wyjaśniam więc:

– Musi mieć swojego pluszaka. Nie zaśnie bez niego, Mirando.

Kobieta zniecierpliwiona kręci głową.

– Nie mamy czasu, by po niego jechać, Kiro. – Wymawia imię córki, ale to na mnie patrzy, mówiąc: – Jutro kupimy ci innego.

Kira krzyczy przerażona:

– Nie chcę innego! Chcę Ogórka!

Klękam z trudem na ziemi w obawie przed ponownym upadkiem. Biorę Kirę za jej małą rączkę, całuję ją po wierzchu i pocieram uspokajająco.

– Wyślę ci Ogórka pocztą, kochanie. Dopilnuję, byś miała go z samego rana. Przyrzekam.

Łzy nadal płyną strumieniem, ale chwilę później dziewczynka milknie, zastanawiając się nad tym rozwiązaniem.

– Dobrze, tato.

Ponownie całuję jej rączkę i powtarzam:

– Dobrze.

Jeszcze raz tulę moje dzieci. Jeszcze raz je całuję. Jeszcze raz mówię im, że je kocham, i dodaję:

– Przykro mi. O wiele więcej niż przykro. – Mówię szczerze.

Chwilę później obserwuję, jak odchodzą ze swoją matką.

Czuję, jakbym umierał.

Wszystko więdnie. Uczucia, myśli, wspomnienia, nadzieja... wszystko to usycha. Wszystko opada jak liść bez wody lub światła, zwija się groteskowo, marszczy i zmienia w coś nie do poznania.

Idę do domu na piechotę. Po trosze z troski o bezpieczeństwo innych użytkowników drogi – jestem niesamowicie wściekły, po trosze dlatego, że chcę ukarać samego siebie. Chcę zmusić ciało do wysiłku, przeciw któremu się ono buntuje. Chcę zmusić do walki moje mięśnie. Chcę sprawić, by zaczęły protestować moje nogi. Chcę, by moja głowa pulsowała gniewem. Nie mam już z kim walczyć. Mogę tylko ze sobą. I to właśnie postanawiam zrobić.

Sprawdzam szuflady komody, ale w żadnej nie ma marihuany, biorę więc pluszowego kota Kiry z kanapy i wychodzę, zmierzając w stronę poczty znajdującej się trzy przecznice dalej. Po drodze, mimo że trzymam laskę, dwukrotnie upadam. W spodniach na kolanie powstaje dziura, ale mam to gdzieś. To beżowe eleganckie spodnie. Założyłem je tylko na dzisiejszą rozmowę, ponieważ wyglądają klasycznie i założyłby je typowy porządny Amerykanin. Jako rodzic powinienem dzięki nim zapunktować. Najwyraźniej nie zadziałały. Po spotkaniu z szorstkim betonem chodnika krwawi mi również lewa dłoń. Docieram na pocztę pięć minut przed jej zamknięciem, pakuję Ogórka

do pudełka z napisem *Ekspres, priorytet* i wysyłam, wybierając formę dostawy gwarantowanej następnego dnia.

Wychodzę i siadam na ławce na zewnątrz. Słońce zachodzi, nim ponownie się z niej podnoszę.

Zatrzymuję się w sklepie spożywczym i, wiedziony spalającym duszę gniewem, dokonuję spontanicznego zakupu paczuszki oraz suszonej wołowiny i butelki taniego wina. Manifestację wściekłości wsuwam do kieszeni, po drodze do domu podjadam wołowinę i popijam to alkoholem.

Wychodząc zza rogu budynku, w którym mieści się moje mieszkanie, jestem podchmielony i nie mam ochoty wchodzić na górę. Jestem zbyt zmęczony, więc siadam pod drzewem i zajmuję się butelką dotąd, dopóki jej nie opróżnię. Następnie zasypiam na ziemi, na łonie natury, jak prawdziwy alkoholik. Mam nadzieję, że prywatny detektyw Mirandy nadal mnie obserwuje, mam zamiar odegrać dzisiaj przed nim niezłe przedstawienie. Nim porwie mnie sen, unoszę rękę w kierunku nieba i prostuję środkowy palec, na wypadek gdybym miał niepożądaną publikę.

Budzi mnie dźwięk skutera Faith zbliżającego się do naszego budynku. Kiedy dziewczyna gasi silnik, świat znów cichnie. Słyszę brzęk jej kluczy, a potem zgrzyt otwieranych i zamykanych drzwi.

Walczę, by się podnieść. Kręci mi się w głowie od wina, moje nogi są nie tylko zdrętwiałe, lecz także tak ciężkie, jakby były z ołowiu.

Nim podejść do drzwi, musi minąć sporo czasu.

Pukanie też wychodzi mi niezdarnie.

Faith otwiera ubrana w swoją ulubioną koszulkę z logo Grilla Ricka i, chcąc nie chcąc, myślę o tym, że stoi przede mną piękna kobieta. Jeszcze nie dociera do mnie, jak bardzo powinienem jej nienawidzić za udział w przyznaniu mi dzisiejszej nagrody dla najgorszego ojca roku.

– Seamus, co się stało?

– Wszystko – mamroczę, zataczając się. – Zasłoń okna.

Zamyka za mną drzwi, zaciąga zasłony i przygląda mi się uważnie.

Jej mieszkanie to kawalerka, zaledwie jeden pokój, w którym brakuje nawet miejsca do siedzenia, nie licząc wielkiego siedziska leżącego na podłodze, na którym znajdują się koc i poduszka. Odwracam się i wpatruję w nią, przypominając sobie, po co przyszedłem.

– Jesteś prostytutką?

Mruży oczy, ale spostrzeżone w nich zdziwienie wystarczy mi za odpowiedź. Jest niewinna.

– Nie. Dlaczego w ogóle o to pytasz?

Sfrustrowany uciskam nasadę nosa, gniew znów we mnie wrze.

– A może byłaś prostytutką? Może brałaś kiedyś kasę za seks? Błagam cię, bądź ze mną szczerą, Faith. Chcę wiedzieć, czy do reszty postradałem rozum.

Kręci głową i przysuwa się, by stanąć bliżej przede mną.

– Nie. Co się dzieje, Seamus?

Wierzę jej. Jest kolejnym pionkiem w grze Mirandy. Wszystkie negatywne uczucia do niej ponownie znikają. Jednak gniew wciąż wrze we mnie, gotując się niczym lawa w wulkanie gotowym do erupcji.

Głaszczę ją po policzku. Robię to delikatnie, powściągliwie. Stres i niepokój znikłyby pod wpływem zdecydowanego dotyku, lecz na razie tylko subtelnie ją drażnię. Kładę kciuk na ustach dziewczyny i lekko przyciskam. Przeciagam nim po jej dolnej wardze.

– Seamus? – szepcze. Jej pierś unosi się mocniej, ale mam w głowie zbyt wielki chaos, by stwierdzić, czy to ze strachu, czy może z pożądania.

Pochylam się i przysuwam czoło do jej twarzy. Kładę rękę na jej kark. To subtelny ruch, pieszczota.

Jej ręce spoczywają na mojej piersi, lecz mnie nie odpycha. Rozkłada palce, by zaraz mocno je zacisnąć. To wyraźny ruch powtarzany przez kogoś, kto się waha. Kto czeka na pozwolenie.

– Muszę zapomnieć o ostatnich godzinach, Faith. Spraw, bym zapomniał o tym, kim jestem.

W jej oczach dostrzegam zrozumienie. I smutek. Jej własne demony. Empatię. Zgodę. Ona też tego potrzebuje.

Nasze usta zderzają się ze sobą. Połączenie to pełne jest desperacji, która uniemożliwia pocałunki. To walka o oczyszczenie, ukojenie bólu.

Dezorientacja. Brak czułości. Pożeranie, gryzienie, ssanie.

Guziki mojej koszuli zostają w pośpiechu zerwane. Szybkie rozpięcie rozporka to niemal wystrzał armatni w tym niewielkim, cichym pomieszczeniu.

– Nienawidzę tej koszulki, jest okropnie tandetna – mówię, zdejmując z niej ciuch przez głowę.

– Nienawidzę tych spodni, ich elegancja jest cholernie nudna – odpowiada, szarpnięciem zsuwając mi je wraz z bokserkami aż do kostek.

W toczonej przez nas bitwie zapada tymczasowy pokój, gdy patrzymy na siebie nawzajem. Faith nie ma majtek. Oboje jesteśmy nadzy – fizycznie i emocjonalnie.

– Nienawidzę jej – syczę.

– Wiem – mówi, akceptując mój zjadliwy ton.

– Muszę pozbyć się tej wściekłości. Jestem nią przepełniony tak bardzo, że nie mogę oddychać. – Nienawiść i wściekłość rosną we mnie tak intensywnie, że mógłbym przysiąc, iż stały się wręcz wyczuwalne, dotykalne, namacalne. Doprowadza mnie to do szału.

– Daj mi swoją nienawiść, Seamus – szepcze. – A ja dam ci moją.

– Dobrze – mówię tuż przy jej ustach.

Więc znów tak po prostu się pożeramy. Nasze usta i dłonie są chciwe. Nie ma wymiany uczuć, nie ma dyskusji. Walczymy o własną cielesną przyjemność, jakby ta zaczęła przynosić zagrożenie, nie satysfakcję. Dotyk staje się chaotyczny i szorstki. Choć wino wyzwoliło moje zahamowania, czuję się, jakbym nie był sobą. Karmimy się, nawzajem dając i biorąc. Przesuwam ustami po jej dekolcie. Ona skubie zębami krawędź mojego ucha. Uczę się palcami jej ciała, jakbym próbował zapamiętać drogę do ziemi obiecanej. Faith dotyka każdego centymetra mojej skóry od pasa w górę, a potem pewnym ruchem zsuwa dłoń niżej i zamyka palce na moim członku. Gdy zawleczka granatu zostanie wyjęta, skończy się to jednym wielkim obopólnym wybuchem.

– Muszę się położyć. – Moje nogi nie są stabilne, a emocje nie pomagają mi ustać.

Podnoszę spodnie leżące na podłodze, z ich kieszeni wyciągam zakup dokonany pod wpływem złości – paczkę prezerwatyw. Otwieram

ją. Wyciągam jedną sztukę, upuszczając opakowanie, nim podejść do łóżka.

Leżę na plecach, kiedy Faith zwija się obok mnie, obserwując, jak rozrywam folię i nakładam lateks. Obracam się na bok, a ona przywiera do mnie. Powoli, z czułością śledzi rysy mojej twarzy, wodząc po niej wzrokiem i palcami. Pieści ją. Znika gwałtowność. Władający nami do tej chwili zwierzęcy popęd zniknął, pozostawiając intymność. Intymność, która panuje nad nienawiścią ginącą we wrodzonej dobroci Faith. Pozostaje tylko potrzeba przelania miłości. Potrzeba okazania tej kobiecie, jak bardzo zasługuje, by być kochaną.

Przez następną godzinę uczę się czegoś ważnego.

Miłość jest aktem.

Właśnie tego dowiedliśmy. Nasze ciała i umysły wzajemnie się zadowalały – szczęście drugiej osoby stawialiśmy ponad własne. Akt miłosny przeżyliśmy wspólnie. Leżąc pod nią, podziwiam jej ciało, które wciąż drży. Moje rozluźniło się po spełnieniu zaledwie chwilę temu.

Pocałunki.

Okazana uwaga.

Związek ciał.

Wypowiedziane słowa.

Spokój.

Ciche zapewnienia.

Rytm.

Pełnia.

Wszystko współtworzyło tu akt miłosny.

Nigdy nie otrzymałem takiego daru.

Nigdy go też nie dałem. Nie w taki sposób.

Sprawia to, że jeszcze bardziej go doceniam. Nawet jeśli nie jesteśmy w sobie zakochani, to wzajemne okazywanie miłości było cholernie prawdziwe.

Uśmiecham się, gdy Faith na mnie patrzy.

– Odebrałaś mi nienawiść i przekształciłaś ją w miłość.

Odpowiada uśmiechem.

– Zrobiłam to z wielką ochotą. Ty również zająłeś się moją nienawiścią, Seamus. – Jej głos znów zapewnia miękkie lądowanie.

Biorę głęboki wdech, by uspokoić pospiesznie galopujące serce, i tulę ją do siebie.

Leżymy w objęciach, splatają się nasze kończyny.

Ten uścisk trwa wiele godzin.

Trwa nawet w głębokim śnie. Żadne z nas się nie rusza.

– Dzień dobry, sąsiedzie. – Nim otworzę oczy, wiem, że się uśmiecha.

– Dzień dobry, sąsiadko. – Również się uśmiecham, ale dopada mnie kac, oznajmiając, że ma zamiar zniszczyć mi dzień. Jest mi niedobrze, a głowa wściekle daje znać, dlaczego nie lubi wina.

Korzystam z łazienki i się ubieram. Wreszcie siadam na skraju łóżka Faith, która znów ma na sobie paskudną koszulkę z logo Grilla Ricka. Kiedy się odzywam, patrzę na litery. Wpatruję się w nie tak mocno, że po chwili się rozmazują.

– Miranda zabrała mi dzieci. Już ich nie mam. – W moim głosie słychać pustkę, która wypełnia również moje serce.

Faith milczy, więc odrywam wzrok od kolorowej plamy na jej koszulce i patrzę jej w oczy. Są pełne łez, które spływają jej po policzkach. Kręci głową.

– Jakim cudem?

– Posłużyła się kłamstwem. Jest suką z piekła rodem.

– Jakim kłamstwem? Jesteś świetnym ojcem, Seamus. – Jej głos jest spokojny, ale łzy nie przestają płynąć.

– Najwyraźniej jestem ćpunem, który spotyka się z prosty... – urywam, bo nie jestem w stanie tego wypowiedzieć. Nie chcę wciągać jej w ten koszmar.

Bierze głęboki wdech, wypuszcza powietrze i kończy za mnie:

– prostytutką. Uważa, że ponieważ jestem striptizerką, jestem również prostytutką.

Przytakuję.

– Jeszcze gorzej. Miała zeznania mężczyzn, którzy podpisali

oświadczenie, że płacili za seks. Z tobą.

Jej łzy już nie są ciche. Płyną strumieniami, gdy szlocha.

– Nigdy tego nie zrobiłam, Seamus. Musisz mi wierzyć. Taniec przed nieznanymi dużo mnie kosztuje. Naprawdę dużo. To poniżające. Czuję się jak przedmiot, nie jak człowiek. Nigdy nie mogłabym uprawiać seksu z kimś obcym. – Siada obok mnie i kładzie ręce na moich kolanach. Patrzy na mnie, tusz rozmazał się pod jej oczami. – Wczoraj drugi raz w życiu uprawiałam seks, ale pierwszy raz coś znaczył. To, co dałam ci w nocy, było wyjątkowe. Nawet nie wiesz, jak bardzo. Nie zrobiłabym tego z jakimś przypadkowym facetem.

Obejmuję jej twarz.

– Wiem, Faith. – Naprawdę wiem. To, co wydarzyło się w nocy między nami, rzeczywiście było wyjątkowe. – Jestem pewien, że Miranda zapłaciła za te oświadczenia. Albo, do diabła, sama je napisała. Jak mówiłem, to piekielna suka. – Faith jest tak niewinna, tak krucha. Wciąż nie mogę wyzbyć się myśli, że tańczy topless na scenie. Nie jest to w ogóle zgodne z jej naturą. – Dlaczego więc to robisz? Dlaczego się rozbierasz? Mówiłaś, że to część twoich poszukiwań... Jednak tu musi chodzić o coś więcej.

– Potrzebuję pieniędzy. – Brzmi, jakby się tego wstydziła, ale jest zdeterminowana.

– Znajdź sobie współlokatora – podsuwam.

Rozgląda się po pomieszczeniu.

– A gdzie niby miałby spać? Niewielu ludzi lubi dzielić się łóżkiem, Seamus. To miejsce nie jest przystosowane, by wstawić dodatkowe meble.

Przytakuję.

– Przenieś się gdzie indziej i poszukaj współlokatora.

Kręci głową.

– Umowa najmu niedługo się kończy, więc na razie muszę tu zostać – podkreśla.

– Dlaczego?

– Poszukiwania – odpowiada prosto.

Kręcę głową, słysząc te wykręty.

– Poszukiwania nie są odpowiedzią na wszystko.

Sfrustrowana zamyka oczy.

– Dla mnie są wszystkim. Staram się odnaleźć biologiczną matkę. Pomyślałam, że mogłabym zaoszczędzić trochę pieniędzy i zapłacić komuś, by mi pomógł. Muszę się dowiedzieć, kim jestem.

Przecieram twarz i mamrocę:

– A ja muszę zapomnieć, kim jestem. – Patrzę na nią i dodaję głośniej: – A ty masz nadal szukać matki. To ważne.

– Wiesz, kim jesteś, Seamus. Nie zapominaj o tym. Musisz walczyć o tego człowieka. Musisz walczyć dla dzieci. Odzyskaj je. Należą do ciebie.

Przytakuje, po czym pryham:

– Łatwo mówić, nie? Odzyskaj je. – Znów pryham i przeczesuję palcami włosy. – Nie mogę pojechać do Seattle i ich zabrać. – Widzę jej ostre spojrzenie, więc się poprawiam: – Niezupełnie nie mogę, ale to trudne, wiesz? Jak znalezienie twojej biologicznej matki. Miranda trzyma mnie za jaja. I ma pieniądze. Ja ich nie mam, dlatego o wiele trudniej mi walczyć.

Przytakuje.

– Chcę, by już wróciły. Chcę je zabrać na górę i zobaczyć, jak siedzą na kanapie. Trudno jest czekać na spotkanie zaledwie przez tydzień, a co dopiero tyle czasu do Święta Dziękczynienia. – Łzy podchodzą mi do oczu. – Jezu Chryste, moje życie jest takie popieprzone.

Uśmiecha się ze smutkiem.

– Przykro mi, że matka twoich dzieci jest antychrystem... – Kiwam głową. – ...ale coś wymyślisz. – Znów przytakuje. – Tymczasem nic nie wskazuje na to, by moje towarzystwo mogło ci pomóc w tej sytuacji. – Te słowa są zapowiedzią jeszcze bardziej przykrych.

Mrużę oczy.

Faith uśmiecha się słodko, ale widzę jej łzy.

– Przykro mi, Seamus. Nie możemy być razem i oboje o tym wiemy. Jeśli tak się stanie, nie odzyskasz dzieci. – Patrzy w sufit, mrugając energicznie, ale to nie powstrzymuje jej przeklętych łez. Uwolnione spływają po policzkach. Faith wciąż na mnie nie patrzy. – Nawet nie wiesz, jak bolą te słowa. To mnie cholernie dobija. –

Opuszcza głowę, patrzy mi w oczy, więc czuję że to, co mówi, jest ważne. – Przeprowadzałam się w życiu już wiele razy. Poznałam mnóstwo ludzi. Podoba mi się twoje serce, Seamus. – Kładzie dłoń na mojej twarzy, całuje mnie czule w kącik ust i szepcze: – Moje serce naprawdę lubi twoje.

Ma rację.

Nie chcę, by ją miała.

Ale niestety tak jest.

Szlag by to trafił.

Wstaję z jej pomocą. Nasze spojrzenia przeprowadzają długą rozmowę. W oczach mam wszystko, czego usta nie są w stanie wypowiedzieć – słowa są zawodne i nie mają przyszłości poza drzwiami jej mieszkania.

Następnie proszę o kolejny uścisk, który podsumowuje wszystko, co powiedziały właśnie nasze oczy. Każdą obietnicę, której nie jesteśmy w stanie dotrzymać. Nie chcę pozwolić odejść tej kobiecie. Zaciskam palce na jej koszulce w desperackiej próbie zapamiętania każdej odrobiny Faith. Pragnę zachować to przy sobie, gdy już będę za jej drzwiami. W końcu odsuwamy się od siebie i widzę, że jej łzy zdążyły zmoczyć mi koszulę. Kiedy wychodzę, żadne z nas nic nie mówi, ponieważ nie pozostało już nic do powiedzenia.

JEZUS MARIA I WSZYSCY ŚWIĘCI

SEAMUS

Teraźniejszość

Otwierając drzwi własnego gabinetu, słyszę dzwoniący telefon.

– McIntyre, słucham – mówię.

– Seamus. – Janet odchrząkuje. – Mógłbyś tu natychmiast przyjść?

Przepraszam. – Ton jej głosu sprawia, że się denerwuję. Lubię Janet, ale zaczynam nienawidzić jej telefonów.

Idę powoli, jakby mogło to zmniejszyć wagę złych wieści lub je wymazać.

Tak się jednak nie dzieje.

Janet zaprasza mnie gestem do pustego gabinetu po prawej stronie od jej biurka i zamyka za nami drzwi. Nie wiem, co zamierza powiedzieć, ale jestem wdzięczny za tę prywatność. Podaje mi formularz.

– Chcą, byś dziś rano wykonał test narkotykowy. Będziesz musiał natychmiast wyjść, żeby zdążyć na wizytę. – Przygryza dolną wargę, jakby było jej przykro, że musi przekazać mi tę wiadomość, i jakby miała nadzieję, że jestem czysty.

– Kto chce?

Rozgląda się, jakbyśmy nie byli sami, po czym ścisza głos:

– Nie powinnam nic mówić, ale w piątek po południu dzwonili z administracji, by poinformować o wyznaczeniu wizyty – urywa i zdenerwowana zwilża wargi językiem. – A wcześniej dyrektor Brentwood dostał kopertę, na której widniał adres zwrotny kancelarii prawnej twojej byłej żony. Nie była zaklejona... – Zamyka oczy, bo wie, że źle zrobiła. – ...więc zajrzałam do środka i przeczytałam znajdujące się w niej dokumenty. Był tam list z podejrzeniem, że bierzesz narkotyki i zdjęcie...

Przerywam jej:

– Jezus...

– Maria i wszyscy święci – mamrocze pod nosem. To wyraz solidarności. Wie, że przechodzę piekło z Mirandą. – Seamus, to poważna sprawa. Wszelkie podejrzenie skutkuje natychmiastowym wezwaniem na testy, wiesz o tym. Jeśli wynik badania okaże się pozytywny, zostaniesz zwolniony, ponieważ w naszej placówce nie są tolerowane takie zachowania – mówi, nie pytając, czy zgodzę się przejść test.

Patrzę błagalnie w jej oczy.

– Nie ćpam, Janet. Musisz mi uwierzyć. To nie tak, jak to wygląda.

Kiwa głową z ulgą.

– Wierzę ci, Seamus. Zrób ten test i udowodnij im to.

Zrobiłem test.

Nic nie wykrył.

Pieprz się, Mirando.

NIKT NIE MOŻE MIERZYĆ SIĘ ZE ŚWIĘTYM

MIRANDA

Przeszłość

Zgodnie z postanowieniem złożyłam wniosek o rozwód, Seamus otrzymał dokumenty w poniedziałek, kiedy był w pracy.

Nie spodziewał się tego.

Czeka na mnie, gdy wracam późno do domu. Dzieci są już w łóżkach. Powinnam jechać do hotelu, ale dom jest na tyle duży, że możemy w nim mieszkać, unikając się nawzajem.

Kiedy wchodzę, widzę, że siedzi zwrócony twarzą do drzwi, w fotelu, który przyciągnął z salonu. W rękę trzyma butelkę piwa. Pięć pustych spoczywa pod jego nogami.

– Kim on jest?

Irytuje mnie, rozpoczynając atak, nim zdążę się rozebrać. Nie odpowiadam od razu.

Czeka cierpliwie, upijając długi łyk z butelki.

– Kim jest... kto? – pytam niewinnie.

– Facet, dla którego mnie zostawiasz – mówi cicho, co martwi mnie bardziej, niż gdyby krzyczał. Jego zaciśnięte na butelce palce podpowiadają mi, że wzbiera w nim gniew, który ledwo może

powstrzymać.

– Po prostu nie mogę już tego dłużej ciągnąć, Seamus. – Nie wiem, dlaczego czuję się zobowiązana, by się tłumaczyć. Czekałam na ten dzień od lat, pracowałam, by spełnić swoje przeznaczenie, a teraz, gdy on w końcu nadszedł, jest mi ciężiej, niż się tego spodziewałam.

Muszę się targować o przepustkę z piekła.

Kurwa.

– Ma więcej pieniędzy niż ja? O to chodzi?

O wiele więcej, myślę.

– Lepiej wygląda?

Nie. Jest przystojny, ale nikt nie wygląda lepiej od ciebie.

– Jeździ eleganckim samochodem?

Woźą go eleganckim samochodem.

– Kupuje ci kosztowne prezenty?

Już nie. Od dawna.

Zasypuje mnie pytaniami, coraz bardziej podnosząc głos. Nie odpowiadam na żadne. Przechodzi więc do tych bardziej prywatnych, a ton jego głosu staje się kąśliwy i oskarżycielski.

– Kocha twoje dzieci i zadba o nie?

Nie chce mieć dzieci. Nawet własnego.

– Będzie się tobą opiekował, kiedy zachorujesz?

Polecą gośposi to zrobić.

– Przyniesie ci jedzenie, kiedy całą noc będziesz pracowała?

Nawet o tym nie pomyśli.

– Wstanie przed świtem w twoje urodziny, by upiec ci naleśniki z orzechami pekan oraz podwójnym masłem i syropem, wiedząc, że to twoje ulubione danie?

Nie gotuje. Nie ma pojęcia, że uwielbiam naleśniki z orzechami pekan.

– Czy wie, że kiedy nie możesz zasnąć, lubisz, gdy ktoś głaszcze cię po plecach, bo to odpręża cię, gdy jesteś zmęczona?

Nie ma talentu do pocieszania.

Prawda płynąca z jego słów i moje odpowiedzi w duchu sprawiają, że mam ochotę stąd uciec. Chcę uniknąć konfrontacji. Chcę mu powiedzieć, że odchodzę. I by zaakceptował to w ciszy. Nie powinien ze

mną o tym dyskutować. Nie powinien zmuszać, bym się zastanawiała. Coś bolesnego i podłego mam dosłownie na końcu języka.

– W czym on jest dla ciebie lepszy niż ja?! – krzyczy z bólem w głosie.

– Nie jest ułomny! – No i proszę. Najgorsze słowa, które kiedykolwiek mogłam wypowiedzieć. Słowa, które go zniszczą, ponieważ sam w nie wierzy. Wie, że jest dobrym ojcem, mężem, pedagogiem, człowiekiem. Jest o tym przekonany i nigdy w to nie wątpił. Jednak zdrowia nie może naprawić, chociaż bardzo by chciał. To jego pięta achillesowa. A ja właśnie mu o niej przypomniałam.

Będę się za to smażyć w piekle. W najgorętszym kotle. Przez całą wieczność.

Nikt przecież nie będzie dla mnie lepszy niż Seamus. Wiedzą o tym moje najgłębsze, najciemniejsze zakamarki świadomości. Nie chodzi o to, że odpycha mnie jego choroba. Czy mi się podoba? Nie. Czyni go w moich oczach mniej atrakcyjnym? Tak. Sprawia, że jest mniej męski niż Loren? Nie. Chodzi po prostu o to, że chcę wszystkiego, co wiąże się z Lorenem. Seamus nie może być moim królem.

On po prostu jest święty.

A nikt nie może mierzyć się ze świętym.

Nie zaprzecza temu, co przed chwilą powiedziałam. Nie kłóci się już ze mną. Wstaje, dopija piwo, rzuca butelkę na podłogę i wychodzi. Jednak, nim znika za rogiem, odwraca się. Patrzy mi prosto w oczy. Emocje kotłują się we mnie, aż boli mnie brzuch. Kiedy się w końcu odzywa, mówi cicho, lecz dobitnie. Zapomniałam przez te wszystkie lata, jak bardzo podobał mi się na samym początku jego głos. Gdy zaczęliśmy się spotykać i odezwał się do mnie po raz pierwszy, motyle w moim brzuchu poderwały się do lotu.

– On nigdy nie pokocha cię tak, jak ja.

Odchodzi.

Czuję, że wszystko, co łączyło nas przez te dwanaście lat, strzela teraz jak gumka recepturka.

Kolejny środkowy palec od świata. Tym razem słyszę również jego rechot.

GĘSTY, DUSZĄCY DYM

SEAMUS

Terazniejszość

Mija miesiąc za miesiącem.

Odzyskałem wzrok. Powoli i niecałkowicie. Jednak nie mogę narzekać, cieszę się z tego, co mam. Mimo towarzyszącego poruszaniu szybkiego zmęczenia, a także mrowienia oraz bólu można powiedzieć, że czucie w nogach również się poprawiło. Schudłem, ponieważ straciłem apetyt. Ale nie ma to żadnego znaczenia. W tej chwili nie pamiętam już, co oznacza mieć zdrowe ciało i umysł. Po prostu istnieję, o ile w ogóle można tak powiedzieć.

Praca stała się tylko pracą – zajęcie, w którym się niegdyś spełniałem, teraz jest dla mnie tylko robotą. Dzieciaki, które do mnie przychodzą, traktuję poważnie i robię wszystko, co w mojej mocy, by im pomóc. Jednak wynika to bardziej z obowiązku, nie wkładam w to już tyle serca.

Poza czasem spędzonym w szkole nie rozmawiam z nikim oprócz pani L., gdy raz w miesiącu idę do niej zapłacić za czynsz. Jest dobra w zadawaniu trudnych pytań, które mają na celu wypłukać ze mnie emocje. Rozpoznaję taktykę, jestem pedagogiem. Jest tak miła

i troskliwa, że przetykam szczerłość, która bardzo chce się ze mnie wydostać i zastępuję ją niejasnymi wymówkami, które mają za zadanie ją uspokoić.

Tęsknię za Faith. Bardzo. Zwykłem wpatrywać się w nią, gdy wychodzi na zewnątrz lub wchodzi do mieszkania. Patrzyłem, jak porusza się z wielką gracją i skromnością. Podziwiałem je w niej, mając świadomość, że nie wynikają z wychowania. Pracowała nad sobą wiele lat, a teraz to pokazuje. To niezwykle i piękne. Jednak już się jej nie przyglądam, bo czułem się jak zboczeniec. Niemożliwe pragnienie jej obecności w moim życiu stawało się torturą, która zmieniała spoglądanie w chorobliwą obserwację. Nie jestem stalkerem.

Każdego wieczoru dzwonię do dzieci. Czasami udaje mi się z nimi porozmawiać, częściej jednak dostaję odpowiedź, że nie jest to możliwe. Wkurza mnie kontrola Mirandy. Moja wściekłość powinna zostać ukojona słowami, rozmową z kimś, komu ufam. Tą osobą jest właśnie Faith, więc nie mogę tego zrobić, dlatego nocami przeważnie zalewam złość alkoholem i zasypiam dzięki zapisanym przez lekarza tabletkom. Nie działają tak, jak powinny, odłączają świadomość jedynie na kilka godzin. Dobrze i to. Gdy już udaje mi się porozmawiać z dziećmi, moje ciało zamienia się w kolejkę górską, więc jestem wyczerpany, gdy z niej wysiadam. Jestem niewiarygodnie szczęśliwy, gdy słyszę ich głosy. Wyczuwam w nich dystans, przestrasz i smutek. Łamie mi to serce. Wcześniej dzieci mówiły, że chcą wrócić do domu. Czas i okoliczności, na które nie mieliśmy wpływu, szybko sprawiły, że wszystkie cechy osobowości, które czyniły każde z nich tak unikalnym, zostały uładzone. Zaczęły niknąć w mdłym, zdyscyplinowanym świecie Mirandy – świecie, w którym dzieci przestają być dziećmi. Nie ma czasu na zabawę, rozwijanie kreatywności, nie jest pielęgnowana indywidualność, ponieważ nie przyda się ona w świecie skoncentrowanym wyłącznie wokół pieniędzy. W świecie, w którym – wspinając się po szczeblach kariery – można ograbić własną duszę. Rory porzucił swój akcent, Kira przestała się słodko wymądrzać i nie interesuje ją już Ogórek. Kai milczy – nie jest zamyślony, lecz przerażająco niemy, jakby poddał się w walce o samego siebie i własną motywację.

Ta wiedźma wysysa życie z moich dzieci.

Staram się mówić im o pozytywach, zachęcam ich każdym słowem bez względu na to, czy życzą sobie moich uwag, czy też nie. Zawsze tak rozmawialiśmy, przychodziło to łatwo nawet wtedy, gdy nie czułem się za dobrze lub mój umysł był zamroczony problemami dorosłych i światem Mirandy. Każde z moich dzieci zawsze było moim światełkiem, iskierką, której nigdy nie chciałem gasić. Chciałem, by każda z nich zapłonęła silnym, jasnym, wysokim płomieniem, dlatego codziennie podsyciałem ich zapał. Z dnia na dzień... z godziny na godzinę... z minuty na minutę... Tak właśnie powinni postępować rodzice. Powinni instynktownie napełniać serca swoich dzieci miłością. Obdarzać je zrozumieniem, współczuciem. Dawać im wiedzę, by w dorosłym życiu nikt nie przyćmił ich płomienia. By płonęły najjaśniej i nikt nie mógł ich zgasić.

Motywowanie moich dzieci jest w tej chwili bardzo trudne. Niewielki ogień zaledwie się żarzy, a ja mam wrażenie, że próbuję go wzniecić, podkładając świeże gałęzie i mokrą gazetę.

Powstaje jedynie gęsty dym.

Dusi mnie.

Jak i dzieci.

Kiedyś codziennie pisałem i wysyłałem im list. Nigdy żadnego nie otrzymały. Wiem, bo o to pytałem. Myślę, że gospoia Mirandy przekazuje jej tę pocztę. Wysłałem też kilka listów za potwierdzeniem odbioru, jednak nikt ich nie odebrał i wróciły do nadawcy. Wciąż je piszę, ale już nie wysyłam. Gromadzę je tylko w pudełku po butach, by dać dzieciom przy następnym spotkaniu. Miranda może utrudniać nam kontakt, ale nie może mnie całkowicie od nich odseparować.

W KŁOACE PODŁOŚCI

SEAMUS

Teraźniejszość

Święto Dziękczynienia.

W końcu nadeszło.

Pierwszy raz mogę odwiedzić dzieci, odkąd Miranda odebrała mi nad nimi opiekę.

Szkoła zamknięta jest przez cały tydzień, więc we wtorkowy poranek pakuję do samochodu walizkę z ubraniami, lodówkę turystyczną z jedzeniem i wodą, pudełko po butach z listami do dzieci i stęsknione za nimi, pełne nadziei – własne serce. Udaję się na północ.

Jadę jedenaście godzin, nim poddam się i przystanę na parkingu, by uciąć sobie kilkugodzinną drzemkę, która zregeneruje moje siły i będę mógł prowadzić przez kilka następnych godzin.

Gdy podjeżdżam pod bramę domu, którego adres podała Miranda, nogi bolą niemiłosiernie, zmęczone oczy pieką, a to staje się przyczyną potężnego bólu głowy.

Jednak łatwo przyćmiewa go ekscytacja. Dzieci, moje dzieci znajdują się po drugiej stronie ogrodzenia i czekają na mnie w tym budynku.

Dzwonię na komórkę Mirandy. Nie odbiera.

Dzwonię do domu. Telefon odbiera gosposia, mówiąc z wyraźnym akcentem:

– Rezydencja państwa Buckingham.

– Jest tam może Kai?

Wie, że to ja, ale zachowuje się formalnie, wciąż kalecząc angielski.

– Nie ma go.

Coś jest nie tak. Kontynuuję rozmowę, nie zważając nawet na jej chłodny ton:

– Co? Mówi jego ojciec. Przyjechałem po dzieci.

Kobieta chrząka i zadaje śmiertelny cios z obojętnością, z której nawet Miranda byłaby dumna:

– Pani Buckingham i dzieci są na wakacjach. Wracają w poniedziałek.

Początkowo wybuch gniewu opóźnia się przez moje niedowierzanie. Jednak już po chwili wściekłość eksploduje, rozrywając mnie od środka. Wrzeszczę na kobietę:

– Gdzie, do diabła, są moje dzieci? – Słowa wydostają się z głębokiej, ciemnej nory, w której rodzi się nienawiść.

Połączenie natychmiast zostaje przerwane.

Rzucam komórkę na siedzenie pasażera i wysiadam z samochodu. Chwilę później uderzam w kutą bramę laską, przeklinając wielką, obsceniczną budowlę, która jest rzekomo domem moich dzieci.

W drzwiach pojawia się tęga, postawna kobieta, która rusza w moim kierunku. Na jej twarzy mieszają się irytacja i strach. Gestykułuje żywo, wołając, bym się uspokoił.

Jak cholera się uspokoję.

– Gdzie są moje dzieci?! – krzyczę ponownie. Ten krzyk nie jest konieczny, ponieważ kobieta stoi jakieś trzy metry ode mnie. Jednak gniew nie pozwala mi na ciche słowa. – Bóg wie, co się stanie, jeśli nie powie mi pani, gdzie są moje dzieci...

Przerywa mi:

– Cicho – syczy. – Nie ma ich. Mówiłam. – Rozgląda się na boki, zupełnie na mnie nie patrząc. Sprawdza jedynie, czy moje zachowanie

nie wywołało na ulicy jakiegoś poruszenia. Wydaje się zdenerwowana, a pewność siebie dźwięcząca w słuchawce telefonu zniknęła.

Biorę głęboki wdech przez nos, by stłumić gotujący się we mnie gniew. Nic to nie daje. Biorę kolejny wdech. Dalej nic. Powracam więc do pytań, choć tym razem syczę przez zaciśnięte zęby, dbając o odpowiednie natężenie głosu:

– Gdzie one są?

Kobieta kręci głową, a potem odpowiada bardzo szybko, jakby chciała przyspieszyć mój odjazd:

– Nie wiem. Nie powiedziano mi.

Patrzę jej prosto w oczy, starając się z nich coś wyczytać. Na jej twarzy widzę jednak tylko strach. Ponownie się rozgląda. Odwracam się do niej plecami i uderzam pięścią w maskę samochodu.

– Kurrwa! – Przeciagam ten wyraz z frustracją, wypuszczając przy tym wstrzymywane w płucach powietrze. Gdy przekleństwo wychodzi z moich ust, zawisa ciężko nade mną. Otacza mnie nienawiść tak namacalna, że mógłbym jej dotknąć. Uderzyć w nią. Udusić gołymi rękami.

Kłótnia z tą kobietą jest bezsensowna. Ból w piersi podpowiada mi, że gosposia nie kłamie i że moich dzieci naprawdę tu nie ma.

Upór nakazuje mi poczekać, na wypadek gdyby kłamała, i zobaczyć, czy przypadkiem nie wyjdą z domu lub do niego nie wrócą.

Czekam.

Zjadam dwie kanapki z masłem orzechowym i popijam wodą z lodówki turystycznej.

Po zachodzie słońca sikam za wysokim żywopłotem Mirandy, nieopodal bramy.

Zasypiam około trzeciej w nocy, ale budzę się tuż po czwartej.

Ponownie sikam pod żywopłotem przed samym wschodem słońca.

Jem jabłko oraz kolejną kanapkę z masłem orzechowym, a potem wypijam resztkę wody.

Po dwudziestu czterech godzinach nurzania się w kloace podłóci Mirandy ustępuję i odjeżdżam.

Jadę prosto do domu, zatrzymując się wyłącznie po to, by zatankować.

Gdy docieram do domu, moje ciało, umysł i dusza są kompletnie zniszczone.

Piszę list do dzieci, mówiąc w nim o wszystkich złych rzeczach, które zrobiła ich matka. Wyznaję, jak bardzo jej nienawidzę, wyznaję, że one też powinny. Wyznaję, jak bardzo mi przykro, że ona istnieje w ich życiu. Wyznaję, jak bardzo bym chciał, by zdechła i zgniła w piekle.

Jednak mnę list w pięści i wrzucam go do śmietnika, ponieważ moje dzieci nie potrzebują nienawiści.

Potrzebują miłości.

Wyciągam zatem czystą kartkę i piszę:

28 listopada

Do moich dzieci,

bardzo Was kocham. W każdej sekundzie i bez względu na to, czy jesteście ze mną, czy też nie. Zawsze o tym pamiętajcie.

Tata

Składam kartkę na pół i wrzucam do pudełka po butach na stos innych listów.

Wyciągam tequilę. Nie biorę tabletki nasennej, ponieważ jestem tak zmęczony, że nie widzę na oczy. Chwilę później zapadam w głęboki sen, który trwa czternaście godzin. Budzę się.

Moja pierś jest tak pusta, jakby Miranda tępą łyżką wydłubała z niej siłę, zdolność kochania i postrzegania dobra.

ZRZUCIĆ ŻAL – JAK WAŻ STARĄ SKÓRĘ

MIRANDA

Przeszłość

Stoję w pomieszczeniu, które jeszcze godzinę temu było moją sypialnią. Teraz należy ona do kogoś innego. Nie powinnam tu przebywać. Dzisiaj rano podpisałam dokumenty i przekazałam klucze. Jeden z nich zatrzymałam, bym mogła wrócić i się pożegnać.

Pokój jest pusty. Na wykładzinie pozostały wgniecenia po nogach wielkiego łóżka i komody. Niedoskonała pamiątka po istniejącym tu niegdyś życiu.

Teraz panuje tu cisza.

I chłód.

Tak podobne do mnie.

Rozwód stał się faktem. Od kilku tygodni mieszkam z Lorenem w Seattle. Żyję nowym życiem. Życiem, którego pragnęłam.

Wciąż sobie o tym przypominam – to życie którego pragnęłam.

Wczoraj wieczorem wyszłam za mąż za Lorena. Sprowadził do domu pastora, który odprawił ceremonię. Wszystko trwało pięć minut. Okłamałam Seamusa, mówiąc mu, że dzisiejszego ranka wylecieliśmy do Europy w dłuższą podróż poślubną. Jednak nie będzie miesiąca

miodowego, nie poszliśmy nawet na kolację.

Zamykam oczy, pozwalając, by ogarnęły mnie gniew, poczucie straty i żal. Nigdy tego nie robię. Nigdy sobie na to nie pozwalałam. Jednak po to właśnie tu przyjechałam. Znienawidzone emocje pożerają mnie. Czuję się jak wąż uwięziony w starej skórze i próbujący ją zrzucić, lecz ta nie chce odpaść. Przykleiła się do mnie, swędzi, staje się niewygodna. Muszę się jej pozbyć, by móc dalej żyć.

Przed oczami staje mi Seamus. Jest tak przystojny z włosami ciemnymi jak noc i oczami tej samej barwy... Oczami, które nie tylko patrzą na mnie, lecz także potrafią przejrzeć mnie na wskroś. Jego skóra jest złota, a sylwetka postawna, to dzięki niej mogłam całkowicie zniknąć w jego ramionach.

W tej chwili mogę niemal znów poczuć jego dotyk, więc do oczu napływają mi łzy. Był jedynym mężczyzną, z którym żyłam i który się ze mną kochał. Mimo że tego nie odwzajemniałam, jak wszystkiemu, czemu się poświęca, dawał mi siebie w pełni – całe swoje ciało i serce. Byłam ich pewna. Uprawiałam seks z innymi, ponieważ pchała mnie do tego potrzeba. Musiałam zaspokoić swój popęd. Nie byłam w stanie odwzajemnić miłości. Jednak teraz uświadamiam sobie, jak bardzo kochałam ją otrzymywać.

Przehandlowałam miłość za władzę.

Nie była to udana transakcja.

Nawet w połowie.

Gdy Seamus był zaniepokojony, to zawsze ja sprawowałam kontrolę. Oszukiwałam go, zapewniając, że się kochamy. Wmawiałam sobie, że poświęcana mu uwaga prowadziła mnie do celu. Dawałam mu niewiele. Otrzymywałam bardzo dużo. Nasz związek oparty był na dysproporcji. On nigdy się nie zorientował, a jeśli nawet – nigdy nie dał tego po sobie poznać. Wysłałam za mężczyznę, który po prostu wolał dawać niż brać. Zadowalał go pojedynczy komplement, czuły dotyk, którym od czasu do czasu go obdarowałam lub głębsza rozmowa przy specjalnej okazji. Seamus był banalny, przedkładał jakoś nad ilość. Fascynowało go istnienie, wyciskał z życia każdą minutę. Czasami myślałam, że to ja nauczyłam go tego przez umiejętną manipulację. Stojąc w tym pomieszczeniu, pogrążona w żalu, zastanawiam się, czy

sama nie zostałam zmanipulowana przez Seamusa, który potrafił wydobyć ze mnie prawdziwe uczucia. Sądziłam, że to ja starannie wszystko reżyseruję, by skupić na sobie jego uwagę, a tak naprawdę sama na nią reagowałam. Pragnęłam jej, choć oszczędnie.

Mam zamiar zostać w tym pomieszczeniu i płakać.

Nienawidzę płaczu, a im dłużej szlocham, tym bardziej robię się wściekła.

Na samą siebie. Na Lorena. Na Seamusa. Na niepożądane uczucia. Na depresję, która zaraz mnie udusi. Na bezradność i samotność, które stały się moimi nieodzownymi towarzyszkami.

Jestem wkurwiona.

I chcę, by inni też to czuli.

CZASAMI ROZPACZ JEST BŁOGOSŁAWIENSTWEM W PRZEBRANIU

SEAMUS

Teraźniejszość

Niekiedy jeżdżę po naszej starej okolicy. Nigdy jednak nie przejeżdżam obok naszego dawnego domu. Udaję się do biblioteki, gdzie spędzam czas. Przesiaduję w parku, patrząc, jak dzieci karmią ptaki czerstwym chlebem. Czasami wchodzę do sklepu spożywczego, by kupić kiszone ogórki.

Dzisiaj robię to wszystko, ponieważ czuję się bliżej dzieci. Kiedy znajduję się w znajomym miejscu, w którym często razem bywaliśmy, mam przed oczami całą trójkę. Najpierw jadę do biblioteki i do parku. Gdy wchodzę do sklepu, zatrzymuje mnie głos:

– Seamus? Seamus McIntyre?

Odwracam się, lecz nie rozpoznaję wpatrującej się we mnie kobiety, dopóki ta nie zaczyna się uśmiechać. To uśmiech, który zmienia skrzywioną, zgorzkniałą twarz w przyjazną i ciepłą. Kiwam głową.

– Justine, dobrze cię widzieć. – Justine przez wiele lat była asystentką Mirandy. Często z nią rozmawiałem, głównie przez telefon. W ten sposób łatwiej mi było przekazać żonie jakąś wiadomość, kiedy

pilnie tego potrzebowalem, a ona byla w pracy. Justine byla zadziorna i wygadana, dzięki czemu zapewne dostala tę posade. Miranda rozpoznała i polubila kolejną zmię. Jednak nie udało jej się dostrzec, że pod twardą skorupą Justine kryje się serce. Nie było miękkie i ujmujące, pragnące pozyskać sobie przyjaciół i wielbicieli, lecz niewątpliwie szczere. Potrafiło wybrać, komu należy okazać troskę. Okazywała ją szorstko, czasem w sposób trudny do przyjęcia, lecz nie było w tym złych intencji. Gdy dzwoniłem, zawsze pytała o dzieci. Kiedy zdiagnozowano u mnie stwardnienie rozsiane, nadskakiwała mi podczas każdej rozmowy jak nadopiekuńcza matka. Gdy zaś po raz ostatni z nią rozmawiałem, dzień po tym, jak Miranda zakomunikowała mi, że odchodzi, Justine stwierdziła: „Czasami rozpacz jest błogosławieństwem w przebraniu”. Byłem wstrząśnięty wiadomością od Mirandy i nie zastanowiłem się głębiej nad słowami Justine, ale w tej chwili zadźwięczały echem w mojej pamięci.

Kobieta ścisła moją dłoń.

– Ciebie również dobrze widzieć, Seamus. – Jej uścisk jest pewny, niemal oficjalny. Chwilę potem poklepuje mnie jednak po grzbiecie dłoni, co łagodzi pierwsze wrażenie. Zawsze sądziłem, że to klepanie oznacza próbę nawiązania kontaktu. Jej stanowczy charakter utrudniał fizyczną relację. Był jak bariera odgradzająca to, co niechciane. Poklepywanie w wykonaniu Justine jest więc autentyczne, po prostu ciężko jej przełożyć uczucie na działanie. Wracam pamięcią do Faith, która dorastała, nie zaznawszy czułości. Zastanawiam się, czy Justine również została wychowana w ten sposób.

– Jak się trzymasz? Źle wyglądasz. Jakbyś był zmęczony. Nie dbasz o siebie, co?

No i proszę, troskliwe serce bez filtra.

Wzruszam ramionami. Nie umiem jej okłamać. Potrafi wyczuć bujdzę jak pies gończy.

Kręci głową.

– Jak się mają dzieci?

– Mieszkają z Mirandą w Seattle. – Znienawidzone słowa wydostają się z moich ust.

Wygląda na zdezorientowaną, nigdy dobrze nie ukrywała emocji.

Mruga kilkakrotnie, następnie wytrzeszcza oczy i pyta:

– Słucham? – Nie prosi o wyjaśnienia, raczej wyraża swoje zdziwienie.

Kiwam głową.

– Tak. Sfabrykowała dowody i kilka miesięcy temu podczas milutkiej sprawy przeciwko mnie odebrała mi dzieci. Nie widziałem ich od tamtej pory, ledwie pozwala mi z nimi rozmawiać. – Przęłykam z trudem ślinę, ponieważ nie mówiłem o tym nikomu. Rozmawiałem jedynie ze sobą, kiedy nocą zbyt wiele wypłem.

Jej oczy wciąż są szeroko otwarte.

– Nigdy nie potrafiłam zrozumieć, jak to możliwe, że mężczyzna taki jak ty związał się z taką kobietą.

– Co masz na myśli?

W jej oczach widzę matczyne uczucia, które zarezerwowała wyłącznie dla mnie.

– Jesteś dobry. Ona nie. Jesteście jak woda i olej, nigdy nie powinniście być razem.

– Dała mi trójkę wspaniałych dzieci. – Nie bronię jej, ale to prawda.

Justine przygryza wargę, patrzy ponad moim prawym ramieniem, jakby się nad czymś zastanawiała. Nad czymś ważnym, czego być może nie powinna ujawniać. Kiedy ponownie spogląda mi w oczy, zaciska mocno usta.

– Możesz podać mi swój adres, Seamus?

Zdziwiony ściągam brwi i pytam:

– Po co?

W jej oczach widać zarówno determinację, jak i smutek.

– Muszę ci coś napisać – mówi, jakby to wszystko wyjaśniało. Kiedy więc nie reaguję ani nie odpowiadam, dodaje: – Jest coś, o czym powinieneś wiedzieć.

Wciąż jestem zdezorientowany i nie potrafię zatrzymać narastającego wewnątrz ciepła, zdenerwowanie ściska mi żołądek.

– Powiedz – nalegam głosem silniejszym, niż pozwala na to moje samopoczucie.

Kręci głową, a matczyne uśmiech wraca na jej twarz, lecz jest

pełen wstydu. Przeprasza mnie:

– Nie mogę. Może i mam serce z kamienia, ale jest we mnie również współczucie. Ta informacja musi zostać przekazana w spokoju, a nie na środku sklepu spożywczego, gdzie każdy może nas usłyszeć. Przynajmniej na to zasługujesz.

– Powiedz – nalegam ponownie.

Bierze głęboki wdech, a na jej twarzy maluje się dezaprobatą.

– Nie... – Myślę, że nie powie nic więcej, ale dodaje: – ...chcę być świadkiem twojej reakcji. Nie chcę widzieć, jak bardzo cię zranię, Seamus.

– Ale będziesz jedynie posłańcem złych wieści.

– Nie ma znaczenia, czy sama cię skrzywdzę, czy jedynie przekażę informację o krzywdzie. Posłaniec zawsze jest świadkiem intensywnej fali emocji powstającej natychmiast po zadaniu ciosu. Nie radzę sobie z silnymi emocjami. Przykro mi, Seamus. Mogę prosić o twój adres?

Nagle mi niedobrze. Wyciągam z kieszeni rachunek ze stacji benzynowej, zapisuję na jego odwrocie adres i podaję jej bez słowa.

Kobieta bierze go ode mnie, składa starannie na pół i wkłada do torebki, po czym wyciąga do mnie rękę.

Ścisną ją, ponownie poklepując. Tym razem wiem, że to przeprosiny.

– Trzymaj się, Seamus. Dzieci powinny być z tobą. Sprawdź, co można zrobić, by tak się stało. Nie trać wiary.

Nie odpowiadam. Nie mogę nic powiedzieć. Justine puszcza moją dłoń i wychodzi ze sklepu. Czuję się bardzo źle, więc nie szukam ogórków, lecz odwracam się na pięcie i wracam do samochodu.

Jadę do domu, gdzie czekam na list, który z pewnością złamie mi serce.

Znowu.

MASA CELULOZOWA I ZŁE INTENCJE

SEAMUS

Terazniejszość

Dwa dni później stoję na wycieraczce z napisem *M.....Y*. Znajdując się w znajdując się bliżej liter *Y*, wyciągam zawartość ze skrzynki na listy znajdującej się przy drzwiach.

Pierwsza koperta zawiera rachunek za telefon.

– Dalej – mówię na głos, jakby przejście do kolejnego elementu korespondencji miało sprawić, że rachunek przestanie istnieć.

Drugim dokumentem jest ulotka reklamująca chińską restaurację znajdującą się na tej samej ulicy. Ślinka napływa mi do ust na widok kurczaka w sezamie widniejącego na zdjęciu, lecz przypominam sobie, że jedzenie w tym miejscu kiepsko smakuje i na żywo wygląda zupełnie nieapetycznie.

– Dalej – mówię, przetykając zjętcałe wspomnienie wstrętnego posiłku, który pechowo zjadłem kilka tygodni temu.

Wreszcie trzecia koperta.

To chyba...

Upuszczam papiery, jakby zawierały wstrząsającą treść. Słowa zapisane na sprasowanej celulozowej masie, które złymi intencjami

skaziły już moje dłonie.

Moja poczta leży w tej chwili na wycieraczce, idealnie między literami *M* i *Y*. Odręczne pismo Justine szydzi ze mnie. Przerazają mnie stawiane pewnie litery odcisnięte mocno na papierze. Wiem, że znowu powinienem uznać wycieraczkę za nieprzyjazną matę, ale mogę myśleć jedynie o widocznym na niej napisie *MY*. O Faith i o mnie. Nie potrafię przeczytać tego listu bez niej.

Porzucając więc logikę, która nakazałaby mojemu sercu zamknąć się w cholere, biorę list, schodzę na dół i pukam do drzwi mieszkania Faith.

Nie otwiera, więc dobijam się ponownie, zrozpaczony, ponieważ lęk zaczyna wypełniać moje płuca, jakby wlewała się do nich woda.

Odpowiedzią jest cisza, której towarzyszą łzy.

Opieram czoło o drewniane drzwi i błagam:

– Faith, otwórz, proszę. Potrzebuję cię. – Nakrywam usta dłonią, by stłumić szloch.

NIGDY NIE SĄDZIŁAM, ŻE MAM SWÓJ TYP

FAITH

Teraźniejszość

Seamus.

Seamus McIntyre.

Pierwszy raz, gdy go zobaczyłam, dosłownie zapało mi dech w piersiach. Nigdy wcześniej mi się to nie zdarzyło. Przestałam oddychać na kilka sekund, jakby nabranie powietrza do płuc nie było fizycznie możliwe, dopóki mój mózg nie zarejestruje obrazu tego perfekcyjnego mężczyzny i nie przekształci go we wspomnienie, które mogłabym przywoływać w chwilach, gdy będę chciała skupić się na czystym pięknie. Nigdy nie sądziłam, że mam swój typ. Najwyraźniej było tak dlatego, że nie spotkałam jeszcze Seamusa McIntyre'a. Kiedy tylko go zobaczyłam, nie chciałam już nigdy odwracać wzroku. Był wysoki, posturą wyraźnie zaznaczał swą obecność, lecz jego ruchy zdradzały przyjazną, niefrasobliwą naturę mężczyzny. Ciemne włosy były krótkie, lecz dało się zauważyć, że już od dawna wymagały przystrzyżenia. Tworzyły idealnie zmierzwiony bałagan, który może powstać tylko przy trochę za długich kosmykach. Bałagan ten sugerował, że nie stoi przede mną facet, który przesadnie dba o wygląd.

Wytarte jeansy, zdarte buty oraz zwykła biała koszulka również zdawały się to potwierdzać. Wszystko na jego twarzy – skóra pokryta kilkudniowym zarostem, wystające kości policzkowe, prosty nos i ciemne, głęboko umiejscowione, tajemnicze oczy – stało ze sobą w sprzeczności. Intensywność i łagodność. Młodość i mądrość. Siła i wrażliwość. Nigdy wcześniej nie widziałam tak wyrazistego oblicza. Gdy poznałam Seamusa bliżej, uświadomiłam sobie, że to pewnie dlatego, iż mężczyzna ten niczego nie ukrywa – wszystko jest zawsze wypisane na jego twarzy.

Po raz pierwszy poczułam przyciąganie do Seamusa, kiedy ujrzałam, jak kuca na chodniku, by porozmawiać z córeczką, Kirą. Płakała głośno, szlochając i czkając. Dla większości ludzi przyjęcie tej pozycji nie stanowi problemu, ale nie dla niego. Równie dobrze mógł poklepać Kirę po głowie albo porozmawiać z nią, stojąc, lecz tego nie zrobił. Walczył, by uklęknąć, chociaż proces ten był długi i wyraźnie bolesny. Widać było, że zrobiłby wszystko dla swoich dzieci. Był to prosty, a zarazem wymowny gest. Wtedy również uświadomiłam sobie, że fascynacja drugim człowiekiem rodzi się wewnątrz nas. Kiedy możemy zobaczyć i poczuć bicie czyjegoś serca, a nasze reaguje na to przyspieszonym rytmem. Przyglądałam się, jak przybliży się do córki, by, pocieszając ją, móc patrzeć jej prosto w oczy. Na końcu objął ją. Wtedy właśnie moje serce polubiło Seamusa McIntyre'a bardziej niż kogokolwiek innego.

Kiedy po raz pierwszy go pocałowałam, mój umysł się wyłączył, a serce puściło się dzikim galopem. Byłam oszołomiona tą fizyczną reakcją i zrozumiałam, że nikt nigdy tak naprawdę mnie nie pocałował. Usta innych mężczyzn tylko dotykały moich, usta Seamusa opowiadały historię. Historię, w której chciałam brać udział. Już zawsze. Historię, która była prawdziwa, która rozpoczynała się w mroku, lecz zawsze potrafiła odnaleźć drogę do światła, które pozwalało mi wierzyć w istnienie miłości. Czystej, szczerzej, wybaczącej, trwałej miłości. Poruszającej wewnątrz, pięknej miłości. Nie spieszył się, powolne tempo stanowiło część jego uroku i oznaczało szczerłość. W każdym ruchu, westchnieniu, jęku istniał zamiar i celowość. Pocałunek Seamusa był pocałunkiem nad pocałunkami... nad pocałunkami... nad pocałunkami.

Stopniowo rozbudzał moje zmysły w najbardziej satysfakcjonujący, namiętny sposób.

Pierwszy i jedyny raz, gdy uprawialiśmy seks, Seamus ofiarował mi dar. Nie wiedział nawet, że mnie nim obdarza. Nie wiedział nic o mojej przeszłości, ponieważ nie obarczyłam go prawdą. Jednak tamtej nocy sprawił, że zniknęły niektóre z moich obaw. Kochał się ze mną. W akcie tym zawierało się wszystko, o czym opowiedział już pierwszy pocałunek, a co przerodziło się w czystą rozkosz. Głęboka więź myśli, ciała, dusz. Nie wiedziałam, że jest ona możliwa między dwojgiem ludzi, zwłaszcza w sferze seksu. Doświadczyłam tego dopiero z Seamusem. Tamtej nocy zakochałam się w nim. Do reszty.

Gdy musiałam pożegnać się z Seamusem, moje serce rozpadło się na kawałki. Był to niszczący cios pozostawiający po sobie jedynie kurz, w którym niemożliwe stało się ponowne poskładanie okruchów. Mimo wszystko mój umysł wciąż wracał do słów, które powiedział mi ten mężczyzna. *O wiele więcej niż dziękuję*. O wiele więcej. Seamus był tym *o wiele więcej*. Musiał walczyć o dzieci. Były, powinny być najważniejszym celem w jego życiu. Ja natomiast muszę odnaleźć i poskładać samą siebie. Nazywam to *poszukiwaniami*, ale to wielkie uproszczenie. Lubię myśleć, że gdyby był nam dany inny czas i miejsce, nasza relacja stałaby się czymś więcej. Żylibyśmy w związku.

Jednak mój czas tutaj się kończy. Dałam sobie pół roku na odnalezienie biologicznej matki. Wiedziałam, że będzie to trudne, ponieważ nie znałam nawet jej nazwiska, ale pomyślałam, że wiara – nie w siebie, lecz w niesamowitą, niewidzialną siłę – zaprowadzi mnie do niej. Wiara w niewidzialną siłę wszechświata, która spełni moje życzenie, ponieważ wierzę w cuda. Wierzę, że każdy w życiu otrzymuje choć jeden.

Najwyraźniej na ten mój jeszcze nie czas.

Wieczorem złożyłam w pracy wypowiedzenie, nie zamierzam już nigdy wracać do tej profesji. Odchodzę z nowym doświadczeniem, że trzeba robić wszystko, by przetrwać, niekoniecznie to, czego się pragnie. Niektóre z pracujących ze mną dziewczyn były samotnymi matkami próbującymi samodzielnie wychować dzieci. Niektóre były studentkami próbującymi opłacić naukę. Niektóre były ćpunkami starającymi się

uśmierzyć ból istnienia, na który nie zasługuje żaden człowiek. Wszystkie rozbierałyśmy się po to, by przetrwać. Różniły nas jedynie powody.

Dzisiejszego ranka rozmawiałam z panią L., dziękując jej za gościnność. Powiedziałam, że być może wrócę za kilka tygodni. Jednak nie zamierzam. Myślę, że o tym wie. Na pożegnanie dała mi żytnie tosty z wołowiną i pastrami oraz tęczy szaliczek, który miała na sobie. Kanapki były przepyszne, szalik pachniał paczulą.

Po południu odwiedziłam Hope. Zaniosiłam jej torbę z zakupami, głównie były w niej owoce, bo żywi się jakimiś śmieciami. Pożegnałam się z nią. Na pożegnanie przytuliłam jak zawsze. Nie sądzę, że zrozumiała, iż już nigdy mnie nie zobaczy, bo tym razem nasze pożegnanie jest ostateczne i nie przyjdę jutro, by się przywitać i sprawdzić, co u niej słyhać. Mimo że będę się o nią martwić i chciałabym to zrobić. Nie przyniosę jej jedzenia, mimo że będę się martwić, że nie jada regularnie i jest zbyt chuda. Nie przyniosę jej ubrania, gdy znajdę w komisie jakąś rzecz w jej rozmiarze, mimo że chciałabym wymienić jej zużytą, brudną garderobę na coś w miarę nowego i czystego. Nie obejrzę już z nią jej ulubionego filmu, mimo że za każdym razem obie się przy nim śmiałyśmy. Nie kupię jej pasty do zębów czy dezodorantu, kiedy jej się skończą, mimo że zupełnie by mi nie przeszkadzało, że czasem trzeba jej o tym przypominać.

Będę za nią tęsknić. Będzie mi brakowało jej specyficznego poczucia humoru, które ujawniało się w najmniej spodziewanych momentach. Będzie mi brakowało jej niedopasowanych strojów i potarganej fryzury, której nie pozwalała mi czesać. Będzie mi brakowało jej obsesji na punkcie popowej stacji radiowej i potrzeby śpiewania w najdziwniejszych chwilach. Będę tęsknić za jej spojrzeniem. Niejednokrotnie wydawało mi się, że Hope widzi rzeczy, których inni nie dostrzegają.

Dałam jej kopertę podpisaną imieniem Seamusa i poprosiłam, by mu ją przekazała. Napisałam mu, że odchodzę i że będę za nim tęsknić. Poprosiłam również, by opiekował się Hope. Nie wiem, czy kobieta przekaże list, ale mam nadzieję, że jeśli go dostarczy, pomoże to im się zaprzyjaźnić. Ona jest na początku nieprzystępna...

Gdy wychodziłam z jej mieszkania, niespodziewanie ogarnął mnie smutek. Próbowałam go ukryć, ale Hope go wyczuła. Istnieje wiele spraw, których ta kobieta nie rozumie – jest raczej konkretna. Posiada jednak pewnego rodzaju szósty zmysł. Zawsze wie, co czuję. Pożegnałam się po raz kolejny. Powiedziała, że mnie kocha. Odpowiedziałam tym samym, ale wtedy popłynęły łzy i musiałam wyjść. Nikt nigdy mi tego nie powiedział.

W tej chwili jest już późno, zrobiło się ciemno. Siedzę pod drzewem, pod którym kiedyś z Seamusem urządziliśmy piknik. Wpatruję się w okno jego mieszkania, w którym nadal pali się światło. Czekam, aż pójdzie spać, w międzyczasie rozpamiętując nasze ostatnie wspólne chwile. Odtwarzam każde wspomnienie, każdą rozmowę i uśmiech, które dzieliłam z nim i z dziećmi. Dobrze im życzę, chciałabym, by byli razem szczęśliwi, ponieważ na to zasługują. Czekam przez wiele godzin, aż w pokoju zgaśnie światło, a kiedy to się dzieje, wzdrygam się w ułamku sekundy.

Nieuniknione nadchodzi niespodzianie. Nie znoszę niespodzianek.

Nie cierpię również pożegnań.

Właśnie dlatego idę pod drzwi jego mieszkania, chociaż nie zamierzam do nich pukać. Staję na wycieraczkę pośrodku napisu *M.....Y* i całuję cyfrę 3 umieszczoną na ich skrzydle.

– O wiele więcej, Seamus. O wiele więcej.

FRANCUSKI SOS CEBULOWY NA LIŚCIE O LIKWIDACJI SZKÓD

SEAMUS

Teraźniejszość

Dopiero po trzech dniach jestem w stanie dotknąć listu od Justine. Jest noc z piątku na sobotę, tuż po pierwszej. Wypiłem kilka piw, nie chcę brać tabletek nasennych. Jestem niespokojny. Pobudzony. Dlatego muszę coś ze sobą zrobić. Chodziłem po salonie, lecz dość szybko zaczęły boleć mnie nogi. Obejrzałem film na Netfliksie. Był tak okropny, że już pół godziny po seansie nie pamiętałem fabuły. Zjadłem resztkę francuskiego sosu cebulowego, który miałem w lodówce, i okruchy chipsów, które pozostały w torebce w spiżarni. Termin przydatności do spożycia sosu minął w tamtym tygodniu, więc pewnie czeka mnie rewolucja żołądkowa – nie był to najlepszy pomysł. Winę za podjętą decyzję zrzucam na alkohol.

Potrzebuję zajęcia. Jakiegokolwiek.

Wtedy właśnie moje spojrzenie ląduje na kopercie. Mam ochotę cofnąć słowo *jakiegokolwiek*, bo wiem, że nie chcę czytać listu od Justine.

Moje nazwisko i adres wciąż ze mnie drwią.

Biorę kopertę leżącą na skraju stołu i idę do kuchni, by wyrzucić ją do śmieci. Łąduje na wilgotnych fusach po dzisiejszej kawie i niemal pustym opakowaniu po sosie. Przyglądam się, jak papier chłonie oba te produkty, zabarwiając się z jednej strony na ciemnobrązowy kolor, z drugiej natomiast na kremowo.

Zadowolony, że pozbawiłem list godności, wracam na kanapę i przerzucam listę tytułów na Netfliksie. To daremny wysiłek, czynność ta zajmuje mnie przez całe pięć sekund. Wracam do kuchni, by wyciągnąć upodloną kopertę z kosza. Wycieram dłonią resztki fusów i otwieram ją nad koszem, by – gdy wyciągnę jej zawartość – dokonała swojego żywota na stercie śmieci.

List stanowi pojedyncza kartka. Bez linijek. Każde słowo, podobnie jak te na kopercie, napisane zostało z rozmysłem, stanowczą ręką, jakby użyty przy tym wysiłek mógł pomóc odzwierciedlić dramatyzm przekazywanej informacji. Papier jest cienki, lecz gładka faktura zdradza, że kartka pochodzi z dobrej jakości notatnika. Z prawej strony sucha i bez skazy. Z lewej jednak poplamiona, w kilku odcieniach brązu, prześwitująca miejscami. Choć nadal można odczytać słowa.

Podchodzę do zlewu, nad którym zaczynam czytać. Nie wiem, dlaczego właściwie stoję w tym miejscu, list nie jest aż tak mokry, nie zacznie kapać. Może po prostu potrzebuję się o coś oprzeć, by nie stracić równowagi. Zarówno fizycznej, jak i psychicznej.

Drogi Seamusie,

postaram się napisać krótko. Przedłużanie złych wiadomości sprawia jedynie większy ból.

Na rok przed urodzeniem Kiry Miranda była w ciąży. Nie powiedziała Ci o tym. Nie chciała kolejnego dziecka. Jej dokładne słowa, których nie zapomnę do końca życia, brzmiały: „Dałam Seamusowi dwójkę dzieci, nie mam zamiaru ponownie przechodzić przez ten koszmar. W piątek mnie nie będzie, oznacz tę wizytę w kalendarzu jako likwidację szkody”. To była jej nonszalancka odpowiedź, gdy powiadomiłam ją o wiadomości, którą odebrałam, kiedy Miranda była na spotkaniu – był to SMS przypominający o terminie jej wizyty. Rozpoznałam nazwę kliniki aborcyjnej, ponieważ było o niej głośno kilka

lat wcześniej, gdy nasiliły się protesty.

*Dokonała aborcji. Następnie spędziła weekend w SPA w Malibu.
Nie mam pojęcia, jakich kłamstw Ci nawciskała.*

Przykro mi

J.

Chciałbym powiedzieć, że jestem zszokowany, ale wtedy musiałbym jeszcze coś czuć. A nie czuję nic. Krew zastygła mi w żyłach. Serce postanowiło odpocząć. W ułamku sekundy zaprotestowały jednocześnie wszystkie synapsy. Nie mogę nic robić, ani myśleć.

Nicość.

Nicość powoli przeobraża się w zdradziecką lawinę emocji.

Czuję się zdradzony. Ogłusza mnie to. Wiadomość poraziła całe moje ciało i umysł, do reszty pogrążyła Mirandę w moich oczach. Mam świadomość granicy między dobrem i złem. To oczywiste, że moja była żona zachowała się niemoralnie. Jednak wciąż nie potrafię zareagować. Muszę to przetrwać. Niczego nie pragnę bardziej niż zemsty. Chciałbym móc pozbawić moją byłą żonę istnienia, tak jak ona pozbawiła życia moje dziecko.

Kipiąca we mnie nienawiść utrudnia mi oddychanie. Czuję się, jakbym miał klaustrofobię. Muszę wyjść.

Na zewnątrz jest znacznie chłodniej, lecz kompletnie nie studzi to moich emocji. To dla mnie zbyt duży cios. Coś gryzie moje wnętrze, uczując i konsumując, dopóki nie pozostanie tylko pusta skorupa wypełniona wściekłością.

Narasta we mnie panika. Jediną osobą, z którą chcę rozmawiać, jest Faith. Pieprzyć Mirandę i jej prywatnego detektywa, jeśli nadal go opłaca.

– Pierdol się! – wykrzykuję, zbiegając po schodach. – Pierdol się! – powtarzam, będąc na dole.

Pukam do drzwi mieszkania Faith, dźwięk niesie się głośno, ponieważ jest późno i wszędzie panuje cisza. Jestem wkurzony, mam ciężką rękę.

– Ona tu już nie mieszka – odzywa się w pobliżu cichy, łagodny głos.

Jest tak blisko, że czuję się zaskoczony. Na moment zapominam o gniewie i nienawiści, które mnie ogarniają. To kobieta mieszkająca pod jedyneką, Hope. Nagle jej słowa docierają do mnie. Próbuję je zakwestionować, zaprzeczyć im w najprostszym pytaniu:

– Co?

– Dziewczyna, Faith, wyjechała kilka dni temu – mówi z lekkim smutkiem. W jej słowach pobrzmiwa sentymentalna pustka, jakby całą resztę uczuć kobieta skrywała głęboko w swoim sercu.

Siedzi na betonie przed drzwiami swojego mieszkania i pali papierosa. Podchodzę do niej, zachowując jednak niewielką odległość. Przypominam sobie, jak bardzo była wycofana, gdy rozmawiałem z nią wcześniej.

– Dokąd wyjechała? – pytam.

Wzrusza ramionami. Kiedy zaciąga się wstrętnym dymem, jej policzki przesadnie się zapadają. Wychudzenie sprawia, że wyglądają jak skóra naciągnięta na kości.

– Powiedziała, że wyjeżdża? – Brzmie, jakbym ją oskarżał. Zachowuję się jak pyskаты nastolatek, który wątpi w prawdziwość tego, co mu powiedziano.

Mój ton nie ma jednak wpływu na jej postawę. Nie płoszy jej ani nie czyni bardziej przyjazną niż do tej pory. Przytakuje, wciąż zaciągając się dymem, jakby zależało od tego jej życie.

Kręcę głową, wkurzony na jej odpowiedź. Odwracam się, chcąc iść na górę.

Gdy oddalam się o kilka kroków, kobieta się odzywa:

– Jest jedyną osobą, z którą rozmawiam poza panią Lipokowski. Faith – dodaje, jakby musiała wyjaśnić, kogo ma na myśli. – Jest moją jedyną przyjaciółką.

Może byłoby inaczej, gdybyś nie była taka stuknięta i wychodziła z mieszkania, by porozmawiać z ludźmi, niemal wypowiadam to zdanie, w porę uświadamiając sobie, że przemawia przeze mnie gniew i że te słowa byłyby okrutne. Odpowiadam więc:

– Tak, Faith jest wyjątkowa.

Nie potwierdza. Nie zaprzecza. Patrzy tylko na mnie martwymi oczami i mówi:

– Muszę iść do całodobowego sklepu na końcu ulicy. Chcesz pójść ze mną? – Ze sposobu, w jaki to wypowiada, wnioskuję, że nie będzie ani rozczarowana, gdy odmówię, ani zadowolona, gdy się zgodzę. Każda odpowiedź wywoła u niej obojętną reakcję.

Właśnie dlatego się zgadzam – nie czuję presji. Poza tym skończyło mi się piwo. Sprawdzam, czy mam w kieszeniach klucze i pieniądze, a potem kiwam głową.

Kobieta bez słowa wchodzi do swojego mieszkania, zakłada stare, brudne klapki i podnosi z podłogi portfel. Zauważam, że nie zabiera kluczy leżących tuż obok sporego stosu poczty.

Gdy zaczyna zamykać drzwi, pytam:

– A klucze?

– Nie trzeba – odpowiada beznamiętnie.

– Ale drzwi się zatrzasną – ostrzegam. Czuję się, jakbym mówił do dziecka.

Kręci głową.

– Nigdy nie zamykam. Nie ma tam nic, co można by ukraść.

Mam ochotę zaprzeczyć. To nie jest małe, senne miasteczko – przestępczość istnieje. Jednak nie robię tego, przecież jest dorosła. Choć im dłużej z nią rozmawiam, tym bardziej zastanawia mnie stan jej psychiki. Jest wycofana społecznie. Najwyraźniej jest pustelniczką, nie wiem tylko z jakiego powodu. Mimo że w jej towarzystwie czuję się nieswojo, mam wrażenie, że oszalałbym, gdybym musiał wrócić do siebie. Postanawiam więc wraz z szaloną sąsiadką zrobić zakupy o drugiej w nocy.

Idziemy w ciszy. Kobieta stawia kroki powoli, dostosowując się do mojego tempa, co doceniam i mówię jej o tym.

Nie odzywa się do mnie, a ja wcale nie oczekuję odpowiedzi.

Gdy docieramy do sklepu, kupuję sześciopak najtańszego piwa oraz paczkę suszonej wołowiny, a potem mówię Hope, że poczekam na nią na zewnątrz, ale nie musi się spieszyć.

Sprawunki nie zajmują jej wiele czasu, mija góra pięć minut, kiedy wychodzi ze sklepu, niosąc cztery siatki. Ich ciężar nie jest

równomiernie rozłożony, więc kobieta idzie, przechylając się na jedną stronę.

– Pomogę – mówię.

Bez wahania oddaje mi jedną z siatek, która pełna jest puszek z zupą, wiedeńską kiełbasą i gotowaną fasolką. Dokładam ją do swojej.

Idąc, zerkam na jej pozostałe torby, gdzie znajdują się: papierosy, chipsy, płatki śniadaniowe, chleb i mleko. Zwykłe zakupy spożywcze zrobiła w sklepie całodobowym. Nie wiem dlaczego. Jednak smutno mi z tego powodu. Jej inność utrudnia jej przecież życie, ogranicza jej możliwość spokojnego funkcjonowania. Poza tym to jedzenie nie do końca jest zdrowe. Jednak po chwili patrzę na własną siatkę. Przypominam sobie o dzisiejszej kolacji i porzucam osąd.

– Często tu robisz zakupy? – pytam. To zwykła zaczepka, ale mam wrażenie, że tylko w ten sposób zachęcę ją do rozmowy.

Patrzy prosto przed siebie, jakby ten spacer wymagał od niej maksimum koncentracji, jej oczy nie zbaczają z obranego kursu, gdy odpowiada:

– W każdą sobotę i środę o drugiej.

– Dlaczego w środku nocy?

– Mniej ludzi. Wszyscy śpią – mówi rzeczowo.

Przez resztę drogi nie rozmawiamy. Dla mnie to nieco niezręczne, ale jej wydaje się nie przeszkadzać. Oddaję jej torbę z zakupami przy drzwiach. Kiwa mi jedynie głową i bez słowa zamyka za sobą drzwi.

W moim umyśle panuje chaos. Jestem zmęczony dzisiejszym popieprzonym dniem. Po powrocie do mieszkania wkładam piwo do lodówki, wołowinę kładę na blacie, potem idę spać, nie chcąc o niczym myśleć.

Jutro muszę mieć świeży umysł.

EPICENTRUM PIEKŁA

FAITH

Teraźniejszość

Zarzekałam się, że nigdy tego nie zrobię.

Nigdy nie wrócę.

Nigdy.

Nigdy nie mów nigdy.

Czuję się, jakby moje płuca karały mnie płytkim i szybkim oddechem za złamanie przyrzeczenia. Ściskający je strach nie pozwala zaczerpnąć tchu. Nie miałam ataków paniki, odkąd przyjechałam do Kalifornii. Jestem przekonana, że zależą one od położenia geograficznego. Kansas City to epicentrum piekła.

Moje nogi, zdecydowane, by wykonać powierzona misję, maszerują jak żołnierze do dalekobieżnego autobusu. Kiedy siadam z tyłu, ból w mojej klatce piersiowej wzrasta. Kładę na niej dłoń, modląc się o ulgę, lecz on staje się nie do zniesienia. Na kolanach trzymam wypchany plecak. Przyciskam go mocno do siebie drugą ręką, wkładając twarz w jego szorstki materiał. Dopiero wtedy pozwalam popłynąć łzom. Mam nadzieję, że ludzie siedzący obok to zignorują i zostawią mnie w spokoju.

Tak się właśnie dzieje.

Nie wiem, ile czasu mija, nim atak powoli ustępuje, ale jestem przez niego wykończona. Przesypiam kilkaset kilometrów. Wolę być nieprzytomna, choć za każdym razem, gdy się budzę, czuję, jakby czas coraz bardziej zbliżał mnie do nieprzyjaciela.

Gdy autobus staje na dworcu w Kansas City, boli mnie całe ciało. Każdy mięsień protestuje, gdyż spędziłam całą podróż w niewygodnej pozycji. Mimo że udało mi się zasnąć, nie odprężyłam się. Czekam, aż wszyscy pasażerowie opuszczą autobus. Wstaję dopiero wtedy, gdy kierowca zaczyna się o to upominać. Nogi niosą mnie przed siebie. W głowie świta mi myśl o zakrzepach powstałych w żyłach na skutek zbyt długiego utrzymywania pozycji siedzącej. Nie byłby to zły sposób na śmierć. Stałaby się możliwa jeszcze przed wyjściem z autobusu.

Jednak nie mam żadnych zakrzepów.

Jedynie zdrętwienie zależne od przepływu krwi w tętnicach i obejmujące mój tors i kończyny.

Chodnik wydaje się bardziej twardy, gdy na nim stoję. Prycham pod nosem. Wszystko w tym miejscu wydaje się mniej przychylne, nawet beton. Powietrze jest chłodniejsze, surowe, kłuje mnie w płuca, więc unoszę szalik od pani L. na usta, by złagodzić atak.

Drżącymi palcami wybieram numer, o którym nie myślałam od lat. Dzwonię do Claudette, pracownicy socjalnej prowadzącej moją sprawę.

– Halo? – Jej głos jak zwykle przynosi ulgę. Zawsze uważałam tę kobietę za swojego anioła stróża, ponieważ mnie uratowała.

– Claudette, z tej strony... – Waham się, ponieważ od lat nie wypowiadałam swojego prawdziwego nazwiska. – Meg Groves. – Słowa pieką, więc wielokrotnie przetykam ślinę, starając się pozbyć wstrętnego posmaku z ust.

– Meg – mówi kojąco, przygotowując się na wieści. Całe życie pomagała innym i nadal to robi. – Minęło sporo czasu, kochana. Co u ciebie słychać?

– Wszystko w porządku – kłamię. Nauczyłam się, że gdy ktoś troszczy się o moje samopoczucie, łatwiej jest kłamać, niż błędzić

pośród prawd. Dlatego nigdy nie mówię, co się ze mną dzieje naprawdę. Nikt nie chce słyszeć, że nie jest dobrze. Jest to niewygodne, wymaga reakcji lub ignorancji. Dokonanie między nimi wyboru sprawia ludziom kłopot. Zatem u mnie wszystko dobrze. Zawsze. W duchu jestem tak przerażona, że chce mi się płakać, ale kontynuuję: – Byłam w Kalifornii, właśnie przyjechałam z wizytą do Kansas. Trochę późno, by szukać pokoju w motelu, więc pomyślałam, że może mogłabym zostać u ciebie, oczywiście tylko dziś?

Utrzymująca się cisza sprawia, że łzy napływają mi do oczu. Milczenie brzmi jak odmowa.

– Nieważne, dam sobie radę. Nie powinnam była dzwonić.

Już chcę się rozłączyć, gdy kobieta zaczyna głośno wołać, jakby wyczuła moją chęć ucieczki:

– Tak! Oczywiście, że możesz dziś u mnie przenocować. Przepraszam za to zawahanie. Chyba jeszcze nie dociera do mnie, że cię słyszę. W dobrym tego słowa znaczeniu. Wciąż nie dowierzam.

Podaje mi adres, więc taksówka z taniej korporacji podwozi mnie do jej mieszkania. Jest to ciągle to samo lokum, w którym mieszkała, odkąd pamiętam. To samo, które przed laty zapewniało mi schronienie.

Wchodzę do środka prosto w otwarte ramiona Claudette. To koi moje nerwy. Kobieta wygląda tak samo. W jej czarnych włosach widoczne są siwe pasma, a okulary do czytania spoczywają na czubku nosa. Zawsze uważałam, że te okulary mocno podkreślają jej wyraziste, sowe oczy. Jest niska i pulchna. Jest moją bezpieczną przystanią. Jedyłą w tym mieście.

CZAS SPRZYJA NAWET NIEPOKORNYM

SEAMUS

Teraźniejszość

Wyschnięty list od Justine jest pofałdowany i sztywny. Wydaje się tak kruchy, jak zawarte w nim słowa.

Tuż po przebudzeniu czytam je ponownie. Najwyraźniej liczyłem, że wczoraj miałem tylko koszmary sen.

Jednak jest inaczej.

W świetle dnia informacja boli o wiele mocniej.

Wczoraj wzniesiła we mnie intensywny gniew.

Dzisiaj uderza smutkiem – żalobą po tym, co mogło się zdarzyć.

Kto mógłby się zdarzyć...

Wiem, że Justine nie spodziewa się odpowiedzi. Prawdopodobnie ma nadzieję, że jej nie otrzyma. Jednak czuję, że muszę do niej napisać.

Justine,

dziękuję. Choć nie potrafię pogodzić się z tą wiadomością, wiem, jak musiało być Ci ciężko, by się nią ze mną podzielić. Dziękuję, że prawda miała dla Ciebie większe znaczenie niż lojalność, którą możesz czuć wobec Mirandy. Bardzo to doceniam.

Seamus

Wygrzebuję kopertę ze śmietnika. Od wczorajszego wieczoru rozplynęła się na jego ciemnym dnie. Przepisuję adres zwrotny i ponownie ją wyrzucam. Biorę czystą kopertę, wkładam do niej swój krótki list i adresuję. Wyślę go jutro w drodze do pracy.

Sprawdzam godzinę na komórce – jest po jedenastej. Bar kanapkowy już otwarty. Schodzę na dół, by sprawdzić, czy pani Lipokowski ma jakieś informacje na temat Faith.

Lokal wypełniony jest klientami spieszącymi, by kupić coś na lunch. Płacę za małą bagietkę z rostbefem i pytam, czy kobieta może wpaść na chwilę do mnie, gdy po południu zamknie bar. Nie chcę jej przeszkadzać, gdy ma tylu klientów. Przystaje na moją propozycję.

O trzeciej puka do moich drzwi.

– Cześć, Seamus.

– Witam, pani L. Nie chcę pani długo zatrzymywać, wiem, że idzie pani do domu odpocząć, ale Hope powiedziała mi w nocy, że Faith wyjechała.

Kobieta unosi brwi.

– Hope z tobą rozmawiała?

Nie chcę się na tym skupiać, ale odpowiadam na pytanie:

– Tak, poszedłem z nią do całodobowego sklepu.

– Ha. – Wygląda na zdeorientowaną.

– Faith się wyprowadziła? – pytam, ponieważ nie chcę rozmawiać o Hope.

– Czynnysz ma opłacony do końca miesiąca, ale nie wiedziała, czy wróci.

– A nie powiedziała, dokąd się udaje? Może zostawiła nowy adres? No wie pani, na wypadek gdyby jednak nie chciała wracać.

– Nie, nie zostawiła. Wydawało mi się, że jej się spieszy. Gdy do mnie wpadła, myślami była jakby gdzie indziej. Zrobiło mi się jej żal. Jest zdeterminowaną, młodą kobietą, ale mam wrażenie, że decyzję

o wyjeździe podjęła z ciężkim sercem.

To, co do tej pory usłyszałem, nie poprawia mi humoru. Miałem nadzieję, że pani L. powie mi, że Faith odnalazła swoją biologiczną matkę i przeprowadziła się, by być bliżej niej. Albo że dziewczyna dostała nową pracę w innym mieście, dzięki której będzie mogła wykorzystać swój potencjał. Tymczasem pozostaję z niepewnością i negatywnym przeczuciem. Nie podoba mi się to.

– Dziękuję. Proszę dać mi znać, gdyby się odezwała.

Kobieta uśmiecha się łagodnie, to gest niosący pocieszenie.

– Oczywiście, Seamus.

– Dziękuję. – Słowa te nie brzmią jednak wdzięcznie. Brzmią jak błaganie o dobrą wiadomość, którą chciałbym usłyszeć od razu.

Pani L. kiwa głową i rusza w kierunku swojego mieszkania.

– Dobrej nocy.

Po jej wyjściu moje myśli wracają do listu od Justine. Ten skrawek papieru wytwarza w moim mieszkaniu dziwną obecność – jakby jakaś żywa osoba zajmowała moją przestrzeń. Nie biorę go do rąk. Nie czytam ponownie.

Nie muszę. Zapamiętałem każde słowo.

Serce pęka mi na nowo, jeszcze mocniej. Od miesięcy jest pogruchotane. Najpierw sam tylko rozwód zdawał się największym nieszczęściem. Jednak, gdy Miranda zabrała mi dzieci, tropikalna burza przeistoczyła się nade mną w huragan. Jednak ostatnia wiadomość była niczym wzbierająca gigantyczna, niosąca zniszczenie fala tsunami w oku nieustępliwego cyklonu.

Jak mogła tak ważną dla nas obojga decyzję podjąć bez konsultacji ze mną, nie uwzględniając mnie w niej?

Zawsze uważałem każde ze swoich dzieci za cud. Każde z nich nim jest. Rozumiem, że poczęcie i wzrost zarodka w łonie matki to czysto biologiczny i fizyczny proces, który zdarza się dość często. Jednak nie potrafię pojąć, jak jednego dnia można się pozbyć dziecka, odrębnego bytu, który po dziewięciu miesiącach miał zostać wydany na świat. Pozbyć się człowieka, który byłby wyjątkowy. Tak różny od innych, żyjących przed nim. To właśnie cud. Równie cudowne jest to, że ci mali ludzie mają zdolność władania naszymi sercami, nim jeszcze

zdążymy ich poznać, dotknąć, poczuć. Choć gdy już ich poznamy, dotkniemy i poczujemy po raz pierwszy, nasza miłość stanie się silniejsza i zapagniemy opiekować się tymi maleństwami i troszczyć się o nie. Nie istnieją żadne słowa, które mogłyby to opisać. Jeśli nawet by się takowe znalazły, zawsze zabraknie im wagi i prawdy wystarczających, by opowiedzieć miłość, którą czujemy w chwili, gdy nasze spojrzenie po raz pierwszy spocznie na tym małym człowieku. Uczucie to jest zarazem tak nagłe i głębokie, że wymyka się logice. Podobnie jak dzieci. I cuda.

Mimo że wszystkie moje dzieci są cudowne, nieustannie wraca do mnie niepokojące pytanie: Dlaczego Miranda zgodziła się urodzić Kirę?

Gdy tylko pytanie to dochodzi do głosu i wyraźnie domaga się mojej uwagi, mam ochotę odwrócić się od niego, ponieważ brzmi podle. Chcę, by zamilkło, odeszło i nigdy nie wracało. Kira istnieje i tylko to się liczy. Wszystkie pytania domagające się hipotetycznych odpowiedzi, niemających często nic wspólnego z rzeczywistością, są torturą. Choć nie chcę znać odpowiedzi, chciałbym zarzucić oskarżeniami Mirandę i obserwować, jak zachowuje się, gdy jej tajemnice zostają odkryte. Chciałbym zobaczyć, jak się wykręca. Jej sumienie nie dopuściłoby do tego – ta kobieta go nie posiada. Zawsze jest dumna z wygranej, bez względu na to, czy walczy w dobrej, czy też w złej sprawie. Zawsze uważa, że zasługuje na zwycięstwo. Przekonanie, że ma do niego wyłączne prawo, pożera ją od środka. Powoli zamienia ją w prawdziwego diabła.

Muszę odzyskać dzieci. Czas sprzyja nawet niepokornym. To subtelny przeciwnik. Działa pośród ludzi, w ich towarzystwie i... niszczy.

Niszczy moje dzieci, zmienia je. Miranda i jej nowe życie mają na nie wpływ, mimo że dzieci walczą.

Zacząłem wydzwaniać do domu Mirandy kilka razy dziennie. Wiem, że gosposia jest tym poirytowana, bo to ona zazwyczaj odbiera telefon. Jednak czuję, że łączy nas silny, specyficzny, wzajemny szacunek. Każda ze stron respektuje upór tej drugiej. Myślę, że działa to na moją korzyść, ponieważ zazwyczaj to moja determinacja zwycięża i udaje mi się porozmawiać z dziećmi przynajmniej raz dziennie.

Miranda i jej nowy mąż pracują do późnych godzin i przeważnie nie ma ich nocą w domu. Podejrzewam więc, że gosposia pomyślała, iż łatwiej pozwolić mi rozmawiać z dziećmi i nie mówić o tym Mirandzie, niż ciągle mnie zbywać. Dzieci lubią tę kobietę, co mnie nieco uspokaja, ponieważ przez większość czasu to ona się nimi zajmuje.

Muszę zacząć przygotowania, chcę założyć sprawę w sądzie. Nigdy nie wierzyłem, że będę musiał stać się złym facetem, by osiągnąć to, czego pragnę, jednak jeśli chodzi o opiekę nad dziećmi, nie mam wyjścia. Muszę zacząć prowadzić ze wszystkiego dokumentację. Biorę notes i zapisuję wszystko, co pamiętam odnośnie Mirandy i naszego związku. Zarówno pierwsze wspólne chwile, jak i stosunki, które łączą nas teraz. Zajmuje mi to wiele godzin, a kiedy kończę, jestem wyczerpany, jakbym pracował fizycznie. Zaczynam wysyłać e-maile do prawników, przedstawiając swoją sytuację i prosząc o opinię oraz możliwość reprezentowania mnie w sądzie.

Muszę odzyskać dzieci.

ANIOŁOWIE BATMANI

FAITH

Teraźniejszość

Wieczorem Claudette zaparzyła mi herbatę z rumianku, nalegając, bym położyła się spać. Jednak sen, do którego próbowała mnie nakłonić, nie nadszedł. Choć czułam się bezpiecznie w jej mieszkaniu, byłam niespokojna. To układałam plan, to wmawiałam sobie, że nie jest mi on potrzebny. Moje myśli biegały po zmiennych ścieżkach.

Siedzę w niewielkiej kuchni i zajadam z miski chrupiące płatki ryżowe, obserwując, jak kobieta nalewa wody do ekspresu do kawy. W mojej głowie panuje chaos, jakby to, co zamierzam zrobić, odbierało mi rozsądek.

– Co u ciebie słyhać, Meg? – pyta Claudette, czekając, aż maszyna przygotuje poranną porcję uzależniającej mikstury.

– Teraz mam na imię Faith. Wszystko w porządku – To moja wyćwiczona odpowiedź. Dobrze. U mnie zawsze jest dobrze.

Claudette się uśmiecha. Najwyraźniej praktyka czyni mistrza, bo kobieta mi wierzy.

– To dobrze. Podoba mi się to imię. Faith do ciebie pasuje. Co cię sprowadza do Kansas City, Faith?

Pociągam nosem, ponieważ rano dopadł mnie katar. Musiałam przeziębic się w podróży. Nie potrafię sobie nawet wyobrazić, ile bakterii znalazło się w autobusie przez tych wszystkich kaszlących i smarkających ludzi. Próbuję zdecydować, którymi sprawami mam się z nią podzielić. Wie o mnie więcej niż ktokolwiek inny. Zna moje sekrety. Muszę być z nią szczerą.

– Szukam biologicznej matki. Lub ojca. To tak naprawdę nieważne – odpowiadam niejasno.

Claudette siada na krześle naprzeciwko mnie i, nie mrugając, przygląda mi się intensywnie.

– Nadszedł czas?

Przytakuję i ponownie pociągam nosem.

– Muszę się dowiedzieć, kim jestem. Nie sądzę, bym do tego doszła, nie poznawszy wcześniej kilku odpowiedzi.

Kiwa głową. Wie o tym.

– Mówiłam ci, że ja również wychowywałam się w rodzinie zastępczej?

– Nie, nigdy. To właśnie dlatego robisz to, co robisz?

Uśmiecha się zamyślona, jednak przez jej uśmiech przebija smutek.

– Tak. Miałam dziewięć lat, gdy zaopiekował się mną system. Pamiętam swoich rodziców. Wiem, kim byli, chociaż chciałabym, by było inaczej. – Bierze głęboki wdech. – Rodzice zastępczy byli dla mnie zbawieniem. Troszczyli się o mnie, dopóki nie skończyłam osiemnastu lat. Wierzę, że istnieją wśród nas superbohaterowie. A może to anioły z nieba. Jestem fanką Batmana, więc wolę myśleć o superbohaterach. Posiadają ciała, by wyglądali jak ty czy ja, ale mają wyjątkowe zdolności. Moi rodzice zastępczy mieli.

– Jakie?

– Potrafili sprawić, że ktoś, kto był niewidzialny, niechciany i niekochany, czuł się wyjątkowy. Zauważyli mnie. Chcieli być ze mną. Kochali.

Moje myśli wędrują do Seamusa. Tylko on sprawiał, że tak się czułam.

– Czuję się więc zobowiązana i również chcę szukać takich relacji

dla potrzebujących dzieci: niewidzialnych, niechcianych, niekochanych. Bardzo też przeżywam, kiedy zawodzę dziecko. Tak było w twoim przypadku.

Kręcę głową.

– To nie była twoja wina, Claudette.

Ciche łzy spływają jej po policzkach, gdy kręci głową.

– Przepraszam. Nawet nie wiesz, jak bardzo mi przykro z powodu tego, co się stało. Nadal jest.

Nie chcę o tym mówić, ale nie chcę też, by czuła się odpowiedzialna za tamtą sytuację.

– Claudette, wiesz, że nie rozmawiam o tamtym dniu, ale chcę tylko, żebyś wiedziała, że jesteś aniołem Batmanem. A ten facet był podłym draniem.

Kiwa głową i zmienia temat.

– Nazwisk twoich biologicznych rodziców nie było nawet na twoim akcie urodzenia. Tak działa prywatna adopcja, takie niestety są procedury. Z jedynej dostępnej informacji wynikało, że twoja matka była nieletnia.

– Wiem. Pojechałam do Kalifornii, mając złudną nadzieję, że znajdę igłę w stogu siana. Zamieszkałam w sąsiedztwie szpitala, w którym się urodziłam. Niewielka społeczność skupiona w pobliżu wybrzeża w Los Angeles. Ciche miejsce, wiele rodzinnych firm, przyjemna promenada. Przyciągają rzesze ludzi. Spokojna i miła okolica. Wiem, że to głupie, ale modliłam się, bym na nią wpadła. – Prycham. – Matki zapewne dawno tam nie ma. Prawdopodobnie już tam nie mieszka. Jednak była to najbardziej bezbolesna próba, na jaką było mnie stać. I gwarantowała ucieczkę stąd. Z piekła.

– Jaki będzie twój następny krok?

– Muszę porozmawiać z Trentonem Grovesem. To on i jego żona adoptowali mnie po urodzeniu. Może powie mi coś więcej o biologicznej matce.

Kobieta znów przestaje mrugać.

– Masz pewność, że jesteś na to gotowa? Na pewno chcesz stawić czoła temu potworowi?

Przytakuję, choć bardziej do siebie.

– Muszę. Mam przecucie, że to moja ostatnia szansa na znalezienie prawdziwych rodziców.

– Gdzie on jest? – pyta ostrożnie. Wie, że znalazłam tę informację, inaczej by mnie tu nie było.

– W więzieniu. Siedzi w Springfield za narkotyki. Wyśledziłam go. Nie było trudno, bo zazwyczaj znajdował się za kratkami.

– Chyba nie powinno mnie to dziwić.

Wzruszam ramionami.

– Mnie również. Nie jest przykładowym obywatelem. – Kilka lat temu czytałam akta sprawy sądowej, w której on i jego żona zostali oskarżeni o znęcanie się nade mną i zaniedbanie obowiązków rodzicielskich. Przyzwoici ludzie nie postępują tak z małą dziewczynką.

– Będziesz musiała jakoś sprawić, by dodał cię do listy odwiedzających, i umówić się na wizytę w więzieniu – poucza.

– Już to zrobiłam. Mam się stawić jutro o dziesiątej.

Odwraca wzrok. Zastanawia się.

– Zawiozę cię. Pojadę z tobą.

Modliłam się o to. Nie chcę robić tego sama.

– Na pewno?

– Tylko tak mogę zacząć spłacać swój dług – mówi z powagą.

WYRWAĆ STRONY I UCIEC Z NIMI JAK ZŁODZIEJ

FAITH

Teraźniejszość

Budynek jest zimny. Beton, stal, nawet światła wielu jarzeniówek wydają się chłodne i nieprzystępne. Wciąż mam na sobie płaszcz, szalik i rękawiczki. Mimo że włożyłam na siebie wiele warstw odzieży, gęsia skórka pokrywa każdy fragment mojego ciała.

Claudette lewą dłonią trzyma mnie za rękę, podczas gdy prawą walczy z zapięciem torebki. Próbuje się czymś zająć, jakby miało to przyspieszyć nieuniknione. Jej zachowanie jest cichą naganą – cały proces trwa zbyt długo.

– Faith Hepburn – głos strażnika rozlega się w niewielkiej poczekalni. Ten dźwięk mną wstrząsa. Czuję dwie ogromne ręce ściskające moje ramiona i szarpiące mnie w tył i w przód. Rozglądam się po pomieszczeniu, wiedząc, że się rumienię, jakby reflektor skupił na mnie promień światła.

Claudette waha się z powodu mojego nowego nazwiska, ale wstaje pierwsza, więc idę w jej ślady.

W ciszy podążamy za strażnikiem labiryntem korytarzy z zabezpieczonymi drzwiami. Następnie siadamy przed grubą szybą,

gdzie po obu stronach wiszą stare słuchawki telefoniczne. Krzesło naprzeciwko nas jest puste, ale nie na długo.

W polu widzenia pojawia się brzuch postaci ubranej w pomarańczowy kombinezon. Przybyły porusza się powoli, wykazując fizyczną nieudolność, upór albo lenistwo. Podejrzewam, że dopiero jego oczy zdradzą mi prawdę. Ma skute ręce i splecione razem palce. Jego dłonie są szorstkie, knykcie zrogowaciałe przez lata pracy oraz życia w zaniedbaniu, skórę pokrywają kiepskiej jakości tatuaże.

Nie mam odwagi, by spojrzeć mu w twarz, ale nasze spojrzenia się krzyżują, gdy mężczyzna opada na krzesło. Wtedy spostrzegam, że moje przypuszczenia odnośnie do jego opieszałości są prawdziwe. Wygląda jak pierwszorzędny gnój.

Patrzy na mnie chłodno, z grymasem na twarzy. Jego oczy są ciemne, jakby od lat były martwe. Ma ogoloną głowę i bladą skórę. Z wyjątkiem policzków – te są zaczerwienione od popękanych naczynek krwionośnych, które są tak liczne, że wyglądają jak drogi na mapie.

Oboje podnosimy słuchawki.

Mężczyzna milczy.

Ja chrząkam.

– Czego chcesz? – Jego głos wybucha w ciszy tak nagle, że się wzdrygam.

Ponownie chrząkam.

Claudette odbiera mi słuchawkę.

– Panie Groves, to Meg Groves, dziewczyna, którą adoptował pan dwadzieścia dwa lata temu. Chciałaby zadać panu kilka pytań na temat jej biologicznej matki oraz samej adopcji.

Facet wytrzeszcza oczy, po czym znów je mruży i się krzywi.

– Nie mam ci nic do powiedzenia. – Piorunuje mnie wzrokiem, a potem skupia się na Claudette. – Mała suka wsadziła mnie do pierdła.

Claudette ściska moją dłoń. To zarówno uspokajający gest, jak i wyraz oburzenia na jego słowa.

– Panie Groves, pana pobyt w więzieniu nie był winą dziecka. Nie chcemy zajmować panu zbyt wiele czasu. Pamięta pan jakieś szczegóły dotyczące adopcji?

Warczy:

– Nie.

– Cokolwiek pan pamięta? Nazwiska? Miejsca? Daty? – naciska.

– Nie. – Uśmiecha się do mnie, gdy to mówi. Kiedy zgodził się na wizytę, nie wiedział, kim jestem, jednak teraz wyraźnie cieszy się, mogąc zaprzeczać.

– A co z pana żoną? Może jej pamięć ma się lepiej niż pańska? – pyta Claudette. Próbuje zachować spokój, ale jej zniecierpliwienie wywołuje coraz więcej pytań.

– Wątpię. Ostatnio nie jest zbyt rozmowna.

– Dlaczego?

– Bo nie żyje. Zmarła dziesięć lat temu – mówi bez emocji, jakby opowiadał o wczorajszej kolacji, a nie o śmierci żony.

Ta wieść nie jest przyjemna, Claudette milczy.

– Skończyliśmy? – On na pewno tak.

– Czy jest ktoś inny, z kim mogłybyśmy porozmawiać? Może jakiś członek rodziny? – To ostatni wysiłek Claudette, by uratować rozmowę.

– Nie. Targu dobiła stara. Nikt inny nie brał w tym udziału, więc wzięła tę wiedzę do grobu. – Odkłada słuchawkę, wstaje i pozwala wprowadzić się strażnikowi z pomieszczenia.

A ja tak po prostu patrzę, jak odchodzi. Z moimi tajemnicami. Bez względu na to, czy coś pamięta, czy nie, należą one do niego. Ludzie, którzy nie są w stanie przechowywać rzetelnie naszych wspomnień, nie powinni w ogóle ich posiadać. Nigdy wcześniej nie miałam ochoty otworzyć komuś głowy jak książki i zacząć czytać, poszukując odpowiedzi w jego pamięci. Aż do tej chwili. Chciałabym wyrwać z tej książki moje strony i uciec z nimi jak złodziej. Potem wiele razy czytać je zachłannie dotąd, dopóki zapamiętałabym każde słowo. Dopóki każde stałoby się moje, nie jego. Właśnie tego chcę.

Jednak nie zawsze mamy to, czego pragniemy.

Nawet jeśli pragniemy tego ponad wszystko.

KALENDARZ JEST TERAZ ŚWIĘTY

SEAMUS

Terazniejszość

Skontaktowałem się z kilkoma prawnikami. Większość z nich nie była zainteresowana reprezentowaniem mnie, gdy zapoznali się z aktualnym stanem sprawy o opiekę nad dziećmi i załączonymi dokumentami, które mnie obciążały. Twierdzili, że mój trud jest daremny. Daremność jest etykietą, którą oznaczam miniony bezproduktywnie czas i beztroskie życie. Jednak słowo to nie może odnosić się do sprawy z moimi dziećmi ani do naszej sytuacji. Szukam zatem dalej, aż znajduję prawnika, który chce pomóc nam rozwiązać problem, i robi to, co najlepsze dla moich dzieci. W jego słowniku nie istnieje słowo *daremny*. Pracuje nad sprawą, wyszukuje solidne argumenty i ma nadzieję, że proces rozpocznie się w połowie stycznia, czyli za jakiś miesiąc.

Kalendarz jest teraz święty. Każdy nowy dzień oznaczam w nim nowo odkrytą determinacją.

DRUGI RAZ NIE DAM SIĘ OSZUKAĆ

SEAMUS

Teraźniejszość

Według orzeczenia w sprawie opieki w czasie świąt Bożego Narodzenia mam prawo spędzić z dziećmi tydzień – odebrać je w Wigilię i odwieźć po Nowym Roku.

Po zagranju podczas Świąt Dziękczynienia nie ufam Mirandzie, domyślając się, że znów może uciec z dziećmi.

Właśnie dlatego już dwudziestego pierwszego grudnia stoję pod bramą jej nowego domu.

Może poprzednio dałem się wykiwać.

Drugi raz na to nie pozwolę.

Uśmiecham się sam do siebie i wybieram numer telefonu.

Gospośia odbiera po trzecim sygnale. Sapie, jakby musiała biec do telefonu.

– Rezydencja państwa Buckingham.

– Jest Kai nieopodal?

– Proszę poczekać – odpowiada i odkłada słuchawkę na jakąś twardą powierzchnię.

Chwilę później odzywa się Kai.

– Tato?

Cieszę się całym sobą. Nie tylko dlatego, że słyszę jego głos, lecz także dlatego, że syn znajduje się w domu, który mam tuż przed sobą.

– Cześć, kolego. Możesz coś dla mnie zrobić?

– Jasne – mówi zdezorientowany. Nie tak zazwyczaj przebiegają nasze rozmowy.

– Chcę, żebyś się rozłączył, wziął Kirę i Rory’ego i żebyście wszyscy wyszli przed dom, do skrzynki pocztowej. Wysłałem wam niespodziankę, jestem pewien, że dojechała.

– A możemy najpierw przez chwilę porozmawiać? – pyta Kai, załamany, że go popędzam, by zakończył połączenie.

– Obiecuję, że porozmawiamy za kilka minut. Zadzwoń, gdy sprawdzicie pocztę.

– Dobrze – mówi, chociaż nadal jest rozczarowany. Prezenty, materialne rzeczy nigdy nie miały dla niego znaczenia.

– Do usłyszenia. Kocham cię.

– Też cię kocham, tato.

Coś, co prawdopodobnie trwa minutę, dla mnie jest godziną. Wreszcie drzwi domu otwierają się i mogę zobaczyć dzieci.

Moje dzieci.

Stoję przed samochodem, jedną ręką trzymając metalową bramę, drugą ściskając laskę dla podtrzymania równowagi. Mam ochotę wykrzyknąć ich imiona, ale moje gardło jest zaciśnięte od przytłaczających emocji. Wiedziałem, że będę szczęśliwy, mogąc je zobaczyć. Nie wiedziałem jedynie, że to tak bardzo mnie rozklei. Powiadają, że tęsknota sprawia, iż serce staje się czulsze. To coś więcej, o wiele więcej. Czuję, jakbym ponownie oglądał ich narodziny. Jestem w szoku. Przez ostatnie miesiące sporo urosli. Choć żal mi straconego czasu, nie potrafię w tym momencie płakać. Nie pozwala mi na to moje szczęście. Ono chce, bym cieszył się tą chwilą. Reszta nie ma teraz znaczenia.

Nie zauważyli mnie jeszcze. Kai i Rory się kłócą, a właściwie Rory krzyczy na brata, który go ignoruje, patrząc pod nogi. Kira wlecze się za nimi. Wciąż chodzi w piżamie, choć jest niemal południe. Wygląda, jakby była zmęczona. Dopóki mnie nie dostrzeże. Wtedy rozpoczyna się

istna wrzawa. Jej pisk to zapewne najgłośniejszy dźwięk na tej ulicy, odkąd byłem tu ostatnio.

– Tata! – krzyczy.

Na dźwięk tego słowa Kai i Rory zatrzymują się, a mała wymija ich biegiem. Chłopcy przetwarzają całą sytuację jeszcze przez sekundę, a potem sami puszczają się biegiem przez trawnik, ścigając siostrę.

Do bramy pierwszy dociera Kai, natychmiast wpisuje kod, by ją otworzyć. Skrzydło uchyla się powoli, więc cała trójka jednocześnie próbuje przepchnąć się przez szczelinę. Chwilę później wszyscy wpadają w moje ramiona. Kira obejmuje mnie za prawą nogę, Rory ściska mnie w pasie, a Kai na wysokości torsu. Niemal zapomniałem, jakie to uczucie.

Unoszę głowę i zauważam gosposię, która zmierza w naszą stronę, jakby miała wypełnić jakąś misję. Jednak na jej twarzy widnieje uśmiech.

– Jest pan pełen niespodzianek, panie McIntyre.

Wydaje mi się, że to dobry czas, by zawrzeć rozejm, więc uśmiecham się w odpowiedzi.

– Cześć, Rosa. – To pierwszy raz, gdy zwracam się do niej po imieniu. Znam je, ponieważ dzieci często o niej opowiadają.

– Co pan tu robi? – pyta, ale jej ton nie jest podniesiony jak ostatnio.

– Musiałem zobaczyć się z dziećmi.

– One również muszą się z panem spotkać – mówi cicho, jakby zdrada pracodawczyni nie mogła jej przejść przez gardło. Chyba nie chce, by ktokolwiek ją słyszał.

Rosa prowadzi nas wszystkich do środka, robi to sprawnie, jak ktoś, kto służy innym od lat.

Dzwonię na komórkę Mirandy. Kobieta nie odbiera, więc zostawiam wiadomość.

Rosa dzwoni na komórkę Mirandy. Moja była żona znowu nie odbiera, więc zostawia jej wiadomość.

Gdy czekamy, aż pojawi się rozgniewana Miranda, gosposia przygotowuje obiad. Kobieta szykuje tradycyjną potrawę, którą nauczyła ją przyrządzać matka, gdy Rosa jako mała dziewczynka mieszkała

w Meksyku. Ziemniaki, cebula i pomidory zawinięte w domowej roboty tortillę. Ze zdziwieniem obserwuję, jak Kai to je.

Rosa jest stanowcza wobec dzieci. Jednak można dostrzec również jej łagodność, która zda się potwierdzać, że kobieta lubi ich towarzystwo. Widzę to w jej oczach. Wtedy, gdy się im przygląda, a one tego nie widzą. Patrzy na nie z czułością. Związała się z nimi. Chroni je. Zgaduję, że ma tyle lat, że mogłaby być ich babcią. Cieszę się, że moje dzieci ją mają.

Wiele godzin później do domu wraca Loren, po chwili pojawia się również Miranda. Loren nakłania ją, by oddała mi dzieci wcześniej, więc pakujemy plecaki i wyruszamy na wspólną świąteczną wyprawę. Nie wiem, dokąd je zabiorę, ale mam to gdzieś. Najważniejsze, że jesteśmy razem.

ŻAŁOŚNIE NIEDOSKONAŁY SUBSTYTUT SZCZĘŚCIA

MIRANDA

Teraźniejszość

– Musimy porozmawiać, Mirando – mówi Loren zza zamkniętych drzwi sypialni. Jest późno. Mieszkamy w osobnych pokojach. Od czasu gdy się przeprowadziłam, nie pozwolił mi do siebie przychodzić.

Na dźwięk jego głosu, jego słów moje serce natychmiast zwiększa swój rytm. Denerwuje mnie, że widok tego faceta wciąż wywołuje u mnie odruch Pawłowa, choć Loren mnie ignoruje. Myślę jednak, że po prostu reaguję na niego automatycznie. Nie ma w tym pożądanego. Nie ma potrzeby. Jest tylko łańcuch odpowiedzi, który zaczyna się i kończy w mojej samotności.

Odsuwam kołdrę, wychodzę z łóżka i zakrywam nagie ciało jedwabnym szlafrokiem, który wiązę luźno z przodu. Jego poły nie zasłaniają mnie zbyt szczelnie, gdy wychodzę spotkać się z mężem w korytarzu.

Loren wzdycha, gdy na mnie patrzy. Nie jest to jednak irytacja, do której się przyzwyczaiłam. To współczucie i smutek – nie sądziłam, że może je odczuwać.

– Mogę wejść? – Ruchem głowy wskazuje na drzwi.

Moje serce zdusiło sztuczną ekscytację i znów bije normalnie.

– Smutne, że musisz o to pytać – mamroczę, odwracając się i wchodząc do sypialni. Loren idzie za mną, oboje jesteśmy zaniepokojeni naszą popieprzoną sytuacją. Dwoje dorosłych, troje dzieci i gosposia: wszyscy mieszkający w oddzielnych pokojach pod dachem gigantycznego domu.

Podchodzę do łóżka, poprawiam poduszki, zrzucam szlafrok. Nie chcę uwieść Lorena, ale zamierzam wygodnie się położyć. Wchodzę pod kołdrę, którą naciągam pod brodę, i ukrywam się pod nią. Spoglądam na męża, który usiadł w stojącym w kącie antycznym fotelu.

– O czym musimy porozmawiać, Lorenie? – niemal wykrzykuję jego imię.

Mężczyzna pochyła się, opiera łokcie na kolanach i łączy palce. Wciąż ma na sobie eleganckie spodnie i koszulę, ale zdjął krawat i rozpiął kilka górnych guzików ubrania.

– To nie działa. Wiesz o tym i ja o tym wiem.

Przytakuję. To nie wychodzi. Sądziłam, że gdy siłą wkroczę w jego życie, wszystko doskonale się poukłada.

Ale tak nie jest.

Nasze wspólne życie dalekie jest od ideału.

Jest żałośnie niedoskonałe.

– Masz depresję – stwierdza.

Nie odpowiadam. Od tygodni łykam tabletki. Nie pomagają.

– Potrzebujesz pomocy. – Patrę mu w oczy, gdy siedzi po drugiej stronie pokoju. Jest zmęczony. Brakiem snu i... mną.

Uśmiecham się. Jednak czuję wewnętrzną pustkę i kąciki moich ust ledwie chcą się unieść.

– Codziennie rano połykam sześćdziesiąt miligramów pomocy. Dla mojego organizmu to substytut szczęścia. Zapewniłam sobie pomoc. Dzięki. – Sarkazm miesza się złośliwie z melancholią.

– To nic nie daje. Porozmawiaj z lekarzem – nalega.

Wyzywająco odwracam wzrok. Nie chcę rozmawiać o lekach. Nie chcę, by patrzył na mnie jak na kogoś nie zrównoważonego. Chcę rozmawiać o nas. O tym, że nas nie ma i prawdopodobnie nigdy nie było.

– Kochasz mnie? – Kiedy nie odpowiada, patrzę na niego i naciskam: – Czy kiedykolwiek mnie kochałeś, Loren... zanim wszystko poszło w diabły?

– Chcesz, żebym skłamał, by poprawić ci humor, czy raczej wolisz usłyszeć prawdę? – pyta. Znam już odpowiedź. Choć sformułował pytanie, wyraźnie usłyszałam zaprzeczenie.

Chcę, by mnie okłamał.

– Powiedz prawdę.

Proszę, skłam.

Nie waha się.

– Nie.

Przytakuję.

Jest mu przykro. Widzę to w jego postawie. Jego ramiona opadły pod ciężarem tego wyznania.

– A czy ty mnie kiedyś kochałaś? – pyta.

Tak, wiele lat temu.

– Nie – kłamię, po czym natychmiast wyznaję prawdę: – Tak.

Spuszcza wzrok i szepcze:

– Co my robimy? – Ciemność nocy i prawda wypełniające pokój nadają jego pytaniu ogromne znaczenie. Dusi mnie jego szczerość.

Rodzi się we mnie zaprzeczenie. Gotuje się powoli, bulgocząc w moim brzuchu, wspina się do piersi, wreszcie zatyka mi gardło i sprowadza łzy. Pojawia się we mnie strach o to, co dalej.

– Nie wiem.

– Dokąd idziesz każdego dnia, kiedy mówisz, że wychodzisz do pracy?

To podchwytliwe pytanie. Wyczuwam to po sposobie, w jaki zostało postawione. Jednak i tak kłamię. Jak zawsze.

– Do pracy.

Bierze głęboki wdech, by się uspokoić i odzyskać cierpliwość, a potem kontynuuje:

– Bądź ze mną szczerą, Mirando. Nie byłaś w pracy, odkąd cię zwolniłem. Dlaczego nie pracujesz? Gdzie jeździsz?

– Naprawdę chcesz wiedzieć? – Nie wiem, czy rzeczywiście chce to usłyszeć, czy może pragnie to wykorzystać przeciwko mnie. Cały czas

w coś gramy, jednak ta rozmowa wydaje się inna. Prawdziwa. Na ogół nie jesteśmy ze sobą szczerzy, więc mam wątpliwości.

– Tak, naprawdę. Proszę. – Chce to usłyszeć.

– Wynajmuję apartament w Hiltonie w centrum miasta. Nie mam pracy. Nikt nie chciał mnie zatrudnić – przyznaję. – Najwyraźniej twoi ludzie z kadr nie przedstawiali mnie w jasnych barwach, gdy dzwonili potencjalni pracodawcy. Oczywiście mówili prawdę, ale dla mnie było to niekorzystne. – Czas na wstyd dobiegł końca. Zgłosiłam się wcześniej do pośrednika pracy, ale zostałam odrzucona jako kandydat na stanowisko wiceprezesa. Był to dla mnie cios poniżej pasa wymierzony w moją pewność siebie. Żaden mniejszy tytuł mnie nie satysfakcjonował, więc się poddałam. I kłamałam. Znowu.

– Co robisz całymi dniami w pokoju hotelowym? – Loren jest pracoholikiem, więc patrzy z niedowierzaniem, jakby całodzienne wylegiwanie się w łóżku było czymś nie do pomyślenia. Kiedyś też tak sądziłam.

Wpatruję się w jego oczy. Wciąż są zmęczone i nadal smutne – to oczy, które niegdyś sprawiały, że się śliniłam i rzucałam na niego jak na zdobycz. Teraz mam ochotę pomachać białą flagą i się poddać. Kiedy moje napięte nerwy mają dość i żądają kapitulacji, postanawiam wyznać prawdę. Koniec kłamstw na dziś.

– Oglądam kiepskie seriale, zamawiam jedzenie, ćwiczę na siłowni, chodzę na masaż, pieprzę się z samotnymi biznesmenami poznanymi na dole w barze. – Wzruszam ramionami. – No wiesz, to, co zwykle. – To, co zwykle, nigdy wcześniej zwykłym nie było, więc myślałam, że nigdy się przed nim nie przyznam. Czas spędzony w Seattle, depresja, porażka, odrzucenie powoli zmieniły mnie w kogoś nie do poznania. Mój plan został starty na proch. Już nie dostaję tego, co mi się należy, i tego, co mi się nie należy. Teraz ledwie potrafię przetrwać w piekle zgotowanym na własne życzenie.

Loren wzdycha i przeczesuje palcami włosy. Nie wiem, czy to ze zdenerwowania, czy też może z litości.

– Poważnie? – Słysząc w jego głosie jedno i drugie.

– Poważnie? – przedrzeźniam go. – Pieprzę ciebie i twój osąd, Loren. Przyganiał kocioł garnkowi. Użalaj się nad sobą. – Oboje musimy

żyć z konsekwencjami kiepskich decyzji.

Kręci głową.

– Twoja moralność jest wypaczona. Cholernie – mamrocze. – Ale sprawdzasz się w biznesie jak nikt inny. Marnujesz potencjał. Tylko o tym mówię.

Chcę walczyć. Chcę krzyczeć. Jednak skończyłam dziś z kłamstwami, odpowiadam:

– Wiem.

– A ja wiem, że materiały, które mi przedstawiłaś jako dowody na moje nieprawne działania były sfałszowane. Wiem, że to wszystko kłamstwa. Kłamstwa, które wykorzystałaś, by mnie usidlić. Oszustwo powstałe jedynie na papierze. Nie złamałem prawa, ale ty nie miałaś sumienia. – Wciąż nie jest zły.

– Najwyraźniej nadal go nie mam. – Koniec z kłamstwami.

– Nie jesteśmy małżeństwem, Mirando. Ślub nie był prawdziwy. Zapłaciłem za podrobienie aktu. Pastor, który przyjechał do domu i prowadził ceremonię, był aktorem. Twoja obrączka jest szklana.

Parskam śmiechem, zaskoczona, że jestem w stanie dostrzec w tej popieprzonej sytuacji ironię. Następnie wyciągam ręce spod kołdry i powoli zaczynam klaskać.

– *Touché*, Loren. Kurewskie *touché*.

Przygląda mi się ostrożnie, ale nie waży słów. Ich codzienną precyzję zastępuje teraz desperacja, jakiej jeszcze u niego nie słyszałam.

– Czas, byś się wyprowadziła, Mirando.

Dopiero teraz płyną łzy, ponieważ ostatecznie mnie odrzucił. Jednak nie myślę o Lorenie. Myślę o Seamusie. Jak musiał cierpieć, gdy wniosłam pozew o rozwód. Przypominam sobie jego ostatnie słowa, które powiedział do mnie tamtego wieczoru. „On cię nigdy nie pokochał tak jak ja”. Miał rację. Loren w ogóle mnie nie kochał. A po miesiącach życia w jego domu, trwania w tym fałszywym małżeństwie wiem jedno: przeznaczenie, które ściagałam i na które sądziłam, że zasługuję, zaprowadziło mnie jedynie do nieszczęścia.

– Twoje dzieci powinny być z Seamusem, Mirando. Widziałaś, jak się cieszyły, wyjeżdżając z nim w zeszłym tygodniu. Wiesz, jakie były smutne, gdy przywiózł je dzisiaj rana. Nie znam ich zbyt dobrze,

ale są inne, gdy przebywają z nim. Rozpala się w nich światło szczęścia i życia. Właśnie na to zasługują wszystkie dzieci. Tutaj tego nie mają. Nikt ich nie kocha tak, jak on.

– Ponieważ nikt nie kocha tak, jak Seamus. Jest czuły, szczery i odważny. Jest święty – mówię, pokonana. Patrzę na Lorena, decydując się na jeszcze większą szczerość. – Dzieci lubią Rosę bardziej niż mnie. Nie powinny mnie kochać i szanować bardziej niż cholerną gosposię?

Nie próbuje mnie pocieszać.

– Miłości nie gwarantują geny, ale czas i starania. Nie poświęcałaś dzieciom czasu, nie starałaś się dla nich. Rosa wręcz przeciwnie.

To boli. Wiem, że to moja wina, ale nadal boli.

– To jej praca.

– Jej obowiązkiem w pracy jest dopilnować, by nie były głodne. Nie musi czytać im do snu, opowiadać historyjek na dobranoc, pytać, jak minął im dzień w szkole, wreszcie chwalić, gdy coś dobrze zrobią. Jest gosposią, nie rodzicem. To twoja rola – mówi.

Ta rozmowa przypomina długą, mozolną podróż, którą chcę mieć już za sobą. Wiem, że nie mogę uciec w trakcie, ponieważ bolałoby to bardziej niż wtedy, gdy pozostanę i wytrzymam do końca.

– Nie lubię być rodzicem. Nie jestem w tym dobra. Seamus zawsze nim był. – Nie szukam współczucia, mówię, ponieważ mam słuchacza, ucho do zwierzeń.

– Ja też byłbym okropnym rodzicem. Oczywiście. – Zwiesza głowę. Wstydzi się tego.

– Dopasowaliśmy się w cholernym korcu maku, Loren. Dlaczego nam nie wyszło? – pytam. Znam już odpowiedź, ale chcę poznać i jego myśli.

– Tak już jest, prawda? Jesteśmy niemal identyczni. Nie uzupełniamy się wzajemnie. Nie równoważysz moich wad ani ja nie równoważę twoich, ponieważ jesteśmy pod tym względem tacy sami. Emocjonalnie jesteśmy niedojrzałymi nastolatkami, niezdolnymi do miłości i wzajemnej troski. Nie wróży to dobrze małżeństwu ani nawet monogamii.

– Zawsze już tak będzie?

Wzrusza ramionami.

– Jeśli o mnie chodzi? Pewnie tak. Jestem stary i mam swoje przyzwyczajenia. Zawsze żyłem w ten sposób. Jeśli chodzi o ciebie? Mam nadzieję, że nie. Wciąż jesteś młoda. Masz przed sobą całe życie, również życie twoich dzieci. Powinnaś wrócić do męża. Docień go. Był twoją lepszą połówką. Na początek spróbuj mu dorównać.

Chciałabym powiedzieć, że przyznaję się do porażki. Jednak, by się do niej przyznać, najpierw trzeba poznać smak zwycięstwa. Zaczynam uświadamiać sobie, że tak naprawdę nie wiem, co to wygrana, i że nigdy w ciągu ponad trzydziestu lat życia nic nie wygrałam, ponieważ moje zasady zawsze były czystą fikcją. Grałam według nich tylko ja, a to czyniło je nieważnymi.

– Kiedy mam zniknąć z twojego domu?

– W idealnym wypadku?

– Nie, realnym. Jestem pewna, że idealnie byłoby, gdybym wyprowadziła się natychmiast, ale jestem zmęczona i nie mogę tego zrobić – mówię pół żartem, pół serio. Jestem pewna, że gdyby miał taką możliwość, nim wsadziłby mnie do samochodu, nie pozwoliłby mi nawet skorzystać z toalety czy się ubrać.

– Masz tydzień.

Mam ochotę rzucić jakąś przemądrzałą uwagę, ale kiwam tylko głową, akceptując termin.

Loren wstaje, podchodzi do łóżka i całuje mnie w czubek głowy.

– Dobranoc, Mirando.

Biorąc pod uwagę naszą historię i to, że właśnie się rozstajemy, gest ten wydaje się być nie na miejscu, ale myślę, że właśnie dlatego jest taki idealny, właściwy. Pomimo braku miłości oraz zważywszy na fakt, że możemy, jak gorliwy pastor odprawiający modły, ofiarować sobie jedynie nieufność i kłamstwa, naprawdę jesteśmy do siebie podobni. Nawet przy nienawiści, ponieważ przez nią się rozumiemy. Moja brzydota wybacza i ignoruje jego brzydotę.

– Dobranoc, Loren.

W DUPIE MAM TWOJĄ WYPACZONĄ PERSPEKTYWĘ

SEAMUS

Teraźniejszość

Drzwi od domu otwiera Loren. Chciałbym, by zamiast niego stanęła w nich Rosa. Nie chcę żegnać się z dziećmi na jego oczach. Jego obecność przypomina mi, że jest zwycięzcą, a ja przegranym. Jestem boleśnie świadomy, jak dużo w tej chwili przegrywam. Muszę zostawić dzieci i odjechać w siną dal. Przegrana to pojęcie, które powinno istnieć tylko w grach planszowych i zakładach, nie oddaje w pełni stanu, w którym znajduje się moje serce. Muszę odsunąć się od tych, których kocham najbardziej.

– Wejdz, proszę – mówi uprzejmie. Zawsze taki jest. Właśnie to cechuje bogaczy. Uprzejmość. Nawet jeśli jest nieszczer.

– W porządku, pożegnam się tutaj i odeślę dzieci do środka – odpowiadam.

Odsuwa się od drzwi, ale zostawia je otwarte.

Uściskom i pocałunkom towarzyszą łzy. Tym razem pożegnanie jest dla nas wszystkich trudniejsze.

Kiedy wracam do samochodu, czuję, że mam tak ciężkie serce, że aż trudno mi się poruszać. To otepienie, którego przyczyną może stać się

jedynie smutek. Jestem pogrążony w myślach tak bardzo, że słyszę obok siebie czyjś głos dopiero wtedy, gdy sięgam do klamki.

To Loren.

Pierwszy raz zostajemy sam na sam. Do głowy przychodzi mi milion obelg, ale tylko jedna wypływa przez usta.

– Jesteś dupkiem.

Krzyżuje ręce na piersi i przechyla głowę w lewo, jakby się nad tym zastanawiał.

– Nie mylisz się. Jestem dupkiem.

Tego się nie spodziewałem, ale nie daję za wygraną:

– Zniszczyłeś moją rodzinę.

Natychmiast się kaja:

– Przepraszam, Seamus – mówi. Powinno to zabrzmieć nieszczerze, ale tak nie jest.

Ta pokora jedynie rozpala we mnie gniew. Zaciskam palce, po czym zakrywam twarz dłońmi, starając się zapomnieć o tej sytuacji, odciąć od niego, od Mirandy, od smutku.

– Czy masz w ogóle pojęcie, jak to jest stracić wszystko, co się kocha?! – krzyczę. Kiedy nie odpowiada, wykrzykuję ponownie, wciąż ukrywając się za dłońmi, by w żądaniu odpowiedzi nie użyć ich do ataku: – Masz pojęcie?

– Nie – mówi cicho, jakby przepraszał.

Kręcę głową i opuszczam rękę.

– Oczywiście, że nie masz.

– Perspektywa. Ona jest ważna. Może sprawić, że zaczniemy dostrzegać pozytywy nawet w najgorszych sytuacjach – mówi tajemniczo.

Nie mam czasu ani cierpliwości zmagać się z tym gównem. Otwieram drzwi i wsiadam do samochodu. Odpalam go i trzaskam drzwiami, na końcu opuszczam szybę.

– W dupie mam twoją wypaczoną perspektywę.

Odjeżdżam, zatrzymując się po drodze tylko po to, by kupić paliwo i jedzenie.

PIECZENIE NOWEGO CIASTA

MIRANDA

Teraźniejszość

Zamieniłam mojego dwuosobowego mercedesa cabrio na masywnego SUV-a. Zakrztusiłam się, oddając kluczyki sprzedawcy w komisie. Jeśli moją tożsamość można porównać do ciasta, zostałam pocięta na kawałki, a sporą porcję otrzymał ten podlizujący się diler. Łącznie z wieńczącą ją bitą śmietaną. I cholerną posypką. Odkryłam, że nie lubię dzielić się swoim ciastem, a zwłaszcza bitą śmietaną i posypką. Oddaje się je na zawsze i trzeba piec nowe ciasto. Nową mnie. Sukinsyn. Nic nie przeraża mnie bardziej niż zmiany. Czuję, że się zbliżają. Myślałam, że jestem na nie gotowa. Jednak nie jestem. To mnie paraliżuje. Zostałam umieszczona na szkiełku pod mikroskopem, bym mogła się sobie przyjrzeć. Nie podoba mi się to, co widzę. Wolałabym odwrócić wzrok.

Spakowałam rzeczy dzieci oraz kilka walizek ubrań i rano pożegnaliśmy się z wielkim domem Lorena. Resztę rzeczy prześle mi, gdy znajdę sobie jakieś nowe lokum. Co dziwne, odejście nie było tak traumatyczne, jak zakładałam, myśląc o całej tej cholernej zmianie. Może to nowe leki, które kilka dni temu zapisał mi lekarz. Loren

przytulił nas wszystkich, co było taktowne, choć nietypowe dla niego. Sądzę, że tak bardzo chciał wrócić do dawnego beztroskiego życia, że tym uściskiem wyraził swoją radość. Byłam rozdarta, widząc, jak tulił Kirę. Połowa mojego czarnego serca cieszyła się, podczas gdy druga płakała. To pewnie jedyny raz, kiedy wziął córkę w ramiona. To... dobrze... i źle... Wszystko jest cholernie słodko-gorzkie.

Jedziemy od trzech godzin. Dwa razy musieliśmy zrobić nagłą przerwę na toaletę, raz zatrzymaliśmy się, by coś zjeść. Ta podróż mnie wykończy. Nie radzę sobie zbyt dobrze na drodze. Wolę natychmiastowy lot niż pełną znoju jazdę samochodem. Sto trzydzieści kilometrów na godzinę pokonuję chyba w zwolnionym tempie.

Poddaję się o piątej po południu. Wyczerpana zjeżdżam z autostrady na widok lśniącego znaku hotelu Marriott. Nigdy w życiu nie byłam tak wdzięczna za łóżko i puchatą poduszkę.

Śpię na jednym łóżku, dzieci kładą się razem na drugim. Pytam Kirę, czy woli spać ze mną. Propozycja brzmi jednak sztucznie, jestem pewna, że mała to wyczuwa. Dzieci są bardziej spostrzegawcze, niż wcześniej zakładałam. Kira woli spać między braćmi. Nie winię jej za to. Są niewielką watahą wilków, które chronią się nawzajem. Ja jestem autsajderem.

Następnego ranka wszyscy są wypoczęci i gotowi, by jechać do Kalifornii. Bierzemy prysznic i pozwalamy sobie na wielkie śniadanie. Próbuję napchać dzieci jedzeniem, by nie były głodne podczas podróży. Nie chcę się po drodze zatrzymywać. Wszyscy zamawiamy naleśniki z orzechami pekan. Nie wierzę w przeznaczenie ani w boską interwencję, lecz mimowolnie czuję, że wspólna konsumpcja mojej ulubionej potrawy to przypadkowy, choć symboliczny krok w dobrym kierunku. W tej chwili jestem częścią ich paczki, a nie autsajderem.

Po kilku godzinach jazdy spoglądam w lusterko wsteczne. Kira zajmuje miejsce pośrodku. Śpi z głową opartą na zwiniętej kurtce najstarszego brata na jego kolanach. Kai i Rory nie śpią, obaj wyglądają przez boczne szyby. Są od siebie różni. Tak inni, że kłótnie między nimi są częste i nieuniknione. Jednak bardzo się kochają. Zdolność kochania dzieci odziedziczyły po Seamusie. Wyróżnia się wśród innych cech ich osobowości.

Jakby wyczuwając, że na niego patrzę, Rory zerka w niewielkie prostokątne lusterko, gdzie nasze spojrzenia się krzyżują. Jest najbardziej uparty z całej trójki, śmiały zarówno w wypowiedziach, jak i w działaniu. Jest to niepokojące, bo ma dopiero dziewięć lat. Nie powinnam się bać własnego dziecka, ale jego spojrzenie jest szczere, osądza i pali. Przez większość życia sama patrzę tak na innych, oczywiście w moich oczach nie ma tej szczerości. Odnajdywanie własnego odbicia w innej twarzy, choć czasem pociesza, może też niepokoić.

– Wieziesz nas do taty, Mirando? – Rory zaczął zwracać się do mnie po imieniu, gdy wniosłam o rozwód i wyprowadziłam się do Seattle. Wypowiada je z taką pogardą, że zamiast własnego imienia słyszę „ty zdiro”.

Reagując automatycznie, natychmiast chcę powstrzymać tę próbę dominacji, lecz przypominam sobie, że moje życie jest wielkim parującym gównem. Dlatego milczę przez chwilę i odpowiadam pytaniem na pytanie. Nigdy o niczym nie rozmawiałam z własnymi dziećmi. Nie znam ich. Po prostu żyłam własnym życiem, podczas gdy inni się angażowali. Traktuję tę rozmowę jako grę, a w grach jestem dobra. Poza tym mamy do zabicia wiele godzin na tej zapomnianej przez diabła autostradzie.

– Wolałbyś mieszkać z Seamusem?

– Tak – odpowiadają równocześnie chłopcy. *Tak* starszego syna jest smutne, jakby wiedział, że mieszkanie z ojcem stało się nieosiągalne. *Tak* Rory’ego brzmi, jak *pieprz się* i jednocześnie *zajebiście*.

– Dlaczego? – pytam, choć wiem, że to będzie werbalna egzekucja.

Nadzieję mnie na rożen i upieką na otwartym ogniu. Nigdy nie prowokuję krytyki. Teraz wstrzymuję oddech i czekam.

Jako pierwszy zabiera głos Kai:

– Ponieważ za nim tęsknimy. I go kochamy. – To ostrożne wyznanie, ponieważ chłopak ma łagodny charakter.

Spoglądam w lustro. Ma opuszczoną głowę, jakby nie chciał urazić moich uczuć. Machinalnie głaszczę siostrę po włosach. Na końcu języka mam pytanie: *A mnie nie kochasz?*, lecz nie potrafię się zmusić do wypowiedzenia tych słów. Znam już odpowiedź. Nie byłoby uczciwe pytać dalej i stawiać go w sytuacji, w której musiałby wybierać między prawdą... a kłamstwem. Niezależnie od tego, jaką podjąłby decyzję, czułby się z nią źle, ponieważ zawsze słucha swojego czułego serca. Zazwyczaj polowałam na taką wrażliwość, ale kiedy patrzę na mojego małego syna, wiem, że nie mogę tego zrobić. Zadaję więc to samo pytanie Rory'emu:

– A ty, Rory? Dlaczego?

Ponownie skupia na mnie lodowate spojrzenie. Przez chwilę czuję się dumna, że wyrośnie na faceta, przed którym ludzie będą się kłaniać.

– Z tych samych powodów, o których mówił Kai. I cię nie lubimy – stwierdza, stanowczo przechodząc do sedna.

Mam ochotę się odwrócić i przybić z nim piątkę.

Jednak przypominam sobie, że mówi o mnie.

Auć. Zawsze byłam obojętna wobec tych dzieci. Stały się elementem mojego życia tylko dlatego, że inni oczekiwali, że je urodzę. Trzymałam je na dystans i monitorowałam ich rozwój, jakby ich życie było jakimś długoterminowym projektem. Projektem, pod którym będę mogła się podpisać na koniec – wtedy, kiedy dzieci dorosną. Jeśli oczywiście ich dorastanie zakończyłoby się sukcesem. Gdyby zakończyło się porażką, mogłabym wyprzeć się swojego udziału w ich wychowaniu. Zatem wybrałabym opartą na wynikach odpowiedzialność... lub jej brak. W ten właśnie sposób kontroluję w życiu wszystko to, czego nie lubię. Aspekty, które mnie nie interesują. Jeśli dotyka się jedynie powierzchwni spraw, łatwiej potem od wszystkiego umyć ręce, gdy zajdzie taka potrzeba. Jednak zupełnie odwrotnie należy postępować, wiedząc, że coś przyniosło korzyść.

Zazwyczaj wizerunek buduje się przez pracę, która wymaga starań. Jednak nikt nie powiedział, że nie można umacniać go, dokonując jedynie odpowiednich wyborów, które wzbogacą nas w oczach innych. Wszystko polega na sztuce finezji. Ona w ogóle nie obchodzi Rory'ego. Jednocześnie go teraz za to lubię i nienawidzę.

– Co lubicie? – zmieniam temat. Nie chcę rozmawiać o sobie.

Rory kręci głową.

– A co cię to w ogóle obchodzi? – mamrocze.

– Ja lubię grać w kosza – odpowiada Kai.

– Naprawdę? – pytam. Doznaję olśnienia. – Seamus też kiedyś grał.

– Kiedy mieszkaliśmy w domu, tata brał mnie do parku i tam graliśmy. A w mieszkaniu jest obręcz na zewnątrz. Tam też mogliśmy rzucać.

– Ha. – To moja jedyna odpowiedź. Nie wiedziałam o tym.

Rory postanawia dołączyć do rozmowy:

– Ja lubię Harry'ego Pottera.

– Książki czy filmy? – Nie czytałam ani nie widziałam tych historii, ale nie ma chyba osoby, która nie wiedziałaby, o co chodzi.

– I to, i to. – Odpowiedź jest krótka, jednak jego gniew zaczyna ustępować i na twarzy chłopca stopniowo pojawia się entuzjazm.

Czas mija szybko, muszę przyznać, że podoba mi się rozmowa z dziećmi, więc zadaję kolejne pytania:

– Jaki jest wasz ulubiony kolor?

– Niebieski – odpowiada Kai. Boże, jest kopią Seamusa, on też uwielbia ten kolor.

– Czerwony – mówi Rory. Ognisty, zupełnie jak on, pasuje do niego. Ja też lubię czerwony.

– A twój? – To pytanie zbija mnie z tropu. Coś tak prozaicznego, jak zainteresowanie okazane mi przez własne dziecko sprawia, że czuję ucisk w gardle. Niewiele osób w moim życiu poświęcało uwagę mojej osobie – poza babcią i Seamusem. Ludzie w korporacyjnym świecie to robili, ale albo byli to podwładni całujący mnie po tyłku, by móc piąć się wyżej po szczeblach kariery, albo przełożeni oczekujący wydajności. Nic z tego nigdy nie było osobiste. A to pytanie takie właśnie jest.

Odruchowo mam ochotę powiedzieć, że czerwony, podobnie jak Rory'ego. Jednak zatrzymuję tę odpowiedź w myślach.

– Nie wiem. To chyba zależy.

– Dlaczego? Powinnaś mieć ten jeden. Kiedy zamykasz oczy i myślisz o ulubionym kolorze, co widzisz?

Oczywiście nie zamykam oczu, ponieważ prowadzę samochód, ale przestaję myśleć o wszystkim innym i skupiam się na jego pytaniu. Kolor, który jako pierwszy pojawia się w moim umyśle, to odcień kwiatów hortensji na krzewach, które rosły po obu stronach schodów prowadzących na ganek przy domu babci. Pielęgnowała te rośliny z troską i oddaniem.

– Lawendowy.

– Zmyślasz – podważa to Rory. – Nigdy nie słyszałem o takim kolorze.

– To jasny kolor, coś między niebieskim a fioletowym. Moja babcia miała kwiaty, hortensje, które miały taki kolor. – Dzielenie się z nimi tą informacją jest przerażające. Nie rozmawiam o babci. Nigdy.

– Gdzie mieszka? – pyta Kai. – Możemy ją odwiedzić?

Te słowa są jak nokaut. Nie odpowiadam. Nagle uświadamiam sobie, że to nie ja kontroluję tę rozmowę. A przecież zawsze wszystko kontroluję. Właśnie tak powinno być.

Rory nie czeka na moją odpowiedź i zadaje własne pytanie:

– Jak ma na imię, Mirando? – Wyczuwa mój niepokój, zaczepia mnie, jakby szturchał kijem, by zobaczyć, co się stanie.

Chcę, by moje słowa brzmiały pewnie, by się podporządkował.

– Kira. Miała na imię Kira. – Nie wychodzi mi. Słowa brzmią sentymentalnie. Tak bardzo, że równie dobrze mogłabym upaść i przyznać się do porażki, pozwolić uderzać się kijem, którym szturchał mnie jeszcze chwilę temu.

– Przykro mi – mówi Kai kojąco.

Jestem zdezorientowana, bo nie wiem, dlaczego mu przykro. Poza tym od razu przychodzą mi na myśl wszystkie te chwile, w których Seamus niepotrzebnie mnie przeproszał, próbując załagodzić sytuację. Choć nigdy nie upierał się daremnie, był ponad to.

– Ale dlaczego ci przykro? – Powinnam odpuścić, ale zdaje się, że

dzisiejszy dzień jest dniem przekraczania własnych granic.

– Że umarła – mówi tym samym pocieszającym tonem, który wywołuje ten sam niepokój.

– Skąd wiesz, że nie żyje? – pytam cicho. Nie chcę, by odpowiadał.

– Bo powiedziałaś, że „miała na imię Kira”. Gdyby żyła, powiedziałaabyś: „Ma na imię Kira”. – Jego wyjaśnienie jest ciche, jakby było mu smutno, że musi to powiedzieć. Jego smutek sprowadza mój. Po raz pierwszy w życiu wstydzę się, że jestem jego matką, że jest ze mną związany. Nie przez wzgląd na siebie, lecz właśnie na niego. Chłopak zasługuje na kogoś lepszego.

Z bardzo wielu różnych przyczyn zaczynają spływać mi po policzkach łzy. Ocieram je, ale w ich miejsce pojawiają się nowe.

– Przykro mi – powtarza, ale tym razem dodaje: – Mamo.

Moje serce się rozpada. Nie nazywał mnie tak od czasu mojej wyprowadzki do Seattle. A wcześniej tytułował mnie tak jedynie z obowiązku, bez przekonania. Może wyolbrzymiam, ale wydaje mi się, że właśnie usłyszałam w jego głosie akceptację. Mały, słodki chłopczyk zaakceptował podłą, złośliwą kobietę.

Przez kolejne kilka godzin opowiadam chłopcom i Kirze, która się przebudziła, o mojej babci. O tym, jak mnie wychowywała po śmierci matki, o domu, w którym mieszkaliśmy, o naszym psie, o mojej szkole i sąsiadach. Dzielę się wszystkim. Dzieci potrafią słuchać. Zadają wiele pytań. Z każdym z nich moja pamięć poszerza się, a kurczy ściana dzieląca mnie od świata. Toteż gdy dojeżdżamy do okolicy, w której mieszka Seamus, czuję się inaczej. Lżej, jakbym zrzuciła z serca kamień i oddała część siebie dzieciom. Dobrą część, która istniała, nim odebrano mi babcię i świat spowił mrok. Co najdziwniejsze, dzieci pragnęły tej części mnie i nie rzuciły mi nią w twarz.

Są o wiele bardziej wartościowe niż ja.

Planowałam pojechać do hotelu, w którym mieszkaliśmy wcześniej. Zrobiłam nawet rezerwację, ale z jakiegoś powodu skręciłam w ulicę, gdzie mieszka Seamus. Czuję, że jestem winna dzieciom, by go dzisiaj zobaczyły. Cholera, nie wiem, co we mnie wstąpiło. Najwyraźniej te nowe leki dość poważnie wpływają na mój umysł. A może to przez dzieci i to swobodne dzielenie się z nimi

wspomnieniami o babci, którym zawsze towarzyszyły wyrzuty sumienia.

Seamus nie wie, że przyjedziemy. Nie wie, że przeprowadzam się z powrotem. Nie ma pojęcia, że jego życie zmieni się na lepsze.

Kiedy pukamy do drzwi jego mieszkania, jest dziewiąta. Nie wiedziałam, że zaskoczenie może być tak szczęśliwe. Dla Seamusa takie właśnie jest. Spogląda z bliska na swoje dzieci. Porywa je w ramiona, w które ochoczo wpadają. Rzucają się na niego, nim jego ręce są w stanie nawiązać kontakt.

Nie potrafię oderwać wzroku od jego twarzy. Może dlatego, że przez kilka ostatnich godzin nurzałam się w nostalgii. Czuję się, jakbym cofnęła się w czasie. Jakbym wróciła. Czekam, aż spojrzy i na mnie. Czekam, aż powie coś słodkiego. Czekam, aż mnie pocałuje.

Wiele bym dała, by mnie pocałował.

Wszystko.

Jednak to się nie może stać. Jest święty.

A ja jestem zdzirą.

Wszyscy o tym wiedzą.

Ja również.

SEAMUS

– Co tu robicie? – W moim głosie słyhać nadzieję, choć dawno temu nauczyłem się nie okazywać jej przy Mirandzie, ponieważ zaczęła używać jej jako broni. Potrafi mnie niszczyć moją własną nadzieją.

Nikt nie odpowiada. Za to dzieci patrzą na Mirandę, jakby to ona posiadała magiczną odpowiedź, co by się zgadzało – to ona zawsze dzierży władzę.

– Przeprowadzam się z powrotem do Kalifornii. – Słowa brzmią logicznie, choć tak naprawdę brak im sensu.

Wraca do mnie nadzieja.

– Co masz na myśli? – Mam ochotę krzyczeć: *Powiedz, że odzyskam dzieci!*, ale czekam.

– Rozstaliśmy się z Lorenem. – Gdyby to miało miejsce, powiedziałyby: *Zostawiłam Lorena*, ponieważ uwielbia napawać się zwycięstwem. Jej słowa oznaczają, że została wykopana.

Mam ochotę wytknąć ją palcem i śmiać się w jej pieprzoną twarz, ale nie chcę, by dzieci widziały tak mściwe zachowanie. Muszę porozmawiać z nią w cztery oczy. Jeśli tylko droczy się ze mną, wykorzystując dzieci, i tak naprawdę nie ma zamiaru podzielić się ze mną opieką nad nimi lub oddać mi wyłączne prawo do niej, skrzywdzę ją.

– Hej, może weźmiecie swoje rzeczy z samochodu, byście mogli spędzić noc w swoim pokoju – mówię im. Mam w dupie, czy Miranda snuje inne plany. Nie można potrząsać mi przed nosem marchewką i spodziewać się, że nie chwycę jej obiema rękami.

Dzieci zbiegają po schodach, nim Miranda ma szansę zanegować moją propozycję.

Nie mam zbyt wiele czasu, zaraz tu wrócę. Ponawiam więc pytanie, które pierwotnie chciałem wykrzyczeć, mówiąc cicho:

– Powiedz, czy odzyskam dzieci? – Cichy ton mojego głosu nie zmienia powagi sytuacji. Odślaniam wszystkie swoje karty. Nie mam żadnego asa w rękawie, którego powinienem mieć, grając z Mirandą. Nie będę tracić czasu na zabawę w kotka i myszkę oraz walkę z tą kobietą. Chcę odzyskać dzieci!

Słyszę trzaśnięcie drzwi od samochodu. Była żona patrzy na parking, a potem kieruje wzrok na mnie.

– Możemy porozmawiać, gdy już pójdą spać?

Wymagałoby to obecności Mirandy w mieszkaniu, co mi się nie podoba. Jednak, jeśli to szansa na odzyskanie dzieci, zrobię wszystko, co w mojej mocy. Odsuwam się od drzwi, by mogła przejść.

– Dobrze. Porozmawiamy, gdy pójdą spać.

Kiedy siada na kanapie, wydaje się nie pasować do tego miejsca. Błyszczą sztucznie przyzwyczajona do wygody.

Dzieci taszczą plecaki, które pomagam im zanieść do pokoju. Rozmawiamy przez chwilę. Choć widziałem je zaledwie tydzień temu,

nie brakuje nam tematów do rozmowy. Kiedy Kira i Rory zaczynają ziewać, szukamy piżam i szczoteczek do zębów, tuż potem cała gromadka wybiera się do łóżek. Ściskam ich i całuję na dobranoc, po czym zamykam drzwi i wychodzę na korytarz, a moje szczęście milknie. Miranda wciąż siedzi na kanapie, na którą opadła niemal dwie godziny temu. Trzyma w dłoni butelkę wina. Musiała ją przywieźć ze sobą lub poszła na zakupy do sklepu monopolowego, gdy zajmowałem się dziećmi. Butelka jest w połowie pusta. Nie widzę nigdzie kieliszka, Miranda musiała pić prosto z niej. Przygląda się, jak wchodzę do pokoju, i poklepuje siedzisko obok siebie.

– Usiądź. – Nie jest pijana. Zawsze miała mocniejszą ode mnie głowę.

Zajmuję miejsce po drugiej stronie kanapy, pozostawiając między nami maksimum wolnej przestrzeni.

– Nie używasz laski – mówi, jakby była zdziwiona.

Przytakuję.

– Mam dobry dzień. W takie dni czasami jej nie używam, kiedy jestem w domu. Czuję się wtedy wolny. Drętwienie minęło, ból uderza tylko, gdy się przeciążę. – Milknę, ponieważ mówię za dużo. Ją to nie obchodzi, a te informacje mnie jedynie upokarzają. I pewnie wykorzysta je, gdy będzie tego potrzebowała.

Podaje mi butelkę.

– Napij się, Seamus.

– Nie. – Cieszę się, że mogę jej odmówić nawet w tak błahej sprawie.

Zabiera ją i niezniechęcona pociąga długi łyk.

– Więcej dla mnie.

Zalewa mnie gorzyc, gdy uświadamiam sobie, że siłą zostałem zaangażowany w tę grę. Wstaję więc, idę do kuchni, gdzie wypijam dwa kieliszki tequili. Po chwili wracam z dwoma piwami wyciągniętymi z lodówki – oba są dla mnie.

– Pamiętasz, jak pisałeś do mnie listy miłosne, kiedy zaczęliśmy się spotykać? – mówi do mnie, ale na mnie nie patrzy. Rozgląda się po pomieszczeniu, jej oczy szklą się od wspomnień.

Nie zamierzam o tym rozmawiać, myślę, po czym wypowiadam to

na głos.

– Nie będę o tym z tobą rozmawiał.

Miranda kładzie głowę na oparciu kanapy i obraca ją tak, że może na mnie spojrzeć. Alkohol zaczyna wygładzać jej rysy. Kiedy przyglądam się jej uważniej, spostrzegam na jej twarzy ślady upływającego czasu. Zauważam na jej czole i w kąciakach oczu linie, których niegdyś tam nie było.

– Dlaczego nie?

Biorę kilka łyków piwa, nim odpowiadam:

– Nie ma sensu. Musimy porozmawiać o dzieciach.

Przesuwa się, siada bokiem i wyciąga nogi w moją stronę.

– To wiąże się z naszymi dziećmi. Wszystko zaczęło się od listu miłosnego. – Nie wymądrza się, jak mógłbym tego oczekiwać, mówi z rozsądkiem, szczerze. To trochę mnie przeraża.

– A skończyło się na liście pełnym nienawiści, zawierającym papiery rozwodowe. – Upijam kolejny łyk i wskazuję na nią szyjką butelki. – O, i wolałaś pieprzyć się z kimś innym, bo nie był ułomny. Nie zapominajmy o tym.

Przełyka więcej czerwonego wina. Chłoniemy nie tylko słowa, ale i alkohol.

– Myliłam się. Popełniłam wiele błędów. – Wciąż przeraża mnie swoją bezpośredniością.

– Cholernie poważnych błędów. – Czuję, jak napinają się mięśnie na moim karku, gdy słowa te opuszczają moje usta. Chciałbym oskarżyć ją o aborcję. Cały aż skręcam się ze złości. Jednak zostawiam to sobie na potem, zrobię to, gdy będziemy negocjować warunki opieki.

Miranda mruga kilkakrotnie, prawdopodobnie nie mogąc wyjść z szoku, i nie odpowiada.

Obracam głowę, by na nią spojrzeć, i jestem zniesmaczony. Jak ktoś może być tak brzydki wewnątrz? Nie wiem, co mam powiedzieć. Do głowy przychodzą mi jedynie przekleństwa, obelgi i oskarżenia, które niczego przecież nie zmieniają. Kręcę głową, a moje wargi poruszają się samoistnie:

– Co tu się, kurwa, dzieje, Mirando?

Zaczynają płynąć jej łzy. To cicha, niepokojąca manifestacja

emocji. Ta kobieta nigdy nie płacze. Zawsze była opanowana i nieczuła.

– Przepraszam.

Wybucham gniewem, który może ujawnić się tylko w zgorzkniałym szeptcie:

– Przeprosiny niczego nie zmieniają. – Nie znoszę klócić się po cichu. Nie jestem wybuchowy, ale szept nie daje ujścia emocjom. Mam wrażenie, że stłumiona wymiana zdań zniekształca sens na korzyść Mirandy.

Kręci głową.

– Do diabła, nie sądzisz, że już o tym wiem, Seamus?

Jestem oszołomiony. Nie wierzę jej. Muszę aż parsknąć śmiechem.

– Nie, nie sądzę.

– Biorę środki antydepresyjne – mówi, by podkreślić swoją sytuację.

Wzruszam ramionami.

– Mocno mnie zniszczyłaś, Mirando. Unicestwiłaś. Nie oczekuj ode mnie współczucia – milknę. – Nie zasługujesz na nie, to oczywiste.

– Ponownie urywam, a potem znów ciągnę tę wojnę na słowa, ponieważ dłużej nie mogę się powstrzymać: – Pieprzę cię i każdą twoją żalowaną decyzję.

Wciąż płacze, choć do tej pory jakoś się jeszcze trzymała. Po ostatnim ciosie pociąga nosem i ociera go grzbietem dłoni.

– Nie mówiłbyś tak, gdybyś wiedział.

Nie potrafię słuchać jej już ani sekundy dłużej. Wstaję.

– Musisz wyjść. Idź do domu. Gdziekolwiek on jest.

– Nie mogę prowadzić – wytyka.

Zdaję sobie z tego sprawę.

– To wezwij taksówkę. Moje dzieci zostają tu, gdzie ich miejsce. – Nie potrzebne nam kłótnie. Wychodzę z pokoju, z sypialni zabieram poduszkę i koc. Układam się na podłodze przed drzwiami pokoju dzieci, na wypadek gdyby próbowała jakichś sztuczek i chciała mi je wykraść, nim się obudzą. Wiem, że to zachowanie paranoika, ale właśnie odzyskałem mój największy skarb. Nie ma mowy, bym ponownie pozwolił go sobie odebrać.

ZMĘCZONY BRZYDOTĄ

SEAMUS

Terazniejszość

– Przepraszam, tato. – Budzą mnie słowa wypowiedziane przez małą dziewczynkę, która trafia stopą w mój policzek. Otwieram oczy i widzę rozmazany obraz słodkiej twarzyczki Kiry. – Dobrze się czujesz, tato?

Uśmiecham się, widząc troskę, która przejawia się jej zmarszczonym czołem i ściągniętymi brwiami.

– Tak, kochanie.

Obejmuje mnie za szyję i ściska.

– Nie powinieneś spać na podłodze w przedpokoju.

Również ją obejmuję, a moje ciało zgadza się z jej słowami.

– Wiem, że nie powinienem. – Jestem za stary, by spać na podłodze, wszystko mnie teraz boli.

– To niebezpieczne. – Puszczą mnie. – Muszę siku. Zaraz wrócę. Możemy obejrzeć bajki?

– Super. – Zdaje się, że wszystko tak po prostu wróciło do normy.

Nim nie odłożę koca oraz poduszki do sypialni i nie wejdę do kuchni.

Przy stole siedzi Miranda, popijając kawę ze Starbucksa, jedząc precla i czytając gazetę. Zachowuje się, jakby tu było jej miejsce. Ma na sobie inne ubranie, wygląda, jakby już dawno się obudziła. Nigdy nie lubiła długo spać, wystarczały jej cztery czy pięć godzin snu. Zawsze jej tego zazdrościłem.

– Co tu robisz? – Czuję, że chcę wrócić na korytarz i wejść tu jeszcze raz. Łudzę się nadzieją, że ta kobieta to tylko iluzja.

Bierze gryz precla i, wskazując na coś za mną, mówi:

– Śniadanie.

Na blacie znajduje się pudełko z Einstein Brothers Bagel. Jest tam tyle jedzenia, że można by nim nakarmić wojsko. Trzy miseczki z aromatyzowanym twarożkiem, sześć butelek soku i wielki kubek ze Starbucksa. Nie pamiętam, by Miranda kiedykolwiek kupiła dla kogoś jedzenie. Oczywiście – oprócz siebie. Przelewam chłodną zawartość kubka ze Starbucksa do porcelanowego, wyjętego z szafki i, podchodząc do mikrofalówki, mówię:

– Wydawało mi się, że mówiłem, że masz wyjść.

Wzrusza ramionami, przetykając.

– Zasnęłam. Potem wyszłam. Ale wróciłam. Z jedzeniem. Twoje zapasy są żałosne.

Wciskam guzik w mikrofalówce i zaczynam się bronić:

– Owsianka jest dobra na obniżenie cholesterolu.

– Nienawidzę owsianki. Smakuje jak mokre trociny.

Wiem, że jej nie lubi. Wiem, że uważa, iż smakuje jak mokre trociny. Jednak mam to gdzieś. Kręcę głową.

– Dlaczego rozmawiamy o owsiance, Mirando? Co tu robisz? – pytam ponownie.

Kobieta skubie precla. Gra na zwłokę.

– Tato, co na...? Mamo, co tu robisz? – pyta Kira. Wygląda na zdezorientowaną.

Przejmuję inicjatywę, nim zmieszanie na dobre się zakorzeni, a Miranda powie coś, co pogorszy sprawę. Żądam odpowiedzi na to pytanie, lecz nie chcę tym obciążać Kiry, nie zasługuje na to.

– Preclę, kochanie. Wybierz sobie któryś, nałożymy na niego serek i zjemy w salonie, oglądając bajki.

Mała wypełnia polecenie, po czym zabiera śniadanie do salonu, by zasiąść przed telewizorem i odprawić poranny sobotni rytuał, za którym tak bardzo tęskniłem.

Po piętnastu minutach *Pory na przygodę* dołącza do nas Miranda. Wchodzi cicho, co jest do niej niepodobne, bo zazwyczaj robi to efektownie, chcąc być nieustannie w centrum uwagi. Siada na podłodze po turecku. Kira przygląda się jej, ale nic nie mówi, a kiedy Miranda rozsiada się wygodnie, córka opiera policzek na moim ramieniu i zatracą się w przygodach Finna i Jake'a na ekranie.

Panuje niezręczna cisza. Dołączają do nas Kai i Rory. Obaj jedzą prele, Rory ma na ustach i policzkach rozmazany serek w kształcie uśmiechu, ślad po ogromnym kęsie, który wziął.

– Co ty tu robisz? – pytają chłopcy jednocześnie. Niemal parskam śmiechem, ponieważ dosłownie wszyscy zapytali ją o to samo w niespełną godzinę.

Całą gromadą wpatrujemy się w Mirandę, czekając na odpowiedź. Jej policzki czerwieńszą, a oczy zaczynają się szklić, gdy szepcze:

– Śniadanie. – Wstaje i wchodzi do łazienki.

Rory wzrusza obojętnie ramionami, nadal konsumując precla, i siada koło Kiry na kanapie.

Jednak Kai wygląda, jakby był smutny. Zajmuje miejsce obok mnie. Obejmuję go, a ten opiera na mnie głowę, kończąc jeść swojego precla.

Miranda wraca po pięciu minutach. Jej oczy są zaczerwienione.

– Dzięki za prele, mamó.

Kai nauczył się tego ode mnie.

Współczucia.

I wybaczenia.

Nie jestem jeszcze gotów na wybaczenie, rany są zbyt świeże. Wydaje mi się, że nigdy nie będę umiał jej przebaczyć. Jednak powinienem okazać przynajmniej współczucie. Traktowanie ludzi równie podle, jak oni traktują nas, mnoży brzydotę na świecie i ją utrwała. Traktowanie ludzi dobrze – nie licząc na to, że się zmieniają, ponieważ czasami ludzie się po prostu nie zmieniają – sprawia, że nasze serca i umysły uwalniają się od brzydoty. Jestem nią cholernie

zmęczony.

Czasami potrzeba niewinności dziecka, by przypomnieć sobie o tym, co istotne.

Miranda pociąga nosem i odpowiada:

– Proszę, Kai. Od tej pory przyrzekam sobie w duchu, by przynajmniej na razie obchodzić się z byłą żoną z ostrożnością, a nie z nienawiścią. Nie muszę jej lubić, by móc ją tolerować.

– Mirando, pomożesz mi wyrzucić śmieci? – Muszę z nią porozmawiać i dowiedzieć się, dlaczego tu jest oraz co planuje odnośnie do moich dzieci, ponieważ według dokumentów to wciąż ona sprawuje nad tą trójką pełną opiekę.

Wyciągam worek z kuchennego śmietnika – jest wypełniony jedynie do połowy – i wychodzę na zewnątrz. Kobieta schodzi za mną po schodach. Przy kontenerze stojącym z tyłu budynku ponawiam pytanie:

– Co ty tu robisz?

W końcu odpowiada. Choć nie do końca.

– W Kalifornii? Czy tutaj, u ciebie?

Unoszę klapę kontenera i wrzucam worek do środka.

– Jedno i drugie.

– W Kalifornii? Szukam pracy i próbuję znaleźć jakiś dom. A tutaj? Mam nadzieję, że będę mogła zostać, dopóki nie uda mi się zdobyć ich obydwu. – Nawet nie mruga, wypowiadając tę litanie. Nie robi tego jednak z pewnością siebie. Waha się, mówi z pesymizmem i bez nadziei. Stawia wszystko na jedną kartę. Wie, że i tak nie ma nic do stracenia.

Jestem oszołomiony jej odpowiedzią. Potrafię zrozumieć, że szuka mieszkania, ale reszta nie ma sensu.

– Nie masz pracy? Dlaczego nie możesz przenieść się do tutejszego biura Marshall Industries?

Unosi brwi i odpowiada ze wstydem:

– Ponieważ pięć miesięcy temu zostałam zwolniona. – Nim zdążę o cokolwiek zapytać, dodaje: – Kłamałam. Szantażowałam Lorena. Dlatego nie ufa mi nawet w interesach.

Zamykam oczy i kręcę głową. Ta kobieta naprawdę jest żywcem

wyjęta z kiepskiego reality show.

– A robiłaś to przed czy po ślubie?

– Przed.

Wiem, że patrzę na nią, jakbym nie rozumiał, co mówi, ale naprawdę mam problem i nie mogę się w tym wszystkim połapać.

– A i tak cię poślubił?

Przytakuje, ale potem przechyla głowę na bok, jakby zmieniła zdanie, i zaczyna nią kręcić.

– Tak. To znaczy nie. Sądziłam, że się pobraliśmy. Jednak to nigdy nie miało miejsca, zarówno akt, jak i cała ceremonia były fałszywe.

– Jezus Maria, idealnie do siebie pasowaliście. – Prawdopodobnie nie powinienem był tego mówić, ale to prawda. To cholerna prawda.

– To była pieprzona katastrofa. – Wzrusza ramionami. Jestem pewien, że nie ma w tym temacie nic do dodania. *Pieprzona katastrofa* podsumowuje wszystko idealnie.

Nie chcę rozmawiać o jej żalonym życiu miłosnym.

– Chcę, żeby dzieci były ze mną. Ferie zimowe się kończą, a szkoła zaczyna w poniedziałek. Później pójdę do pracy, by wypełnić dokumenty i znowu je tu zapisać.

– Mogę się tym zająć – podsuwa.

– Serio? – Brzmie, jakbym drwił i powątpiewał.

Mój komentarz ją wkurza. Kobieta wzdycha i słysząc w tym odrobinę dawnej zbuntowanej Mirandy.

– Prowadziłam przekłętą firmę figurującą na liście najlepiej prosperujących w kraju, Seamus, mógłbyś mieć we mnie nieco wiary. Uwierz, potrafię wypełnić kilka przyziemnych formularzy.

– Czego ty chcesz, Mirando? Próbujesz być rodzicem? Tak cholernie chciałbym uwierzyć, że jesteś szczerą i że w końcu uświadomiłaś sobie, że masz najbardziej niesamowite dzieci na tym świecie. Że zdałaś sobie wreszcie sprawę, iż bycie ich matką to pieprzony przywilej. – Wiem, że żebrzę, ale robię to dla dzieci. Chcę, by miały matkę, która będzie je kochać. Mam gdzieś, czy będzie obecna w moim życiu, ale pragnę, by była obecna przy nich, jeśli się o to postara.

– Staram się, Seamus. Nie jestem idealna i nie mam pojęcia, jak to

jest być matką, ale się staram.

– Powiem to tylko raz, Mirando: daj z siebie wszystko albo odpuść. Tu nie chodzi o coś, czego spróbujesz, a potem znudzisz się tym jak jogą i dasz sobie spokój. To dzieci, które całe swoje życie czekają na matkę. Pomyśl o nich. Chociaż raz. Jesteś matką, nie męczennicą.

– Chcę dać z siebie wszystko – mówi.

Waham się, ponieważ nasza przeszłość wrzeszczy do mnie: *Nie wierz jej! To kłamczucha!* Jednak przypominam sobie starszego syna... i jego współczucie... i... nim udaje mi się odwieść samego siebie od złożenia propozycji, mówię:

– Możesz zostać tu na miesiąc. W tym czasie będziesz szukała pracy i domu. Śpisz na kanapie, bo nikt ci nie odstąpi łóżka. Jeśli w ciągu czterech tygodni niczego nie znajdziesz, i tak wylatujesz. Możesz zatrzymać się w hotelu lub spać na ulicy, mam to gdzieś. Dzieci zostają ze mną podczas tygodnia i szkoły. Możemy podzielić się opieką w weekendy. Muszę omówić z prawnikiem nową sytuację. To ty za niego zapłacisz, by to wszystko wyprostować, ponieważ właśnie ty to spieprzyłaś. Poza tym każdego cholernego dnia będziesz się solidnie przykładała, by być częścią ich życia. Słyszysz? Naprawdę i bez udawania. Wstajesz, odprowadzasz je do szkoły, ja je odbieram. Kilka razy w tygodniu wieczorami pomagasz im w zadaniach domowych. Bawisz się z nimi. Rozmawiasz. Kilka razy w tygodniu gotujesz obiad.

– A mogę zamawiać na wynos? Nie potrafię gotować.

Z tą kobietą nic nigdy nie może być łatwe. Kręcę głową.

– Mam to w dupie! Cholerne jedzenie ma być na pieprzonym stole! Chodzi o odpowiedzialność. Nikt nie będzie oceniał twoich kulinarnych umiejętności.

Kiwa głową.

Czuję się, jakbym mówił do dziecka, a nie do dorosłej osoby.

– Potrafisz to zrobić?

– Tak, potrafię.

Jeszcze raz formułuję pytanie.

– Chcesz to zrobić?

Przytakuje.

Szlag by to trafił.

Nie wierzę, że się na to zgodziłem.
Mam nadzieję, że jej się uda.

GDZIE TO PIEPRZONE MASŁO?

MIRANDA

Terazniejszość

Staram się.

Naprawdę.

Ale to głównie jest dla kur domowych.

Gotowanie i pieczenie powinno być łatwe. Mam IQ powyżej stu pięćdziesięciu pięciu. Muszę tylko przeczytać przepis i postępować według wskazówek.

Najwyraźniej jestem kiepska w wykonywaniu poleceń, ponieważ wszystko, co próbowałam przyrządzić w tym tygodniu, było niejadalne. Robiłam to, kiedy Seamusa i dzieci nie było w domu, ponieważ nie chciałam, by wiedzieli, że poniosłam porażkę. Dowody wyrzucałam do kontenera za budynkiem i zamawiałam jedzenie na wynos.

Dziś znów próbuję coś zrobić. Wszyscy kucharze świata mogą pocałować mnie w tyłek, jeśli myślą, że się poddam. Zamierzam upiec mały chlebek. Widziałam zdjęcia tego ciasta na Pinterescie. Tak, tak, wiem... Pinterest. Porno dla kur domowych na całym globie. Wstydzę się przyznać, że mi się podoba. Czuję, że muszę zamienić garsonkę od Gucciego i szpilki od Jimmy'ego Choo na rozciągnięte getry z Targetu

i sraczkowatą koszulkę na ramiączkach. Zdradzę dobry gust. Te cholerne przepisy wydają się takie dobre. Do tego te zdjęcia... Prezentacja jak u słynnego fotografa Ansel Adamsa. Małpi chlebek to forma dzieła sztuki. Na samą myśl o pysznej słodyczy czuję się lepka. Czytając przepis, praktycznie przeżyłam pieprzony orgazm. Cholera, wpadłam w łapy mediów społecznościowych i stereotypowego amerykańskiego życia. Potrzebuję pracy.

Jednak wróćmy do małego chlebka. Wcześniej poszłam do sklepu, by kupić składniki, foremkę i fartuch, bo może tutaj popełniam błąd. Może muszę przygotować się odpowiednio do tej roli. Fartuch powinien w tym pomóc. Przynajmniej tak twierdzi Pinterest.

Wszystko idzie gładko. Zamierzam odnieść sukces. W końcu.

Zaraz potem orientuję się, że w lodówce nie ma masła.

Kurwa, masło stanie się moją zgubą!

Myśl. I to szybko. Co zrobiłby Gordon Ramsey? Dałby sobie spokój z małym chlebkiem? Oczywiście, że nie!

W ciągu kilku sekund zbiegam ze schodów i dobijam się do mieszkania znajdującego się pod mieszkaniem Seamusa. Wpatruję się w numer na drzwiach, mamrocząc pod nosem:

– Streszczaj się, mały chlebek mnie dzisiaj nie pokona. – Kiedy drzwi się otwierają, nie trwonię czasu na przedstawianie się i nie czekam na zaproszenie do środka. – Potrzebuję masła – oznajmiam, pędząc do kuchni. Otwierając lodówkę, kieruję się wprost do małej plastikowej szufladki, gdzie w większości domów trzyma się masło. Ale tu jest pusto. – Gdzie masło? – pytam z irytacją. Właścicielka lodówki stoi w otwartych drzwiach. Wygląda raczej niedbale i nie odpowiada na moją nagłą prośbę, więc pytam ponownie: – Gdzie pieprzone masło?

– Nie można przeklinać. To grzech. – Jej głos brzmi jak nagranie. To zgrzytający, sztuczny dźwięk.

– Jedynym grzechem jest nieposiadanie masła, paniusiu. – Zamykam energicznie szufladkę, trzaskam drzwiami lodówki i kładę sobie ręce na biodrach. Szlag mnie zaraz trafi. Ten cholerny mały chlebek doprowadza mnie do szału. – Skąd mogę wytrzasnąć masło? Szybko – nalegam. – Potrzebuję go natychmiast – mówię, jakbym próbowała dostać narkotyki, a nie zwykły produkt mleczarski.

Wygląda na niezadowoloną, nie jest szczęśliwa, lecz na pewno niesamowicie spokojna jak na osobę, do domu której wtargnął niespodziewany gość.

– Może pani Lipokowski ma masło?

Klepię ją po ręce, przechodząc obok niej i pospiesznie wychodząc z jej mieszkania. Nie wiem, kim jest pani Lipokowski. Potrzebuję kolejnych informacji, zwracam się więc do niej, jakby była moim pracownikiem. To motywująca przemowa wraz z nakazem wzięcia się do roboty. Jeśli się czegoś chce, nie można dawać ludziom czasu do namysłu, tylko mówić im, co mają zrobić. Zazwyczaj nikt tego nawet nie zakwestionuje. Jeśli do mojej desperacji dodać asertywność, powstanie mieszanka wybuchowa, której tylko ktoś szalony chciałby stawić czoła.

– Dobrze. Biegnij po masło do pani Lipokowski i przynieś je pod trójkę – mówię szybko, ale przyglądam się uważnie jej oczom, by mieć pewność, że zrozumie powagę tej misji.

– Dobrze? – mówi, jakby pytała.

Klaszczę, a ona niemal podskakuje na ten dźwięk.

– Biegnij, hop, hop. Potrzebuję cię w tej grze. Pani Lipokowski. Masło. Idź. – Jestem trenerem rzucającym rozkazy.

Kobieta wychodzi i zamyka drzwi.

– Apartament numer trzy! – krzyczę za nią.

Wbiegam po schodach, zostawiając otwarte drzwi, by masło z łatwością znalazło do mnie drogę.

Kilka minut później sąsiadka pojawia się w kuchni z kostką masła. Jest zdyszana, wręcza mi je niczym pałeczkę w sztafecie, po czym opada na krzesło przy stole.

Chwytam je w ten sam sposób, odwijam z opakowania, wrzucam do miski, którą wkładam do mikrofalówki. Patrę na kobietę. Jeśli nie zawiodła mnie z masłem, to może...

– Umiesz piec?

– Pizzę czasem piekę.

– Mrożoną? – pytam. Podgrzewanie pizzy z kartonu to nie pieczenie. Poza tym mrożona pizza wcale nie jest dobra.

Przytakuje.

Cholera.

Chwytam komórkę leżącą na blacie i dotykam ekranu, by wyświetlić przepis. Następnie jej go podaję.

– Umiąłabyś to zrobić?

Bierze telefon, potrzebuje więcej czasu, niż myślałam, by przeczytać przepis, lecz w końcu wstaje i zaczyna otwierać paczkę drożdżowych kulek. Wybucha we mnie nadzieja. Tryska niczym lawa z Wezuwiusza.

Pracujemy przez pół godziny ręka w rękę, a kiedy forma ląduje w piekarniku, patrzę na swoją pomocnicę i wyciągam do niej rękę, by się przedstawić.

– Miranda. – Nie dziękuję jej, ponieważ używam tego słowa oszczędnie. Większość czynności wykonywanych w ciągu dnia jest trywialna lub ma napędzać nasze życie. Po prostu trzeba je zrobić, aby przetrwać kolejny dzień. W ten sposób idziemy naprzód. Nie trzeba za to dziękować.

– Hope – odpowiada. Widać, że jest zdenerwowana, gdy nie skupiamy się już nad zadaniem. A może zawsze jest taka, a ja po prostu wcześniej tego nie zauważyłam, ponieważ przyćmiły to marzenia o małym chlebk. Kobieta nie patrzy mi w oczy.

– Napijesz się czegoś, Hope? – Małpi chlebek ma się piec przez pół godziny. Nie chcę, by wychodziła, bo wiem, że będę potrzebowała kogoś, z kim będę mogła nacieszyć się ciastem.

– Masz trochę mrożonej herbaty?

Niepoprawna forma sprawia, że zgrzytam zębami i mrużę oczy.

– Czy mam trochę mrożonej herbaty? – poprawiam.

– No, trochę mrożonej herbaty? – ignoruje korektę.

– Nie. Mam sok pomarańczowy, wodę mineralną, mleko i colę light. – Nieważne, że mi pomogła i uratowała mój tyłek, nie mam zamiaru częstować jej moim czerwonym winem.

– To poproszę sok pomarańczowy.

Nalewam jej szklankę, po czym siadam przy stole. Kobieta wierci się niespokojnie i zachowuje jak dziecko. Zastanawiam się nad jej historią. Zazwyczaj nie ciekawią mnie ludzie. Jednak ona jest inna i intrygująca.

– Jak długo tu mieszkasz? W tym mieszkaniu?

Zastanawia się nad odpowiedzią.

– Długo.

– Rok? Pięć lat? Ile to jest *długo*? – nalegam.

– Jak miałam osiemnaście, to tutaj zamieszkałam.

– A ile lat masz teraz?

– Czterdzieści.

O rany. Nie zgadłabym, że ma o dziesięć lat więcej. Chciałabym jej opowiedzieć o dermabrazji, peelingu kwasowym i botoksie, ale nie sądzę, by te wyrazy znajdowały się w jej słowniku. Wpada mi do głowy pewien pomysł, więc biegnę do łazienki, do swojej kosmetyczki pełnej magii.

Po powrocie podaję jej gumkę do włosów.

– Zwiąż włosy do góry.

Dobrze wykonuje polecenia. Podoba mi się to. Zbiera długie, splecione blond włosy w kucyk.

Robię to samo ze swoimi pasmami.

Odkręcam ciepłą wodę i, gdy osiąga już najgorętszą temperaturę, moczę dwa ręczniczki, a potem je wykręcam.

– Odchyl głowę. Nałożę ci to na twarz. Jest ciepłe, więc otworzy ci pory.

– Pory? – pyta.

– Zrób to. Twoja skóra błaga o uwagę jak jakaś podstarzała babka w pierwszym rzędzie na koncercie Bon Joviego. – Nakładam ręcznik na jej twarz, po czym powtarzam zabieg na sobie. Gdy zaczyna stygnąć, zdejmuję z naszych twarzy oba ręczniczki i odkładam je na blat. Hope wzdryga się, kiedy rozsmarowuję maskę na jej skórze.

– Przepraszam, wiem, że zimne.

– Co to? – pyta.

– Maska. Zawiera kwas mlekowy i betaglukan.

– Że co? – Chyba się pogubiła.

– Spraw, że twoja skóra będzie się czuła i wyglądała młodziej. Nie dbałaś o nią. To widać. Musisz się z nią zaprzyjaźnić, by dobrze ci służyła przez lata. Pielęgnacja skóry to maraton, a nie sprint. – Nie poniżam jej, jestem tylko szczerą. I myślę, że jest osobą, która potrafi przyjąć taką uwagę.

– O, to będę ładna. Kiedy to trzeba ściągać? – No i proszę. Daje radę.

– Za dwadzieścia minut – mówię, nakładając grubą warstwę na własną twarz.

SEAMUS

Zastaję w mieszkaniu najdziwniejszą scenę, jaką w życiu widziałem. Miranda i Hope siedzą w mojej kuchni przy stole. Na twarzach mają jakąś zieloną papkę i popijają sok pomarańczowy pośród masy brudnych naczyń i pustych opakowań. Nieważne, że pachnie tu jak w niebie. Kiedy chwytam za uchwyt piekarnika, Miranda odtrąca moją dłoń w obronnym geście jak kotka chroniąca swoje młode.

– Jeszcze nie gotowe. Zostaw.

– Co to? – pytam.

Nie otrzymuję odpowiedzi.

Dzieci wchodzą za mną.

– Cześć, Hope – wita się Kira.

– Cześć, Kira – mówi Hope.

– Cześć, Hope – mówi Kai.

– Cześć, Kai – odpowiada Hope.

Dzieci spotkały się z tą kobietą tylko raz i było to wiele miesięcy temu, więc jestem zdziwiony, że wszyscy pamiętają swoje imiona. Czuję się jak w kiepskim serialu, gdzie dziwaczność sytuacji nie robi na nikim wrażenia lub wszyscy są jej nieświadomi.

Jednak wchodzi Rory i czyni tę chwilę bardziej wiarygodną.

– Co tak ładnie pachnie? I dlaczego macie gluty na twarzach? Wyglądacie jak straszdyła.

Już mam go skarcić, ale odzywa się Hope:

– To maska. Będę ładna. Ja i moja skóra będziemy przyjaciółkami.

Syn unosi brwi.

– Dooobra – mówi i wychodzi.

W tej samej chwili odzywa się timer w piekarniku, dzięki czemu Miranda podrywa się z krzesła, jakby coś ugryzło ją w tyłek, i zaczyna nas wyganiać.

– Idźcie stąd.

Dziesięć minut później Miranda wraz z Hope pojawiają się w salonie z czystymi twarzami i talerzem wypełnionym czymś lepkiem, pulchnym i słodkim. Miranda promienieje. Chyba nigdy w życiu nie widziałem, by tak szeroko się uśmiechała. Ludzie odsłaniają w uśmiechu zęby tylko wtedy, gdy nie potrafią okiełznać radości.

Małpi chlebek jest najlepszą rzeczą, jaką kiedykolwiek jadłem.

KIEDYŚ BYLEŚ MILSZY

SEAMUS

Teraźniejszość

Znacie te historie o opętaniu przez demony? Filmy i książki opowiadające o ludziach nawiedzanych przez złego ducha?

Czy może być odwrotnie? Aby złą osobę opętał dobry duch?

To, co ostatnio dzieje się z Mirandą, przeczy logice.

Wstaje wcześnie i przygotowuje dzieciom śniadanie. Pakuje im

jedzenie. Zaprowadza je do szkoły. Sprząta mieszkanie. Próbuje gotować obiad, co zazwyczaj kończy się porażką, ale widzę, że się stara. Przyjaźni się z Hope, którą codziennie wyciąga z mieszkania. Rozmawia z dziećmi i słucha ich odpowiedzi.

Mimo że wiem, że powinienem być wdzięczny za wkładany w to wszystko trud, jestem podejrzliwy. Przez wiele lat żyłem z głową w chmurach, mawiają, że miłość zaślepia – to prawda. A może miałem żenująco niskie oczekiwania – kochałem Mirandę, choć była tak podła...

Bycie dobrym jest częściowo subiektywne, piękno leży w oczach patrzącego. Jest tym, co akceptujemy, tym, co uznajemy za wartościowe. Od siebie zawsze wymagałem tylko jednego – być miłym i troskliwym mężczyzną. Takim, jaki nie był mój ojciec. Był obecny w moim życiu, mieszkał w naszym domu, ale często wychodził, a kiedy wracał, stawał się despotą. Jeśli już się do mnie odzywał, zaczynał od słów: „Nie możesz...”, „Nie potrafisz...”, „Nie powinienes...”. Ludzkie ciało składa się z komórek, ale mógłbym przysiąc, że mój ojciec zbudowany był tylko z negatywnej energii. Trawiła go ona jak trucizna i sprawiała, że nie był zdolny do miłości.

Zarzekałem się, że nigdy taki nie będę. Jednak poślubiłem kogoś takiego. Choć trzeba przyznać, że Miranda była bardziej wyrafinowana niż mój ojciec. Wykorzystywała kłamstwo i manipulację, z niego po prostu emanowała czysta nienawiść. Między nimi istniała zasadnicza różnica – ją ślepo kochałem, na niego patrzyłem z niechęcią.

Głęboko zakorzeniona złośliwość nie pozwala mi wierzyć Mirandzie. Urażony głos w mojej głowie ostrzega, że ludzie się nie zmieniają. Co może dziwić, bo jestem pedagogiem i zawsze wierzyłem, że ludzie potrafią zmienić się na lepsze. Miałem nadzieję, że czasem potrzebują jedynie, by ktoś się o nich troszczył i okazywał niewielką pomoc. Myślałem, że mój ojciec był jedyną osobą, która potrafiła pozbawić mnie optymizmu. Najwyraźniej Miranda jest druga. Moje serce jest w stanie przyjąć określoną ilość nienawiści. Potem zamyka się i żywi jedynie urazę. Długotrwałą urazę.

Chyba właśnie dlatego jestem tak wkurzony. Miranda tłumi mój optymizm. Muszę pracować nad nim ciężiej niż kiedykolwiek.

Nigdy wcześniej nie było to tak bardzo widoczne jak dzisiaj, gdy

przyszła do mojego gabinetu w porze lunchu. Ani razu nie postawiła tu nogi, mimo że pracowałem w tym miejscu tyle lat. Słyszając zatem pukanie i widząc w drzwiach Mirandę, natychmiast włączam tryb samozachowawczy.

Powinienem się przywitać, lecz pytam:

– Co tutaj robisz? – Boże, ostatnio często zadaję jej to pytanie.

Zanim ma szansę odpowiedzieć, na moim biurku dzwoni telefon.

Podnoszę słuchawkę, w której słyszę głos szepczącej Janet:

– Seamus, twoja była żona idzie do ciebie. Wezwać ochronę?

Spoglądam na Mirandę trzymającą szarą papierową torebkę z jedzeniem i odpowiadam:

– Tak, jest tutaj. Nie. Dziękuję, Janet.

– Dobra. Zadzwoń, gdybyś czegoś chciał – odpowiada.

– Oczywiście. Dzięki.

Kiedy się rozłączam, Miranda z rozbawioną miną siada na krześle naprzeciwko mnie.

– Sekretarka mnie nienawidzi, Seamus. Jest jak pitbull.

Mam zamiar to skomentować, ale brak mi słów, gdy widzę, jak wyciąga dwie kanapki i serwetki, podając mi jeden zestaw. Jest w tym tak naturalna, jakby wcześniej robiła to miliony razy. Jednak tak nie było. Przeszukuję pamięć i nie przypominam sobie niczego takiego. Jeszcze bardziej utwierdza mnie to w przekonaniu, że została opętana. Rozpakowuję kanapkę i unoszę wierzchnią warstwę, by zajrzeć do środka. Znajduję rostbef z pikantną musztardą i papryką.

– Skąd wiedziałaś, że takie lubię? To moje ulubione. – Moje słowa brzmią jak oskarżenie, nie jak wdzięczność.

Nieporuszona moim cynizmem wzrusza ramionami i gryzie kanapkę.

– Zapytałam panią Lipokowski. Dziwna kobieta, ale wydawała się miła. Uwielbia cię, Seamus. Szkoda, że nie widziałeś błysku w jej oczach, kiedy o tobie wspomniałam. Jakby ktoś dmuchnął jej w twarz jakimś pieprzonym magicznym pyłem z *Piotrusia Pana*.

– Jest miła – bronię jej. Choć Miranda jej nie obraziła, czuję, jakbym musiał coś powiedzieć. Przyglądam się jej, jak z nonszalancją, która nie jest jej wrodzoną cechą, je kanapkę, czemu nie mogę się

nadziwić.

– Dlaczego tu jesteś? Chcesz mnie otruć? Dodałaś coś do tego?

– Nie mogę zrobić dla ciebie czegoś miłego? – mówi bezceremonialnie, jakby zawsze była taka troskliwa.

Kręcę głową.

– Nie. Nigdy tego nie robiłaś.

Prycha, ale brzmi to jak objaw lekkiego rozbawienia.

– Zasłużyłam sobie. – Poważnieje i ścisza głos. – Staram się, Seamus.

Poddaję się, bo ślinka mi cieknie, gdy czuję przepyszny woń kanapki, więc biorę kęs.

– Dziękuję. – Słowo to nigdy nie powinno być wymuszone. Tymczasem od dwóch tygodni, gdy ta kobieta ze mną mieszka, takie właśnie mi się wydaje. Nieszczere, zawsze więźnie w gardle. – Za kanapkę – wyjaśniam. – A teraz powiedz, czego chcesz. – Wiem, że coś kombinuje. Gdyby było inaczej, nie siedziałaby tu.

– Kiedyś byłeś miłszy, Seamus.

– Kiedyś żyłem w błogiej nieświadomości, gdyż ktoś obok umiał dobrze naśladować bycie miłym. Jednak wydymałaś mnie, a to sprawiło, że się zmieniłem.

– Czas cię zmienił. Choroba cię zmieniła. To nie tylko moja zasługa.

Ma rację, ale nie zamierzam odpuścić.

– O co ci chodzi? – powtarzam.

– Dobra – mówi. – Potrzebuję od ciebie referencji.

Jestem zdezorientowany. To wina jej i kanapki, która jest cholernie dobra. Zastanawiam się nad jej prośbą, ale potrzebuję dokładniejszego wyjaśnienia.

– Jakich referencji?

Wpatruje się w papier po kanapce leżący na moim biurku. Pierwszy raz, odkąd się tu pojawiła, odwraca wzrok. To krzyk upokorzenia.

– Do pracy.

Parskam śmiechem. Nie robię sobie z niej żartów ani jej nie poniżam, właściwie nie wiem, dlaczego tak zareagowałem. Nie mam

pojęcia, jak się zachować.

– Chcesz ode mnie referencji?

Przytakuje, wciąż na mnie nie patrząc.

– Dlaczego nie zwrócisz się do wcześniejszych pracodawców czy współpracowników?

Patrzy mi w oczy i się uśmiecha:

– Mówi ci coś określenie *spalone mosty*?

W ciągu dwudziestu sekund ponownie parskam śmiechem.

– Naprawdę mnie o to prosisz, Mirando?

Po prostu mi się przygląda. Jest poważna. Czasami mam wrażenie, iż zakłada, że jeśli kiedyś ją kochałem, teraz może robić ze mną wszystko, co jej się żywnie podoba, nie ponosząc konsekwencji. Miłość wyklucza przecież złe zachowanie albo przynajmniej je koryguje. Wielką podłość z jej strony powinienem zrównoważyć bezwarunkową miłością. Jednak to już nie działa. Nigdy więcej tego nie zrobię.

– Tak więc *spalone mosty* w zawodzie oznaczają, że potrafisz przyznać się do winy, ale nie możesz prosić o przysługę, bo to byłoby w złym guście?

Wzrusza ramionami.

– Mniej więcej. Przekroczyłam granice. Świat biznesu jest bezlitosny. Ci ludzie odnajdują przyjemność w zemście.

– A dlaczego uważasz, że ja jej również nie odnajdę? – pytam, jednocześnie uświadamiając sobie, że nigdy bym się tak nie zachował. Nie potrafiłbym żyć, mając to na sumieniu.

Miranda patrzy mi prosto w oczy i bez wahania wyznaje:

– Ponieważ jesteś święty, Seamus.

Kręcę głową, nie zgadzając się z nią.

– Święci nie miewają nienawistnych myśli.

– Zrobisz to dla mnie? Napiszesz mi referencje? – błaga.

– Tak. Ale tylko dlatego, że potrzebujesz pracy, a ja chcę, byś wyniosła się z mojego mieszkania – dodaje.

Wstaje i zbiera śmieci, usatysfakcjonowana, że dostała to, po co przyszła.

– Co to za praca, o którą się starasz?

– Stanowisko dyrektora – odpowiada niejasno.

– W jakiej firmie?

Wzdycha.

– To nie jest istotne. – Jej westchnięcie świadczy o tym, że jednak jest.

– Dlaczego nie chcesz mi powiedzieć? – naciskam.

Obraca się w drzwiach i mówi:

– Bo będziesz mnie oceniał.

– A od kiedy się tym przejmujesz? – Ta rozmowa jest niemal komiczna.

– Od teraz. – Ponownie wzdycha i zamyka oczy. – To organizacja non profit, przytułek dla bezdomnych.

Jestem porażony. Oszołomiony wręcz. Tak bardzo, że z mojego gardła wymyka się chichot. Nerwowy chichot.

Miranda otwiera oczy i unosi brwi, jakby chciała potwierdzić swoje wcześniejsze przypuszczenia.

– No co? Oczekiwałaś, że mnie to nie zdziwi? – pytam.

– Zdziwienie to ocena, Seamus – mówi zraniona i wychodzi.

Ma rację.

Jak to możliwe?

Jakim cudem obróciło się to przeciwko mnie?

ZAWSZE MAM WYBÓR

FAITH

Teraźniejszość

Był taki okres w moim życiu, kiedy modliłam się o zmianę.

O ratunek.

O siłę.

O odpowiedzi.

Był też czas, gdy winiłam innych za wszystko, co złe, nie chcąc za nic brać odpowiedzialności, ponieważ tak było łatwiej.

Nie chciałam się nad sobą zastanawiać.

Ani się rozwijać.

Ani dojrzewać.

Był też czas, że upadłam na samo dno niczym kamień rzucony z Empire State Building. Czułam się okropnie.

Skruszona.

Jakbym przeżyła najmroczniejszą śmierć.

Śmierć, którą przetrwałam.

Nawet jeśli nie powinnam.

Zobaczyłam życie z nowej perspektywy.

Postawiłam wtedy otworzyć się na świat, zacząć szukać, w tamtej

chwili nie miałam nic do stracenia.

Wszystko i nic do zdobycia.

Powrót do Kansas City wydawał się koniecznością, jakbym musiała podrapać swędzące miejsce po ugryzieniu komara. Wiedziałam, że może to wykorzystać przeciwnik. Agresywny antagonist, który jest egoistą i nigdy o nikogo nie dba. Po przyjeździe zamierzałam zostać. Nie dlatego, że chciałam, lecz dlatego, że wydawało mi się, że nie mam wyboru.

Claudette przypomniała mi, że zawsze mam wybór.

I kupiła mi bilet na autobus.

Abym wróciła do domu, do jedyne go miejsca, w którym czułam się akceptowana – mimo wszystkich swoich niedoskonałości.

Wychodzę z autobusu na ciepłe powietrze. Miła pogoda to mój stary przyjaciel, za którym tęskniłam, mimo że porzuciłam go zaledwie kilka tygodni temu. Czas wziąć głęboki wdech, wypełnić płuca Kalifornią, miejscem, które miało zostać jedynie wspomnieniem.

Miesiąc niemal się skończył, pani Lipokowski zapewne wynajmie moje mieszkanie nowemu lokatorowi. Nie mam pieniędzy na opłacenie następnego miesiąca, by odnowić umowę najmu, ale będę miała dach nad głową przynajmniej na kilka dni. Moje serce zaczyna się buntować na myśl o Seamusie. Każdego dnia o nim myślę, jednak uczucie, że jest zaledwie kilka kilometrów ode mnie, jest kuszące.

Jestem dobra w radzeniu sobie z takimi pokusami. Nie mam innego wyjścia. Pokusy prowadzą na ścieżkę zniszczenia.

Jednak Seamusowi tak cholernie trudno się oprzeć.

Gdy docieram do mieszkania, jest późno. Mam jedynie pięćdziesiąt dolarów, więc nie chciałam wydawać na taksówkę. Postanowiłam przemaszerować te trzysta kilometrów.

Mój skuter nadal stoi zaparkowany przed mieszkaniem Hope, gdzie go zostawiłam. Podarowałam jej go, chociaż wątpiłam, czy nauczy się jeździć. Mam nadzieję, że to zrobiła. Ułatwiłby jej życie i może zachęciłby ją do częstszego wychodzenia z domu.

We wszystkich oknach jest ciemno. Okolica śpi.

Kiedy otwieram drzwi, w mieszkaniu pachnie stęchlizną, jakby nie było wietrzne. Trudno mi oddychać. Otwieram okna, przebieram się w koszulkę do spania, a potem zasypiam, gdy tylko przyłożę ucho do poduszki.

Budzi mnie rozmowa dzieci. Nawet zaspana potrafię rozpoznać te głosy, to maluchy Seamusa. Kira śpiewa, Rory narzeka na zapakowany na drugie śniadanie seler – nie brzmi to dobrze z amerykańskim akcentem. Leżę przez chwilę, słuchając. Dźwięki te sprowadzają uśmiech na moją twarz – Seamus odzyskał dzieci. Podchodzę w końcu do okna i wyglądam zza zasłony, mając nadzieję, że zobaczę, jak tata odprowadza je do szkoły.

Jednak to nie on. To jego była żona.

Serce natychmiast zamiera mi w piersi, ale zaraz powraca nadzieja. Częściowa opieka jest lepsza niż wizyta w innym stanie trwająca dzień lub maksymalnie tydzień. Najwyraźniej idą do szkoły – mają plecaki i pudełka z jedzeniem. Może kobieta przeprowadziła się z nimi do Kalifornii. A może to tylko odwiedziny podczas tygodnia, a nie w weekend. Istnieje wiele możliwości, ale wszystkie są korzystne dla Seamusa. Cieszę się. To dobrze dla niego i dla dzieci.

Zanim udaje mi się wrócić pod kołdrę, dostrzegam jakiś ruch na schodach. Ostrożny ruch. Widzę laskę i wysokie buty. Ciemne jeansy, granatowy sweter. Wreszcie – głowę pokrytą ciemnymi, miękkimi włosami. Seamus. Cholera. Jak to możliwe, że wygląda jeszcze lepiej, niż go zapamiętałam?

A pamiętałam, że był zachwycający.

Mam ochotę otworzyć drzwi.

Zaprosić go do środka.

Zdjąć z niego ubranie.

Chcę, by on zdjął moje.

Pragnę ponownie nas poczuć.

Bardzo.

Ale nie mogę.

Idzie do pracy. Nie znam przyczyny powrotu dzieci i warunków

opieki, ale nie mam zamiaru mu tego zniszczyć. Pozostaję ukryta za zasłoną.

W porze lunchu odwiedzam Hope.

– Wróciłaś. – Wydaje się zaskoczona. Szczęśliwa, co jest do niej niepodobne.

– Tak, na kilka dni. Co u ciebie? – Nie wiem, jak to opisać, ale wygląda lepiej, zdrowiej. Wcześniej zawsze była blada, jednak w tej chwili jej skóra nabrała nieco koloru, jest jakby muśnięta słońcem. Ma umyte, związane w kucyk włosy.

– Dobrze – mówi i wiem, że naprawdę tak jest.

Prosi, bym została i obejrzała z nią jej ulubiony film. Zostaję. Robimy to co zawsze niezliczoną ilość razy. Jemy tosty, pijemy sok jabłkowy, a później gramy w grę planszową.

Jednak o czwartej Hope ogłasza:

– Muszę iść. Chcesz iść ze mną? – Podchodzi do drzwi i zakłada klapki.

Jestem zdezorientowana, ponieważ wcześniej nie wychodziła w ciągu dnia.

– Co robisz?

– Idę na górę, do Mirandy, gotować obiad – mówi, jakby nie powinno mnie to dziwić, jakbym nie zniknęła z jej życia na kilka tygodni.

– Mirandy? – pytam. Byłej żony Seamusa? Boli mnie brzuch, chciałabym móc cofnąć to pytanie. Chciałabym tu nie przychodzić i nie widzieć jej dzisiaj rano. Chciałabym nie zrobić tych wielu rzeczy... Kolejne słowa Hope trafiają mnie prosto w serce.

– Miranda mieszka z Seamusem. Są rodziną.

Chciałabym być dzielna i przyjąć te wieści ze spokojem. Ten mężczyzna nie jest mój. Nigdy nie był. Od lat należy do niej. Łączy ich wspólna przeszłość. I dzieci. Powinnam się cieszyć.

Jednak tak nie jest. Mam ochotę uderzyć głową o ścianę, zwymiotować i jednocześnie krzyczeć.

Bez słowa wychodzę z mieszkania Hope. Ona nawet tego nie

zauważa. Idzie po schodach, kiedy zamykam za sobą drzwi. Zauważam na podłodze zakopaną do połowy pod stertą innej poczty kopertę z listem do Seamusa, którą u niej zostawiłam. Najwyraźniej zapomniała mu ją wręczyć. Może i lepiej, biorąc pod uwagę otrzymane właśnie informacje.

Wracam do siebie, opadam na podłogę i zaczynam płakać. Opłakuję mężczyznę, do którego nie mam prawa. Opłakuję rodziców, których nie uda mi się odnaleźć. Opłakuję mieszkanie, które będę musiała opuścić za kilka dni. Od lat nie byłam w tak wielkim dołku. Jestem w żałobie. Monstrum wychyla głowę. Demon, którego pokonałam wiele lat temu, powraca, szarpie w środku pazurami. A potem dyszy mi w kark, pozostawiając pot i gęsią skórkę.

Potrząsam głową i wołam:

– Nie, nie, nie, nie, nie. Wygrałam. Nie jesteś moim panem. Jestem silniejsza.

Znów chcę wziąć.

Bardzo.

Nic nie widzę przez łzy.

Nie słyszę przez głosy w głowie.

Muszę się stąd wydostać.

Teraz.

Pakowanie plecaka zajmuje kilka minut.

Ruszam.

Modlę się o siłę.

Nie wiem, do kogo zadzwonić. Nie chcę być ciężarem. Jednak nie chcę też wpisać się w statystykę. Tak bardzo walczyłam, by przestać brać. Obiecałam sobie, że nigdy do tego nie wrócę. Wyjmuję z plecaka telefon, w którym za kilka dni odłączą sygnał, i dzwonię do Claudette. Jest jedyną osobą, której mogę się zwierzyć. Kiedyś pomogła mi walczyć z tym nałogiem.

– Halo? – odbiera.

Biorę głęboki wdech i rzucam:

– Muszę się naćpać. Natychmiast. – Kiedy tylko te słowa wydostają się z moich ust, ponownie zanoszę się szlochem. – Potrzebuję pomocy. Nie potrafię, Claudette. Nie mam tyle siły.

– Faith, skarbie, posłuchaj mnie, jesteś silna. Nie musisz brać. – Jej

głos jest kojący, ale słyszę, że delikatnie drży, gdy zmartwiona dodaje: –
Gdzie jesteś?

– Idę po plaży – odpowiadam. Nie mam pojęcia, dokąd się udać.

– Cokolwiek zamierzasz zrobić, nie rozłączaj się. Słyszysz mnie?

Pociągam nosem.

– Słyszę.

Godzinę później wchodzę do Domu Dobrego Samarytanina. To przytułek dla bezdomnych, który według Claudette świadczy usługi w zakresie doradztwa społecznego i oferuje inną tego typu pomoc.

W drzwiach wita mnie człowiek około pięćdziesiątki, który przedstawia mi się jako Benito. Jest szpakowaty, w jego oczach widać mądrość i rozwagę. Mam wrażenie, że kryją się za nimi tysiące opowieści i lekcji. Jest kierownikiem do spraw kryzysowych. Gdy, nie owijając w bawełnę, pokrótce przedstawiam mu swój problem, przewinienia i wątpliwości, prosi, bym zostawiła plecak w jego gabinecie i się z nim przeszła.

– Zanim cokolwiek zrobimy, musisz coś zjeść. To pora obiadu.

Przy stołach siedzi mnóstwo kobiet i mężczyzn zaniedbanych w różnym stopniu. Próbuję odmówić, ponieważ jadłam niedawno z Hope, ale mężczyzna nie chce mnie słuchać.

– Jedz. Porozmawiamy po posiłku.

Poddaję się i zjadam obiad.

Chwilę później Benito zaczyna mówić, nawiązując do wcześniejszej rozmowy i moich wyznań:

– Byłaś na tyle odważna, że podzieliłaś się ze mną swoją historią. Proszę, pozwól więc, że ja podzielę się swoją, ponieważ uważam, że powinnaś ją usłyszeć. Przez piętnaście lat byłem uzależniony od heroiny. Wiele tych lat spędziłem mieszkając na ulicy. Rodzina wyparła się mnie, bo ją okłamywałem, okradałem i nikogo nie szanowałem. Ćpanie było ważniejsze od najbliższych. Było ważniejsze od wszystkiego. Jednak pewnego dnia przedawkowałem i obudziłem się w szpitalu, gdzie poinformowano mnie, że nie tylko niemal umarłem, lecz także zaraziłem się HIV-em. Miałem wirusa HIV. Ćpun, jeśli ma szczęście, budzi się

zamiast umierać. Przeżywa przebudzenie. Istnieje niewiele słów, które mają podobną moc. Tamte miały. Wiadomość w szpitalu była moim przebudzeniem. Tak się szczęśliwie złożyło, że w tym czasie brat, którego nie widziałem od pięciu lat, powrócił do mojego życia. Kiedy wypisano mnie ze szpitala, od razu zabrał mnie na odwyk do stacjonarnego ośrodka. To właśnie młodszy brat uratował mi życie. Od tamtej pory nie biorę. Od dwunastu lat. Nie pozwalam, by definiowała mnie przeszłość. Przez długi czas było inaczej. Miałem w sobie wiele poczucia winy. Jednak uświadomiłem sobie, że mam również potencjał, coś, co mogę zaoferować światu. Każdy może. Krótko mówiąc, widzę w tobie samego siebie. Podoba mi się twoja dusza. Wygrywasz. Masz w sobie wielki potencjał, Faith. Potrzebujesz jedynie niewielkiej pomocy.

– Ale dziś niemal wyrzuciłam w błoto cztery lata bez narkotyków – mówię. Nie czuję się godna pomocy, którą chce mi ofiarować.

– Najważniejsze, że tego nie zrobiłaś. Udało ci się stawić temu czoła, pokonać pokusę. Właśnie na tym polega trzeźwość. W głębi duszy wierzę, że gdybyś miała dostęp do narkotyków, nie wzięłabyś ich. Walczyłabyś o siebie. Dziewczyna, która weszła tutaj w poszukiwaniu pomocy jest wojowniczką. Wojowniczką o czułym sercu. To najlepsze połączenie cech charakteru – mówi z przekonaniem.

Kiedy kładę się na łóżku w damskiej części ośrodka, również jestem o tym przekonana. Demon zniknął. Został wypędzony. Choć wciąż jestem bezdomna i bezrobotna, mogę uznać, że to był dobry dzień.

GŁOWA MNIE BOLI OD PŁYNU DO PODŁÓG

MIRANDA

Teraźniejszość

Gdyby rok temu ktoś powiedział mi, że będę prowadzić przytułek dla bezdomnych, beczelnie i bezwstydnie parsknęłabym mu śmiechem w twarz. Nie ma tu żadnych przywilejów, płaca jest mizerna, a budynek to ruina. Żaden prestiż. Jednak najtrudniejsze jest dla mnie to, że zajęcie to wymaga współczucia.

Wyraz ten nie występuje w moim słowniku.

Gdy pierwszego dnia idę do nowej pracy, przypominam sobie, że nadal się staram. Pierwsze, co we mnie uderza, to odór. Mieszanina rozkładającego się budynku oraz znajdujących się w nim ludzi. Głos w mojej głowie nakazuje mi odwrót i ucieczkę.

Mam w tej chwili ogromne wątpliwości. Jednak próbuję odpowiedzieć sobie na pytanie: „Dlaczego się staram?”.

Mogłabym skłamać i powiedzieć, że dla siebie samej, bo chciałabym być lepszą i dojrzałą osobą. To nierealne. Depresja odpuszcza, to dobry znak. Jednak właśnie ze względu na moją pamięć o przeszłości nie jest możliwa całkowita przemiana.

Mogłabym również skłamać i stwierdzić, że staram się dla dzieci.

Chociaż czuję teraz z nimi więź i cieszę się, spędzając z nimi czas, nie o to w tym wszystkim chodzi.

W duchu przyznaję, że staram się dla niego. Dla Seamusa. Nie muszę wykorzystywać przepustki z piekła, mój los został już przypieczętowany, nawet Seamus nie pomoże mi go uniknąć... Jednak kocham go. Zdaję sobie sprawę, że nie umiem robić tego tak, jak robi to większość ludzi. Moja miłość podniecana jest egoistyczną potrzebą, niewielkim wstrętem do samej siebie i pewną dozą zazdrości. Jednak wydaje się cholernie realna, gdy pulsuje w mojej piersi, łaknie jego dotyku, czułego spojrzenia, ciepłych słów i całkowitego oddania. Boże, jak mi tego brakuje. Wiem, że gierkami nic nie wskóram. Zmarnowałam na nie wiele lat. Choć myślałam, że wygrywam, tak naprawdę wszystko przegrałam. Jego też.

Zatem jestem tutaj. W pracy. Staram się, jak Seamus, być humanitarna. Próbuję wykonywać zajęcia, do którego nie pasuję. Wiem to, ale chciałabym dostać u Seamusa drugą szansę. Usiłuję otworzyć umysł na ideę służenia innym, by nawiązać z nim więź, choć to chyba mało prawdopodobne.

Ośrodek jest na krawędzi bankructwa. To największa zaleta całej tej sytuacji, właśnie dlatego chcę tu pracować. Trzeba znaleźć środki, by organizacja mogła przetrwać i zapewniała dobrobyt. Będę więc miała sposobność, by wykorzystać moje kreatywne i nieszablonowe myślenie. Opracuję plan, żeby wszystko działało tu jak dobrze naoliwiona maszyna. To wyzwanie. Opiera się na strategii i liczbach, a w tym jestem dobra.

Zostaję przedstawiona załodze, której większość stanowią mieszkający tu wolontariusze. Gotują, sprzątaj, reperują, pilnują... Ofiarują również datki rzeczowe takie jak ubrania, jedzenie i przybory toaletowe. Dzięki nim to wszystko jakoś się jeszcze trzyma. Zostaję wprowadzona po obiedzie i dochodzę do trzech wniosków. Po pierwsze, muszę kupić sobie inne ubranie do tej pracy. Garsonka za pięć tysięcy nie zapewni mi tu szacunku kogoś, kto ubiera się w sklepie z używaną odzieżą i kto ma na sobie dziesięcioletnie farbowane i wytarte jeansy. Po drugie, głowa mnie boli od zapachu płynu do podłóg. Nigdy nie byłam w sklepie z produktami chemicznymi, ale wstępuję tam w drodze do

domu i załaduję cały bagażnik mojego SUV-a preparatami do czyszczenia, które nie pachną sztuczną świeżością cytryny i jodłowego lasu. Po trzecie, Benito, kierownik do spraw kryzysowych w przytułku, to dobry człowiek. Mam nadzieję, że nie domyślił się jeszcze, jaka ze mnie jędza, bo chcę, by został i pomógł mi zarządzać tym ośrodkiem.

NIE MA MEDALI ZA STARANIA

SEAMUS

Teraźniejszość

Moje ciało wyżywa się dziś na mnie. Nogi dobijają, a w głowie łupie, jakby ktoś walił w bęben, co od tygodni stało się normą. Teraz dołączyły zawroty głowy i czuję się, jakbym chodził po pokładzie statku przemierzającego wzburzone morze. Podpieram się laską, ale wydaje mi się, że zaraz się przewrócę. Mogło być gorzej, zawsze może być gorzej... Jednak dziś jestem w kiepskim nastroju, a moje rozdrażnienie położyło kres pertraktacjom z Mirandą.

Dzieci są w łózkach. Sam muszę się położyć, ale najpierw muszę porozmawiać z byłą żoną, która siedzi na kanapie, popijając wino.

Siadam na drugim końcu. Zaczynam:

– Jak w nowej pracy?

Powoli kiwa głową, więc nie wiem, czy przygotowuje się do negatywnej odpowiedzi, czy jest po prostu zmęczona.

– Dobrze.

Dobrze.

– To dobrze. – Teraz, kiedy ma etat, nie czuję się źle, mówiąc: – Twój czas tutaj już prawie się skończył, Mirando. Chciałbym, byś

wyprowadziła się w ten weekend.

Nadal powoli kiwa głową. Jednak tym razem inaczej, jakby się zastanawiała, kombinowała. Znam to spojrzenie.

– Zamierzam kupić dom. Chciałabym, byście przeprowadzili się wraz ze mną.

Westchnienie wymyka mi się niczym gwałtowny podmuch wiatru. Może jednak nie mam cierpliwości, by przeprowadzić tę rozmowę i powinienem już pójść do łóżka. Zamykam oczy, aby uspokoić się i nie wszcząć kłótni, a potem po prostu mówię:

– Nie.

– Ale wszystkim ułatwiłoby to życie. Nie musiałbyś płacić czynszu i zaoszczędziłbyś trochę. Moglibyśmy znowu być razem.

Przez ułamek sekundy ma to sens: wygoda, oszczędności. Jednak wracam do zdrowych zmysłów, bo słowa „moglibyśmy być razem” brzmią jak alarm.

– Nie, Mirando. Musisz zamieszkać sama. A ja muszę zostać tutaj.

– Staram się, Seamus – mówi cicho.

– Wiem o tym. – Nie brzmi to przekonująco. Nie mam dzisiaj na to siły.

– Dlaczego ty nie? – pyta.

Jestem zbyt zmęczony, by próbować to rozszyfrować.

– Dlaczego ja nie... co?

– Nie starasz się – mówi, jakby miała prawo o to pytać. Te słowa brzmią, jakby wskazywała na mnie palcem obłudy.

– To całe moje pieprzone życie, Mirando. Starania – mówię głośniej, niż powinienem. – Staram się być dobrym ojcem. Staram się być dobrym pedagogiem. Staram się być dobrym człowiekiem. Staram się być cierpliwy, by zaakceptować swoje ciało i jego chorobę. – Mógłbym tak ciągnąć w nieskończoność. – Na tym polega życie, na pieprzonych staraniach. Nie dostaje się za to medalu. Tego właśnie oczekuje się od przedstawicieli rodzaju ludzkiego.

Jest dobra w utrzymywaniu swojej maski, ale dobrze wiem, że nie to chciała usłyszeć.

– Pomyśl o dzieciach. Rozkwitają, mając nas oboje znów pod jednym dachem.

Kręcę głową.

– Rozkwitają, bo są szczęśliwe, gdyż mają oboje rodziców zaangażowanych w ich życie. To wszystko, czego pragnęły od zawsze. Do diabła, to wszystko, czego ja chciałem. To wysiłek, a nie bliskość pogłębia relacje rodzica z dzieckiem. Wysiłek, który może równie dobrze pochodzić z dwóch domów oddalonych od siebie o kilometry. Zwłaszcza jeśli jest ich kilkanaście, a nie kilkaset.

Miranda się zastanawia. Nie nad moimi słowami, ale nad tym, co ma powiedzieć.

Wstaję, nim zdecyduje ciągnąć tę debatę.

– Chcę, żebyś wyprowadziła się w weekend. Dobranoc.

Wiem, że przekształci się to w walkę. Nie w otwartą rozgrywkę, a w cichą wojnę podjazdową. Miranda zostanie, licząc na to, że będę unikał konfrontacji, że będę miał bierne agresywne podejście. Od lat jestem w tym mistrzem, potrafię to rozpoznać. Jestem przygotowany, by spakować jej rzeczy do samochodu i osobiście odwieźć do hotelu. Pokażę jej, jak agresywnie bierny potrafię być.

WIDZĘ W TOBIE SAMEGO SIEBIE

FAITH

Teraźniejszość

– Faith, mogę z tobą porozmawiać? – pyta Benito, kiedy wycieram mopem podłogę w jadalni.

– Oczywiście. O co chodzi? – Obawiam się, że poprosi, bym opuściła to miejsce, ponieważ wczoraj dostałam pracę. Jednak nie znajdę mieszkania, dopóki nie odłożę kasy na czynsz.

– Słyszałem, że od wczoraj masz zatrudnienie – rozpoczyna rozmowę.

– Tak. Będę pracowała wieczorami jako kelnerka. Zaczynam jutro o piątej. – *Proszę, nie każ mi się stąd zabierać. Proszę, nie wyrzucaj mnie.*

Uśmiecha się szeroko i łagodnie, więc się uspokajam.

– Gratulacje.

– Dziękuję.

– Ponieważ masz już pracę, zrozumieć, jeśli odrzucisz moją propozycję. Za kilka tygodni otwieramy z bratem piekarnię. Od zawsze było to jego marzeniem. – Uśmiecha się, jakby cieszył się na samą myśl o tym. – Chciałbym cię zatrudnić.

– Słucham? – pytam, bo muszę powściągnąć ekscytację.

Jego uśmiech rośnie jeszcze bardziej, więc nie jestem w stanie zapanować nad swoim.

– Chcę cię zatrudnić.

– Z przyjemnością podejmę u was pracę, ale nie umiem piec. Potrafię zrobić jedynie pudding. O, i ciasto czekoladowe, całkiem dobre ciasto czekoladowe – paplę jak najęta.

Benito śmieje się cicho.

– Mój brat jest piekarzem, on zajmie się całym procesem produkcji. Potrzebuje jednak kogoś przyjaznego i kompetentnego do sprzedaży na miejscu i do przyjmowania zamówień telefonicznych. Jego żona ma się tym zajmować od poniedziałku do środy, ty pracowałabyś od czwartku do soboty, od piątej rano do drugiej po południu. Czy chciałabyś to robić?

Bardzo szybko przytakuję.

– Tak. Tak! Tak, proszę. Dziękuję. Dziękuję bardzo. – Natychmiast go ściskam, przez co śmieje się głośno.

– Nie. To ja dziękuję, Faith. I jeszcze jedno... Mieszkam z bratem. On i jego żona wynajmują kilka pokoi w swoim domu. Piwnica to niezależne mieszkanie. Znajdują się tam trzy sypialnie i wspólna kuchnia, łazienka oraz salon. Kosztuje czterysta dolarów za miesiąc, ale są w to wliczone opłaty za media. Jeden z pokoi zwalnia się w weekend. Gdybyś chciała go obejrzeć, mogę podać ci adres. Nie naciskam, ale gdybyś go chciała, jest twój.

Czekam na cios. Czekam, aż powie mi, że to żart. Żartem jednak jest to, że nie mam czterystu dolarów. Wzruszam ramionami.

– Miło z twojej strony, ale nie mam pieniędzy. Będę potrzebowała jakiś dwóch tygodni, by je zarobić.

Wyraz jego twarzy mięknie na moje słowa.

– Wiem, że nie masz. Mój brat zdaje sobie sprawę z twojej obecnej sytuacji, ale chętnie zgodzi się wynająć ci ten pokój i poczekać na zapłatę.

Zaskoczenie wywołane czyjąś dobrocią to moje ulubione uczucie. Może dlatego, że spotyka mnie niezwykle rzadko. A może dlatego, że pojawia się niespodziewanie, gdy człowiek zupełnie go nie oczekuje.

Nieważne... Za każdym razem tak samo wytrąca mnie z równowagi i powala na kolana. W moich oczach pojawiają się łzy, gdy ponownie go ściskam. Tulę go mocno i długo, płacząc w jego ramię. Kiedy go puszczam, patrzę mu prosto w oczy.

– Dlaczego? Dlaczego ja?

– Pamiętasz, gdy się poznaliśmy? Gdy rozmawialiśmy po obiedzie i podzieliłem się z tobą swoją historią? – pyta zamyślony.

Przytakuję. Nigdy tego nie zapomnę.

– Jak mówiłem, widzę w tobie siebie samego. Przez cały tydzień obserwowałem, jak ciężko pracowałaś w schronisku. Każde powierzone zadanie wykonywałaś bez marudzenia i za każdym razem dobrze. Z uśmiechem na twarzy i wdzięcznością. Okazywałaś innym życzliwość, nigdy nie oceniając okoliczności. To cudowne. I, jak mówiłem wcześniej, masz wielki potencjał. Potrzebujesz jedynie niewielkiej pomocy.

Przychodzą mi na myśl słowa Claudette, które powiedziała mi, gdy się ostatnio widziałyśmy. Słowa o superbohaterach, którzy kroczą pośród nas i potrafią sprawić, by ktoś niewidzialny, niechciany i niekochany poczuł się wyjątkowo. Jestem przekonana, że Benito – podobnie jak Claudette – jest aniołem Batmanem. Muszę tylko zaakceptować jego pomoc i przestać w sobie wątpić.

– Chciałabym ten pokój. Dziękuję.

Mężczyzna zapisuje adres piekarni i domu, które dzieli zaledwie jedna przecznica, i podaje mi kartkę. Jest ciężka w moich dłoniach. Przesiąknięta nadzieją i obietnicą nowego początku.

– Dziękuję – powtarzam. Mam przeczucie, że Benito jeszcze niejednokrotnie to ode mnie usłyszy.

NIKT NIE BĘDZIE SZCZAŁ NA MOJĄ TĘCZĘ

MIRANDA

Teraźniejszość

Jestem zazdrośnicą. Jestem pewna, że gdybyśmy wszyscy mieli być ze sobą całkiem szczerzy, większość z nas przyznałaby się do tego samego. Nieustannie czuję niewielkie ukłucia zazdrości. Nieistotne, czy dotyczy to kobiety stojącej przede mną w kolejce w Starbucksie, flirtującej z przystojnym baristą, czy dwudziestoletniej dziewczyny biegnącej po plaży i posiadającej idealną sylwetkę, która przypomina mi, że te dni już za mną, czy też cholernego kucharza w telewizji, bo on potrafi gotować, a ja nie. Tak, jestem zazdrosna.

Jednak to, co czuję, kiedy patrzę na tę kobietę, jest wręcz opętaniem z zazdrości, rzadką odmianą manii, przez którą nie jestem w stanie normalnie funkcjonować, gdyż mnie przytłacza.

To ona. Faith. Boże, nawet jej imię sprawia, że żołądek zaciska mi się w ciasny supeł. Bardzo ciasny supeł. Taki, który może doprowadzić do omdlenia. Po mojej głowie nadal wędrują zdjęcia, na których dłonie Seamusa znajdowały się na jej ciele, a usta na jej skórze... Spotkanie z tą dziewczyną twarzą w twarz było obrzydliwe: jej skóra jest tak gładka, że niemal nieskazitelna, oczy tak niebieskie, że wyglądają jak podrasowane

w Photoshopie, włosy tak nastroszone, że dodaje jej to tylko seksapilu, ciało tak idealne i młode, że każdy mężczyzna błagałby o numerka. Zaś wisienką na torcie jest to jej całe pogodne usposobienie. Piękna i miła, pieprzony mały aniołek. Czuję się przez nią podle.

Odsunęłam od niej Seamusa kłamstwami. Nie było trudno, na litość boską, przecież była striptizerką. Nie mam jej tego za złe, gdybym posiadała takie ciało, też pokazywałabym cycki światu. Jednak nie była prostytutką. Zapłaciłam kilku facetom skandaliczne kwoty, by spreparować dowody, których było mi trzeba. Ona zawsze im odmawiała, więc musiałam skłamać.

Dlaczego jest w tym przytułku? Hope mówiła, że się wyprowadziła. Myślałam, że dawno zniknęła. Niby jak mam odzyskać Seamusa, jeśli ona znów zacznie się przy nim plątać?

Kurwa.

Im dłużej stoję i jej się przyglądam, w tym większy wpadam szal. Byłoby nietaktem, gdyby dyrektorka tego ośrodka walnęła ją w szyję, prawda? Ale ona rujnuje moją energię. Miałam dobry dzień. Moje spotkanie podczas obiadu z kluczowym darczyńcą zaowocowało sześciocyfrowym datkiem. Rankiem nakarmiliśmy pięćdziesięciu dodatkowych ludzi. Poza tym okazuje się, że mój tyłek wygląda fantastycznie w jeansach za rozsądną cenę – kto mógł przypuszczać?

Maszeruję do swojego gabinetu, z którego dzwonię po Benito.

– Co tu robi *Panienska Tęcza*? – pytam, gdy siada przede mną na krześle.

– Słucham? – Wiem, że w świecie wielkich korporacji powinno się zachować poprawność polityczną, ale każdy, kto ze mną pracował, wie, że zostawiam te bzdury za drzwiami. Najwyraźniej Benito zapozna się z tym właśnie teraz.

– Dziewczyna z dredami. – Stały się bardziej wyblakłe niż były wtedy, gdy poznałam ją wiele miesięcy temu. Teraz są raczej przygaszone i przeważa w nich blond.

– A, Faith? – pyta.

Przytakuję.

– Faith.

– Jest rezydentką. Mieszka tu od kilku dni. Zmienia pracę i miejsce

zamieszkania. – Zawsze mówi tak cholernie ostrożnie, taktownie i profesjonalnie.

Brzmie więc jak totalna zdzira, gdy rzucam:

– Jaja sobie robisz?

Zmieszany, marszczy czoło.

– Nie... Jakiś problem?

– Spała z moim mężem – mówię bardziej do siebie niż do niego, ale i tak odpowiada:

– Nie wiedziałem, że jesteś mężatką. – Widzę, że niezręcznie jest mu o tym rozmawiać. Takt to pierwsza zasada, którą wyznaje.

– Nie jestem. To mój były mąż. Spała z nim, kiedy myślałam, że jestem żoną kogoś innego. – Kręcę głową, bo brzmi to okropnie niedorzecznie. – Długa historia, nie mamy na to czasu.

Mężczyzna powoli przytakuje, chociaż nadal jest zdezorientowany. Zbywam go machnięciem ręki.

– Dzięki za informację, Benito. Możesz wracać do pracy.

W mojej głowie panuje chaos, od miesięcy nie byłam taka wściekła. Depresja wszystko tłumila. Teraz, kiedy zaczęłam się zbierać, znów mam etat i pracuję nad Seamusem, ponownie dobrze się czułam. Robiłam plany. A ona właśnie naszczała na moją tęczę. Nikt nie będzie szczał na moją tęczę. Zwłaszcza tak piękna młoda kobieta, która pieprzyła się z moim byłym mężem. Cholera, nienawidzę połączenia tych słów. *Były mąż* – gdy słyszę tę zbitkę, nawet jeśli w głębi ducha próbuję jej zaprzeczać, nie mogę, bo czuję, że jest ostateczna. Sytuacja jest beznadziejna, a wyrok już zapadł.

MUSZĘ ŚNIĆ, BY SPAĆ

SEAMUS

Teraźniejszość

Po szkole zabrałem dzieci na plażę. Zawsze wzrokiem szukam w tłumie Faith, mając nadzieję, że zobaczę ją stojącą na skrzynce po mleku, gdy trzyma tabliczkę *Darmowe uściski*. Nigdy jej nie ma, a ja mam pretensje do samego siebie, że o nią nie walczyłem. Nie miałem wyboru, prawda? Na jednej szali były moje dzieci, na drugiej ona. Jednak śniłem o niej. Co noc. Nie muszę spać, by marzyć, ale ostatnio uświadomiłem sobie, że muszę śnić, by spać. Marzę o niej i... odpływam... Śnię o niej jeszcze mocniej.

Jest piątkowa noc. Miranda w końcu się wyprowadza. Oglądaliśmy film. Dzieci jadły popcorn. Miranda piła wino. A ja wypłem kilka piw, świętując w milczeniu, bo głośne okrzyki: „Super, w końcu stąd znikniesz!” byłyby ciosem poniżej pasa. Popijanie alkoholu i radość w duchu były o wiele subtelniejsze.

Położyłem dzieci spać i zacząłem marzyć o Faith, lecz nie chciałem się jeszcze kłaść do łóżka. Jestem niespokojny i tęsknię za nią. Przeważnie myślę o jej uśmiechu lub oczach. O tym, jak mnie rozśmieszała, akceptowała takim, jakim jestem. Ze wszystkimi wadami

i całą resztą. Jednak dzisiaj przypominam sobie naszą ostatnią noc. To, jak wyglądała, jak smakowała, jakie wydawała dźwięki. Było idealnie. Muszę się przewietrzyć, bo czuję, jakbym miał klaustrofobię. Może jednak za dużo wypłem.

A może za mało.

Miranda dołącza do mnie na zewnątrz, jakby przypadkiem usłyszała moją ostatnią myśl.

– Wyglądasz, jakbyś tego potrzebował. – Trzyma butelkę tequili i dwa kieliszki.

Waham się, ponieważ nie chcę się upić, ale w końcu radość z powodu wyprowadzki Mirandy wygrywa.

– Jasne, dlaczego nie?

Nalewa alkohol, ale wypijam go, nim ma szansę wznieść toast. Ponownie napełnia kieliszki i mówi:

– Za przyszłość.

Próbuję ją ignorować, ale mamroczę:

– Za przyszłość. – Wychyłam kieliszek i kończę w myślach: *I za to, że się wyprowadzasz*. Opieram się o barierkę, spoglądając w dół na skuter Faith. W moim ciele tequila miesza się z piwem. Wszystko powoli się zaciera, w uszach zaczyna mi szumieć.

– Jeszcze jeden? – pyta Miranda.

Kręcę głową. Nie chcę już pić. Chciałbym wrócić do mieszkania, rozebrać się, wejść pod kołdrę i śnić o mojej Faith.

I tak nalewa kieliszek i podaje mi go.

– Nie chcę – mówię, ale i tak wypijam jego zawartość. Oddaję jej puste naczynie i idę do siebie. Zamykam drzwi sypialni, a kiedy się rozbieram wszystko, co widzę, to Faith. Naga. I tak cholernie piękna. Natychmiast sam jestem nagi, leżę w łóżku i sam się sobą zajmuję, udając, że robi to ona. Wielki finał przychodzi dość szybko, ale nie powstrzymuje mnie to od dalszych marzeń, gdy powoli odpływam w sen.

Jej ciało na moim jest przyjemne, jej obecność sama w sobie jest grą wstępną. Jest ciemno, nie widzę jej, ale czuję jej usta wędrujące po mojej piersi, szyi, policzku.

– Pocałuj mnie – błagam.

Spełnia prośbę. Wargi, język, zęby – wszystko bierze w tym udział. Powoli kręci językiem. Skubie zębami moją dolną wargę. Ma takie miękkie usta.

– Tęskniłem za tobą – szepczę między pocałunkami. – Bardzo za tobą tęskniłem – mówię do niej, do siebie, do nas.

Reszta mojego ciała budzi się w odpowiedzi na jej ocierającą się o mnie nagość. Dziewczyna siedzi na mnie okrakiem. Ciało przy ciele. Wywołuje rozkosz i fale przyjemności rozchodzące się po zakończeniach nerwowych.

– Ja również za tobą tęskniłam.

Zamieram. Marzyłem o tych słowach wychodzących z ust Faith.

Jednak to nie była Faith.

I to nie jest sen.

To cholerny koszmar.

Spycham ją z siebie, wyskakuję z łóżka i włączam światło.

W moim łóżku leży naga Miranda.

– Jezus Maria... – mamroczę, szukając na podłodze bokserek. Natychmiast je zakładam. To nie może być prawda. – Wynoś się.

Uśmiecha się, ale też jest upokorzona, bo zakrywa się kołdrą.

– Myślałeś, że jesteś z kimś innym. – To nie jest pytanie, to stwierdzenie przepełnione wstydem i żalem. Niepodobne do niej.

Patrzę jej w oczy i kiwam głową.

– Jestem pijany. Śniłem. W swoim własnym łóżku – dodaję, by przypomnieć jej, jak żenująca jest cała ta sytuacja. – Tak, myślałem, że to ktoś inny.

– Faith? – pyta.

Ponownie przytakuję.

– Co w niej takiego jest, Seamus? Dlaczego jest taka wyjątkowa? – Spodziewałbym się, że będzie warczeć, albo się dąsać, ale brzmi, jakby była smutna, jakby w końcu zdała sobie sprawę, że z nami koniec i nigdy nie dostanie drugiej szansy.

Nie chcę prowadzić teraz tej rozmowy, zwłaszcza że jestem pijany podobnie jak ona. Jednak boję się, że jeśli nie oczyszczę atmosfery, znowu dojdzie do takiej sytuacji – Miranda jest uparta.

– Serce. Słucha go. Każde zachowanie, uśmiech, słowo, dotyk

podyktowane jest przez jej serce. Masz pojęcie, jak to jest otrzymywać coś takiego?

Odchyła kołdrę, wychodzi z łóżka i natychmiast zakłada koszulę nocną.

– Tak. – Wzrusza ramionami. – Jest jak ty. – Wychodzi bez słowa. W końcu zrozumiała.

Jest mi jej żal, choć może przemawia przeze mnie jedynie alkohol. Przytłaczające współczucie tłumi moją niechęć i nienawiść, próbując dopuścić do głosu przebaczenie. Niech ją szlag, do Mirandy bardziej pasuje nienawiść.

GENY NIE CZYNIĄ Z NIKOGO RODZICA

SEAMUS

Teraźniejszość

Miranda pojechała z pośrednikiem nieruchomości szukać domu. Wzięła ze sobą dzieci. Było to miłe z jej strony, biorąc pod uwagę, że według nowej umowy dotyczącej opieki, nad którą pracuje mój prawnik, mają z nią spędzać połowę czasu. Miranda zobowiązała się zamieszkać w tej okolicy, by wszystko ułatwić, co mocno mnie zdziwiło, ale jestem jej wdzięczny. Bardzo wdzięczny. Prawniki chcą, by nastąpiło to, zanim podpiszemy dokumenty. Mamy już pisemną zgodę Mirandy na modyfikację warunków opieki nad dziećmi. Czekamy jedynie na dopracowanie szczegółów.

Jest sobotni poranek, nie bardzo więc mam co ze sobą zrobić. W mieszkaniu panuje zbyt wielka cisza. Nie lubię przebywać tu bez dzieci. To przerażające, bo mój umysł natychmiast wraca do chwil, kiedy mi je odebrała. Nie chcę o tym nawet pamiętać.

Z zamyślenia wyrywa mnie pukanie do drzwi.

Kiedy je otwieram, mam ochotę natychmiast je zamknąć.

– Seamus. – Jego głos brzmi zarazem życzliwie i oficjalnie. Życzliwość wydaje się trochę nie na miejscu.

Wolę formalność.

– Loren.

– Wiem, że się mnie nie spodziewałeś. – Jest blady, szczuplejszy, niż gdy widziałem go kilka tygodni temu.

Kiwam głową.

– Zakładam, że szukasz Mirandy. Nie ma jej. Wróci po południu.

– Właściwie przyjechałem, by porozmawiać z tobą. – Nie umiem ocenić jego głosu, ale w oczach mężczyzny dostrzegam wyrzuty sumienia.

– Dobrze. – Słowo to brzmi, jakbym był zdezorientowany. Jestem zdezorientowany. Bardzo. – Wejdz.

Mężczyzna siada na kanapie, stawia skórzaną aktówkę na podłodze. Wydaje się nie pasować do tego miejsca. Rozgląda się po pokoju. Osądza mnie, czuję to. Pieprzyć go i tę jego doskonałą postawę.

– Seamus, przejdę od razu do rzeczy. – Czuję się, jakbym rozmawiał w pracy z dyrekcją. To ton ludzi posiadających autorytet, kiedy muszą podać złą wiadomość, a zdążyli się już zdystansować emocjonalnie. Są jedynie posłańcami, nie angażują się.

– Będę wdzięczny – mówię. Chciałbym, by po prostu to z siebie wyrzucił. W tej chwili tylko się denerwuję.

Chrząka, kładzie aktówkę na ławie, otwiera zamek i mówi:

– Usiądź, proszę. – Patrzy na mnie, a w jego oczach widzę, że nie żartuje i że to poważna sprawa.

– Postoję – mówię. Chciałbym usiąść, ale jestem uparty i właśnie rzucono mi wyzwanie.

Wygląda, jakby był niezadowolony z mojej decyzji.

– Dobrze. Zacznę już. Kilka dni po wyprowadzce Mirandy miałem poważny atak serca. Musiałem być operowany, założono mi trzy bajpasy, by jakoś mnie poskładać. Powiedziano mi, że mam niesłychane szczęście, że żyję.

– Przykro mi. – Nie wiem, dlaczego to powiedziałem, bo nie zrobił przerwy w oczekiwaniu na moją reakcję. Chyba po prostu czułem, że należy to powiedzieć.

Kiwa głową.

– Dziękuję. Świadomość bliskości śmierci sprawiła, że

przewartościowuję życie, zmieniam priorytety. Sprzedaję firmę i przechodzę na emeryturę. Sprzedaję również dom, by pozwiedzać świat, by zobaczyć wszystkie te miejsca, których nie pozwalałem sobie odwiedzić. Mam nadzieję, że znajdę dla siebie jakiś miły kąt i w nim osiadę.

– Okej. Bez obrazy, ale nie rozumiem, dlaczego przyjechałeś aż do Kalifornii, by mi o tym opowiedzieć. – Nie chcę być chamski, ale to nie ma sensu. Powinien przeprowadzać tę rozmowę z rodziną albo z przyjaciółmi, nie ze mną.

– Mam coś, co jest twoje, a co muszę ci oddać, zanim wyjadę. – W jego oczach dostrzegam współczucie.

Teraz znów jestem zdenerwowany.

– Co takiego? – To jedyne słowa, które mogę z siebie wydusić. Mój umysł nie podsuwa żadnego rozwiązania.

Loren patrzy mi w oczy. W żaden sposób nie jestem przygotowany na słowa, które wychodzą z jego ust.

– Jestem ojcem Kiry.

Co? Nie wiem, czy pomyślałem, czy powiedziałem to na głos, ale rozbrzmiewa to echem w mojej głowie. Miał rację, powinienem usiąść. Zajmuję miejsce na kanapie obok niego i zakrywam twarz dłońmi. To nie może być prawda.

– Proszę, powiedz, że to jakiś okrutny żart – mówię zza dłoni.

– Przykro mi, Seamus. Wiem, że Miranda nigdy by ci nie powiedziała, ale czuję, że masz prawo wiedzieć. I, jak mówiłem wcześniej, muszę wszystko wyprostować.

Prycham zniesmaczony.

– Wyprostować? Wyprostować? Jak u diabła zamierzasz to wyprostować? Kira jest moją córką. Całym sercem kocham tę dziewczynkę. – Łzy napływają mi do oczu, a myśli pędzą jak szalone, ta rozmowa szybko zmierza w otchłań.

– Wiem, że jesteś. I masz rację, to twoja córka. Być może posiada połowę moich genów, ale to ty jesteś jej ojcem i zawsze nim byłeś. – Otwiera aktówkę i wyciąga stos dokumentów. – Wiem, że twoje nazwisko jest już na jej akcie urodzenia, ale przeprowadzono również test na ustalenie ojcostwa. Chciałbym dopełnić oficjalnej procedury

adopcji, na wypadek gdyby Miranda kiedykolwiek próbowała ci ją odebrać. Ta kobieta potrafi być przebiegła, a ja nie mógłbym znieść świadomości, że byłem w stanie ochronić Kirę, lecz tego nie zrobiłem. Chcę wyjechać, wiedząc, że na zawsze jest twoja.

Nie wiem, czy to z jego strony wyrachowany, czy odpowiedzialny gest. Wciąż mówię, zasłaniając rękoma twarz:

– Od jak dawna wiesz? Od jak dawna wie Miranda?

– Oboje wiemy. Odkąd dowiedziała się o ciąży. Test na ojcostwo wykonany został tuż po urodzeniu małej. – Brzmi, jakby chciał mnie przeprosić.

– Co, do chuja? – szepczę. Mówię teraz sam do siebie. Lub do niego. Albo do Mirandy, mimo że jej tu nie ma. Mówię do Boga, w którego nie bardzo wierzę, ponieważ gdyby istniał, nie pozwoliłby na takie gówno. Loren daje mi kilka minut, bym mógł ochłonąć. Kiedy w końcu na niego patrzę, pytam:

– Czego chcesz? Musisz czegoś chcieć. Co to jest?

– Chcę umrzeć z czystym sumieniem. Zrobiłem w życiu wiele rzeczy, których żałuję. Tak wiele rzeczy, których nie jestem w stanie zmienić. Tak wiele, których nie mogę naprawić. Tę jedną mogę wyprostować. Kira zasługuje na to, by być w pełni twoja. Jesteś jej ojcem i o wiele lepszym mężczyzną niż ja. Nigdy nie chciałem mieć dzieci, Seamus, ale mała jest piękna i mogę być jedynie wdzięczny, że ją wychowujesz. Chcę, byś mógł dokończyć to zadanie bez przeszkód.

Tak wiele pytań... Jest ich tak dużo, że mój umysł nie potrafi poskładać właściwie słów, by je wyartykułować.

– Chcesz, by Kira o tobie wiedziała?

Kręci głową.

– Nie. Kocha ciebie. Nie uważam, że wiadomość o mnie miałaby to zmienić, ale nie chcę komplikować waszej relacji.

Spoglądam na dokumenty leżące na blacie.

– Podpiszę więc te papiery, a ty znikniesz i już nigdy o tobie nie usłyszymy? – pytam.

Przytakuje i ze szczerością patrzy mi w oczy, jak ojciec ojcu.

– Tak.

– A jeśli Kira w jakiś sposób się o tym dowie? Miranda jest

gadatliwa. Jeśli mała będzie chciała cię poznać? Albo gdy będzie miała problemy zdrowotne i będziemy potrzebować od ciebie jakiejś informacji?

– Ty i Kira zawsze możecie się ze mną skontaktować, gdyby zaszła taka konieczność. Jednak, jeśli takiej potrzeby nie będzie, wolałbym, żeby się o mnie nie dowiedziała.

Mam ochotę mu nawrzucać. Kto tak robi? Kto pozwala, by ktoś inny wychowywał jego dziecko, nie angażując się w to ani trochę? Jednak przypominam sobie o dzieciakach, którym przez tyle lat doradzałem w szkole. O dzieciach, których nie chcieli ich rodzice bądź które krzywdzili. Dzieciach wychowywanych przez opiekunów, którzy kochali je bardziej niż rodzice, opiekując się nimi z troską i wdzięcznością. Geny z nikogo nie czynią rodzica, chodzi o zaangażowanie i miłość. Kropka. Zanim podpiszę dokumenty, patrzę Lorenowi prosto w oczy.

– Kira zawsze była moja. Te papiery niczego nie zmieniają.

Kiwa głową.

– Wiem o tym, Seamus. I dziękuję.

– Przed podpisaniem chciałbym pokazać je prawnikowi. – Już nigdy nic nie podpiszę bez błogosławieństwa prawnika.

– Spodziewałem się tego. Kiedy to zrobisz, prześlij je do mojego biura, a sprawa zostanie załatwiona.

– Jeśli nie znajdzie w nich nic podejrzanego, prześlę ci je za kilka dni albo zadzwonię, gdybym miał jakieś wątpliwości.

– Oczywiście, jestem pod telefonem. Mój numer znajdziesz w aktach.

– Dziękuję.

Ściskamy sobie dłonie.

Loren wychodzi.

Mój umysł pełen jest pytań. Jak mogłem nie wiedzieć? Dlaczego Miranda to ukryła? Co pomyślałaby Kira, gdyby się dowiedziała? Ponad tym wszystkim unosi się jednak nie pytanie, lecz absolutna prawda – kocham Kirę. Czy to nie jest najważniejsze? Jestem zły, czuję się zdradzony. Jednak, do diabła, ponad wszystko kocham moją córkę.

Oczekiwanie na powrót dzieci jest długie, czasu nie odliczają

minuty, lecz uderzenia serca. Z każdym z nich powraca gniew. Czuję, jak wściekłość pulsuje w moich żyłach. Każdy skurcz serca przypomina o tym wszystkim, czego nienawidzę w Mirandzie. Przyczyny i skutki. Jedne prowadzą do innych, a te do następnych... Nim się orientuję, zastanawiam się nad rzeczami, których nie rozważałem od lat. Sprawy, które miałem już za sobą, rozpalają ponownie moje ciało.

Kiedy drzwi w końcu się otwierają, ściskam po kolei moje dzieci. Chłonę ich spokój. I przyrzekam sobie w duchu, że wkrótce wyciągnę od Mirandy odpowiedzi, że któregoś dnia, po finalizacji adopcji, nie wykręci się od nich.

ŚMIAŁE PYTANIE NA POCZĄTEK

FAITH

Terazniejszość

– Faith? – rozlega się głos i pukanie do drzwi mojego pokoju. To Benito.

Otwieram i widzę jego uśmiechniętą twarz.

– Przyniosłem ci kawę.

Rozpogadzam się na jej widok. W moim nowym domu stało się to już tradycją – wieczorami, gdy nie pracuję w restauracji, piję z nim kawę. Wyczekuję tej chwili. Nasze rozmowy są krótkie, ale zawsze obejmują szeroki zakres tematów. Benito wie o wszystkim po trochu, ponieważ wiele czyta. Jednak nie wymądrza się, zagłębiając w temat zazwyczaj wtedy, gdy na to naciskam lub gdy zadaję pytania. Jest też ciekaw tego, co mam do powiedzenia. Podoba mi się to. Rzadko można spotkać dobrego słuchacza. Jest dla mnie jak ojciec, którego zawsze pragnęłam mieć.

– O czym marzysz, Faith? – Nasze rozmowy zaczynają się od takich pytań, od czegoś muszą. Potem zwykle odbiegają od tematu. Dwie minuty później możemy rozmawiać o znaczeniu hip-hopu we współczesnej kulturze lub o tym, czy Dodgersi zagrają w tym roku

w finałach. Nigdy nie wiadomo.

To śmiałe pytanie na początek rozmowy, Benito, myślę. Ciężko ubrać marzenia w słowa.

– Lubię rzucać ci wyzwania, młoda damo. – Jego uśmiech zdradza, że to prawda.

– To nie powinno być trudne pytanie, prawda? To znaczy... większość ludzi, kiedy dorasta, ma marzenia. Są wyraziste i żywe, można próbować je spełnić. Gdy ja dorastałam, moje marzenia w przeważającej części wiązały się z codziennością, z którą musiałam się zmierzyć. Marzyłam, by mieć dobrą rodzinę. Zjeść ulubione danie. Dostać nowe buty. Z biegiem czasu zaczęłam marzyć o studiach. Chciałam odnaleźć biologiczną matkę. Dowiedzieć się, kim jestem... Pragnęłam móc stać się w pełni sobą, wiesz?

Benito kiwa głową.

– Wierzę, że wiesz, że... jesteś sobą. Jesteś tylko zbyt przerażona, by podążać za tym, czego naprawdę pragniesz, ponieważ uważasz, że na to nie zasługujesz. Jestem tu, by ci o tym powiedzieć.

– Ciężko wyrwać się spod wpływu uzależnienia. Zostawia piętno. Definiuje. Nawet jeśli człowiek ma je już za sobą, nigdy się go nie pozbędzie. Nadal czuję, jakby moja przeszłość już zawsze miała dyktować przyszłość. Trudno to przezwyciężyć. – Dobrze jest rozmawiać o tym z kimś, z kim mogę być szczerą.

– Każdy dzień jest nową szansą. Musiało upłynąć wiele lat, bym w to uwierzył, Faith, lecz to prawda. Każdy dzień stanowi nową okazję, by stać się osobą, którą zawsze chciałaś być. Czasami będziesz w to wierzyć całym sercem, a niekiedy tylko udawać, że tak jest. Jednak pewnego dnia tak bardzo przyzwyczaisz się do tej myśli, że zmienisz się, nawet o tym nie wiedząc. Zyskasz nowe podejście. Nową perspektywę. To wspaniałe, że nasz umysł może nam to zapewnić – milknie i się uśmiecha. – O czym jeszcze marzysz, Faith?

Nim odpowiem, upijam łyk kawy. To trudne do wyjaśnienia.

– O miłości.

Benito opiera się, jego postawa nigdy nie jest wyluzowana, ale zawsze wydaje się odprężony. To chyba dlatego tak dobrze się z nim rozmawia.

– O miłości. Brzmi bardzo ogólnie. Chciałabyś rozwinąć myśl?

– Dorastając, chciałam być kochana. – Wzruszam ramionami. – Pragnę tego wszystkie dzieci, prawda? W ciągu kilku ostatnich lat to się zmieniło. Chcę nie tylko być kochana, lecz także sama chcę kochać. Chcę wzajemności. Chcę połączenia. Chcę budzić się rano, myśląc o nim, i kłaść się spać, robiąc to samo. Nieobsesyjnie i nie na siłę dążę do tego, by móc się przekonać, jak to jest żywić tyle uczuć do drugiej osoby, że przekładają się one na bezinteresowne akty dobroci. Chcę podświadomie dbać o dobre samopoczucie i szczęście tej osoby, tak by stało się ono moją drugą naturą. I pragnę przyciągania, nie tylko fizycznego. Przede wszystkim psychicznego i emocjonalnego. Pragnę, by ten ktoś działał na mnie jak magnes. I sama w podobny sposób przyciągać tę osobę. Byłoby cudownie móc znaleźć się w tak niewiarygodnie pięknej sytuacji... – urywam, ponieważ w tej chwili mogę myśleć tylko o Seamusie.

Benito zastanawia się nad tym. Potrafi czytać między wierszami.

– Rzeczywiście, byłoby cudownie móc znaleźć się w tak niewiarygodnie pięknej sytuacji. Dobrze powiedziane, moja droga.

Wstaje, co oznacza, że czas się pożegnać. Niekiedy mamy dla siebie zaledwie kilka minut.

– Dziękuję, Benito.

– Proszę. – Idzie w kierunku schodów, ale przystaje. – Faith?

Wciąż siedzę na kanapie.

– Tak?

– Mam nadzieję, że on wie, iż mógłby znaleźć się z tobą w tej niewiarygodnie pięknej sytuacji.

Uśmiecham się. Cały Benito i jego ojcowska rada.

– Czasami życie nie jest tak proste.

– Czasami nie jest też tak trudne. – Puszczam do mnie oko i wychodzi.

ZOSTAŁAŚ WYŚLANA PROSTO Z PIEKŁA, BY ZNISZCZYĆ MI ŻYCIE?

MIRANDA

Teraźniejszość

Ponownie czczę Pinteresta. Tym razem obiektem moich uczuć jest lasagne. Od pół godziny śledzę ją jak uwielbiający węglowodany socjopata.

Spoglądam na zegarek. Siódma rano. Jest sobota. O ósmej mam odebrać dzieci od Seamusa. Po mojej przeprowadzce do nowego domu uzgodniliśmy, że weekendy będą spędzać u mnie.

Zacieram rękę.

– Tak, na obiad zjemy domową lasagne. – To napływ pozytywnej energii, mentalne przygotowanie do późniejszych kulinarnych zmagania. Biorę kluczyki oraz torebkę i z poczuciem misji maszeruję do drzwi. Misji, podczas której muszę odwiedzić sklep spożywczy, Seamusa, a także zgarnąć mój kulinarny talizman, Hope, ponieważ obiad ma być smaczny. Hope jest kuchennym geniuszem. Każdy ma jakiś ukryty talent. Okazuje się, że talentem Hope jest przygotowywanie żywności.

Wszystko pozałatwiane, więc zmierzamy do domu na *Operację Lasagne*.

Rory, Kira, Hope i ja zatracamy się w przygotowywaniu makaronu za pomocą wymyślnego urządzenia, które kupiłam, a Kai pyta, czy może wyjść, by pojechać na rowerze.

– Nie oddalaj się! – krzyczę, słysząc otwieranie drzwi.

– Dobrze, mamó – odpowiada.

Patrząc z perspektywy czasu, to moment, w którym chciałabym móc wszystko zatrzymać.

Życie.

Obrót Ziemi wokół własnej osi.

Każdą pieprzoną rzecz.

Chciałabym cofnąć czas.

Gdyby mi się udało, wszystko wyglądałoby inaczej.

Powiedziałabym najstarszemu synowi, że nie może jeździć na rowerze już do końca życia.

Kai zostałby z nami i całą paczką stworzylibyśmy piekielnie dobrą blachę włoskiego przysmaku.

Zjedlibyśmy go w błogiej harmonii przy stole w jadalni.

I żylibyśmy długo i szczęśliwie.

Koniec.

Jednak dzieje się inaczej.

Uświadamiam sobie, że zapomniałam kupić cholerny ser ricotta. Mam sklerozę.

Proszę Hope, by popilnowała dzieci, a ja w tym czasie skoczę do sklepu. Mogłam zabrać je ze sobą, tak zrobiłaby dobra matka.

Wskakuję do samochodu i ruszam, jak prawdziwa egoistka myśląc jedynie o zabójczej lasagne. Jestem samolubną zdzirą.

Wkurzona cofam, zapominając, że istnieją na świecie ważniejsze

rzeczy niż pieprzona lasagne.
Słyszę huk.
Czuję uderzenie.
Moje serce przestaje bić.

Mawiają, że zmiany przychodzą w najmniej spodziewanym momencie.

I że każda przemiana wymaga katalizatora.
Mogę się zmienić, ale błagam o inny katalizator.

Machinalnie wypełniam formularze. Tak naprawdę nie widzę tekstu, ponieważ przerażenie zalewa mi twarz, przesłaniając oczy. Słowa: Jesteś wstrętnym potworem przewijają się nieustannie w mojej głowie jak ścieżka dźwiękowa w horrorze. Protestuję, modląc się i składając obietnice: *Przepraszam. Przepraszam. Proszę, pozwól mi wyzdrowieć. Zrobię wszystko. Wszystko. Weź mnie w zamian.*

– Tata – mówi cicho i ze smutkiem Kira, co wrywa mnie z transu.

Seamus stoi za automatycznymi drzwiami, rozglądając się po poczekalni.

Rory podrywa się z miejsca obok mnie i podbiega do niego.

Boję się spojrzeć mu w twarz. Jakikolwiek ma na niej wypisane emocje, będą na tyle wyraźne, że mnie porażą. A nie mam na sobie pancerza. Zapomniałam, co powiedziałam mu przez telefon. Kai. Rower. Samochód. Wypadek. Szpital. Pamiętam tylko te słowa.

– Jakież wieści, Mirando? Jakie ma obrażenia? Co powiedzieli lekarze? – Głos drży mu ze strachu, ale z troską przechodzi od razu do rzeczy. Jest mocno skupiony na swojej roli, na rozwiązaniu problemu. Jego sylwetka jest sztywna, postawa zdeterminowana.

Gdy patrzę mu w oczy, cały strach, który czuję, mnoży się dziesięciokrotnie. Jestem w stanie zrobić tylko to, co świetnie potrafię. Skłamać. Uspokoić go na chwilę kłamstwem.

– Nie mamy jeszcze szczegółów, ale nic mu nie będzie, Seamus.

– Jesteś tego pewna? – pyta, błagając spojrzeniem o dobre wieści.

Przytakuję, ale żołądek mi się ściska, bo wiem, że to kłamstwo.

Bierze drżący oddech. Chyba mu ulżyło. Siada obok mnie. Rory zajmuje kolejne krzesło i bierze ojca za rękę, Kira wchodzi mu na kolana, więc obejmuje ją jedną ręką. Cała trójka tuli się, kochając i wpierając. Opanowali tę sztukę. Jak prawdziwa rodzina.

Ja znów przypominam sobie, że zawiodłam. Syna. Resztę rodziny. Siebie. Wszystkich. Spieprzyłam. Pozwalam odnaleźć im w sobie nawzajem pociechę, w międzyczasie skupiam się na dalszym wypełnianiu dokumentów. Idę oddać je do recepcji i pytam, czy są jakieś nowe wieści.

– Przygotowują go do operacji. Wkrótce lekarz przyjdzie z państwem porozmawiać.

Wkrótce nie jest odpowiednim terminem, gdy chodzi o życie mojego dziecka.

– Znaczna utrata krwi. Złamana kość udowa. Pęknięta śledziona. Połamane zebra. Konieczna operacja. – Lekarz mówi coś więcej, ale słyszę jedynie te słowa.

Znów błagam. *Proszę, pozwól mi wyzdrowieć. Zrobię wszystko, by Kai wyzdrowiał. Zmienię się. Będę najlepszą matką na świecie, jeśli tylko oddasz mi mojego synka. Błagam.*

Odczytując niemal moje desperackie myśli, Seamus mówi:

– Jest twardy, Mirando. Wyjdzie z tego. – Mimo że mój były mąż usłyszał te same informacje, jego optymizm nakazuje mu w tej sytuacji wypowiadać pozytywne myśli. Bardzo pragnie, by były prawdziwe. Nie przyjmuje do wiadomości innego biegu wydarzeń.

Cierpiałam po śmierci babci. Ból mnie miazdżył. Mój świat na zawsze uległ zmianie, odeszła moja przewodniczka. Teraz ból jest inny. Nigdy się tak nie czułam. Czuję się gorzej, o wiele gorzej niż przed laty. Mam wrażenie, że już się po tym nie pozbieram. Ból powoli ściska moje serce w stalowej pięści, która, jeśli wszystko skończy się źle, będzie zaciskać się dotąd, dopóki moje serce nie pęknie. Pozostawi po sobie zniszczone cząstki opadające w akcie porażki.

Przez ten ból doświadczam również największego objawienia.

Kocham moje dzieci. Jedynie miłość jest w stanie wywołać we mnie tak silną reakcję. Nie poczucie winy, lecz miłość.

Kłękam przed nimi. Biorę Kirę za rękę i głaszczę łydkę Rory'ego.

– Poszukam wam czegoś do jedzenia. – Patrzę na Seamusa, którego twarz jest bez wyrazu. Wycofał się w głąb siebie i pograżył w myślach, by jakoś sobie poradzić. Koncentruje całą swoją energię na cierpiącym synu.

– Przynieść ci coś?

Gdy kręci przecząco głową, odpowiedź na to pytanie nie pojawia się nawet w jego oczach.

Oczekiwanie jest piekłem. Nigdy nie zdawałam sobie sprawy, jak groźnym przeciwnikiem może być czas. W ciągu kilku godzin opanowuje moje myśli i doprowadza na skraj szaleństwa. To nieustanna walka. W jednej chwili udaje mi się przekonać samą siebie, że synkowi nic nie będzie. W następnej przeklinam prawa tego świata, które dopuszczają, by dzieci mogły zostać odebrane rodzicom.

Z winy rodziców.

Wraca lekarz, przynosząc kolejne wieści. Więcej słów.

– Stan krytyczny. Śpiączka farmakologiczna. Intensywna terapia. Monitorowanie funkcji życiowych. Żadnych odwiedzin.

Choć ciało Seamusa nadal jest zdeterminowane i w pełnej gotowości, w jego oczach nie ma już światła, zastępują je zmęczenie i strach.

– Muszę go zobaczyć – mówi. – Proszę.

– Przykro mi, panie McIntyre. Sytuacja jest zbyt niestabilna, by umożliwić odwiedziny. – Nie widzę przez łzy, ale w głosie lekarza brzmi smutek i współczucie.

Seamus, który jakoś się trzymał, wreszcie pęka. Jego oczy zaczynają się szklić. Widzę, jak drży mu grdyka, gdy próbuje zachować zimną krew.

– To mój syn. Błagam. Musi wiedzieć, że jestem przy nim. Że nie

jest sam. Muszę go zobaczyć. Muszę go zobaczyć, by się przekonać, że wszystko z nim w porządku.

Lekarz powtarza tylko:

– Przykro mi. – Odchodzi korytarzem prowadzącym do sali naszego syna.

Seamus waha się przez chwilę, ale wstaje i maszeruje tym samym przejściem, opierając się mocno na lasce. Wiem, dokąd idzie, ale nie zatrzymuję go.

Robi to pielęgniarka.

– Proszę pana, nie może pan tam wejść. Proszę się zatrzymać.

Seamus idzie dalej i znika za drzwiami.

Pojawia się jednak chwilę później eskortowany przez dwóch mężczyzn w kitlach.

– To mój syn! Mam pieprzone prawo, by go zobaczyć! – krzyczy z czystym bólem zwielokrotnionym przez smutek i strach.

Mężczyźni mocno trzymają go pod ręce. Przy jego wysokiej sylwetce wydają się mali.

– Nie może tam wrócić – mówi do mnie jeden z nich, gdy się zbliżają. – Proszę go pilnować – dodaje szorstko drugi, jakby Seamus był pierwszą osobą, która kiedykolwiek zareagowała w ten sposób w takich okolicznościach.

– Jest zdenerwowany – wyjaśniam.

– Nerwy nie oznaczają, że może łamać zasady, proszę pani – wyklada beznamiętnie, jakby Seamus został przyłapany na wkroczeniu na prywatną posesję. Następnie powtarza: – Proszę go przypilnować albo wezwąć ochronę i zostanie usunięty z terenu szpitala. Zrozumiała pani?

Podchodzę do niego.

– Ma pan dzieci?

Kręci głową.

Ściszam głos, a kryjąca się we mnie lwica wydostaje się na zewnątrz. Nikt nie będzie pogrywał dziś z moją rodziną, zwłaszcza z Seamusem.

– Więc nie ma pan zielonego pojęcia, przez co on przechodzi. Niech pan nie będzie dupkiem. Nie proszę o pozwolenie na łamanie zasad, ale moglibyście się panowie odsunąć i okazać cholerne

współczucie. Jego syn walczy tam o życie. – Energicznie wskazuję na drzwi, ponieważ gdybym rzuciła się gościowi do gardła, tylko pogorszyłabym sytuację. – Nie trzeba od razu szafować groźbami wydalenia ze szpitala.

Nie mruga, ale puszcza Seamusa. Słowa się wyczerpały. Jednak moje ostre spojrzenie nie ma końca. Krzywię się, odprowadzając ich wzrokiem do drzwi.

– Muszę się przewietrzyć, zajmiesz się Rorym i Kirą? – Jest zdruzgotany, a świadomość, że właśnie ja mu to zrobiłam, dobija mnie. Jestem odpowiedzialna za cały ból w jego życiu.

– Nic nam nie będzie. Dzieci śpią. Idź. Nie spiesz się. Nigdzie nie pójde. – Chciałabym mu pomóc. Przez wszystkie te lata, kiedy mnie potrzebował i z przyjemnością przyjąłby moją pomoc, uciekałam od niego. Teraz, kiedy pragnę być tą, do której się zwróci, on ucieka. Kompletnie brakuje mi wycucia czasu.

Widząc, jak odchodzi, uświadamiam sobie, że kiedy się kogoś kocha, pragnie się dla niego tego, co najlepsze. Chciałabym być to ja. Ale nie jestem. Nigdy nie byłam i nigdy nie będę. Siadam obok śpiących Rory’ego i Kiry, i płaczę. Łzy spływają mi po policzkach i niszczą moją duszę. Łzy wylewane nad losem syna. I męża. Moim. I babci. Łzy z różnych powodów. Nie mogę pozbyć się z myśli widoku zakrwawionego ciała dziecka leżącego na ulicy. To był wypadek.

Wypadek.

Niewinne zjawisko.

Póki nie zaczęło dotyczyć mojego małego synka jadącego na rowerze, w który uderzył mój samochód.

I babci siedzącej obok mnie na miejscu pasażera.

Na określenie tego typu sytuacji powinno istnieć odrębne słowo. Wyraz *wypadek* brzmi zbyt łagodnie, gdy tak naprawdę dochodzi do tragedii. Wypadek syna i babci mieszają się w mojej głowie, powstaje w niej krwawa miazga, za którą czuję się odpowiedzialna. Przez lata starałam się ignorować wyrzuty sumienia, które uderzały we mnie, gdy myślałam o babci. Teraz dołączają do nich o wiele większe.

Nim Seamus wraca, przestaję płakać. Przynajmniej na razie. Przepraszam i idę do łazienki.

Opróżnienie pęcherza i umycie twarzy zimną wodą nie łagodzi fizycznego i psychicznego cierpienia, o którym przypomina poczekalnia, gdy wracam do niej jak nieproszony gość. Zastanawiam się, czy Seamus jest w stanie wyczuć moje wyrzuty sumienia, które w tym pomieszczeniu są bardziej obecne niż ja. Muszę powiedzieć mu, co się stało i stawić czoła uzasadnionej wściekłości.

Rory i Kira tulą się do siebie, wciąż śpiąc w fotelu pod kurtką Seamusa. Ja również chciałabym zamknąć oczy, ale nawet jeśli to zrobię, wiem, że nie będę w stanie zasnąć. Koszmary na jawie są straszniejsze niż te, które mogłaby stworzyć moja wyobraźnia. Być może już nigdy nie będę w stanie zamknąć oczu i do końca swoich dni będę musiała znosić te tortury.

Zajmuję miejsce naprzeciwko Seamusa. Siedzi wyprostowany na krześle, co klóci się z wyczerpaniem i smutkiem widocznym w jego oczach.

– Możesz ze mną porozmawiać, wiesz? – mówi cicho, jestem pewna, że z powodu późnej pory i śpiących nieopodal dzieci, lecz w jego głosie słyhać też troskę. Nie słyszałam tego tonu od lat. To głos, który otula mnie jak ciepły koc.

– Moja babcia umarła – mówię.

Patrzy na mnie zamyślony, nigdy nie słyszał tej historii i jestem pewna, że nie spodziewał się takiego wyznania.

– Ta, która cię wychowywała?

Przytakuję.

– Kiedy to się stało? – pyta. Wiem, że uważa, że to dziwne, ale nigdy nie chciałam z nim o niej rozmawiać.

– Kiedy miałam osiemnaście lat. Ona miała wtedy sześćdziesiąt dwa, ale zawsze myślałam, że jest młodsza. Kobieta mądra i doświadczona, lecz z siłą i entuzjazmem kogoś znacznie młodszego. Kobieta zagadka. Osoba, która mogłaby przechytryć śmierć, ograć ją na zawsze.

– Przykro mi – mówi.

– Zabiłam ją. To była moja wina. – Myślałam o tych słowach tysiące razy. Kiedy wychodzą z moich ust, są głośnie i potępiające, ale też ciche i zbolące. Powinno mnie zmartwić, że tak szokująca informacja

nie wywołuje na twarzy Seamusa żadnego zdziwienia. Jednak w tej chwili po raz pierwszy nie martwię się o siebie. Muszę się oczyścić. Uwolnić od całego zła.

– Miałyśmy wypadek samochodowy. Uderzyłyśmy w drzewo. Ja prowadziłam.

– To był wypadek. Wypadki nie są niczyją winą. – To wciąż ten ton pełen troski. Wiem, że wkrótce się zmieni.

Biorę głęboki wdech. Szloch wydostaje się z głębi moich trzewi, gdzie chowam najokropniejsze tajemnice. Brzmi jak ciche wyznanie:

– To moja wina. Tak cholernie się spieszyłam. Musiałam kupić pieprzony ser ricotta i tylko o tym myślałam.

Kiedy patrzę na Seamusa, jego oczy są szeroko otwarte, widoczne w nich niedowierzanie wykrzywia mu twarz, jakby z czymś walczył. Przyglądam się, jak powoli na jego obliczu pojawia się grymas nienawiści. Wie, że nie mówię już o babci.

– O czym ty dokładnie mówisz, Mirando?

Odwracam wzrok. Mój umysł wyłącza się, ponieważ nie mogę znieść ani jego spojrzenia, ani własnych słów.

– Potrąciłam nasze dziecko. To moja wina. To wszystko moja wina. Przepraszam. – Cała drzę, ale nie ze strachu. Ze wstrętu do samej siebie. Jestem przygotowana na wybuch jego wściekłości.

Pochyla się, przyciska dłonie do oczu, jednocześnie zaciskając palce w pięści, które wyglądają, jakby były w stanie przedziurawić stal. Prawa ręka trzęsie się niczym młot pneumatyczny, okrutny, niszczący wszystko. Poruszając się szybciej, niż widywałam przez lata, Seamus podrywa się z miejsca i maszeruje pospiesznie na drugą stronę pomieszczenia. Zatrzymuje się zwrócony plecami do mnie. Wygląda, jakby był wyższy niż swoje sto dziewięćdziesiąt trzy centymetry. Jego obecność zda się wypełniać połowę sali. Kładzie ręce na biodrach, odchyła głowę i patrzy w sufit. Widzę, jak jego sylwetka zmienia się, nigdy wcześniej go takiego nie widziałam. Przygotowuje się do walki.

Dawaj, Seamus, myślę. Dzieci śpią, możesz powiedzieć wszystko, co rośnie w tobie od lat. Nadszedł czas. Zastąpiłam.

Bez wahania obraca się na pięcie. Jego oczy płoną, oskarżycielsko wskazuje na mnie palcem.

– Ty pierdolona zdziro – Da się słyszeć niski, ostry szept.

Nie odpowiadam. Prawda przebija moją niewidzialną zbroję i rani mnie, pozbawiając skóry, mięśni i kości.

– Zostałaś wysłana prosto z piekła, by zniszczyć mi życie? Właśnie tak się czuję, Mirando. Wiele lat destrukcji. – Wypluwa słowa przez zaciśnięte zęby, ledwo poruszając ustami. – Jest coś, co chciałabyś powiedzieć, nim będę mówił dalej i rozpęta się wojna? Dawaj!

– Kocham cię. – To nie odwrócenie uwagi, ale prolog do opowieści grozy, która ma się rozwinąć. To moja jedyna, ostateczna prawda.

Przez ułamek sekundy Seamus po prostu patrzy na mnie z oburzeniem.

– Nie umiesz kochać, Mirando. – Jego słowa kłują mnie goryczą i gniewem.

Z moich oczu płynie żal, kapiąc na złączone dłonie spoczywające na kolanach. Rok temu powiedziałam mu, że jest ułomny. Ale nie jest. Ja jestem. Zawsze byłam.

Kręci głową i bierze głęboki wdech, nim ponownie mnie zaatakuje:

– Zabiłaś moje dziecko. Nie mówiąc mi o tym ani przed zabiegiem, ani po nim. Zabiłaś moje dziecko. – Głos mu się łamie. – Dlaczego? Dlaczego nie miałem nic do powiedzenia? – Próbuje utrzymać panowanie nad sobą i szeptać, ale i tak jest zdenerwowany. Żyły na jego szyi nabrzmiewają pod wpływem wysiłku. – Dlaczego? – Usta nie poruszają się, gdy to mówi. Jego słowa rozrywają moją pierś i uderzają prosto w serce.

– Przepraszam, Seamus. – Nie mam pojęcia, skąd wie o aborcji, ale nie zamierzam zaprzeczać, gdy oznajmia prawdę.

Podchodzi do mnie trzy kroki bliżej, pochyla się i wygłasza kolejną prawdę:

– „Przepraszam” go nie wskrzesi, nie sprawi, że dowiem się, kim mogłoby być. „Przepraszam” nie naprawi wszystkiego, co spieprzyłaś.

Łzy nie przestają płynąć, gdy patrzę na jego furię.

Cofa się o kilka kroków i siada, odsuwając się ode mnie. Jego wrogie spojrzenie jest przerażające. Nie dlatego, że się go boję, lecz dlatego, że wiem, że to ja wywołałam tę wściekłość w tak łagodnym człowieku.

– Z iloma mężczyznami miałaś romans, nie licząc tego z Lorenem? Kiedy siedziałem w domu, ślepo kochając moją żonę i ufając jej? Ilu mężczyzn wsadzało w nią fiuty?

Wstyd uderza we mnie jak burząca kula.

– Dziesiątki – odpowiadam szczerze. Czas kłamstw dobiegł końca. Wyznanie prawdy jest upokarzające.

Wytrzeszcza oczy, opada mu szczęka.

– Dziesiątki? – pyta.

Moja głowa waży dwieście kilo, kiedy nią kiwam.

– Dziesiątki – potwierdzam.

Z ustami wciąż rozwartymi ze zdziwienia Seamus odchyła głowę w tył i znów patrzy w sufit, najpewniej nie chcąc spojrzeć mi w oczy.

– Jezu Chryste. Dziesiątki – powtarza pod nosem. – Jestem tak cholernie głupi.

– Nie jesteś głupi, Seamus. Byłeś dobrym mężem. Ja byłem kiepską żoną. To nie twoja wina, tylko moja. Zaslugiwałeś na kogoś lepszego. Od samego początku. Po prostu nie stać mnie było na to, by czynić dobro. – Grzbietem dłoni ocieram nos, a łzy nadal płyną.

Seamus przeczesuje palcami włosy, potem jednak zwiesza nisko głowę.

– Miałaś chociaż wyrzuty sumienia? Kiedy się z nimi pieprzyłaś, pomyślałaś czasem o mnie?

Nowa fala szczerości. Kręcę głową i czuję, jak moja twarz wykrzywia się, gdy napływa kolejna porcja żalu i przytłaczających emocji.

– Nie, nie wtedy.

Prycha, jakby ktoś uderzył go w brzuch.

– Ale teraz oddałabym wszystko, by cofnąć się w czasie do dnia, w którym się poznaliśmy. Oddałabym wszystko, by być wtedy inna. Oddałabym wszystko, by kochać cię tak, jak ty kochałeś mnie – mówię drżącym, rozdartym głosem.

Jego wilgotne oczy natychmiast wypełniają się łzami, które spływają na jego policzki w cichej rozpacz. Wiem, że zna moją tajemnicę.

– Zamierzałaś mi kiedykolwiek powiedzieć o Kirze?

Nie jestem nawet zaskoczona tym, że wie. Czuję ulgę, że nie musiałam mu o tym mówić.

– Nie. – Pojedyncza sylaba wypowiedziana na wydechu mieści w sobie wszystkie uczucia.

Nienawiść i ból zostają uwolnione. Ponownie. Jego twarz ściąga się w cierpieniu.

– Ty suko. Kira nie jest pionkiem w twojej pojebanej grze. Jest dzieckiem. Moim dzieckiem – oskarża mnie, sycząc przez zęby.

Czuję ucisk w gardle. Przęłykam z trudem ślinę.

– Wiem.

– Wiesz? – mówi głośno, wyduszając to z siebie, jakby słowo utkwiło w jego tchawicy.

Czekam, aż jego dzikie spojrzenie spocznie na mnie, i wyjaśniam:

– Przez lata naszego związku popełniłam wiele błędów. Wiele. – Biorę głęboki, drżący wdech i ciągnę: – Bardzo mi przykro. Jednak kiedy widzę ciebie z Kirą, wiem, że zajście w ciążę nie było pomyłką. Bez względu na to, kto ją spłodził, ty jesteś jej tatą... A ona jest twoją córeczką, Seamus. To nie jest błąd.

Cichy szloch wstrząsa moim ciałem, po chwili jednak zaczynam płakać na głos, a to staje się nie do zniesienia. Seamus zakrywa twarz dłońmi, jego ramiona unoszą się i opadają z emocji. Kiedy chwyta oddech, patrzy na śpiącą nieopodal Kirę.

– Jest moja. Zawsze była w moim sercu, nie mam co do tego żadnych wątpliwości. Prawnie również jest moja, kilka tygodni temu podpisałem dokumenty adopcyjne. Loren o to zadbał.

Jeśli moje strzaskane serce jest w stanie poczuć ulgę, tak właśnie dzieje się w tej chwili.

– On nigdy nie chciał mieć dzieci. Cieszę się. – Wiem również, że nie mam jakichkolwiek szans na pojednanie z Seamusem. Nasze serca po prostu do siebie nie pasują i nigdy nie będą już pasowały.

SEAMUS

Mawiają, że prawda może wyzwolić.

To bzdura.

Czuję się zdruzgotany.

Miranda wygląda jak zmora. Jest blada. Niemal przezroczysta. Odarta z życia.

Nigdy nie czułem takiego wyczerpania. Jestem wykończony emocjonalnie. Moje ciało to skorupa z kości i tkanki, pusta do cna. Pozwalam, by na chwilę zawisła nad nami cisza, dając odrobinę wytchnienia. Potem przodem koszuli ocieram twarz mokrą od łez. Nie ma sensu prowadzić dłużej tej rozmowy. Wszystko zostało już powiedziane. Obelgi zostały rzucone. Mleko się rozlało. Skończyłem.

– Chcesz kawę?

Przytakuje.

– Poproszę.

Przynoszę kubki, pijemy w ciszy.

Dzieci budzą się, by skorzystać z toalety, i ponownie zasypiają.

Dostajemy informację na temat stanu zdrowia syna. Jego stan pozostaje bez zmian. Choć zapewniają nas, że to dobrze, dla rodzica wcale tak nie brzmi.

Około piątej rano Miranda wychodzi, by zadzwonić.

Godzinę później znów wychodzi, tym razem do łazienki. Zostaję więc sam na sam ze swoimi myślami. Są ponure.

– Przepraszam?

Stoi przede mną szpakowaty facet w średnim wieku. Pograżony w myślach nie zauważyłem, gdy podszedł.

Milczę, więc odzywa się ponownie:

– Przepraszam, proszę wybaczyć, ale szukam pani Mirandy McIntyre. Może pan ją zna?

Przytakuję.

– Poszła do łazienki. Za chwilę wróci. – Dopiero wtedy przypominam sobie o manierach. Szok, w którym pozostaję przez ostatnie kilka godzin, sprawił, że zapomniałem o wszystkim z wyjątkiem

podstawowych potrzeb życiowych, które pozwalają przetrwać. Podaję mu rękę.

– Seamus McIntyre. Były mąż Mirandy.

Klepie mnie po ramieniu jedną ręką, drugą ściskając moją dłoń.

– Przykro mi z powodu waszego dziecka. Miranda mówiła przez telefon, że przeszedł operację i przebywa na intensywnej terapii.

Kiwam głową i zabieram rękę.

– Jestem Benito Aragon. Pracuję z Mirandą w Domu Dobrego Samarytanina. – Wskazuje ruchem ręki na korytarz. – Łazienka jest gdzieś tam?

Ponownie przytakuję.

– Pójdę i jej poszukam. Miło było cię poznać, Seamus. Modłę się za twojego syna.

– Dziękuję. – Obserwuję, jak odchodzi, nie z ciekawości, lecz by zająć czymś umysł, nie myśleć o tym, co spotkało mojego syna. Gdy mężczyzna znika mi z pola widzenia, zakrywam twarz dłońmi. Rozmyślam. Wydaje się, że ciemność, którą zapewniają moje dłonie, jest lepsza niż sztuczne światło jarzeniówek. Skupiam się na bólu głowy, który jest tak intensywny, jakby moją czaszkę ściskało imadło. Rozważam... Z zamyślenia wyrywa mnie dłoń spoczywająca na moim ramieniu. Znam tę dłoń.

– Proszę, powiedz, że jesteś tu naprawdę – błagam z za zasłony rąk. Mówię tonem przeznaczonym zazwyczaj do wewnętrznego dialogu, w tej chwili brzmi on sceptycznie i pesymistycznie. – Potrzebuję, byś była tu naprawdę. Błagam.

– Jestem – szepcze mi do ucha.

Kiedy unoszę głowę i opuszczam ręce, klęczy na obskurnym linoleum przede mną, a łzy błyszczą w jej oczach. Nigdy nie sądziłem, że ponownie ją zobaczę. Jest piękniejsza niż ją zapamiętałem. Milczy, ja również nic nie mówię. Bez pytania porywam ją w ramiona. To uścisk, który na chwilę wszystko roztopia.

– Tęskniłem za tobą, Faith. Bardzo za tobą tęskniłem.

– Ja też tęskniłam, Seamus – głos łamie jej się, gdy wypowiada moje imię. – Jak się miewa Kai?

– Jest na intensywnej terapii. Nie chcą mnie do niego wpuścić. –

Pociągam nosem. – Skąd o tym wiesz?

Odsuwam się od niej, więc może otrzeć oczy.

– Miranda poprosiła Benito, by mnie znalazł. Przywiózł mnie tutaj.

Próbuję się uśmiechnąć.

– Słusznie go polubiłem.

Śmieje się przez łzy.

– Tak, jest dobrym człowiekiem. Zabraliśmy również Hope z domu Mirandy. Też chciała sprawdzić, co dzieje się z twoim synem.

Hope wygląda zza rogu, trzyma się z dala, starając się zapewnić nam prywatność. Macham do niej.

– Chodź i usiądź z nami, Hope.

Kobieta podchodzi i na krześle obok stawia siatkę z zakupami.

– Przyniosłam jedzenie Mirandzie. Pomyślałam, że nie jedliście.

– Dziękuję, Hope. To miło z twojej strony. Dzieci się ucieszą, gdy się obudzą.

Kiwa głową i siada w kącie.

Patrzę na anioła, którego mam przed sobą.

– Jak poznałaś Benito? – pytam.

– To historia na inną okazję, ale w tej chwili wynajmuję pokój u jego brata i pracuję w ich piekarni.

Nie wiem, czy na mojej twarzy pojawia się uśmiech, ale czuję go w środku. Jestem szczęśliwy, że Faith dostała szansę.

– To świetnie. Jestem z ciebie dumny.

Rumieni się i zmienia temat, ponieważ dzieci zaczynają się budzić.

– Zjedzmy coś.

Rory i Kira są zdezorientowani i oszołomieni, ale po skorzystaniu z łazienki informują, że są głodni. Hope upiekła małpi chlebek. Jest ich bohaterką.

Pomieszczenie szybko się zapełnia, gdy Miranda i Benito dołączają do nas z kilkoma kubkami kawy i soku. Małpi chlebek znika cały, pozostawiając jedynie lepkie palce i pełne brzuchy.

Właśnie wtedy dostajemy informację o poprawie stanu mojego syna. Jeśli stan ten się utrzyma, późnym popołudniem Kai zostanie przeniesiony z intensywnej terapii. Po narodzinach każdego z moich dzieci czułem gwałtowną, obezwładniającą wdzięczność za dar

ojcostwa. Ta wiadomość ponownie wyzwala w moim wnętrzu to uczucie. *Dziękuję*, powtarzam nieustannie w myślach.

W pomieszczeniu czuć ulgę. Widać ją na każdej twarzy. Jesteśmy różni od siebie, lecz łączy nas jeden cel – zdrowie dziecka. Miranda szłocha w ramię Benito. Rory i Kira ściskają mnie mocno. Faith i Hope trzymają się za ręce, siedząc razem w kącie. Tak bardzo nam ulżyło.

– Gdzie urodziły się wasze dzieci? W tym szpitalu? – Faith patrzy na mnie swoimi intensywnie niebieskimi oczami.

Nim przeniosę wzrok na siedzące obok mnie dzieci, zerkam na Mirandę.

– Tak – odpowiadam z uśmiechem.

– Boże, założę się, że to wspaniałe – patrzy na Mirandę i ponownie skupia się na mnie. – Móc doświadczyć, jak nowe życie pojawia się na tym świecie. – Łzy zaczynają płynąć po jej policzkach, ale wciąż się uśmiecha. Wolną ręką ociera słone krople, drugą nadal trzyma dłoń Hope.

– Tak. Za każdym razem. Spoglądanie, jak dziecko bierze pierwszy wdech. Słuchanie jego pierwszego krzyku. Przypatrywanie się słodkiej twarzyczce. Liczenie maleńkich paluszków. Każde z moich dzieci od pierwszej chwili zamieszkało w mojej duszy, tworząc nierozzerwalną więź. To było cudowne.

Hope pociąga nosem. Jej oczy lśnią szczęściem.

– Z dzieckiem przychodzi nadzieja. – Nigdy wcześniej nie widziałem u niej takiego wybuchu emocji. Zazwyczaj jest obojętna lub wycofana.

Nie wiem, czy było to stwierdzenie, czy też pytanie, ale zgadzam się, ponieważ ma rację.

– Tak, z dzieckiem przychodzi na świat nadzieja.

W odpowiedzi kiwa głową.

Faith, nadal się uśmiechając, wpatruje się we mnie.

– Myślisz, że moja mama też się tak czuła, gdy się urodziłam? – Wygląda na zadowoloną. Sposób, w jaki zadała to pytanie, sprawia, że zastanawiam się, czy zrezygnowała z poszukiwań swojej biologicznej matki, czy może rozpocznie je od nowa. Z nową perspektywą i mniejszą desperacją.

Odpowiadam:

– Jasne, że tak. – Naprawdę tak uważam. Faith ma w sobie tę niesamowitą energię. Jestem pewien, że była wyjątkowa już w chwili narodzin.

FAITH

Hope podrywa się z miejsca z energią, jakiej jeszcze u niej nie widziałam. Szarpie mnie za rękę, którą wciąż trzyma.

– Chodź ze mną. Chcę ci coś pokazać.

– Okej. – Wstaję i wychodzę za nią z poczekalni.

Kiedy wsiadamy do windy, naciska guzik z cyfrą cztery. Drzwi otwierają się, ukazując biurko recepcji, gdzie przyjaźnie wyglądająca kobieta wita nas szerokim uśmiechem, od którego marszczą się kąciki jej oczu.

– Dzień dobry. Pomóc z numerem sali?

Jestem zdezorientowana, więc patrzę na Hope. Próbuje uśmiechnąć się do kobiety, ale wcześniejsze łyzy szczęścia zastępuje smutek. Kobieta odpowiada:

– Sala numer czterysta.

Kobieta podsuwa nam podkładkę.

– Proszę się wpisać i okazać dokumenty.

Zapisuję swoje nazwisko i zaczynam pisać dane swojej towarzyszki, która powstrzymuje mnie, gdy chcę wpisać *Hope*. Kładzie na blacie recepcji swój dowód. Odczytuję: *Jane Marie Martin*. Skreśliam więc *Hope* i wpisuję *Jane Martin*. Kobieta sprawdza nasze dokumenty i otwiera guzikiem drzwi.

– Masz na imię Jane? – pytam.

Nadal idzie, ale spogląda na mnie przez ramię. Czasami Hope mówi coś przypadkowego. Opowiada o wszystkim tak, jakbym znała

każdy szczegół jej życia. Próbuję za nią nadążyć, jak tylko mogę najlepiej. Słucham jednej z historii.

– Kiedy miałam osiemnaście lat, mama wyszła za Jonasa. Przeprowadził się do domu mamy i powiedział mi, że nie mogę już tam mieszkać. Mama знаła pewną panią, panią Lipokowski, która miała mieszkanie. Pani Lipokowski chciała mi pomóc i dała mi pracę. Jednak nie byłam w niej dobra, pracowałam z klientami. Wypełniła więc dokumenty i zamiast wypłaty, co miesiąc dostaję pieniądze pocztą. Mówi, że to się nazywa pomoc społeczna. Bierze z tego trochę na czynsz, resztę przeznaczam na jedzenie. Pani Lipokowski zawsze była dla mnie bardzo miła. Chciałam, żeby była taka moja mama. Kiedy skończyłam dwadzieścia lat, powiedziałam tej kobiecie, że nie lubię mojego imienia, że wolę mieć na imię *Hope*. Stwierdziła, że może do mnie mówić, jak tylko chcę. Od tamtego dnia mówię na siebie *Hope*, bo bardziej mi się tak podoba. To wyjątkowe imię.

– Dokąd idziemy, Hope? – Zaczynam się denerwować. Nie wiem, dlaczego niepokoją mnie łzy płynące po jej twarzy.

Trzymając mnie za rękę, w ciszy idzie do sali numer czterysta. Zwalnia, gdy zbliżamy się do drzwi. Wchodzimy do środka. W jednym z łóżek śpi kobieta.

Kiedy zaczynam się wycofywać, idąc ostrożnie tyłem, by nie obudzić pacjentki, Hope zatrzymuje mnie stanowczą, choć łagodną ręką.

– Znasz ją? – pytam szeptem.

Kręci głową, nie odwracając się, by na mnie spojrzeć.

– Nie – szepcze.

– Więc dlaczego tutaj jesteśmy? – pytam, ale znam już odpowiedź.

Czuję ją w jej dotyku.

Nadzieja.

Czuję nadzieję.

DOBRA W DOCHOWYWANIU TAJEMNIC

JANE

Przeszłość

– Jesteś ładna.

Ładna.

Często to słyszę.

„Czyż ta mała nie jest ładna?”. „Ślicznotka, podobna do mamy”. Czasami ludzie mówią miłe słowa i dzięki temu dobrze się czuję.

Jednak, gdy mówi to mama, choć szeroko się wtedy uśmiecha, czuję się źle. „Musisz być naprawdę mądra tylko wtedy, gdy nie jesteś ładna”. „Uśmiechaj się ładnie i nie odzywaj, Jane”.

Mama jest naprawdę ładna. Panowie cały czas jej to mówią.

Jednak gdy to Dan mówi mi, że jestem ładna, czuję się inaczej. Jakby pszczoły głośno bzyczały w mojej piersi, łaskocząc. Moje policzki robią się czerwone, jakbym biegła w lecie, goniąc ważki. Chciałabym powiedzieć mu o pszczołach w mojej piersi albo o gonitwie za ważkami, lecz tego nie robię. Uśmiecham się tylko, ponieważ tak zawsze każe robić mi mama. Mówię jedynie:

– Dziękuję. – Mama zawsze twierdzi, że kiedy ktoś mówi nam coś miłego, trzeba mu podziękować. Jak w urodziny, gdy dostaję prezent. Mówi, że komplementy to takie podarki. Nie rozumiem za bardzo dlaczego, ale podoba mi się, że tak mówi.

Dan się uśmiecha. Znów czuję bzyczenie pszczoł. Widzę jego zęby. Zaczynam liczyć je w myślach: *Jeden, dwa, trzy, cztery, pięć.*

Jednak przestaję, bo zaczyna mówić i nie widzę szóstego.

– Kiedy twoja mama wraca z pracy, Jane?

– Mama pracuje w banku. Liczy pieniądze innych ludzi. Wraca o piątej.

Dan uśmiecha się teraz naprawdę szeroko, więc znów zaczynam liczyć jego zęby, zaczynając od szóstego.

– Chcesz obejrzeć telewizję?

Siedzimy na kanapie. Ja na jednym końcu, on na drugim.

Oglądamy film. Już go widziałam. Jest śmieszny.

Dan często się śmieje. Lubię patrzeć, jak to robi. Zaciska mocno powieki, a jego twarz wygląda tak fajnie, że chciałabym się z nim przyjaźnić. Nigdy nie miałam przyjaciela, mama mówi, że nie mogę. Ale chcę go mieć.

– Chcesz loda na patyku? – pytam.

Chce.

Wyciągam z zamrażarki te czerwone, to moje ulubione. Są podwójne. Zazwyczaj je rozdzielam, a potem liżę po kolei. Jednak tym razem przelamuję na pół i jedną część oddaję jemu.

Liżemy lody, a Dan się przysuwa i siada przy mnie.

Trzyma mnie za rękę, gdy kończymy oglądać film.

Widziałam, jak mama uśmiecha się, gdy panowie trzymają ją za rękę. Wygląda na bardzo szczęśliwą i bardzo ładną, gdy się tak uśmiecha. Chyba wiem już dlaczego. Pszczoły bzyczą już nie tylko w mojej piersi, lecz także w głowie, i czuję się śmiesznie. Moje policzki bolą od uśmiechania się, ale nie potrafię przestać.

Za piętnaście piąta Dan mówi:

– Lepiej już pójdę.

– Dobrze – mówię. Bzyczenie pszczół w mojej piersi zmienia się w uścisk goryla. Czuję się jak wtedy, gdy babcia Tessa wychodziła wieczorem, a mama wracała z pracy. Nie chciałam, by babcia odchodziła. Smutno mi.

– Zobaczymy się jutro w szkole, Jane.

– Dobrze. – Gdy to mówię, goryl nie ściska już tak mocno. Nie jestem już smutna, bo zobaczę Dana jutro w szkole.

Środa to mój ulubiony dzień tygodnia, bo Dan odprowadza mnie

do domu.

Kiedy idziemy razem, zadaje pytania:

– Przeprowadziłaś się tu niedawno, Jane?

– Nie. Mieszkam tu całe życie – mówię mu. – Jednak wcześniej nie chodziłam do prawdziwej szkoły. – Babcia Tessa uczyła mnie w domu, bo mama mówiła, że w szkole publicznej rządzi diabeł, że uczą tam kłamstw. Cokolwiek miałoby to znaczyć. Jednak babcia zmarła w lato, więc teraz chodzę do prawdziwej szkoły, mama musi pracować w ciągu dnia w banku.

– Chodzisz do prawdziwej szkoły dopiero od kilku tygodni... podoba ci się tutaj? – pyta. Jego uśmiech sprawia, że chcę przytaknąć, mimo że tak naprawdę mi się tu nie podoba.

– Tak – mówię do jego uśmiechu. Inni uczniowie nie są tak mili. Wyzywają mnie od głupoli. Jest mi smutno, kiedy tak mówią. Jednak spoglądanie na Dana sprawia, że jestem szczęśliwa, więc mówię: – Lubię cię. Jesteś dla mnie naprawdę miły.

Jego uśmiech jest tak szeroki, że mogłabym policzyć wszystkie jego zęby.

Kiedy przychodzimy do mojego domu, znowu siedzimy obok siebie na kanapie. Jednak nim włączę telewizor, Dan mnie całuje. Nie wiem, jak to się robi, ale on mówi:

– Rozluźnij się, Jane. – Spełniam polecenie, a wtedy on dodaje: – Rób to, co ja. – Postępuję jak on, a im dłużej się całujemy, tym mniej bzyczą pszczoły, a w moich piersiach, w głowie i brzuchu zaczyna się coś skręcać, ale nie tak, jak wtedy, gdy jestem chora. Schodzi niżej, do mojego intymnego miejsca. Coś obraca się w moim brzuchu i jest mi dobrze. Mam dreszcze.

Nie mamy czasu na lizaki.

Kiedy Dan wychodzi, moje usta są napuchnięte, a mój brzuch wciąż się ścisza. Chcę, by Dan znów mnie pocałował.

Nie mogę doczekać się środy.

Dan odprowadza mnie do domu.

Pyta, czy może zobaczyć mój pokój.

Nie chcę iść do mojego pokoju. Chcę siedzieć na kanapie i całować Dana.

Jednak w końcu pokazuję mu swój pokój, mama zawsze mówi: „Mężczyźni nie lubią, kiedy kobieta się z nimi kłóci”.

Chce położyć się na moim łóżku. Na początku wydaje mi się to dziwne, lecz kiedy zaczyna mnie całować, uświadamiam sobie, że lubię całować się na łóżku tak samo jak na kanapie.

Kiedy mnie całuje, dotyka pod koszulką.

Kiedy mnie całuje, dotyka pod biustonoszem.

Kiedy mnie całuje, dotyka pod spódnicą.

Znów zaczyna się to dobre ściskanie w moim brzuchu.

Gdy, całując, dotyka pod majtkami, skręcam się. Choć to dziwne, chcę, żeby mnie tam dotykał. Dziwne, ale jest mi wtedy dobrze. Kiedy przestaje i już tego nie robi, chcę znów poczuć to dziwne uczucie, więc przyciskam moje intymne miejsce do jego ręki. Nadal całuje i dotyka, a im dłużej to robi, tym bardziej mam ochotę cały czas leżeć. W moim podbrzuszu ciągle coś się zaciska. To jak wtedy, gdy zakładamy gumkę recepturkę na palce i rozciągamy. Kiedy myślimy, że już bardziej się nie da, bo za bardzo się rozciągnęła, ta spada z naszych palców i strzela w powietrze jak rakietka. To właśnie takie uczucie. Jak rakietka.

– O Boże – jęczę, mimo że mama mówi, że nie wolno brać imienia Pana Boga nadaremno. Powtarzam to w kółko. Gdy jednak rakietka wraca na dół, czuję się, jakby ktoś wylał mi na głowę syrop klonowy, który ścieka powoli do mojego wnętrza, pokrywając warstwą mnie całą. Aż do palców u nóg.

Dan całuje mnie w czubek nosa i mówi:

– Jesteś ładna.

Wychodzi.

Nie jemy lodów.

Całkiem o nich zapomniałam.

Znów jest środa.

Pszczoły bzyczą w mojej piersi i głowie, gdy Dan odprowadza mnie do domu.

Kieruje się prosto do mojego pokoju, więc idę za nim, bo chcę się znowu całować i dotykać na łóżku.

Całujemy się przez chwilę, a potem mówi mi, że będę jeszcze ładniejsza bez ubrania. Nie chcę go zdejmować, ale pragnę, by myślał, że jestem ładna, więc to robię. Kiedy jestem już naga, mówi:

– Jesteś piękna.

Moja twarz robi się czerwona, jakby słońce świeciło na moje policzki i resztę mojego ciała. *Piękna* brzmi lepiej niż *ładna*. Mama mówi, że kiedy dorosnę, będę piękna, a mężczyznom nie będzie przeszkadzało, że nie jestem bystra tak jak inne dziewczyny.

Całujemy się jeszcze trochę i Dan ściąga koszulę. Ma włosy na piersi, ale i tak lubię go dotykać. Są jednocześnie miękkie i szorstkie, jak dywanik w łazience, kiedy wycieram o niego nogi po wyjściu spod prysznic.

Całujemy się znowu i ściąga spodnie oraz majtki. Prosi, żebym go dotknęła w jego intymne miejsce. Nie chcę tam patrzeć, ale chcę go dotknąć. Kiedy to robię, Dan wydaje z siebie dźwięk. Przypomina ten, który słyhać, gdy bierzemy pierwszy kęs ciasta czekoladowego, najlepszego ciasta czekoladowego, jakie w życiu jedliśmy. Właśnie tak brzmi i lubię go słuchać. Chcę spojrzeć. Widziałam już penisa. Jednej nocy u mamy został pan, ale o tym nie wiedziałam, i weszłam do jej sypialni bez pukania. Wtedy zobaczyłam penisa tego pana. Teraz już zawsze pukam.

Penis Dana jest większy niż miał tamten pan. Jest naprawdę duży i wygląda, jakby był zły. Mówię o tym Danowi, a on uśmiecha się i mówi, że nie jest zły, a szczęśliwy dzięki mnie.

Całujemy się jeszcze trochę, Dan często mnie dotyka. Kiedy robi to między nogami, mimowolnie się przy nim skręcam. Mój brzuch znowu ściska się i jest mi dobrze, mrowi moje intymne miejsce.

Dan kładzie się na mnie i mówi, żebym się odprężyła, ale nie wiem dlaczego, bo już jestem odprężona.

Jednak wtedy zaczyna mnie piec i boleć między nogami, w intymnym miejscu, więc krzyczę:

– To boli! To boli! Przestań!

Dan mówi mi bardzo cicho do ucha... Jego głos wciąż jest taki jak

wtedy, gdy je się najlepsze w życiu ciasto czekoladowe.

– Ciii, już dobrze, Jane. Seks boli tylko za pierwszym razem i tylko przez chwilę, potem będzie naprawdę dobrze. Obiecuję.

Próbuję nie myśleć o bólu. Jak wtedy, gdy mama wypła za dużo i przytknęła mi do ramienia rozgrzane żelazko. Długo bolało, ale starałam się o tym nie myśleć, bo wiedziałam, że nie chciała mi zrobić krzywdy. Powiedziała mi o tym później.

Po jakimś czasie, tak jak mówił Dan, już tak bardzo nie boli. Dan zaczyna poruszać biodrami i powtarza w kółko, że jestem piękna tym swoim głosem, jakby zjadł ciasto czekoladowe. Później chrząka jak zwierzę, mocno dociskając do mnie biodra, a moje intymne miejsce boli. Boli w środku mojego brzucha tak bardzo, że nie mogę już tego znieść. Wtedy on mówi:

– Kurwa. – W tej samej chwili czuję w środku ciepło.

Dan wstaje i czuję, że wyciąga ze mnie penisa, bo moje intymne miejsce kurczy się do normalnego stanu.

– Powinnaś iść do łazienki i się umyć.

Nie wiem, dlaczego tak mówi, póki nie wstaję. Zauważam na prześcieradle plamę krwi, a kiedy idę do łazienki w korytarzu, czuję że coś mokrego cieknie mi po udach. Wszystko to mnie przeraża.

Myję się i ubieram, a w tym czasie Dan wychodzi. Wcześniej radzi mi, bym nikomu nie mówiła o tym, co tu robimy. Mówi, że mógłby mieć poważne kłopoty, bo ludzie nie zrozumieliby, jak jestem dla niego wyjątkowa.

Podoba mi się, że nazywa mnie wyjątkową.

Nie powiem.

I tak nie rozmawiam z nikim oprócz mamy.

W każdą środę Dan odprowadza mnie do domu.

W każdą środę całujemy się i uprawiamy seks na moim łóżku.

Już nie boli.

Czasami Dan nakłada coś na penisa, mówi, że to gumka. Czasami tego nie robi, bo mówi, że lepiej się bez tego czuje.

Nazywa mnie swoją dziewczyną.

To tajemnica.

Tak jak nasz wyjątkowy czas razem.

W tym tygodniu byłam naprawdę chora, cały czas wymiotowałam. Mama nie puściła mnie do szkoły. Pozwoliła mi zostać w domu, kiedy poszła do pracy. Spałam na podłodze w łazience, żeby nie musiała do niej biec, gdy zrobi mi się niedobrze. Nie mam w ogóle ochoty na jedzenie.

Dan przychodzi do mojego domu w środę po południu. Wychodzi, gdy widzi, że jestem chora.

Mama zaprowadziła mnie do lekarza, bo mi się nie poprawiało. Wbito mi igłę w rękę i pobrano krew. Nie podobało mi się. Bolało. Kazano mi też nasikać do plastikowego pojemnika. To też mi się nie spodobało, było obrzydliwe.

Pielęgniarka zmierzyła mi temperaturę i zadała kilka pytań, a potem wyszła.

Długo czekałyśmy na lekarza, a kiedy przyszedł, nie wyglądał na zadowolonego, więc go nie polubiłam.

Zajrzał mi do uszu, do gardła, posłuchał bicia serca i zapytał o to samo, o co pytała pielęgniarka.

Wtedy ktoś zapukał do drzwi i jakaś pani dała mu dokumenty. Wyglądała na miłą, więc chciałam, żeby została. Lekarz spojrział do dokumentów, które były gęsto zapisane. Czytał naprawdę szybko.

Popatrzył na mnie i na mamę i powiedział:

– Jest w ciąży.

Zastanawiałam się, o co mu chodzi. Mama mówiła, że tylko dorośli zachodzą w ciążę, gdy pytałam ją, skąd się biorą dzieci. Powiedziała wtedy: „Kiedy dorośniesz, wyjdiesz za mąż i będziesz miała dzieci”. Jednak jeszcze nie jestem dorosła. Ani nie wyszłam za mąż.

Mama patrzy na mnie, a w jej oczach pojawiają się burzowe błyskawice. Boję się.

– Uprawiałaś seks, Jane? – pyta głośno, a ja się wstydzę. Seks

powinien być tajemnicą moją i Dana. Ona nie powinna o tym wiedzieć, a teraz mówi o tym też lekarzowi.

Naprawdę szybko kręcę głową. Wiem, że nie powinnam kłamać. Mama zawsze mówi, że kłamstwo jest grzechem. „Kłamstwo jest grzechem, Jane. Nie kłam, bo Pan Bóg cię ukarze”.

Siedzę w ciszy i się nie ruszam. Czekam na gniew Boga albo mamy, chociaż nie pragnę żadnego z nich.

Lekarz mówi:

– Będę musiał przeprowadzić badanie ginekologiczne. Woli pani zostać czy wyjść? – pyta mamę.

– Zostanę – odpowiada, ale nie brzmi, jakby tego chciała. Bardziej, jakby chciała mnie uderzyć pasem, który trzyma zawieszony na gwoździu w szafie.

Lekarz każe mi zdjąć majtki pod koszulą do badań i położyć się na plecach. Sam na końcu stołu przymocowuje jakieś pałki, które wyglądają jak wielkie łyżki do lodów. Robię, co mi każe, a on zakłada rękawiczki i wyciąga z szuflady jakieś opakowanie, które otwiera. Nie wiem, co jest w środku, ale słyszę dźwięki, kiedy kładzie te rzeczy na metalowym stoliku obok siebie. Nie podoba mi się to. Są zbyt głośne.

Potem podnosi moje nogi i wkłada moje pięty w pałki wyglądające jak łyżki do lodów. Pasują idealnie, więc chce mi się śmiać, gdy pomyślę, że moje pięty wyglądają teraz jak gałki lodów.

Przestaje mi być do śmiechu, gdy lekarz mówi, żebym przesunęła biodra w jego kierunku i zgięła nogi.

– Nie – mówię. Będzie mógł zobaczyć, co mam pod koszulą, a nie chcę, żeby tam patrzył.

Słyszę, że zarówno on, jak i mama wzdychają. Ona brzmi, jakby była zła. Jak wtedy, kiedy ma zamiar mnie ukarać, cytując Biblię: „Ukarzę Ja świat za jego zło i niegodziwców za ich grzechy”. Jest zirytowana. Jak nauczycielka, której nie lubię, gdy mówię, że nie rozumiem jej pytania.

– Nie będę mógł cię zbadać, dopóki nie ugniesz nóg i się nie przesuniesz.

Nie chcę, żeby mnie badał, ale kiedy patrzę na mamę, która oczami mówi mi, że jest wściekła, wiem, że lepiej będzie, jeśli go posłucham.

Próbuję nie myśleć o tym, co się dzieje, zginam kolana i przesuwam się do lekarza. Kiedy rozsuwa moje kolana, zaczynają drżeć i nie mogę nad nimi zapanować.

– Przestań się trząść i daj panu doktorowi popatrzeć – warczy mama. Mówi to jak w tych momentach, gdy każe mi iść do swojego pokoju, bo przychodzi do niej jakiś pan.

Zaczynam płakać. Wstrzymuję oddech, bo kiedy to robię, z mojego gardła nie wydostaje się żaden dźwięk. Płyną mi tylko łzy z oczu. Właśnie dlatego mocno zaciskam powieki. Kiedy jednak zamykam oczy, nie udaje mi się powstrzymać łez i jest ich jeszcze więcej.

– Możesz poczuć uszczyknięcie – mówi lekarz.

Nie rozumiem, co mówi, dopóki nie czuję czegoś w sobie. Wydaje się, że to łyżka. Zimna, ale nie szczypie, jak mówił. Jednak lekarz coś tam robi i mnie to boli. Ten lekarz jest kłamcą. Chce otworzyć moje ciało.

Wstrzymuję oddech, bo nadal boli, choć nie szczypie.

Kiedy wyjmuje łyżkę, ból ustępuje. Jednak wtedy wkłada we mnie palce. Jest mi niedobrze. Tylko Danowi wolno mnie tam dotykać. Przełykam ślinę, starając się nie wymiotować.

– Wszystko wygląda normalnie. Musi ją pani zabrać do ginekologa – mówi do mamy, jakby nie było mnie tam z nimi.

– Umówię ją do mojego lekarza – mówi mama.

Lekarz wychodzi.

– Ubierz się i zczekaj na mnie w recepcji. Musisz mi wiele wyjaśnić. – Nadal trzymam zamknięte oczy, ale i tak czuję jej gniew. Jest żywy. Jak ogień.

Trudno mi się ubrać, bo wciąż płaczę i się trzęsę.

Mama nie odzywa się do mnie w drodze do domu. Wiem, że kiedy do niego dotrzemy, będzie zła. Tylko w domu jest na mnie zła. I zawsze boli, gdy tak się dzieje. Zależy jej na tym.

Nie mówię mamie, że uprawiałam seks z Danem. Obiecałam mu, że nikomu nie powiem, a jestem dobra w dochowywaniu tajemnic.

W następną środę, kiedy przychodzi do mnie Dan, mówię mu, że

jestem w ciąży. Wygląda na zaskoczonego, jego twarz naprawdę blednie. Jak twarz mamy w zeszłym roku, gdy powiedziałam jej, że zjadłam cztery jej ciastka. Idziemy do mojego pokoju, całujemy się przez chwilę, a potem on wstaje i mówi, żebym uklękła przed nim. Klękam więc. Każe mi otworzyć usta. Otwieram. Wkłada mi penisa do buzi. Dławię się, ale on powtarza:

– Rozluźnij się, Jane. To naprawdę miłe, a przecież chcesz, bym dobrze się czuł, prawda?

Przytakuję, bo chcę. Mówi, że mam ssać, udawać, że to jeden z lodów, które tak bardzo lubię. Robię to, ale nie smakuje jak lody. Zaczyna wyciągać penisa i wkładać go z powrotem, gdy go ssę. Chwyta mnie za włosy przy uszach i szybciej porusza moją głową.

– Właśnie tak, Jane. Idealnie. Nie przestawaj. – Podoba mi się ten jego głos, jakby zjadł ciasto czekoladowe. Czuję, że do gardła splywa mi coś ciepłego. Kaszlę i krztuszę się, a kiedy to robię, czuję coś ciepłego i mokrego na policzku i szyi. Przełykam to, co mam w buzi. Jest lepkie, słone i mi nie smakuje. Dan trzyma penisa w ręce i pociera go tam i z powrotem. Robi to surowo, jakby go to bolało. Z penisa coś wypływa i ląduje na mojej piersi. Jego mina sprawia, że czuję się dobrze. To ta sama mina, gdy robi to w moim intymnym miejscu.

– Dobra dziewczynka – mówi. – Bardzo dobra. Zanim dzisiaj wyjdę, chcę spróbować czegoś nowego.

Nie wiem, co to oznacza, ale większość rzeczy, które robi mi Dan, sprawia, że jest mi dobrze, więc kiwam głową.

– Okej.

– Twoja mama ma jakiś olej do smażenia? – pyta.

Przytakuję.

– Przynieś go, piękna.

Lubię, kiedy nazywa mnie piękną.

Kiedy wracam z olejem roślinnym, podaję mu butelkę, a on stawia ją na podłodze. Mówi, żebym ułożyła się na czworakach.

Spełniam polecenie. Nie lubię seksu w ten sposób, bo nie może mnie całować. A ja lubię go całować.

Dotyka mnie od tyłu i jest mi dobrze. Słyszę, że otwiera opakowanie gumki i wsuwa we mnie penisa. Znowu jest mi dobrze, ale

trzyma mnie za biodra i uderza we mnie swoimi dużo szybciej niż zazwyczaj.

– Będzie mi tego brakowało – mówi. Nie rozumiem. Zawsze wiele mówi, gdy jest we mnie, i zazwyczaj to nie ma sensu. Przeważnie przeklina, a wiem, że to grzech. Kiedy jednak mówi to tym swoim głosem, jakby jadł ciasto czekoladowe, słowa nie wydają się grzeszne.

Czuję, że ze mnie wychodzi. Bierze butelkę oleju i ją otwiera. Nie obracam się, by zobaczyć, co zamierza. Nagle czuję jego owłosioną pierś pokrytą potem na swoich plecach. Szepcze mi do ucha:

– Odpręż się albo będzie boleć. Nie chcę cię skrzywdzić, Jane. Okej?

– Okej – mówię.

– Oddychaj głęboko, gdyby bolało. Głębokie wdechy, póki nie skończę. Chcesz, żebym dobrze się czuł, prawda?

– Tak – mówię bez namysłu.

Rozchyła palcami moje pośladki. Czuję w tym miejscu coś śliskiego i ciepłego. W tej samej chwili zaczyna się wpychać, ale nie w moją intymną część. To mi się nie podoba.

– Rozluźnij się – przypomina.

Nie mogę tego zrobić. Nie rozumiem, co się dzieje.

Przestaje się ruszać.

– Oddychaj. – Sposób, w jaki to mówi, sprawia, że chcę go zadowolić, więc mimo że nie potrafię się odprężyć, biorę kilka głębokich wdechów.

– Właśnie tak – mówi jak mój ulubiony nauczyciel, gdy podam dobrą odpowiedź.

Jednak wtedy ponownie zaczyna się wpychać, więc jedyne, czego chcę, to go wypchnąć. Wchodzi wolno, ale nie jest mi źle. Czuję, jakbym musiała iść na sedes.

– Nie podoba mi się – mówię. Nie powinnam się odzywać, ale mi się wymknęło.

– Świetnie sobie radzisz. Nic ci nie będzie. Oddychaj dalej. – Nieco się cofa, od razu mi lepiej, lecz potem natychmiast wpycha się z powrotem. – Przepraszam, ale jest mi zbyt dobrze. Szybko będzie po wszystkim. Nie myśl o tym.

Wpycha się szybko. To naprawdę boli. Mocno trzyma mnie za biodra. Nie potrafię się odsunąć. Słyszę, jak jego skóra uderza o moją, i jego słowa, ale większości z nich nie rozumiem, ponieważ ból sprawia, że ciężko mi cokolwiek słyszeć. To tak, jakbym była owinięta kocem, chociaż to nie mój ulubiony kocyk, który zrobiła babcia Tessa. To koc bólu.

– Proszę, przestań, to boli! – płaczę. – Boli! Proszę, przestań!

Jednak nie przestaje. Słyszę, jak krzyczy:

– Kurwa, ale masz ciasny tyłek!

Kiedy wychodzi, ból pozostaje. Nie chcę na niego patrzeć, bo mnie skrzywdził.

Idzie do łazienki, myje się, a kiedy wraca, dalej leżę zapłakana na podłodze.

Sadza mnie sobie na kolanach i tuli. Jest naprawdę delikatny. Czuję się jak wtedy, gdy, będąc małą, trzymałam na rękach szczeniaka od sąsiadów.

– Posłuchaj, Jane. Jesteś moją wyjątkową dziewczyną. Przepraszam, że to bolało, ale sprawiłaś, że czułem się naprawdę dobrze, piękna. I chciałem, by nasz ostatni raz był wyjątkowy. Kiedy dzisiaj wyjdę, nigdy mnie już nie zobaczysz.

Patrzę na niego.

– A w szkole?

Kręci głową.

– Nie będzie mnie tam. Ale na zawsze będziemy strzec naszej tajemnicy. Nikomu nie powiemy o naszym wyjątkowym czasie razem.

– Nikomu nie powiem – przyrzekam.

Uśmiecha się tym uśmiechem, który pozwala policzyć jego zęby.

– Dobrze.

Stawia mnie na podłodze, wstaje i wychodzi.

A ja zastanawiam się, czy mówił poważnie, gdy stwierdził, że nie będzie go jutro w szkole.

Następnego dnia Dana nie ma szkole.

Nie widzę go na lunchu ani na korytarzu podczas przerw.

Smutno mi, ponieważ jest moim jedynym przyjacielem.

Idę do sekretariatu, by się upewnić, że go nie ma. Pytam o niego panią Peacock. Naszą sekretarkę, która pierwszego dnia powiedziała mi, że gdybym miała jakieś pytania, mogę do niej przyjść:

– Dana nie ma? I już nie będzie?

Wygląda na zdezorientowaną.

– Dana? Jakiego Dana, skarbie? Znasz jego nazwisko?

Nie znam, więc kręcę głową i mówię, co wiem.

– Dan. Zamiatą stołówkę, kiedy nabrudzimy podczas lunchu.

W jej oczach widzę zmianę, jakby już wiedziała, o którego Dana pytam.

– Och, Dan Crestmoor, woźny. Przykro mi, skarbie, już tu nie pracuje. Rano zadzwonił i powiedział, że to nagła sytuacja rodzinna i musi wyjechać. Zachorowała jego matka, która jest w zaawansowanym wieku. Dzisiaj się do niej przeprowadza. – Uśmiecha się, mówiąc to, jakby nie wiedziała, że jej słowa mnie smucają.

Biedny Dan. Jestem smutna, bo jego mama jest chora. Mam nadzieję, że poczuje się lepiej, kiedy się do niej przeprowadzi.

Chodzenie do szkoły w ciąży jest trudne. Inni uczniowie wyśmiewają się ze mnie bardziej niż zazwyczaj. Nazywają mnie dziwką i kurwą. Próbuję ich ignorować, ale ranią moje uczucia. Słyszałam już wystarczająco dużo tych słów w domu od mamy.

Mój brzuch robi się strasznie wielki. Mama mówi, że moja córka niedługo się urodzi. Mówi też, że jestem za młoda i nie poradzę sobie z dzieckiem, zwłaszcza że nie mam męża. Znalazła więc dziecku nową rodzinę, której je oddamy, gdy się urodzi. Nazywa to adopcją. Jest mi smutno, ale mama mówi, że tak musi być. Nie poznałam tej nowej rodziny, ale muszą być naprawdę mili, bo kupili mamie nowy samochód. Mówi, że to toyota corolla. Jest jasnoniebieski, w jej ulubionym kolorze, a klimatyzacja dmucha naprawdę zimnym powietrzem. Mama szeroko się uśmiecha, gdy nim jeździ. Chociaż mnie to nie cieszy i nie wiem

czemu.

BYŁAŚ MOJĄ NADZIEJĄ

FAITH

Teraźniejszość

Hope zaczyna opowiadać historię, na którą czekałam dwadzieścia cztery lata.

– Urodziłaś się w upalny dzień w tej sali. Trzydziestego lipca.

Zatykam dłonią usta, by stłumić szloch. To właśnie dzień moich urodzin. Łzy napływają mi do oczu i zamazują obraz stojącej przede mną kobiety. Ciągnę ją za rękę, by skłonić do wyjścia na korytarz i do recepcji oddziału położniczego. Potem proszę, by kontynuowała i opowiedziała o wszystkim, co pamięta, niczego nie pomijając.

Siada spokojnie.

Oszołomiona i zdenerwowana zajmuję miejsce obok.

Bierze mnie za rękę i wpatruje się w nasze złączone dłonie spoczywające na jej kolanach.

Opowiada o dniu moich narodzin.

– Tamtego popołudnia bardzo bolał mnie brzuch. Kiedy mama wróciła z pracy i zobaczyła mokre prześcieradło, zawiozła mnie do szpitala. Została ze mną w tamtej sali, gdy się urodziłaś. Siedziała na krześle w kącie. Nie patrzyła na mnie przez cały czas, ale widziałam, że

płakała. – Spojrzenie Hope jest odległe i skupione, jakby zatraciła się we wspomnieniach. Odtwarzając każdy szczegół, przeżywa je na nowo. – Kiedy się urodziłaś, lekarz powiedział: „To dziewczynka”, a ty płakałaś. Twój płacz jednocześnie był cichy i głośny. Na zewnątrz byłaś kotkiem, wewnątrz prawdziwą lwicą. Chciało mi się śmiać, bo wiedziałam, że jesteś silna. Nie powiedziałam tego na głos, ale nazwałam cię Hope, bo czułam wielką nadzieję. Byłaś taka mała jak lalka, kiedy pielęgniarka położyła cię na mojej piersi. Uśmiechnęła się, jakby jednocześnie była szczęśliwa i smutna, i szepnęła: „Nie powinniśmy ci pozwalać jej trzymać, ale myślę, że zasługuje, by cię poznać i побыć z tobą choć przez chwilę”. Zaczęłam płakać i nie mogłam przestać. Jednak nie ze smutku. Byłaś taka piękna. Głaskałam cię po miękkiej główce i mówiłam do ciebie czule: „Kocham cię, Hope”. To właśnie ci powiedziałam. Nigdy wcześniej nie powiedziałam nikomu, że go kocham. Nigdy nie czułam miłości. Dopóki nie spojrzałam na ciebie. Moje serce się nią wtedy nappełniło. Nie wiem nawet, jak to wytłumaczyć. Powiedziałam do ciebie: „Twoi nowi rodzice będą dobrze o ciebie dbać. Będziesz mądra, miła, dobra i ładna. Cieszę się, że jestem mamą, którą poznajesz jako pierwszą. Nigdy cię nie zapomnę”. – Patrzy na mnie. – Miałam rację, taka właśnie jesteś. Potem wróciła pielęgniarka. Pocałowałam cię w czoło, a ona cię zabrała. Dała cię nowej rodzinie, którą znalazła moja mama. Nie pamiętam, jak się nazywali, ale chyba...

– Groves – mówimy jednocześnie. Pierś mocno mi się ściska.

Kiwa głową.

– Mieszkali bardzo daleko i nie mogli mieć własnych dzieci, więc chcieli mieć ciebie. Moja mama mówiła, że jestem za młoda i nie mogę być mamą, więc cieszyłam się, że zamieszkaś z nimi, bo obiecali dobrze się tobą zajmować. – Patrzy na mnie zamyślona, a w jej następnych słowach słyszę dumę: – Byłaś wyjątkowa. Wyjątkowa jak coś, co zdarza się w życiu tylko raz. Kiedy na ciebie patrzyłam, dostrzegałam czyste dobro. Zapomniałam o złych słowach, które dotychczas kierowano w moją stronę, i o krzywdach, które mi wyrządzono. Zabrałaś je. Byłaś moją nadzieją.

– Myślałaś o mnie po tym, jak mnie zabrano? – Całe życie się nad tym zastanawiałam. Marzyłam, by moja mama myślała o mnie tak, jak ja

myślałam o niej.

– Wiedziałałam, że nie mogę pytać o ciebie mamę, bo powiedziała, że już nie jesteś moja i należysz do tamtej rodziny. Powiedziała, że nie wolno mi nikomu o tobie mówić. Powiedziała też, że mam o tobie zapomnieć. Jednak ja nigdy nie przestałam o tobie myśleć. Od tamtej pory każdego wieczoru, nim poszłam spać, modliłam się za ciebie, mówiąc: „Proszę, Boże, spraw, by Hope była bezpieczna i szczęśliwa”. Nie modliłam się za nikogo innego. Tylko za ciebie. I każdego roku w twoje urodziny śpiewałam ci „Sto lat”.

– Ile miałaś lat, gdy mnie urodziłaś? – pytam.

– Siedemnaście – odpowiada rzeczowo.

Kiwam głową. Była taka młoda i najwyraźniej niezdolna do opieki nad dzieckiem. Nic dziwnego, że jej matka zainterweniowała i oddała jej dziecko do adopcji.

– A co z moim ojcem? Kim jest?

Na chwilę jej oczy stają się martwe, potem znów wpatruje się gdzieś przed siebie. Nie wydaje mi się, by odpowiedziała. Mówi jednak:

– Miał na imię Dan. Poznałam go w szkole. Mówił, że jestem ładna. Był moim chłopakiem.

– Gdzie jest teraz? Wiesz? – Mam przeczucie, że niczego się nie dowiem i, szczerze mówiąc, mam to gdzieś, bo historia Hope mi wystarczy.

Wzrusza ramionami.

– Nie wiem. Powiedziałałam mu o ciąży, ale musiał się wyprowadzić. Jego mama go potrzebowała. – Nie wydaje się mówić ze smutkiem, lecz z nostalgią. Jakby myślała o kimś, komu od bardzo dawna nie poświęcała myśli.

– Skąd wiedziałaś, Hope? Skąd wiedziałaś, że jestem twoim dzieckiem? Widziałaś mnie zaledwie przez chwilę i było to dwadzieścia cztery lata temu.

Ściska moją dłoń.

– Pamiętasz, co rano powiedział Seamus o tym, jak witał swoje dzieci na świecie po raz pierwszy, a one na zawsze zamieszkały w jego duszy? – Wzrusza ramionami. – To prawda. Wiedziałałam, kim jesteś, gdy po raz pierwszy zapukałaś do moich drzwi i dałaś mi ananasa.

Jestem oszołomiona i wstrząśnięta. Przyglądam się twarzy Hope w zupełnie nowym świetle.

– Dlaczego mi nie powiedziałaś?

– Masz rodzinę. Jesteś ich. Jak mówiła mama, nie powinnam tego robić. – Naprawdę w to wierzy.

Ściskam ją.

– Jestem twoja. Oni nie są już moją rodziną.

Odsuwa się i patrzy zaskoczona.

– Nie są?

Kręcę głową.

– Nie są. Ty nią jesteś.

Hope obdarowuje mnie jednym ze swoich rzadkich uśmiechów i po raz pierwszy od dwudziestu czterech lat czuję się spełniona. Szczęśliwa. Wiem, że wielu podeszłoby do tego sceptycznie, kwestionując to i grzebiąc w przeszłości. Jednak moje serce czuje, że poszukiwania dobiegły końca. Odnalazłam mamę. A raczej ona odnalazła mnie.

Kiedy wracamy do poczekalni, zastajemy ją pustą. Pielęgniarka informuje nas, że Kai został przeniesiony do sali na piętrze. Przemierzam korytarz z Hope u boku, zaglądam do środka i widzę, że wszyscy zebrali się przy łóżku chłopca. Gdy zauważa mnie Saemus, macha do nas, byśmy weszły.

Przepraszam cicho, że zakłócam ich wspólny czas. Kai śpi. Podłączony jest do wielu urządzeń i monitorów, przez kroplówkę podawane są mu środki przeciwbólowe. Wszystko mnie boli na jego widok.

Seamus głaszcze mnie po plecach, gdy zauważa moją minę.

– Wróci do zdrowia. Potrzebuje tylko czasu – szepcze mi do ucha. Nie słyszę w jego głosie zmartwienia, więc wiem, że to prawda.

Mimo to nie mogę oderwać od chłopca oczu, gdy leży taki bezradny.

– Dzięki Bogu – odpowiadam równie cicho.

– Wszystko dobrze z Hope? Naprawdę długo was nie było. – Wciąż kojąco szepcze mi do ucha.

Obracam głowę, patrzę mu prosto w oczy i dopiero w tej chwili dociera do mnie, że w moim życiu właśnie zdarzył się cud. Świadomość

tego uderza we mnie tak mocno, że wypełnia mi oczy i odbiera słowa. Kiwam jedynie głową.

Seamus obejmuje mnie i całuje w skroń.

– To dobrze.

Patrzę z powrotem na dziecko.

– Lepiej już pójdziemy, byś mógł zadbać o syna. – Spoglądam znów na Seamusa. – Cieszę się, że przenieśli go do tej sali, to dobry znak.

Seamus wychodzi z Hope i ze mną na korytarz. Hope podchodzi do drzwi wyjściowych, gdzie czeka na mnie.

Patrzę na Seamusa, którego spojrzenie utkwione jest we mnie. Przygląda mi się, jakby istniało tysiąc rzeczy, o których chce mi powiedzieć. Zaczyna od pytania:

– Mogę cię przytulić?

Obejmuję go i ściskam przez dobrą minutę, pozwalając naszym ciałom prowadzić rozmowę. Następują przeprosiny. Padają pytania. Odpowiedzi. Składamy obietnice.

Kiedy się od siebie odsuwamy, Seamus się uśmiecha. To zmęczony uśmiech, ale przeznaczony tylko dla mnie.

– Proszę, powiedz, że też to poczułaś.

Przytakuję, bo tak właśnie było.

Bierze głęboki wdech, wypuszcza całe powietrze i ponownie się uśmiecha.

– Dobrze. Bo, cholera, tęskniłem za tobą.

Mam wielką ochotę, by go pocałować, ale to niewłaściwy czas i miejsce.

– Chciałabyś... nie wiem... może po tym, jak Kai zostanie wypisany ze szpitala i wszystko wróci do normy... Moglibyśmy... – urywa, zakrywa oczy i parska śmiechem. – Jezu, jestem w tym kiepski. Minęło sporo czasu, odkąd próbowałem się z kimś umówić.

Chichoczę, co zdarza mi się jedynie przy Seamusie, i nie potrafię ukryć uśmiechu.

– Tak. Chciałabym.

Obejmuję moją twarz i całuje mnie czule. To tylko całus, ale czuję go aż po koniuszki palców u stóp. Seamus opiera czoło na moim.

– Dziękuję.

– Muszę dać ci numer telefonu do domu, w którym wynajmuję pokój, bo nie mam komórki.

– Dobry pomysł.

Podchodzimy do biurka przy informacji, gdzie wymieniamy się numerami.

– Zostaw wiadomość na sekretarce. To jest wspólny telefon wszystkich lokatorów, ale na pewno dostanę wiadomość.

Przytakuje.

– Dobrze. Niedługo się odezwę. Dzięki, że przyszedłeś do małego. I do mnie.

Kiwam głową.

Wychodzę ze szpitala z mamą.

I wdzięcznym sercem pękającym z miłości.

CZASAMI NIE JEST TEŻ TRUDNE

FAITH

Terazniejszość

Rozlega się pukanie do drzwi mojego pokoju. To Benito z kubkiem kawy w ręku.

– Hej. – Podaje mi go z uśmiechem, ale dłoń, w której zazwyczaj trzyma swój, jest pusta.

– Idziesz do pracy? Jest późno. – Nigdy nie pracuje w niedzielę wieczorem, zwykle idzie wtedy na mszę do znajdującego się przy tej samej ulicy kościoła katolickiego.

Wzrusza ramionami.

– Mirandy nie będzie przez dłuższy czas, a są sprawy, którymi trzeba się zająć podczas jej nieobecności. Wszyscy jesteśmy jedną ekipą, ale wiadomo, że rodzina jest na pierwszym miejscu. Dla mnie to żaden kłopot.

No jasne. Cały Benito. Pomaga wszystkim. Kiwam głową, trzymając kawę.

– Dziękuję.

– Proszę, moja droga. Chciałem się tylko przywitać i upewnić, że dobrze się miewasz.

Uśmiecham się.

– Dobrze. Naprawdę dobrze. Dzięki.

Kiwa głową jak ojciec.

– Super. Lepiej już pójdę. – Wchodzi na schody, lecz jak zwykle zatrzymuje się na moment. – Faith?

Upijam łyk kawy.

– Tak?

– On wie – mówi z mądrością.

Przechylam głowę, czekając, aż wyjaśni.

– Wie, że chciałby móc znaleźć się z tobą w tak niewiarygodnie pięknej sytuacji – dodaje z uśmiechem.

Przypominam sobie naszą rozmowę sprzed tygodni i cytuję w odpowiedzi jego słowa:

– Czasami życie nie jest też tak trudne.

Puszczą do mnie oko i wychodzi.

ŻYCIE ROZKWITA DRUGIMI SZANSAMI

SEAMUS

Teraźniejszość

W zeszłym tygodniu wypisano syna ze szpitala. Ze względu na gips na nodze przez dwa kolejne tygodnie Kai będzie przykuty do wózka, ale potem będzie mógł chodzić o kulach. Nie jest z tego zadowolony, lecz nie powstrzymuje go to od wychodzenia na dwór z piłką, którą każdego popołudnia rzuca do kosza. Myślałem, że schody prowadzące do mieszkania będą dla niego przeszkodą, ponieważ nie mogę go nosić. Jednak mój syn zsuwa się po nich w pozycji siedzącej szybciej, niż ja idąc. Dzieciak jest nie do zatrzymania. Nie licząc blizn na brzuchu i nogach oraz specjalnej diety, wrócił do życia. Niewiarygodne, jak elastyczne są dzieci.

Miranda została oczyszczona z zarzutów spowodowania wypadku i – choć doradzano mi, bym ubiegał się o całkowitą opiekę nad dziećmi – nie mogłem tego zrobić. Wiem, że nie był to jedynie wypadek. Było to jej przebudzenie. Ostatnio Miranda stała się kochającą matką, więc nie chcę odbierać jej dzieciom. Wreszcie się stara. Dzieci tego potrzebują. Zaslugują na to. W tym tygodniu podpisaliśmy ugodę w sprawie opieki – w końcu mamy to na papierze: dzieci podczas tygodnia chodzą do szkoły

i mieszkają u mnie, a Miranda zabiera je do siebie na weekendy. Tak jak planowaliśmy. Wszyscy są zadowoleni.

W tej chwili przebywają u matki. To pierwszy raz od bardzo dawna, gdy zniknęły mi z oczu i zostałem sam. Co oznacza, że mogę wywiązać się z obietnicy i zabrać Faith na randkę.

Pod plecami mam ciepły, szorstki piasek... Siedzę na plaży, podpierając się rękoma, i obserwuję Faith zmierzającą w stronę wody. Rozmyślam o tym, jak wiele jest sposobów, by zawsze pozostać atrakcyjnym. Kobieta ma na sobie prostą, kremową, bawełnianą sukienkę, trzyma ją uniesioną do połowy ud, by się nie zmoczyła. Pastelowe kolory zeszły zupełnie z jej dredów. Choć je uwielbiałem, bo były śmiałe tak jak ona, blond, który pozostał, jest wspaniały. Faith błyszczy wewnętrznym światłem. Jej dusza lśni jak promienie słońca i ogień.

Kiedy do mnie wraca, kuca i rozkłada mi nogi. Następnie zwrócona twarzą w moją stronę siada między nimi, uginając kolana i dotykając moich nóg wewnętrznymi stronami łydek. Jej sukienka rozkłada się wokół, lekko nas okrywając.

– Wiem, że już ci mówiłam, ale moje serce naprawdę lubi twoje, Seamus – mówi, jakby z bólem i spuszcza głowę.

– Hej. – Unoszę jej twarz i mówię cicho: – Co się dzieje?

– Każdego dnia, gdy się budzę, przypominam sobie, że teraźniejszość daje możliwości, a przeszłość jest lekcją. – Brzmi to jak kruche wyznanie, które chciałbym zatrzymać w dłoniach, by ustrzec przed światem.

Wiodę palcem po wytatuowanym napisie na jej obojczyku wystającym spod sukienki, której ramiączko muszę zsunąć, by móc w pełni przeczytać tekst. Napis przypomina: *Życie rozkwita drugimi szansami.*

– O to właśnie chodzi? O możliwości i lekcje?

Przytakuje.

– To dobra dewiza – szepczę i całuję ją w miejscu, w którym znajduje się tatuaż.

Kiwa głową, gdy się odsuwam i na nią patrzę. Przygląda się badawczo mojej twarzy, zatrzymując spojrzenie na ustach. Po chwili ponownie spogląda w moje oczy.

– Uwielbiam sposób, w jaki na mnie patrzysz, Seamus. Nikt nigdy tak na mnie nie patrzył. Twoje oczy do mnie przemawiają. Kiedy mówię coś śmiesznego, twoje oczy śmieją się, nim zaczną uśmiechać się twoje usta. Kiedy potrzebuję zachęty, twoje oczy mówią, że jestem wystarczająco dobra. Kiedy się boję, twoje oczy mnie tulą. A kiedy chcesz mnie pocałować, twoje oczy rozbierają mnie z myśli – milknie i odwraca wzrok, nim znów na mnie spojrzy. – Nie chcę, by się to kiedykolwiek zmieniło.

– Nie zmieni się – przyrzekam, jednocześnie patrząc jej w oczy.

Nie jest przekonana. Jej spojrzenie nie jest stałe, zmienia się delikatnie pod wpływem emocji. Widać w nim pożądanie, ból, strach, wstyd...

– Faith. – Nie wiedziałem, że jedno słowo może nieść ze sobą tak wiele nadziei. Taką właśnie moc ma jej imię. Nie potrafię tego wyjaśnić, ale czuję, jakby zależała od niego moja przyszłość. Moje zdrowie psychiczne. Moje serce. – Proszę, mów do mnie. Możesz mi powiedzieć o wszystkim.

Zaciska usta tak mocno, że blednie ich róz, i kręci głową.

– Nie o tym, Seamus. Moja przeszłość jest wstrętne. Podjęłam złe decyzje i potem stały się jeszcze gorsze rzeczy.

– Każdy podejmuje złe decyzje. Sądzisz, że ja ich nie podjąłem? Jezu, przez dwanaście lat byłem mężem złej decyzji. To mówi samo przez się. Jestem mistrzem złych decyzji – mówię, po czym spokojnie proszę: – Zamknij oczy. – Zamykam swoje.

– Dlaczego? – pyta.

– Wyłączam osąd, nie będę cię oceniał – szepczę. – Zamknęłaś? – pytam, bo nic nie widzę.

– Tak. – Jej głos. Ten głos. Tak blisko. Taki ufny. Tak miękki w ciemności.

– Powiedz mi wszystko. Wszyściuteńko. Chcę cię taką, jaka jesteś. – Naprawdę. Bardzo.

Odpowiada mi cisza, ale nie jest złowieszczą. Czuję wzrastającą

determinację Faith i jej zmniejszające się obawy.

– A może oboje czymś się podzielimy? – nalegam. – Ty opowiesz mi o swojej przeszłości, a ja powiem ci, co do ciebie czuję.

– Naprawdę chcesz tego słuchać? – Czuję na twarzy ciepło jej słów, słyszę też w nich słaby uśmiech.

Kiwam głową, mimo że mnie nie widzi.

– Choć jeszcze bardziej sam chcę ci coś powiedzieć.

Zaczyna opowiadać. Jej głos wydaje się jeszcze bardziej miękkiej, wywołuje gęsią skórę na moich rękach.

– Wychowywałam się w kilku rodzinach zastępczych. Wiesz już o tym. Ostatnia rodzina wzięła mnie, gdy miałam szesnaście lat. Odeszłam od nich, gdy miałam niemal osiemnaście – urywa. – Teraz twoja kolej.

Nie wiem, czy moje serce będzie w stanie znieść historię, którą snuje Faith, ale czekam, bo może właśnie tym jest prawdziwe życie – słowami zawieszonymi w ciemności. Słowami, którym jestem gotów nadać znaczenie.

– Moje życie staje się łatwiejsze, gdy w nim jesteś – mówię. – I trudniejsze, gdy cię nie ma. Twoja obecność łagodzi moje wewnętrzne napięcie, które od zawsze w sobie noszę. Gdy jesteś blisko, sprawiasz, że wszystko boli mniej.

– Jestem twoim efektem placebo – wątpi.

– Nie. Ty... twoja dobroć jest bardzo, bardzo prawdziwa. I ma moc uzdrawiania. Możesz mi wierzyć. Sprawiałaś, że uświadomiłem sobie, że moja choroba mnie nie definiuje, mimo że mam stwardnienie rozsiane. Zaakceptowałaś mnie, choć jestem chory. Dzięki temu wszystko jest łatwiejsze. Nie czuję się ułomny.

– Nigdy nie byłeś ułomny – szepcze. – Zawsze byłeś Seamusem. – Słyszę, jak bierze głębokie, świadome oddechy, a kiedy jest gotowa, ciągnie własną opowieść: – Ta para była dziwna. Kobieta nie pracowała, więc siedziała w domu. Szczyciła się, że jest matką zastępczą, chełpiła się z tego powodu, jakby była świętą. Jednak wcale nie była. Samolubna i mściwa prowadziła dom jak dyktator. A on był dilerem narkotykowym. Udawała, że o tym nie wie. Z kolei on udawał, że nie widzi, jak ona nas maltretuje.

Wiem, że nie powinienem się odzywać, ale muszę zapytać:

– Mówiłaś wcześniej, że twoje rodziny zastępcze wcale nie były takie złe.

– Większość z nich taka nie była. Skłamałam w przypadku tej ostatniej. Prawda czasem nie jest sympatyczna. – To przeprosiny. – Twoja kolej.

Moja kolej, by wziąć głęboki wdech. Głęboki, pełen bólu oddech, który, przechodząc przez ściśnięte gardło, zbiera się w mojej piersi. Jednak ponownie wypycham powietrze, by mówić. Liczy się Faith, która jest tu i teraz, i musi się dowiedzieć.

– Kiedy się śmiejesz, czuję twoją radość. Myślę, że to wszystko dla mnie. Twoje oczy błyszczą, a uśmiech, który rozciąga ci usta, jest definicją szczęścia, promieniującej bez troski w odważnym i szczerym zamiarze dzielenia się czystą radością. Nigdy nie ukrywasz się za śmiechem, który zawsze jest przejrzysty i prawdziwy. Uwielbiam to w tobie.

– Mogę cię trzymać za ręce? Muszę się cię trzymać, Seamus. – Zazwyczaj słowa najpierw przetwarza mój umysł, jednak te jakoś go omijają i trafiają prosto w serce. Słyszę dochodzące z niego błaganie.

– Jasne.

Palcami odnajduje moje ręce, sunie po nich, aż trafia na dłonie. Ścisną je mocno. Przygotowuje się na to, czym chce się podzielić.

– Był również uzależniony. Po dziewięciu miesiącach spędzonych w ich domu ja również się uzależniłam. – Nie mogę znieść wstydu w jej głosie.

Przysuwam się i całuję ją w czoło. Schodzę niżej i całuję jej powieki, które są mokre od łez, tak jak się tego spodziewałem. Łamie mi to serce.

– Kiedy płaczesz, chciałbym wymazać z tego świata istnienie tego, kto spowodował ten smutek.

– Nie pamiętam zbyt wiele z ostatniej nocy z nimi. Jej nie było, a z nim naćpałam się, kiedy inne dzieci spały. Kokainą. Ją właśnie wybrałam. Chciał iść do parku znajdującego się kilka przecznic dalej, mimo że było już po północy. W normalnej sytuacji odmówiłabym, bo nie spędzałam z nim czasu. Jednak nalegał, a ja byłam pobudzona, więc

się zgodziłam. Idąc, popijałam oranżadę, którą mi dał. Pamiętam tylko, że siedziałam na starej, zardzewiałej karuzeli, słuchając jej zgrzytów protestu przy każdym okrążeniu. – Tak bardzo zaciska na moich dłoniach palce, jakby to pomagało jej uwolnić się od wzrastających w niej bólu i nienawiści.

Powtarzam to, co powiedziała mi wiele miesięcy temu:

– Daj mi swoją nienawiść, Faith.

Płacze.

– Nie mogę, Seamus.

– Daj mi swoją nienawiść, Faith – wypowiadam te słowa ponownie. Podnoszę głos, błagając, by spróbowała się oczyścić. – Proszę, musisz to z siebie wyrzucić. Mogę to przyjąć. Krzycz na mnie, jeśli trzeba. Daj mi swoją nienawiść.

Mija dłuższa chwila, potem nienawiść w pospiesznym, drżącym szepcie mąci ciszę.

– Nienawidziłam go, Seamus. Nienawidziłam jej. Nienawidziłam siebie. Nienawidziłam uzależnienia. Nienawidziłam życia – milknie, by po chwili wybuchnąć gniewnym szlochem. – Nienawidziłam wszystkiego, ale robiłam to, by przetrwać.

Jej słowa dosłownie mnie rozrywają. Nie definiuje jej ani nienawiść, ani przeszłość. Niech szlag trafi tych ludzi za to, co jej zrobili. Puszczam jej dłonie i obejmuję ją. Natychmiast odpowiada. Uścisk jest zniekształcony przez kotłującą się w nas wściekłość. Kiedy myślę, że krążąca w niej adrenalina da jej siłę, by mnie zmiażdżyć, jej uścisk staje się lżejszy, czulszy. Faith pociąga nosem.

– My. Ty i ja. Powinniśmy stać na twojej wycieraczce, Seamus.

Uśmiecham się, dusząc gniew, i całuję ją w czoło, nadal trzymając zamknięte oczy.

– Powinniśmy. Ale to później – dodaję, ponieważ chcę ją zabrać do domu i już nigdy z niego nie wypuścić.

Ściska mnie mocniej i ponownie pociąga nosem.

– Przrzekasz?

– Tak.

– Proszę, teraz twoja kolej. Muszę usłyszeć coś dobrego, nim skończę. Końcówka nie jest zbyt ładna.

– Twoje uściski mają moc zmieniania ludzi. Widziałem to. Czulem to. Masz w sobie rzadko spotykaną dobroć, która jest tak czysta, że powala mnie na kolana. Już zawsze mógłbym żyć tylko w twoich ramionach. – Głaszczę jej plecy, tuląc ją. Chcę, by się odprężyła. Jej historia utkwiła w spiętych mięśniach. Musi się rozluźnić, by to z siebie wyrzucić.

Milczy przez długą chwilę, nim znów zacznie mówić. Jej słowa brzmią, jakby męczyła ją tajemnica, którą zamierza się podzielić. Tajemnice właśnie takie są. Trudne. Wyzwolenie się spod ich wpływu wymaga siły i nakładu pracy. To nie lada sztuka.

– Kiedy obudziłam się w szpitalu, w sytuację wprowadzili mnie lekarze i policjanci. Podali powód strachu i bólu, który czułam. Wraz z narkotykami, które chętnie przyjmowałam, miałam we krwi również Rohypnol – mówi spokojnym, zbyt spokojnym głosem, na dźwięk którego ściska mnie w żołądku. – Kiedy byłam nieprzytomna... rozebrał mnie i zgwałcił. Znalazł nas człowiek spacerujący z psem. Pod drzewem. Jak wyrzucone śmieci. Byłam naga, a on był martwy. Popęłił samobójstwo, strzelając sobie w głowę.

Czekam na jej łzy. Te jednak nie płyną. Moje tak. Tulę ją mocniej, bo nie mam pojęcia, co jeszcze mógłbym zrobić. Mam wprawę w słuchaniu złych wieści i potrafię sprawić, by było lepiej... bardziej znośnie. Jednak to nie są zwykłe złe wieści. To przerażające. Ludzie są nieprzewidywalni.

– Przykro mi, Faith. Przykro mi. – Wiem, że to niczego nie zmienia. I nie pomaga. Jednak nie mogę tak siedzieć, nic nie mówiąc.

– Czujesz teraz do mnie wstręt? – To najbardziej nieśmiały szept, jaki w życiu słyszałem. Pytanie wyraża najgorsze obawy oraz jej zgodę na twierdzącą odpowiedź.

– Nie. W najmniejszym nawet stopniu. Dziękuję, że ufasz mi tak bardzo, że dzielisz się ze mną swoją przeszłością. A on? On budzi we mnie obrzydzenie. Tylko najpodlejsza osoba zdolna jest do czegoś takiego. – Nie mieści mi się w głowie, że ludzie mogą z własnej woli krzywdzić innych. – Kiedy z tym skończyłaś?

– Tamtej nocy. Od tamtego czasu nie brałam. Choć zaliczyłam potknięcie, kiedy wróciłam do Kalifornii. Zaprowadziło mnie to do

prztyłku, gdzie poznałam Benito.

Otwieram oczy na wspomnienie o prztyłku i rozluźniam zaciśnięte wokół niej ręce. Faith nadal nie unosi powiek, jej policzki naznaczone są strumieniami łez. Jest już ciemno, plaża wokół nas jest pusta.

– Otwórz oczy, Faith.

Mokre, sklezione rzęsy rozdzielają się powoli, ujawniając lśniące, głębokie niebieskie oczy.

– Mieszkałaś w prztyłku? – Serce mi pęka. Ponownie.

Prztykuje.

– Okres wynajmu się skończył. Nie miałam pracy. Nie miałam pieniędzy. Nie miałam wyjścia.

Nie miała wyjścia? Dlaczego nie brała mnie pod uwagę?

– Mogłaś przyjść do mnie. Powinnaś tak zrobić.

Kręci głową, a jej spojrzenie łagodnieje.

– Miranda była u ciebie. Hope powiedziała, że jesteście rodziną. Z perspektywy czasu wiem, że to nieporozumienie, ale wtedy nie chciałam przeszkadzać i narobić ci kłopotu. Nie chciałam, byś miał problem z dziećmi.

Przetykam złe decyzje oraz ich efekt domina.

– Miranda. Jest jak chodzące nieszczęście. Po przeprowadzce potrzebowała miejsca, gdzie mogłaby się zatrzymać, więc wzięła we władanie moją kanapę. Byłem zdesperowany. Chciałem odzyskać dzieci, więc pozwoliłem jej zostać na kilka tygodni.

Kiwa głową, zrozumienie maluje się w jej błyszczących oczach.

– Wiem, Seamus. Nie musisz wyjaśniać. Słusznie postąpiłeś. Wszystko się ułożyło, znów masz dzieci. – Wypuszcza wstrzymywane powietrze i ociera palcami policzki. – A Miranda nie jest taka zła, jak sobie wyobrażałam. Benito ją lubi. Hope ją lubi.

Chociaż już od kilku tygodni wiem, że Hope jest matką Faith, nadal nie mogę w to uwierzyć.

– Miranda przekonała ją, by zaczęła gotować w prztyłku. Nie płacą wiele, ale to pierwsza poważna praca Hope. I bardzo jej się podoba.

– Cieszę się, że odnalazłaś matkę i uzyskałaś odpowiedzi.

– Ja też. – Uśmiecha się lekko. – Życie rozkwita drugimi szansami. Nie mogę przestać jej dotykać, głaskać po łydkach... Chcę upewnić się, że to się naprawdę dzieje, że ona jest prawdziwa.

– Z pewnością. Jesteś tu ze mną.

Jest zamyślona, otwiera usta, by coś powiedzieć. Waha się przez moment i mówi:

– Dostaniemy drugą szansę, Seamus? Czy wiedza o mojej przeszłości w jakiś sposób zmienia twoje uczucia do mnie?

Podtrzymując się laski, wstaje, otrzepując spodnie z piasku i podaje jej rękę.

– Chodź. Nie mogę tutaj odpowiedzieć na to pytanie.

Chwyta mnie i wstaje.

– Dlaczego nie? – pyta, również otrzepując się z piasku.

– Bo jesteś ubrana. I ja jestem ubrany. A moje ciało błaga, bym odpowiedział na to pytanie... szczegółowo... i długo... Pieszczotą, nie słowem. Więc musimy się znaleźć za drzwiami sypialni.

W odpowiedzi jej usta rozchylają się, a pierś unosi i opada w ogarniającym ją pożądaniu.

– Seamus, zdajesz sobie w ogóle sprawę, jaki jesteś pociągający?

Były to ostatnie słowa wypowiedziane tamtego wieczoru. Z wyjątkiem wydyszanego przez Faith między pocałunkami: *My, gdy staliśmy na wycieraczce z napisem M... ..Y.*

Jak obiecałem, zaprowadziłem ją do sypialni, zamknąłem drzwi i pozbawiłem nas ubrań. Przez następne kilka godzin obnażałem duszę w każdym dotyku... pocałunku... kontakcie. Zabrałem wszystkie jej wątpliwości, uciszyłem obawy i obiecałem nieskończoną drugą szansę.

A wszystko to bez słów.

Kiedy leżymy splątani w ciemności, wyczerpani, lecz zaspokojeni na wszystkie sposoby, Faith przerywa ciszę:

– Seamus?

– Tak?

– Też cię kocham.

Uśmiecham się, bo każdą pieszczotę usłyszała głośno i wyraźnie.

MAGIA JEST CHOLERNIE PYSZNA

MIRANDA

Teraźniejszość

Mam na rękach wysokie, przeraźliwie żółte gumowe rękawiczki. Szoruję wnętrze piekarnika. Po raz pierwszy bez pomocy Hope próbowałam zrobić suflet. Przywarł po bokach, a potem spalił się na węgiel, w wyniku czego ucierpiał też spód piekarnika i kosz na śmieci. Mam nadzieję, że nie będzie tak wyglądał cały mój dzień.

Rozlega się dzwonek do drzwi.

Wyjmuję głowę z piekarnika i patrzę na znajdujący się na kuchence zegarek. Są piętnaście minut wcześniej. Cholera, próbowałam zatrzeć ślady. Zdejmuję rękawiczki i wrzucam je do piekarnika. I tak nie będę go używać w tej chwili.

Kiedy otwieram drzwi, Rory podaje mi bukiet pełen rozmaitych kwiatów. Obok stoi Kai, Kira i Benito.

– Dziękuję – mówię. I naprawdę mam to na myśli. To pierwszy raz, gdy dostałam kwiaty i szczerze za nie podziękowałam. Czuję się przez to trochę podle, ponieważ oczekiwałam ich od Seamusa. Dziękowanie było dla mnie obowiązkiem, więc rzucałam nim z przymusu. A przecież powinnam być wdzięczna za każdy bukiet

Seamusa jak za ten, którym właśnie dostałam. Te podziękowania były serdeczne. Robię postępy. Gdy Kai przez pół roku zdrowiał, ja się budziłam. To prawda, że przemiana została zapoczątkowana już wcześniej, ale dopiero tamtego dnia zmieniło się wszystko. Stałam się teraz kimś innym. Nie do końca innym, bo nadal jestem arogancka, niecierpliwa i lubię rządzić... Jednak w końcu zrozumiałam, co w życiu jest istotne. Dzieci, przyjaciele, osoby, którym służę w pracy. To ludzie sprawiają, że życie jest wartościowe. Poświęcenie. Miłość. Współczucie. To cholernie piękne. Któż mógł przypuszczać?

– Nie rozczulaj się tak, Mirando – Rory wypowiada to, jakby mówił *mamo*. Brzmi ujmująco, nie jak obraza. Wskazuje na Benito. – To był jego pomysł. – Fajnie, że to Rory chciał mi wręczyć te kwiaty. Nasza relacja się umocniła. W krótkim czasie przebyliśmy długą drogę. Oboje próbujemy wszystko naprawić.

Dzieci wchodzą do domu, witając mnie uściskami. Benito idzie za nimi i uśmiecha się na myśl, że Rory nie chciał brać odpowiedzialności za czuły gest.

– Zasugerowałam kwiaty. Kai i Kira się zgodzili, a Rory nalegał, by były lawendowe – szepcze mi do ucha. Serce mi się ściska, kiedy spoglądam na bukiet i zauważam, że znajdują się w nim również kwiaty hortensji.

Dzieci znikają, by zanieść plecaki do swoich pokoi, a Benito idzie za mną do kuchni. Wciąga powietrze i wacha, gdy wkładam bukiet do wazonu.

Nim ma szansę cokolwiek powiedzieć, przyznaję się do porażki:

– Suflet mnie pokonał. Prawdopodobnie zrobię tosty... albo możemy zamówić coś na wynos. – Zaprosiłam go, by dołączył do dzieci na brunchu. Po drodze odebrał je od Seamusa.

Śmieje się, ujawniając swoją niefrasobliwą naturę.

– Znam pewną piekarnię znajdującą się nie tak daleko. Słyszałem, że mają tam zabójcze migdałowe rogaliki.

– Tak? Zabójcze? Nie jest to zbyt subiektywny pogląd, co?

Niewinnie kręci głową, uśmiecha się i puszcza do mnie oko.

– Mój brat tworzy magię z ciasta.

– Mmm, magia brzmi cholernie pysznie – droczę się z nim. – Chcę

spróbować.

Magia rzeczywiście była cholernie pyszna. Cieszę się więc, że wcześniej miała miejsce tragedia sufletowa.

Resztę weekendu spędziłam z dziećmi. Byliśmy na plaży i bawiliśmy się w wodzie. Późno chodziliśmy spać, bo oglądaliśmy telewizję i jedliśmy śmieciowe jedzenie. Rozmawialiśmy trochę o ważnych sprawach, lecz w większości o błahostkach. To właśnie jest najważniejsze – możemy rozmawiać o wszystkim i przychodzi nam to naturalnie. Śmiałam się z nimi. Tuliłam je. Odpowiadały uściskami.

Poczułam się jak matka, bo wszystko robiłam z miłością. Prawdziwą, głęboką, wolną od knowań i gierek czy złych intencji. Jest tak czysta... Nie sądziłam, że jestem zdolna do tak czystej formy miłości. Naprawdę jestem.

Jest niedzielny wieczór. Seamus właśnie odebrał dzieci. Zostawili mnie tutaj, w salonie, gdzie siedzę z lampką wina, zastanawiając się nad życiem. Tak dużo żalu. Tak wiele kłamstw. Tak wiele bólu. Czuję się, jakbym nie znała już tamtej osoby. Dzięki Bogu. Mam wielkie szczęście. Mimo tego, co wydarzyło się przez te lata, z byłym mężem łączy mnie pełna szacunku przyjaźń. Długo na nią czekałam i ciężko pracowałam, by na nią zasłużyć. Nie winię Seamusa, że nie jesteśmy razem. Jestem wdzięczna za pełną miłości relację z dziećmi. Mam też kilku przyjaciół oraz nowo odkrytą godność i sympatię do samej siebie. Teraz sama mogę skorzystać z przepustki ze swojego piekła. To moja wolna wola, dzięki której zdarzają się dobre rzeczy. Wysilek i intencja – to wszystko, czego trzeba. Starasz się albo nie. Czynisz dobro albo zło.

Staram się ze wszystkich sił.

I wolę dobro.

Wiem, że to brzmi jak jakieś żalosne bzdury... ale to prawda.

Czyń dobro lub umieraj podczas starań.

Jestem dumna, że potrafiłam odnaleźć w sobie szlachetność, więc powyższe wyrażenie staje się moim nowym motto.

NIEWIARYGODNIE PIĘKNIE ZNALEŹĆ SIĘ W TEJ SYTUACJI

FAITH

Przyszłość

Seamus jest taki przystojny w czarnych prążkowanych spodniach i białej eleganckiej koszuli z niedbale podwiniętymi rękawami. Jego stopy są nagie jak moje. Stoimy na wycieraczce z napisem *M.....Y* położonej na piasku. Obok znajdują się Kai, Rory, Kira, Hope i kilku naszych przyjaciół. Przed nami stoi Benito, trzymając Biblię. Dumnie prowadzi dzisiejszą ceremonię.

Gdy nadchodzi moja kolej, by złożyć przysięgę, patrzę w ciemne, czekoladowe oczy Seamusa, które wpatrzone są prosto w moją duszę, uśmiecham się przez łzy szczęścia i mówię:

– My. Niewiarygodnie pięknie móc znaleźć się w tej sytuacji. Tak.

Na co Seamus odpowiada:

– O wiele więcej niż tak.

EPILOG

Miłość wyjaśnia... lub zaprzecza.

Poproś sto osób, by wyjaśniło, czym jest miłość.

A uzyskasz sto różnych odpowiedzi.

Ponieważ miłość jest sztuką. Subiektywną.

Nieuchwytną.

Nieustannie zmienną.

Wciąż dojrzewającą.

NIE INACZEJ...

MIRANDA

Miłość jest prawdziwa.

Nie sprawia, że wierzysz w nią tak, jak wierzy się w Świętego Mikołaja czy w wygraną w Vegas. Jednak może obudzić w tobie serce i chęć czynienia dobra. Najważniejsza jest zatem jej istota.

Moje dzieci.

Moje decyzje.

Wysiłek.

Współczucie.

Jest cholernie prawdziwa.

Jeśli tylko głupcy wierzą w miłość... możecie nazywać mnie głupią.

SEAMUS

Miłość zadziwia. Pojawia się znikąd. Nie ma w niej logiki. Nie jest celowa. Nie da się jej zmierzyć. Wypływa ze szczerych emocji oraz z pasji. Ich połączenie staje się piękne, gdy łączy wzajemność.

Poznałem głębię miłości. Doświadczyłem jej. I jestem zapalonym koneserem tego uczucia.

Kiedy zakochałem się w Faith, byłem wycofany i ostrożny. Zgorzkniały i zmęczony rozwodem.

Jednak ta dziewczyna nauczyła mnie marzyć o miłości.

Wkrótce nasze marzenia zmieniły się w rzeczywistość.

I miłość zaczęła istnieć.

Miłość istnieje.

Istnieje o wiele więcej niż miłość.

FAITH

Miłość... Myślę, że kieruje nią instynkt, że serce włada rozumem. Da się ją zdefiniować. Poznałam ją, gdy poczułam jej wstrząsające piękno.

O wiele więcej niż wstrząsające piękno.

Na imię jej *MY*.

Seamus i ja.

PODZIĘKOWANIA

Uwielbiam tę część, ponieważ moje serce kocha dziękować.

Na początku chciałabym podziękować Tobie za przeczytanie tej książki. O wiele więcej niż dziękuję! Ściskam Cię i mam nadzieję, że to czujesz, bo tulę Cię mocno. To jeden z uścisków Faith, lecz ode mnie dla Ciebie.

O wiele więcej niż dziękuję Mamie. Za to, że jest dzielna. Zdiagnozowano u niej stwardnienie rozsiane, gdy miałam siedem lat. Nie pamiętam jej zdrowej. Choroba towarzyszyła jej nieustannie. Towarzyszyła więc całej naszej rodzinie. Mimo to nigdy nie stała się ona przyczyną lęku czy powodem do zmartwień. Mama jest wojowniczką i nie pozwoliła, by choroba odebrała jej to, co w życiu najważniejsze. Przez trzydzieści sześć lat każdego dnia Mama pokazywała chorobie, gdzie jest jej miejsce. Nie można zaprzeczyć – żyje obecnie w ciągłym bólu... Przechodziła tygodnie, a nawet miesiące nasilających się symptomów, kiedy choroba ostro atakowała. Jednak wiesz, co robiła moja Mama, kiedy to się działo? Walczyła jeszcze mocniej. Jest zaciętą i najodważniejszą osobą, jaką znam. Dziękuję Ci, Mamo, za tę nieustającą walkę. Za to, że walczysz dla siebie. I dla rodziny. Kocham

Cię.

O wiele więcej niż dziękuję moim konsultantom: Lindsey Burdick, Amy Donnelly, Allison Dunnings, CM Foss, Gemmie Hitchen, BN Toler i Janet Wallace. Prowadzicie tak zabiegane życie, a poświęciłyście mi czas na rozmowy, by pomóc mi stworzyć w wyobraźni tę historię oraz postaci. Najbardziej jednak dziękuję za Waszą przyjaźń. Kocham Was, Twardzielki.

O wiele więcej niż dziękuję Amy Donnelly z Alchemy of Words. Jesteś wszechstronnym geniuszem. Edycja, projekt, zapowiedzi, promocja, codzienne sesje terapeutyczne. Wszystko to jest w Twoich rękach. Nie jestem w stanie wystarczająco Ci podziękować, Moja Popijająca Kawę, Pochłaniająca Taco Duchowa Siostró.

O wiele więcej niż dziękuję Monice Stockbridge za redakcję kolejnej książki. To już czwarta. Uwielbiam, gdy nadajesz sens moim historiom, nawet kiedy ja nie potrafię tego zrobić. Jesteś najlepsza.

O wiele więcej niż dziękuję Brandonowi Hando za kolejną piękną okładkę. Tym razem było ciężko. Dziękuję, że nadążasz za moimi przypadkowymi pomysłami, gdy zarzucam Cię nimi co dziesięć minut, a pięć minut później... zmieniam zdanie. Twoja cierpliwość jest legendarna. Jak Ty. Wielki przytulacz również dla Andi Hando za pozowanie do około pięciuset zdjęć, nim uścisk wyszedł, jak należy. Ciężko w dwie koma dwie sekundy uchwycić i wykrzesać magię kryjącą się w dobrym świetle – wciąż winna Wam jestem za to poświęcenie wystawną kolacją w Waffle House. Kocham Was oboje.

O wiele więcej niż dziękuję agentce Jane Dystel z Dystel & Goderich Literary Agency za nieustające wspieranie mnie nie tylko w życiu zawodowym, lecz także duchowym. Brawa również dla Lauren Abramo za całokształt pracy. Bardzo Was doceniam.

O wiele więcej niż dziękuję rodzicom. Za motywację przez całe czterdzieści trzy lata. Kocham Was.

O wiele więcej niż dziękuję B. i P. Jesteście najlepszą rodziną w historii. Najlepszy mąż. Najlepszy syn. Codziennie dziękuję szczęściu za to, za niewiarygodnie piękną sytuację, w której się znajdujemy. O wiele więcej niż kocham!

O wiele więcej niż dziękuję muzykom z playlisty zawartej

w książce. Za inspirację i natchnienie podczas pisania tej historii. Nie potrafię bez Was pisać.

Na końcu, choć to równie ważne, o wiele więcej niż dziękuję wszystkim czytelnikom, blogerom, autorom oraz członkom rodziny *Promyczka*, którzy wspierali mnie i moje szalone marzenie, by pisać. Miłość w książkowej społeczności płynie z głębi serc i jest bardzo szczerą, czuję ją wszędzie. Wasza przyjaźń znaczy dla mnie wszystko. Chciałabym uściskać każdego z Was osobiście. Nim wypełnię tę misję, w duchu zgarniam Was wszystkich w jeden gigantyczny uścisk i tulę mocno. Kocham Was.

PLAYLISTA

Arctic Monkeys – *Do I Wanna Know?*
As Tall As Lions – *Love, Love, Love*
Chvrches – *Never Ending Circles*
Dredg – *Down to the Cellar*
Future Husbands – *A Home Without a Heart*
Future Husbands – *The Sickness*
James Bay – *Incomplete*
James Bay – *Let It Go*
John Mayer – *Slow Dancing in a Burning Room*
Kill It Kid – *Caroline*
Like Thieves – *Brave the Day*
Manchester Orchestra – *Leave It Alone*
Nothing But Thieves – *Trip Switch*
Prides – *Out of the Blue*
Sunset Sons – *Lies*
The Beach – *From Above*
The Fray – *Heartless*
X Ambassadors (featuring Jamie N. Commons) – *Low Life*

X Ambassadors – *Unsteady*
You Me At Six – *Win Some, Lose So*

CHOLERNIE PYSZNY MAŁPI CHLEBEK MIRANDY

Składniki:

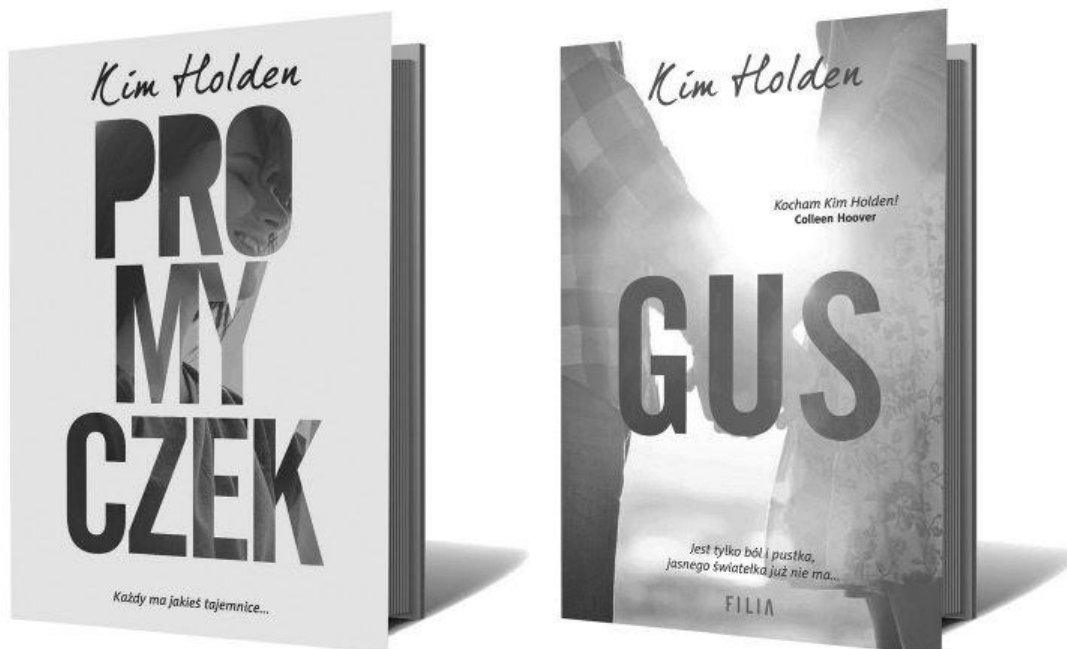
- 1 3/4 szklanki cukru
- 3 łyżeczki cynamonu
- 4 opakowania mrożonych kulek drożdżowych
- 1/4 szklanki cukru pudru
- 3/4 szklanki roztopionego masła (nie zapomnij o pieprzonym maśle!)
- 1/3 szklanki mleka skondensowanego
- 1/4 łyżeczki gałki muszkatołowej (nie musisz dodawać)
- 1/3 szklanki rodzynek albo 1 szklanka pokrojonych w kostkę zielonych jabłek (dodaj albo nie – decyzja należy do ciebie)

Przygotowanie:

- Załóż fartuch, bo będziesz tworzyć magię.
- Na początku odmów modlitwę do boga Pinterestu, aby nie zapeszyć.

- Rozgrzej piekarnik do 180°C. Nasmaruj masłem dużą formę.
- Zmieszaj 3/4 szklanki cukru z 1 1/2 łyżeczki cynamonu w dużej zamykanej torebce.
- Wyjmij drożdżowe kulki. Każdą przekrój na cztery części.
- Do torebki z cukrem i cynamonem wrzuc kawałki kulek i porządnie wymieszaj, potrząsając.
- Umieść kawałki kulek drożdżowych (oraz rodzyнки lub jabłka, jeśli się na nie zdecydujesz) w formie.
- Wymieszaj 1 szklankę cukru, 1/4 szklanki cukru pudru, 3/4 szklanki roztopionego masła, 1/3 szklanki mleka skondensowanego, 1 1/2 łyżeczki cynamonu (i gałkę muszkatołową, jeśli chcesz ją dodać) w garnku, doprowadzając do wrzenia. Polej tym zawartość formy. Zaczekaj, aby wszystko mogło się dokładnie zlepić.
- Całość piecz od 30 do 35 minut. Albo do momentu, gdy się zarumieni.
- Przystudź pięć minut. Odwróć do góry nogami, wyjmij z foremki i podaj.
- Zjedz. Ta magia jest cholernie pyszna.

DLA FANÓW JOHNA GREENA, COLLEEN HOOVER
I RAINBOW ROWELL – LEKTURA OBOWIĄZKOWA!



Tajemnice.
Każdy je ma.
Kiedy zostaną ujawnione, mogą uzdrowić.
Mogą również zniszczyć.

FILIA

WHEN IT RAINS,
THINK OF ME

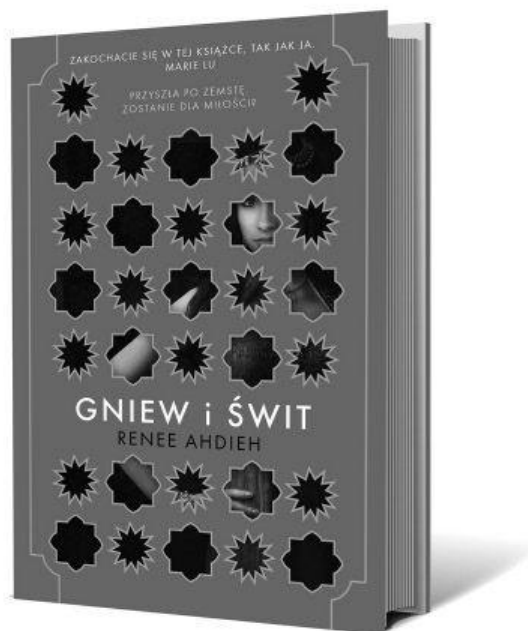


SERIA
RAINS

Byłam zraniona.
Zostałam ocalona.
Odzyskałam nadzieję.

FILIA

GNIEW i ŚWIT



*Sto istnień za jedno, które odebrałeś.
Jedno życie, jeden świt.*

II tom serii w przygotowaniu

RÓŻA i SZTYLET

Im ciemniejsze niebo, tym jaśniejsze gwiazdy



FILIA

SPIS TREŚCI

Okładka

Karta tytułowa

Dedykacja

PROLOG

NIE INACZEJ...

PRZEPUSTKA Z PIEKŁA

WSZYSCY LUBIĄ OWCE

ŚWIAT, KTÓRY TWORZĘ DLA SIEBIE

UROK TRZECIEGO RAZU

POWITALNE MANGO

MAM NADZIEJĘ, ŻE SPĘDZACIE DZIEŃ TAK CUDOWNY,
JAK WY SAMI JESTEŚCIE

NIEPOKOJĄCO LUDZKA

CHOLERNIE CIERPIAŁAM I NAZWALIŚMY GO KAI

ROZSTĘPY ZOSTAJĄ NA CAŁE ŻYCIE

ZAPOMNIANE I ODRZUCONE, WKURZA MNIE TO

SZKOCKA JEST DLA STARUSZKÓW

ZWYCIĘSTWO, PIEPRZONE ZWYCIĘSTWO

ZDRAJCA

POTRZEBNY NAM BOHATER

MASZ ŁADNE KOLANA, SZKODA JE RANIĆ

CHCĘ BYĆ PROSTYM I NORMALNYM FACETEM

PIEPRZYĆ FASADĘ

ZAZWYCZAJ NIE WZDYCHA

MOŻE POTRZEBUJESZ WŁASNEJ TABLICZKI

NIE JEST JUŻ IDEALNY

MOJE CIAŁO ZAJĘTE BYŁO AUTODESTRUKCJĄ
JEST ZDZIRĄ, TAK JAKBY
NIEPROSZONY INTRUZ WYZWAŁA NOWE OBSESJE
LEP NA MUCHY
JESTEM PUENTĄ
CHOLERNIE ŻAŁOSNA GĄBKA
WSZYSTKO, CO ZOSTAŁO, TO MY
BOTOKS, PŁASZCZ I PRZEZNACZENIE
SZANTAŻ TO TAKIE BRZYDKIE SŁOWO
UROCZY ODCIEŃ *ZETRĘ TWOJĄ DUSZĘ W PYŁ*
JEZUS MARIA I WSZYSCY ŚWIĘCI
NIKT NIE MOŻE MIERZYĆ SIĘ ZE ŚWIĘTYM
GĘSTY, DUSZĄCY DYM
W KŁOACE PODŁOŚCI
ZRZUCIĆ ŻAL – JAK WĄŻ STARĄ SKÓRĘ
CZASAMI ROZPACZ JEST BŁOGOSŁAWIENSTWEM
W PRZEBRANIU
MASA CELULOZOWA I ZŁE INTENCJE

NIGDY NIE SĄDZIŁAM, ŻE MAM SWÓJ TYP

FRANCUSKI SOS CEBULOWY NA LIŚCIE O LIKWIDACJI
SZKÓD

EPICENTRUM PIEKŁA

CZAS SPRZYJA NAWET NIEPOKORNYM

ANIOŁOWIE BATMANI

WYRWAĆ STRONY I UCIEC Z NIMI JAK ZŁODZIEJ

KALENDARZ JEST TERAZ ŚWIĘTY

DRUGI RAZ NIE DAM SIĘ OSZUKAĆ

ŻAŁOŚNIE NIEDOSKONAŁY SUBSTYTUT SZCZĘŚCIA

W DUPIE MAM TWOJĄ WYPACZONĄ PERSPEKTYWĘ

PIECZENIE NOWEGO CIASTA

ZMĘCZONY BRZYDOTĄ

GDZIE TO PIEPRZONE MASŁO?

KIEDYŚ BYŁEŚ MILSZY

ZAWSZE MAM WYBÓR

GŁOWA MNIE BOLI OD PŁYNU DO PODŁÓG

NIE MA MEDALI ZA STARANIA

WIDZĘ W TOBIE SAMEGO SIEBIE

NIKT NIE BĘDZIE SZCZAŁ NA MOJĄ TĘCZĘ

MUSZĘ ŚNIĆ, BY SPAĆ

GENY NIE CZYNIĄ Z NIKOGO RODZICA

ŚMIAŁE PYTANIE NA POCZĄTEK

ZOSTAŁAŚ WYSŁANA PROSTO Z PIEKŁA, BY ZNISZCZYĆ
MI ŻYCIE?

DOBRA W DOCHOWYWANIU TAJEMNIC

BYŁAŚ MOJĄ NADZIEJĄ

CZASAMI NIE JEST TEŻ TRUDNE

ŻYCIE ROZKWITA DRUGIMI SZANSAMI

MAGIA JEST CHOLERNIE PYSZNA

NIEWIARYGODNIE PIĘKNIE ZNALEŻĆ SIĘ W TEJ
SYTUACJI

EPILOG

NIE INACZEJ...

PODZIĘKOWANIA

PLAYLISTA

CHOLERNIE PYSZNY MAŁPI CHLEBEK MIRANDY

Reklama 1

Reklama 2

Reklama 3

Karta redakcyjna

Tytuł oryginału: *So Much More*

So Much More Copyright © 2016

Copyright for the Polish edition © 2017 by Wydawnictwo FILIA

Żaden z fragmentów tej książki nie może być publikowany

w jakiegokolwiek formie bez wcześniejszej pisemnej zgody
Wydawcy.

Dotyczy to także fotokopii i mikrofilmów oraz rozpowszechniania
za pośrednictwem nośników elektronicznych.

Wydanie I, Poznań 2017

Projekt okładki: Olga Reszelska

Zdjęcie na okładce: © Peter Beavis / Getty Images

Przekład: Katarzyna Agnieszka Dyrek

Redakcja, korekta, skład i łamanie: Editio

Konwersja publikacji do wersji elektronicznej:

„DARKHART”

Dariusz Nowacki

darkhart@wp.pl

eISBN: 978-83-8075-249-8

FILIA

Wydawnictwo FILIA

ul. Kleeberga 2

61-615 Poznań

wydawnictwofilia.pl

kontakt@wydawnictwofilia.pl

Druk i oprawa: Abedik SA